

Michael Dorris

Zerwana więź

Gdańskie Wydawnictwo Psychologiczne

Gdańsk 1996

PWZN

Lublin 1997

Przekład:

Monika Kaźmierczak

Dla Luise, które dzieli ze mną tę historię, która towarzyszyła mi w jej przeżywaniu i opisywaniu, która uczyniła z nas jedność. Dla naszego dzielnego syna

Podziękowania

Dziękuję wielu ludziom, którzy rozmawiali ze mną szczerze i otwarcie w ciągu lat powstawania tej książki, a szczególnie Jeaneen i Robertowi Grey Eagle, Brendzie Demery, Elaine Beaudreau, zmarłej Monie Richards, Sharon

Cuny, Melwinowi Brewerowi, Stanowi Shepardowi, Susan Lindsay, Philipowi

Mayowi, Ann Streissguth, Sterlingowi Clarrenowi, Thedzie New Breast, Evie

Smith, Ernestowi Abelowi i Luisowi Escobarowi. Dziękuję Fundacji Rockefellera i College'owi w Dartmouth za czas i pieniądze. Składam również

głębokie podziękowania Charlesowi Rembarowi i memu wydawcy, Hugh Van

Dusenowi za cenne wskazówki edytorskie.

Dalsza lista podziękowań nie ma końca, ponieważ jest historią życia naszego syna. Dziękuję wielu lekarzom, pracownikom socjalnym i oddanym

nauczycielom, a wśród nich Colleen Nooney, Denisowi Daigle, Robertowi

Storrsowi, Edwardowi Hartowi, Robertowi Lanzerowi, Alice Hendrick,
zmarłej

Livii Alexion, Caroline Storrs, Richardowi Nordgrenowi, Kenowi
Krambergowi

- ludziom, którzy wykroczyli poza normalną praktykę i pracowali na
sukcesy

Adama, jakby były ich własnymi; Eileen Cowin, Bei Medicine, Ninie
Sazer i

zmarłemu Jackowi Stokely, z których każde było na swój sposób bliskie

Adamowi i uczyło go na własnych przykładach przyjaźni i życzliwości;

najbliższej rodzinie - Mary Besy Dorris, Marion Burkhardt, Virginii

Burkhardt, zmarłej Katherine Smith, Ralphowi i Ricie Erdrich, którzy nie
szczędzili swej miłości i wsparcia; bratu i siostrom Adama - Savie,

Madeline, Persii, Pallas i Azie - za ich siłę i zrozumienie; i oczywiście

Louise Erdrich, matce Adama, która dokonała znacznie poważniejszego
wyboru

niż ja: wiedziała, co robi, i zrobiła to w piękny sposób. Na koniec

chciałbym podziękować Adamowi, który dał mi pozwolenie na napisanie
tej

książki, przeczytał lub wysłuchał każdego jej słowa i jest jej prawdziwym i
aktywnym autorem.

To doświadczenie, którego sobie nie wybraliśmy, którego pragnęlibyśmy
uniknąć za wszelką cenę, bardzo nas zmieniło i sprawiło, że staliśmy się
lepsi. Dzięki niemu dowiedzieliśmy się, że nikt nie akceptuje chętnie
gorzkich prawd Sofoklesa i Szekspira - że człowiek dojrzewa poprzez

cierpienie. I to również było udziałem Jessy. Piszę teraz słowa, o których nawet nie pomyślałabym piętnaście lat temu: gdyby dziś dano mi wybór przeżycia wszystkiego od początku albo odrzucenia tego gorzkiego daru, to wyciągnęłabym po niego rękę - ponieważ dzięki niemu wszyscy otrzymaliśmy niewiarygodne życie. I nie zmienię ostatniego słowa tej opowieści. Pozostaje nim miłość.

Clara Claiborne

Park "Obleżenie"

Przedmowa

Spadła dziś gruba warstwa śniegu. Jest 4 lutego 1988 roku. Za dwa dni mamy wyruszyć z Michaeliem w naszą pierwszą wspólną podróż zagraniczną, za dziesięć dni wypada Świętego Walentego, spędzimy ten dzień w Paryżu. Przed piętnastoma dniami Adam obchodził dwudzieste urodziny. Nie jest to żaden szczególny dzień, nie oznacza przełomu w życiu Adama ani w moim. To dzień

pośród pustki, pod grubą warstwą śniegu, w ciszy. Pozamykano szkoły, a my zostaliśmy odcięci od świata przy zwirowej drodze, po której nie przejedzie żaden samochód, póki nie oczyszczą jej miejskie pług śnieżne.

Jest to po prostu dzień, w którym Adam miał atak. Zadzwoiła jego babcia, zobaczyła przez okno, że Adam leży na śniegu i ma atak. Upadł podczas odśnieżania skrzynki na listy. Michael był już przy drzwiach, ale to ja wybiegłam pierwsza, bo miałam na nogach kalosze. Wybiegłam na śnieg, czując

jednocześnie wdzięczność dla Michaela za to, że pozwolił mi ratować Adama.

Choć nie jesteśmy tego świadomi, są to chwile, w których łatwo nam być jego

rodzicami. Jego ataki są coraz groźniejsze. A przecież, jeśli nie zrani się przy upadku, nie możemy zrobić nic więcej, jak tylko być przy nim, ułożyć

go na boku i sprawdzić, czy oddycha. Podbiegłam do Adama i wzięłam go w

ramiona, wołałam go po imieniu, kojącym, cichym głosem mówiłam, że jestem

przy nim. Kiedy odzyskał przytomność, wstałam i podniosłam go, a potem otrzepałam rękawy i kołnierz jego kurtki.

Przejechał pług śnieżny i zaraz zawrócił, żeby upewnić się, czy nic nam się nie stało. Nasz widok musiał budzić zainteresowanie. Staliśmy oparci o

siebie, przytuleni, i ciężko oddychaliśmy. Adam jest wyższy ode mnie i na co dzień znacznie silniejszy. Objęłam go w pasie i spoglądałam mu przez ramię. Wciąż padał śnieg, przelatując między gęstymi gałęziami sosny.

Wokół

nas było niezwykle czysto, mokra, naelektryzowana cisza. Było ciepło, śnieg

topniał w moich butach.

Łatwo jest kochać dramatycznie i absolutnie, tak jak wymaga tego ktoś chory. Łatwo jest zataczać się i ślizgać na śniegu, ściągać buty Adama i sprawdzać, czy dostał wystarczającą dawkę leku. Łatwo jest być

sezonowym

aniołem stróżem. Ale trudno jest żyć dzień za dniem z dzieckiem cierpiącym

na Zespół Poalkoholowego Uszkodzenia Płodu albo Efekt

Poalkoholowego

Uszkodzenia Płodu. Ten możliwy do uniknięcia zespół upośledzeń powstałych w

okresie ciąży przejawia się na wiele sposobów, ale spowodowany jest wyłącznie przez alkohol, który wpływa na ciało i umysł rozwijającego się płodu. Raport Naczelnego Chirurga Stanów Zjednoczonych z 1988 roku ostrzega

przed piciem alkoholu w czasie ciąży, a wielu lekarzy stwierdza obecnie, że

wobec niemożności ustalenia bezpiecznej dawki alkoholu, najlepiej w ogóle

powstrzymać się od picia w ciągu tych dziewięciu miesięcy, a w wypadku

karmienia piersią nawet dłużej. Wiemy z lektury raportu, że każda kobieta inaczej reaguje na alkohol, w zależności od wieku, diety i metabolizmu. Picie alkoholu w okresie ciąży może spowodować zniekształcenia twarzy i ciała płodu, wpłynąć ujemnie na inteligencję, jak również na możliwość osądu i pewne typy zachowań. Adam cierpi na wszystkie wymienione tu zaburzenia, do pewnego stopnia. Chwila rozluźnienia może spowodować nieodwracalne skutki.

Nigdy nie chciałam być matką dziecka z problemem. A kto by chciał?

Doszło

jednak do tego po roku małżeństwa z ojcem Adama, kiedy prawnie adoptowałam

Adama, Savę i Madeline - trójkę dzieci adoptowanych przez niego przed laty,

kiedy jeszcze był sam. Jestem osobą niecierpliwą i dlatego niezwykle podziwiam takich ludzi jak Ken Kramberg, nauczyciel Adama, Faith i Boba

Annisów, którzy na co dzień pracują z dziećmi upośledzonymi. Podziwiam mego

męża, Michaela, który poświęcił wiele miesięcy, by nauczyć Adama wiązać

buty. Życie z Adamem nigdy nie miało bezpośredniego wpływu na moją pracę.

Piszę teraz o nim po raz pierwszy. Nigdy nie przedstawiałam go pod fikcyjną

postać ani nie opisywałam świadomie naszych doświadczeń. Dla powieściopisarki trudno i boleśnie jest pisać o rzeczywistych

wydarzeniach
z jego życia.

Przyglądałam się, jak Michael, antropolog i pisarz, zмага się z tym rękopisem przez sześć lat. Jego praca stała się podróżą od profesjonalnego obiektywizmu do rzeczywistości pełnej pomieszania, której granic nie da się tak łatwo wyznaczyć. Ponowne przeżywanie całej historii było dla Michaela bardzo bolesne, ale czuł się w obowiązku do niej wrócić, kiedy uświadomił sobie ogromny zasięg problemu, wysłuchał wiele podobnych opowieści zrozpaczonych ludzi. Powodowało nim również jedno z najbardziej ulotnych ludzkich odczuć - nadzieja. Jeśli choć jeden przypadek Zespołu Poalkoholowego Uszkodzenia Płodu zostanie opisany szczegółowo i prawdziwie, może powstrzyma to kogoś przed urodzeniem kolejnego upośledzonego przez alkohol dziecka.

Adam ma kłopoty z czytaniem, ale przyłożył się do przeczytania tej książki. Był nią zafascynowany i zgodził się na publikację. Mimo że nie uważa nas za profesjonalistów, nie czuje się dumny ani nawet obrażony, lubi oglądać nasze rodzinne zdjęcia w gazetach. Widzi mnie i Michaela w rolach, które odgrywamy w domu. Michael zajmuje się praniem, a ja gotuję. Poza

tym,

co najważniejsze, jesteśmy ludźmi, którzy na niego reagują. W ten sposób, mimo że jest już dorosły, pozostaje na poziomie małego dziecka, które postrzega świat jako wynik własnej woli. Adam jest światem, a przynajmniej własną jego wersją, a my istniejemy dla niego tylko w zakresie jego pola widzenia.

Z tego powodu pod wieloma względami Adam zna nas lepiej niż my sami, choć

trudno byłoby mu tę wiedzę wyrazić. Zna nasze ograniczenia, których sama

staram się nie zauważać, szczególnie jeśli je przekraczam, na przykład w porywie gniewu. Czasem wydaje mi się, że odkąd zamieszkałam z Adamem, gniew

stał się nierozdzielny z miłością i jestem zupełnie bezradna wobec tych uczuć.

Michael, trójka jego dzieci i ja staliśmy się rodziną w pochmurny październikowy dzień 1981 roku. Adam miał trzynaście lat, a ponieważ wciąż

nie wszedł w okres dojrzewania, był mały i wyglądał na dziesięciolatka.

Nigdy nie był ujmujący, ale jest wspaniałomyślny, ma dobre serce i wzbudza

miłość. Już wtedy miał ten dar, który w naszej rzeczywistości może stać się

przekleństwem - bezgraniczną, czystą ufność. Przysięgę małżeńską wziął dosłownie. Mężem i żoną ogłosił nas ten sam znajomy miejscowy sędzia,

który

później ustanowił mnie prawną matką Adama, Savy i Madeline, a jeszcze później, kiedy z bólem uświadomiliśmy sobie pewne prawdy, pomógł nam zabezpieczyć przyszłość Adama w naszych testamentach. Kiedy sędzia Daschbach wymówił magiczne słowa, Adam zwrócił się do mnie w zachwycie i

powiedział: "Mamo", a nie jak dotąd - "Louise". To przypieczętowało wszystko. Byłam wzruszona. Pozostawał równie ufny do czasu, kiedy tego nie

zniszczyłam. Minęło dziesięć miesięcy. Siedzimy przy stole. Zjadłam już, tak jak reszta dzieci. Podałam ich ulubione danie. Michaela nie ma. Adam bierze kęs, po czym odkłada widelec i siedzi nieruchomo przed talerzem. Kiedy proszę go, żeby zjadł, odpowiada:

- Ależ, mamó, ja tego nie lubię.

- Lubisz - mówię. Adam często mnie testuje pod nieobecność Michaela.

Niektóre jego prowokacje są nie do zniesienia. Musi wiedzieć, że trzymam się tych samych reguł co jego ojciec. Trzeba go w tym stale upewniać.

Adam

naprawdę lubi tę potrawę. Ugotowałam ją, ponieważ w zeszłym tygodniu wymiótł ją z talerza i powiedział, że mu smakuje, a ja byłam szczęśliwa.

- Musisz jeść, bo inaczej rano będziesz miał atak - mówię. Potwierdziło się to już parę razy. Jestem rozważna, stanowcza, a z początku nawet cierpliwa, mimo że powtarzam to już któryś raz. Normalne zachowanie Adama,

test. Jeszcze raz proszę, żeby zjadł.

- Nie lubię tego - powtarza.

- Adam - upominam go - jeśli nie zjesz, dostaniesz ataku. Wpatruje się we mnie nieruchomo. Młodsze dzieci odnoszą naczynia do zlewu. Zmywam.

Adam

siedzi. Sava i Madeline idą na górę bawić się, a on siedzi. Dotykam jego czoła sądząc, że jest chory. Czoło jest chłodne, a on wygląda na zadowolonego z siebie. Ma już czternaście lat, ale wciąż nie rozumie, że oprócz lekarstw musi dostarczać organizmowi wielu kalorii. W

przeciwnym

razie dostanie ataku. Przewody elektryczne w jego mózgu kopną prądem, a impulsy rozbiegną się we wszystkich kierunkach.

- Jedz. Ja nie żartuję.

- Już zjadłem - odpowiada. Jego talerz jest wciąż pełny. Wskazuję mu go bez słowa.

- Nie lubię tego - powtarza.

Podchodzę do kredensu. Wyjmuję chleb z masłem orzechowym. Lubi to.

Może

zadowolony go moje ustępstwo, może zje, ale kiedy stawiam przed nim talerz,

patrzy tylko na niego. Idę do pokoju. Jest już ósma, a ja jestem w połowie książki Bruce'a Chatwiha. W życiu chodzi o coś więcej... ale jestem odpowiedzialna. Muszę mu pokazać, że nie wyprowadzi mnie z równowagi.

- Zjedz kanapkę.

- Już zjadłem. - Kanapka leży nietknięta.

- To zjedz obiad.

- Nie lubię tego.

- Dobrze, więc zjedz chociaż połowę. - Nie je. Siedzi nieruchomo. W jego oczach dostrzegam wyraz triumfu i upór. Czuję przyływ frustracji i gniewu.

Wybucham.

- Jedz - krzyczę. Teatralne gesty, tupanie nogami czy podniesione głosy zazwyczaj robią na nim wrażenie, jako przejaw naszych uczuć, a nie rozsądku. Ale nie tym razem. Żadne prośby ani groźby nie zmuszą go do jedzenia, nawet dla własnego dobra. Jest chudy, taki chudy. Ma mizerną twarz, sterczące żebra, duże, kościste kolana, a łydki i uda wyglądają jak patyki. Nie chcę, żeby upadł podczas ataku. Nie chcę, żeby sobie coś zrobił.

- Proszę. Zrób to dla mnie. - Patrzy na mnie spokojnie. - Tylko dla mnie, dobrze?

- Nie lubię tego. - Wszystko zostało powiedziane. Nie ma już nic do dodania. Jeśli nie mogę sprawić, by miał zapewnione najprostsze rzeczy, nie mogę być jego matką.

- To nie jedz. I nie nazywaj mnie mamą. - Odchodzę rozdygotana.

Zostawiam

go tam. Siedzi i nie je, a następnego ranka ma atak. Upada przy akwariu, udaje mu się uchwycić stołu, trzymam go, kiedy podskakuje mu głowa i wykrzywają się usta. Michael wraca dopiero za dwa dni. Nie wiem, jak dam sobie radę, jak Michael sobie z tym radzi, ale to tylko moment paniki.

Adam

wreszcie wraca do siebie. Zmienia spodnie. Wraca do swoich zajęć. Nie łączy ataku z brakiem jedzenia. Widzę jednak, że docierają do niego moje słowa. Pamięta je. Od tego wieczoru nazywa mnie Louise, ale nie martwi mnie to. Z

początku jestem nawet zadowolona, myślę, że to minie, kiedy sobie przebaczymy i na powrót zbliżymy się do siebie. Przecież on tak wiele zapomina. Ale ze wszystkiego, co mówiłam Adamowi, ze wszystkich słów zachęty, poleceń, zapewnień, wyjaśnień i rad on zapamiętał tylko i w pełni zrozumiał, nawet gdy próbowałam temu zaprzeczyć, nawet po wielu miesiącach

"Nie nazywaj mnie mamą".

Teraz Adam mówi do mnie "mamo" albo "mamusiu", ale potrzeba było na to

wielu lat cierpliwości, ustępstw, samokontroli, wyjaśnień jego ojca i moich, i nagradzania go uściskami, kiedy sprawiał mi przyjemność, abyśmy

powrócili do relacji matka-syn. Pojechaliśmy tylko we dwójkę na wielką wyprawę na Zachód. Przez całe lato pracowaliśmy ramię przy ramieniu.

Zasadziliśmy trzydzieści pięć drzewek, cały ogród i dywan z kwiatów.

Pieliliśmy truskawki, podcinaliśmy bez i forsycje. Graliśmy w "Pomidora" i

w "Przepraszam". Mieszkaliśmy razem. Przestałam wreszcie zmuszać go do

jedzenia, udało mi się nawet podawać mu lekarstwo do ręki i odchodzić.

Uświadomiłam sobie, że nie zdołam go ochronić. Dlatego właśnie

uważam, że

potrzeba szczególnego charakteru, którego ja nie mam, by mieszkać i pracować z osobą chorą i jednocześnie upartą do granic możliwości.

Bezustanne, obraźliwe odwoływanie się do rozsądku, rozbija się w końcu o

hardość duszy. Logika, która natrafia na logikę, może prowadzić do obłądu.

W ciągu lat spędzonych z Adamem nauczyłam się więcej o własnych ograniczeniach, niż chciałabym wiedzieć. A jednak pomimo smutnych kłótni,

walki na śmierć i życie o lekarstwa i drobiazgowych poleceń, które trzeba było wydawać każdego dnia, pomimo wkładania rękawiczek na spierzchnięte

dłonie prawie dorosłego mężczyzny, który zawsze zdejmował je na przenikliwym, styczniowym wietrze przy minusowych temperaturach, rozkwitło

między nami coś niezwykłego, absolutnie prosta więź pełna miłości.

Jest

to niewątpliwie podstawa naszego związku nawet i teraz, kiedy Adam stał się

bardziej samodzielny. Ale jak mówiłam, miłość jest nierozdzielna od gniewu,

a miłość do Adama kierowała gniew gdzie indziej. Nie można bowiem kochać go

za słodycz i wewnętrzne światło, które w nim dostrzegam i nie

nienawidzić

jednocześnie faktu, że nigdy nie będzie mógł w pełni wyrazić siebie -
ponieważ jego biologiczna matka piła. Jest ofiarą Efektu Poalkoholowego
Uszkodzenia Płodu i zawsze już, przez całe życie będzie sam. Mając
dwadzieścia parę lat, i ja dużo piłam, aż w końcu zachorowałam na
zapalenie

wątroby. Poza szklaneczką wina przy szczególnych okazjach nie toleruję
już

alkoholu. Z czasów młodości pamiętam jednak pociąg do picia, fizyczne
pragnienie. Stworzyłam emocjonalny związek z pewną konfiguracją
chemikaliów

i po dziś dzień jestem świadoma atrakcyjności tego związku i trudności
zerwania go. Matce Adama nigdy się to nie udało. Umarła z powodu
zatrucia

alkoholowego i byłoby mi jej bardziej żal, gdyby nie Adam. W tej chwili
mam

tylko nadzieję, że umarła, zanim zdążyła wydać na świat jeszcze jedno
dziecko z jego problemem. Wolałabym też, żeby na czas ciąży zmuszono
ją,

skoro nie zdołała dokonać tego sama, do zachowania abstynencji. W
niektórych rezerwatach indiańskich, w czasie Reaganowskiej ery walki z
alkoholem i narkotykami i opieki nad kobietami w ciąży, sytuacja stała się
tak rozpaczliwa, że w niektórych przypadkach trzeba było wsadzać je do
więzienia na dziewięć miesięcy. Grupa ludzi, których punkt widzenia
prezentowany jest w tej książce, zajęła kontrowersyjne stanowisko,
wzywając

wręcz do przymusowej sterylizacji pewnych kobiet. Kobiety te, które

zdołały

już zniszczyć życie dzieci takich jak Adam, nadal nie zachowywały abstynencji w czasie ciąży. Stanowisko to wzbudzi pewnie oburzenie wielu

kobiet i mężczyzn, dobrych ludzi, którzy wierzą, że prawem jednostki jest iść drogą krzywdy, że picie jest kwestią wyboru i że prawo osoby do szczęścia i rozpaczy jest święte. Ja również w to wierzyłam i chociaż gorzkość i udręka życia Adama budziły moje wątpliwości, przekonałam się, że

niektóre z moich poglądów były filisterskie, naiwne. W końcu jaka jest miara odpowiedzialności? Gdzie dokładnie przebiega granica między krzywdzeniem siebie a krzywdzeniem dziecka? Karygodne zaniedbanie równa się

świadomemu czynieniu zła, jak głosi prawo. Gdzie przebiega granica?

Ludzie, którzy pragną zmusić kobiety w ciąży do abstynencji, pochodzą ze

społeczności, w których problem występuje w koszmarnych proporcjach.

Wszyscy zgadzają się co do tego, że uwięzienie tych kobiet nie jest rozwiązaniem, że trzeba je leczyć. Potrzeba jednak na to wielu pokoleń.

Kobietom z Zespołem Poalkoholowym czy Efektem Poalkoholowym trudno jest

radzić cokolwiek, ponieważ jednym z najbardziej niszczących aspektów

ZPUP

jest niezdolność do myślenia przyczynowo-skutkowego albo do przewidywania.

Poza tym wiele programów leczenia uzależnień alkoholowych czy

narkotykowych
pozostaje zamkniętych dla kobiet w ciąży, a tym samym dla nie
narodzonych
dzieci, najważniejszych pacjentów. Jest oczywiste, że wojny z
narkotykami
nie wygra się przy pomocy broni, lecz połączonych wysiłków
współczującego
społeczeństwa. Alkoholowe programy rehabilitacyjne powinny być równie
dostępne jak sklepy monopolowe w niektórych regionach i finansowane z
"podatków" nakładanych na te sklepy.

Ponieważ mamy rząd demokratyczny, sami ponosimy odpowiedzialność
za tak
szeroki zasięg występowania problemu. Wciąż jednak mamy obowiązek
kontrolowania pewnych ludzkich działań. Jeśli kobieta zdecyduje się
urodzić
dziecko, dać życie kolejnej ludzkiej istocie, to czy ma również prawo na to
życie nastawać? Czyż obowiązkiem ojca nie jest także wspierać tę kobietę
i
zapewnić ciążę w abstynencji? Z powodu picia swej matki, Adam jest
istotą
pokrzywdzoną. Czy ona miała prawo pozbawić go ciekawości świata,
odebrać mu
radość z dobrych ocen z matematyki, czytania książek i podziwiania
złożoności i cudów natury? Czy ona i jego nieobecny ojciec mieli prawo
uczynić z niego odmieńca pośród innych dzieci, pozbawić go przyjaciół,
sprawić, że seksualność stanie się bardziej problemem niż przyjemnością,

rozszczepić jego umysł i spowodować gwałtowne ataki?

Wydaje mi się, że nikt nie ma prawa wyrządzać takich krzywd, nawet z głębi ignorancji. Religia rzymsko-katolicka określa dwa rodzaje ignorancji:

do pokonania i nie do pokonania. Ignorancja nie do pokonania to stan trwały, w którym jednostka pozostaje zamknięta na pewne formy wiedzy. Ignorancja możliwa do pokonania wypływa ze złej woli. Jest to świadome odchodzenie od prawdy. W każdym wypadku uważam, że matka Adama nie miała prawa krzywdzić swojego i naszego syna.

Mając dzisiejszą wiedzę, jestem przekonana, że w czasie kiedy dużo piłam, wolałabym spędzić dziewięć miesięcy w więzieniu i urodzić normalne dziecko niż ludzką istotę, która przez resztę swego życia pozostanie w niewoli tego, co zrobiłam. Teraz z pewnością poszłabym do więzienia na dziewięć miesięcy, aby Adam mógł być zdrowy. Tym, którzy nadal są oburzeni takim stanowiskiem, pewnym słuszności swego zdania, odpowiadam to samo, co tym, którzy nie pozwalają biednej kobiecie na bezpieczną aborcję, a sami nie poszli do domów dziecka i nie zabrali dzieci niczyich, z problemami, nie chcianych.

Jeśli się ze mną nie zgadzacie, proszę, usiądźcie kiedyś obok dzieci upośledzonych przez alkohol, kiedy próbują nauczyć się dodawać. Moja matka,

Rita Erdrich, która pracuje z upośledzonymi dziećmi w indiańskiej szkole w

Wahpeton, robi to codziennie. Otrzyjcie im łzy rozczarowania, walczycie o nie w społeczeństwie, którego nie rozumieją. Powtarzajcie im najprostsze życiowe wiadomości milion, dwa miliony, trzy miliony razy.

Przytrzymujcie

im głowy podczas ataków i ocierajcie krew z przygryzionych warg.

Zmuszajcie

do przyjmowania leków. Zapewnijcie bezpieczeństwo upośledzonym tego świata.

Kochajcie ich. Patrzcie, jak dorastają, by pogrążyć się w łatwym bagnie alkoholizmu. Cierpcie za przestępstwa, których nie rozumieją. Próbuje zrozumieć brak skruchy. Jako podatnicy, już płacicie za ich odsiadki w więzieniach, rachunki za drogie leczenie i naukę. Sami stańcie się ofiarami, walcie głową o mur z cegieł i bezustannie przegrywajcie. Potem wróćcie do matki i powtórzcie, patrząc jej prosto w oczy: "Miałaś do tego prawo".

Kiedy ogarnia mnie wściekłość, rzucam się w myślach na matkę Adama, ponieważ to jej ręka uniosła butelkę. Kiedy opada mnie smutek, życzę jej bez końca... ale nie mogę przecież życzyć jej nic gorszego od piekła jej życia i śmierci. Nie wiem, jakby się zachowała na jej widok. Może obie schyliłybyśmy głowy przed tą potężną lekcją. To chyba niemożliwe, żeby obwiniać kogokolwiek za tak straszną krzywdę. Mimo że nasz syn był na wpół

żywy z głodu, przywiązany do prętów łóżeczka i sam, kiedy znalazła go opieka społeczna, nadal myślę, że "winę ponosi społeczeństwo". Proszona

o

publiczną wypowiedź w kwestii Rdzennych Amerykanów, bronię ich.

Mówię, że

istnieją poważne problemy. Że potrzeba dużo czasu, by uzdrowić naród wyniszczony falą podbojów i chorób. Potrzeba długiego czasu, by ludzie uzdrowili samych siebie. Czasem wydaje się to bez szans. A jednak zdarza się w niektórych społecznościach, na przykład w Alkali Lake Band w Kanadzie, że następuje powrót do dawnej jedności, człowieczeństwa, rdzennej kultury i odrzucenie alkoholu. To twardzi ludzie i dają nam cenną lekcję: za wszelką cenę, musimy mieć kontrolę nad własnym życiem.

A jednak miłość do Adama sprawia, że uginamy się przed przeznaczeniem.

Niewiele jego problemów można rozwiązać lub zmienić. Tak więc

Michael i ja

koncentrujemy się na tym, co możemy kontrolować, na naszych reakcjach. Jeśli uda nam się odnaleźć wdzięk, radość i szczęście, pomagając mu w konfrontacji i pokonywaniu trudności życia... To wszystko, bo Adam nie może

ofiarować nam nic więcej. Wiem, że wydając "Zerwaną więź", mój mąż ma

nadzieję, że ta straszna i możliwa do uniknięcia tragedia nie zaistnieje

już w przyszłości. Odczuwam to samo co on. Chciałabym, żeby ZPUP i EPUP

zostały wykorzenione dzięki zrozumieniu, edukacji i nowemu podejściu do

leczenia. Z tą nadzieją powstała ta książka. A jeśli ta nadzieja okaże się płonna, będę walczyć w każdy dostępny sposób. Michael i ja mamy takie zdjęcie naszego syna. Na tym zdjęciu, zrobionym na ziemi mego dziadka w Żółwich Górach Dakoty Północnej, z jakiegoś powodu nie widać defektu w sylwetce ani na twarzy Adama. Mimo że biegły lekarz rozpoznałby u niego zespół poalkoholowego uszkodzenia płodu, wyraz jego twarzy jest inteligentny i niezmacony. Uśmiecha się, ma błyszczące oczy, ciemne i lśniące brwi. Nie widać, że jest upośledzony. Patrząc na to zdjęcie i myśląc, że to jest inny Adam. Taki byłby nasz syn, gdyby nie alkohol. Czasami oboje z Michaeliem wyobrażamy sobie, jak go witamy, jak zaglądamy mu w oczy, a on długo patrzy na nas i nie tylko my rozumiemy wtedy naszego syna, lecz i on nas. Wyrósł na naszego towarzysza, partnera, a nie na kogoś, kto potrzebuje współczucia, opieki czy specjalnego traktowania. Niedaleko starego domku w rezerwacie, gdzie urodziła się moja matka, pośród krętych pól pszenicy i drzew na prastarej ziemi, stoi Adam. Pełen oczekiwania, życia, człowiek, jakim miał się stać. Świat otwiera się przed nim - tyle drzwi, tyle światła. Na tym zdjęciu gotów jest wyruszyć w życie.

Louise Erdrich

Rozdział pierwszy

Usiadłem w hallu lotniska Pierre i czekałem. Dworzec przypominał ogromną, jasno oświetloną wystawę sklepową, na której za szklaną szybą prezentuje się biżuterię albo kosmetyki - tyle tylko, że ten świat został odizolowany, prostokątne pudło na płaskiej, wietrznej równinie centralnej Południowej Dakoty. Powiew powietrza przechylił skrzydła małego pasażerskiego samolotu tuż przed naszym lądowaniem. Wywołało to zbiorowy jęk przerażenia, a zaraz potem pełen zażenowania śmiech ocalonych pasażerów.

Na ziemi przyjrzałem się im bliżej: trzech urzędników w niemnących garniturach, którzy wybrali się do stolicy stanu w interesach, dwóch ranczerów z wizytą w mieście, wystrojonych w srebrno-turkusowe kostiumy dużych rozmiarów, ich szeroka pierś odcinała się od chudych nóg w kowbojskich butach; przejęta matka próbująca nakłonić małe dziecko z zatkanymi od ciśnienia uszami, by ziewnęło lub przełknęło ślinę; teściowa w odwiedzinach, witana głośno przez kobietę w bermudach, z kręconymi

włosami.

Poczułem się szczęśliwy i nie na miejscu. Obcy, którego celu nikt tu nawet nie podejrzewał: w ciągu godziny miałem stać się samotnym ojcem.

Był 1971 rok, miałem dwadzieścia sześć lat, byłem niedoszłym hippisem, kandydatem na doktora antropologii w Yale i wykładowcą pierwszego roku w

małym eksperymentalnym college'u w Nowej Anglii. Owo pochmurne popołudnie w

Pierre było punktem kulminacyjnym mojej podróży rozpoczętej przed dziewięcioma miesiącami, kiedy to podczas badań naukowych na Alasce uświadomiłem sobie nagle, że chcę mieć dziecko, chcę zostać ojcem.

Pamiętam dokładnie moment, w którym to zrozumiałem. Mieszkałem wtedy w

Tyonek, pośród mówiącej językiem athapaskan społeczności indiańskiej na

zachodnim wybrzeżu Zatoki Cooka. Zbierałem informacje na temat wpływu

modernizacji i zysków z ropy naftowej na życie tej oddalonej od świata osady rybackiej. Większość czasu trawiłem na nauce tutejszego języka, spokrewnionego z językiem Indian Nawaho i Apaczów, choć wyraźnie przystosowanego do podarktycznego otoczenia. Największą trudnością dla przybysza było mówienie i myślenie kolektywne, w liczbie mnogiej.

Słowo

oznaczające ludzi, "dene", używane było w znaczeniu "my" i zastępowało wszystkie zaimki osobowe. W ten sposób każde działanie stawało się - przynajmniej w założeniu - doświadczeniem grupowym.

Była to moja druga jesień w Tyonek. Ranek spędziłem na rozmowie ze starszą kobietą, panią Nickefor Alexan, uznaną specjalistką od tradycyjnych leków ziołowych, a także form zalotów. Podczas tych rozmów piłem zwykle za dużo herbaty i czułem kwaśny posmak w suchych ustach.

Po południu wróciłem do domu, żeby uporządkować notatki, ale przerwano mi pracę. Większość dorosłych pracowała w wędzarni przy oporządzaniu sierpniowych połowów, a dzieci, które były latem moimi częstymi gośćmi, poszły już do szkoły. W świecie "my" byłem częścią "ja", bez zobowiązań i związków rodzinnych. Od czasu do czasu popatrywałem w okno, na ciemniejące niebo. Dwudziestoczworogodzinny krąg dnia i nocy, na którym opiera się miara czasu zachodniego, na północy rozszerza się do dwunastu miesięcy. W lecie jest dość światła na połowy o każdej godzinie, łodzie wypływają więc w morze w porach przepływu ławic łososi. Zimą panuje tu całkowita ciemność, w dodatku temperatura spada czasem poniżej 50 stopni. Krótki okres jesienny jest więc pełen zmęczenia i melancholii, to czas zbiorów plonów lata i przygotowań do nadejścia srogiej zimy. Czas kontemplacji i spisu inwentarza, a nie ma na to lepszej pory niż ta, kiedy fala zlewa się ze

wschodem i zachodem zawieszono nisko słońca. W najpiękniejsze dni zazwyczaj gwałtowne wody tworzą nieruchomą lustrzaną tafłę, odbijającą czerwone i fioletowe błyski chmur. W doświadczaniu tej chwili, dla tutejszych plemion umiejscowionej poza czasem, jedyną możliwą reakcją jest

całkowite poddanie. Wstałem od stołu, który jednocześnie służył mi za biurko, i stanąłem w drzwiach. Mój domek usadowił się na nadmorskiej skarpie, tak wysoko, że skąpany był w cudownym świetle, w kręgu energii gwiazd i morza. Barwy nade mną i pod stopami zlewały się ze sobą, przelewały, wypełniając siebie i mnie. Nie miałem żadnych wizji, mój umysł

był całkowicie czysty, gotowy na przyjęcie nowego zapisu. Na ekranie przeczytałem po prostu, że chcę mieć dziecko. Przekaz ten był tak pewny i jasny, że nie podawałem go wątpliwości. Zamknąłem drzwi, odłożyłem pracę i

napisałem cztery listy do agencji opieki społecznej. Chciałem wiedzieć, czy

samotny mężczyzna może adoptować dziecko, a jeśli tak, to kiedy i na jakich

warunkach.

W mojej rodzinie od pokoleń praktykowano samotne wychowywanie dzieci. Moi

dziadowie i ojciec umarli w młodym wieku, pozostawiając wdowy z małymi

dziećmi, którym pomagała cała rodzina. Mając liczne przykłady dobrych matek, ciotek i babć, nie widziałem powodu, by zarzucić tradycję.

Wyobrażałem sobie mgliście, że pewnego dnia ożenię się, ale na razie nic na to nie wskazywało. Dla niektórych kobiet, zwłaszcza w latach sześćdziesiątych, dzieci zjawiały się przed mężem. Dlaczego ja nie miałbym mieć najpierw dziecka, a potem żony?

Jedyna odpowiedź na moje listy przyszła z Katolickiej Opieki Społecznej na Alasce. Umówiłem się z nimi na spotkanie w czasie swoich następnych zakupów w Anchorage. Parę tygodni później zadzwoniłem do drzwi niewielkiego budynku z cegieł. Nie czułem się wcale bliżej celu, bałem się natomiast, że zrobię złe wrażenie. Ubrałem się starannie w ciemny garnitur i po raz pierwszy od lat włożyłem krawat. W recepcji zachowywałem się tak, jakbym był obserwowany przez jednostronnie lustrzane szyby: z katolickiego czasopisma leżącego na stoliku przeczytałem z mądrą miną trzy artykuły, z których nie zapamiętałem ani słowa. Nie przystałem na drugą filiżankę kawy, żeby mój niewidzialny obserwator nie pomyślał, że mam nałogi.

Założyłem nogę na nogę, a zaraz potem je wyprostowałem, żeby wydać się bardziej męski, i nawet nie pomyślałem o zapaleniu papierosa, na którego miałem wielką ochotę.

W końcu wywołano moje nazwisko i wszedłem do biura wyłożonego niebieskim dywanem. Zakonnica, która mnie powitała, była jeszcze bardziej

skrepowana

ode mnie. Spuszczając wzrok za okularami bez oprawek, zaproponowała mi

jeszcze kawy, za którą stanowczo podziękowałem, i wreszcie utkwiała oczy w

pojedynczej kartce na bibularzu - kartce, w której rozpoznałem swój list.

- Pańska prośba jest dość niezwykła, panie Dorris - powiedziała siostra Clare. - Czy ma ona coś wspólnego z pańskim zainteresowaniem antropologią?

- Było to jedyne pytanie, na które nie byłem przygotowany, więc spojrzałem

na nią, czekając na jakieś wyjaśnienie. Wyglądała na zakłopotaną.

- Przyszło nam do głowy, że przeprowadza pan naukowy eksperyment.

Próbowałem się tłumaczyć, ale nie było to łatwe. Dużo mniej czasu poświęciłem analizie swoich planów niż opracowaniu strategii ich realizacji, zapewniłem ją jednak o szczerości zamiarów. Nie było to żadne szaleństwo naukowe. Nie zamierzałem uderzać w dzwonek i zapisywać wyników

każdego karmienia. Byłem godnym zaufania, porządnym obywatelem pomimo

przydługich włosów i mniej godnej pensji. Miałem dobre widoki na przyszłość

i żadnych tajemnic. I, ach tak, byłem Indianinem i jeśli to możliwe, wolałbym indiańskie dziecko. Zadawała pytania na temat mego pochodzenia, a

ja odpowiadałem wyczerpująco. Tak, byłem jedynakiem, ale nie szukam

małego

braciszka czy siostrzyczki, tylko syna albo córki. Nigdy nie byłem zaręczony, ale z pewnością lubiłem towarzystwo kobiet, choć nie powinna myśleć, że uganiam się za nimi. Miałem różne problemy, podobnie jak wszyscy, ale nie szukam dziecka po to, by wypełnić patologiczną pustkę w swoim życiu. Byłem pod każdym względem zdolny do dojrzałych związków -

proszę spytać kogokolwiek z listy referencji, którą na wszelki wypadek przygotowałem i przywiozłem - po prostu nie było obecnie nikogo ważnego w

moim życiu. Zapisała wszystkie dane na żółtym papierze firmowym, wypełniając margines szyfrem gwiazdek i ptaszków, które oglądane do góry

nożami wydawały się tajemnicze i nie do odczytania. Po godzinie oznajmiła,

że przedyskutują tę sprawę na Radzie. Następnie, jeśli rozpatrzą ją przychylnie, ich pracownik odwiedzi mnie w domu.

- Proszę sobie nie robić nadziei - ostrzegła, kiedy zbierałem się do wyjścia. Słyszała o samotnych kobietach oczekujących na adopcję, ale nigdy

o mężczyźnie. Nie była pewna reakcji swoich współpracowników. Musiała zauważyć moje rozczarowanie, bo odprowadzając mnie do drzwi, powiedziała

łagodnie:

- Jestem po pańskiej stronie.

W ciągu następnych tygodni nie powiadamiałem o swoich zamiarach

rodziny
ani ludzi z wioski. Było tak, jakbym oczekiwał na wynik testów
ciążowych i
bał się zapeszyć przez przedwczesne świętowanie. Myślałem za to o byciu
ojcem. Wyobrażałem sobie obrazki z nadchodzących lat; moje dziecko
uczy się
chodzić, po raz pierwszy jedzie na rowerze, zdmuchuje świece
urodzinowe,
idzie do szkoły, zaczyna odkrywać świat, wyrasta na przyjaciela, bez
względu na to, czy jest synem, czy córką. Zamówiłem pocztą podręczniki
dla
rodziców o nauce korzystania z toalety, ewentualnych problemach
samotnego
rodzica czy adoptowanych dzieci. Kiedy wreszcie przyszedł list z
Katolickiej Opieki Społecznej, informujący o tym, że przeszedłem do
następnego etapu, byłem już tak wciągnięty w arkana ojcostwa, że
przyjąłem
go bardziej z ulgą niż zaskoczeniem. Przygotowując się do wizytacji w
moim
domu, wysprzątałem i uporządkowałem jedyny pokój. Byłem
zaintrygowany i
onieśmielony perspektywą bardziej wnikliwych pytań na temat moich
osobistych motywacji i dążeń. Szczerze mówiąc, sam byłem ciekaw, jak na
nie
odpowiem. Pracownica socjalna, Janet Lindeman, przyleciała samolotem
pocztowym pewnego rzeńskiego, wiosennego poranka. Zeszliśmy z pasa

startowego na plażę i czekaliśmy, aż zostaną wybrane listy. Była wysoka, ciemnowłosą kobietą ubraną w beżowy kostium i brązowe pantofle na niskich

obcasach. Wyraźnie odróżniała się od lokalnej ludności, ale wydawała się nie zauważać zaciekawionych spojrzeń mijających nas ludzi. Była poważna,

trochę sceptyczna, i niezwykle profesjonalna. Po paru minutach rozmowy wyjęła notes i pióro kulkowe i bezceremonialnie zaczęła zapisywać moje wypowiedzi. Znałem zasady przeprowadzania tego typu wywiadów, toteż szybko

wyczułem, do czego zmierza: skoro chcę mieć dzieci, to dlaczego nie ożenię

się i nie zostanę naturalnym ojcem? Czy skrywam wrogość w stosunku do kobiet, małżeństwa lub trwałych związków? Czy dziecko ma być antidotum na

moje nieszczęśliwe życie? - Proszę opowiedzieć mi o dwóch małżeństwach,

które uważa pan za szczęśliwe - wycelowwała we mnie pióro.

Zastanowiłem się chwilę i z zachwytem wspomniałem dwie pary przyjaciół.

Barbarę i Marty'ego poznałem w Paryżu, kiedy pracowałem tam jako student

przed kilku laty. Obydwoje byli amerykańskimi studentami, bystrymi, bogatymi, prowadzącymi cygańskie życie. Urzekli mnie, podając kiedyś sałatkę z trzech rodzajów fasoli na zimno, co wydało mi się szczytem wyrafinowania. Inna para, którą znałem słabo, to Shelly i Frederick,

antropolodzy z uczelni, parę lat starsi ode mnie. Prowadzili razem badania w Nowej Gwinei i od tego czasu szeptali między sobą w egzotycznym języku, którego się tam nauczyli. Ich podsłuchane rozmowy brzmiały romantycznie i niezwykle intymnie.

Wzruszyłem się, opisując te pary Janet. Wydawali się sobie przeznaczeni, tacy niedostępni. Pomimo to nie zamierzałem zadowolić się niczym gorszym, a skoro teraz chciałem mieć dziecko, adopcja wydawała się jedynym logicznym rozwiązaniem. A dlaczego, chciała wiedzieć Janet, chciałem mieć dziecko? Dobre pytanie, choć trudno na nie odpowiedzieć, nie popadając w patos lub sentymentalizm. Słowa zdolne określić moje uczucia nie istniały w standardowym męskim słowniku.

Pragnienie posiadania dziecka było dla mnie tak oczywiste i pierwotne jak instynkt, i jak on nieodparte i nie do pojęcia. Było to czyste pragnienie, nie żaden tam sposób na dowartościowanie się czy ukojenie osobistych rozczarowań. Kiedy myślałem o wcześniejszych wydarzeniach, uderzyło mnie, że wszystkie prowadziły mnie właśnie do tego punktu, ale zatrzymałem to dla siebie. Obawiałem się, że Janet nie uwierzy w ten koncept. Byłem dumny, że

jestem taki praktyczny i trzeźwo myślący. W moich uczuciach nie było niczego dziwnego, moim zdaniem były one stare jak świat, ale nawet nonszalancja może wydać się niestała.

Staralem się nie patrzeć na Janet jak na przeszkodę, nie traktowałem jej jak wroga, który zostawi mnie martwego w wodzie. Pomimo swoich notesów, piór i akt, pomimo władzy nad moją przyszłością, musiała czuć się niepewnie pośród obrazów i dźwięków osady o wiele bardziej odległej od Anchorage niż godzinny lot samolotem. Podziwiałem jej brawurę, odwagę przyznania, że jest w mniejszości, i zadziwiłem ją, mówiąc jej o tym. Nasze spojrzenia spotkały się na krótką chwilę i umknęły. Wtedy jednak po raz pierwszy dostrzegłem, że nie jestem dla niej osobliwym przypadkiem, lecz poważnym klientem z prostym, jasnym życzeniem. Zacząłem i ja zadawać pytania i otrzymywałem równie wyczerpujące odpowiedzi. Tak się złożyło, że oboje z mężem też planowali adopcję i omawiali te same warunki. Rozmawialiśmy jak dwoje równych sobie ludzi, którzy rozumieją i szanują się nawzajem i dobrze sobie życzą. Rozluźniliśmy się, dodając sobie nawzajem otuchy, a kiedy poszliśmy na pocztę sprawdzić listy, byliśmy już w dobrej komitywie. Pozostało

tylko

dopracować szczegóły. Omawialiśmy plan jej raportu, jak najlepiej mnie przedstawić, najpełniej opisać moją sprawę. Tak szybko staliśmy się przyjaciółmi, że kiedy otworzyłem skrzynkę i znalazłem tam list od Shelly, nie zawahałem się przeczytać jej go na głos.

- Drogi Michaelu - zacząłem. - Frederick i ja postanowiliśmy się rozejść.

Raport, który Janet przedstawiła siostrze Clare, najwyraźniej podkreślał moje walory jako przyszłego ojca, bardziej niż intuicję w kwestii udanych małżeństw. Zanim z dwójką młodszych kolegów przeniosłem się o dziewięć

tysięcy kilometrów do nowego college'u w Nowej Anglii, w którym miałem

wykładać, poinformowano mnie, że moja kandydatura została przyjęta przez

Opiekę Społeczną. Moją sprawę przekazano ARENIE, państwowej organizacji do

spraw adopcji, która zajmowała się dobieraniem przyszłych rodziców i dzieci. Moje dane wpłynęły do biura Katolickiej Opieki Społecznej w Littleton w New Hampshire, i stamtąd miałem otrzymywać wszelkie wiadomości.

Podskakując na wyboistej, ciągnącej się setki kilometrów autostradzie Alaska-Kanada, marzyłem o przyszłej roli ojca. Wszystko, co dotyczyło mojego dziecka, było niewiadome, z wyjątkiem jego istnienia. Pisałem w myślach różne scenariusze naszego życia, i za każdym razem było ono pogodne

i wypełnione przyjaźnią. Wykazywałem się cierpliwością, byłem kolegą i

ważnym przewodnikiem. Nasz związek był otwarty i szczery, bez żadnych tabu czy pominiętych problemów.

Droga biegła wśród malowniczej pustki, wokół rozlewały się błotniste jeziora u stóp gór przykrytych białą czapą śniegu. Czasem, kiedy, moi towarzysze spali, jechałem dodatkowo sto kilometrów, nie budząc zmiennika.

Słyszałem tylko szum silnika i swój własny szept, kiedy próbowałem dobrać

imię do mego nazwiska. Właśnie na takim odcinku, w pobliżu jeziora Kluane,

dokonałem wreszcie wyboru: jeśli to będzie chłopiec, będzie miał na imię Adam, a jeśli dziewczynka - Hannah. Pewnego dnia, obiecałem sobie, przyjedziemy tu we dwójkę.

Podróż trwała ponad tydzień. W Dawson Creek, w Brytyjskiej Kolumbii, droga zmieniła się w asfaltową i wkrótce krajobraz zajęły równiny Kanady. W

radiu pojawiły się audycje w języku rosyjskim, dziedzictwo imigrantów ukraińskich z ostatnich lat, a ze wszystkich stron otaczały nas połyskujące pola pszenicy. Mogłem sobie myśleć do woli, miałem mnóstwo czasu i przestrzeni. Nocami, w motelach, przypominałem sobie wszystkie pomysły

minionego dnia, łącznie z listą potrzebnych książek, zabawek i mebli. Pod wieloma względami była to moja pierwsza podróż w charakterze ojca. Z pewnością też najmniej skomplikowana.

Po przyjeździe do New Hampshire z radością oddałem się

poszukiwaniom domu

dla dwóch osób, ale moje wymagania znacznie utrudniały sprawę. Dom musiał

mieć podwórko do zabaw dla dziecka, więcej niż jedną sypialnię i warunki do

trzymania zwierząt. Nareszcie po tygodniu znalazłem mieszkanie w suterenie

wielkiego domu z czasów kolonialnych w Sugar Hill, dwanaście kilometrów od

college'u Franconia. Wejście znajdowało się od tyłu, a wszystkie okna wychodziły na północny wschód, na dużą łąkę u stóp łańcucha gór. Zaraz po

przeprowadzce pokryłem beżowe ściany mniejszej sypialni tapetą w czerwone i

niebieskie koniki na białych na żółtym tle. Nie było już odwrotu.

W moich dwóch początkujących grupach antropologów, studenci obdarzeni

samoświadomością nosili wojskowe drelichy, długie włosy i przedkładali rozmowy o "uczuciach" nad te o teoriach etnograficznych. Często

przypominano mi, że college Franconia ma charakter "społeczności". Nie istnieją tu wydziały, a jedyną różnicą między uczniami-wykładowcami i

uczniemi-studentami są różne stopnie naukowe i wiek. Uczenie się było procesem "uczuciowym", niemożliwym do sklasyfikowania. Najgorszym

przestępstwem było "myślenie głową", to znaczy kierowanie się bardziej umysłem niż emocjami. Kiedy na porannych zajęciach ogłosiłem

obowiązkowe

prace semestralne, studenci wzdrygnęli się, jakbym powiedział, że to Nixon jest najlepszy.

Ulokowana w dawnym hotelu Franconia była malownicza, choć nieco nieudolnie urządzona. Wszystkie biura wydziałów i sale wykładowe miały zlewozmywaki, za to zamiast telefonów szczyły się brzęczącymi intercomami, przez które główne biuro, zwane także dziekanatem, mogło nadawać wezwania do pobudki albo przekazywać wiadomości. We wspomnieniach słyszę niemal ten przeszywający dźwięk, który tamtego wrzeźniowego popołudnia wyznaczył nową granicę w moim życiu.

Siódmym zmysłem wyczułem, co znaczył ten sygnał, i rzuciłem się po balowych schodach do częściowo zasłoniętej budki telefonicznej w budynku.

Denis Diagle, pracownik Katolickiej Opieki Społecznej w New Hampshire,

powiedział, że ARENA w Dakocie Południowej podała informację, iż mogą mieć

dla mnie trzyletniego chłopca - przynajmniej dali jakiś znak. Czy mógłbym

wpaść do jego biura przedyskutować sprawę? W jego głosie wyczułem lekkie

rozdrażnienie. Czyżby nie odpowiadało mu to, że jestem samotny, a może z

dzieckiem był jakiś problem, o którym nie wspomniał?

Postanowiłem się tym jednak nie przejmować. Zostanę ojcem i nic mnie

przed tym nie powstrzyma.

Po dwóch godzinach siedzący za biurkiem Denis wyjaśnił, że mały chłopiec

- mały chłopiec - został właśnie umieszczony w domu zastępczym niedaleko

Pierre. Nie miał najlepszego startu. Urodził się prawie siedem tygodni za wcześnie, był zaniedbywany przez matkę alkoholicką, cierpiał na niedożywienie. Jego starsze rodzeństwo przemieszkiwało tymczasowo w domach zastępczych.

Adam - pozostałem wierny imieniu obranemu dla mojego pierwszego syna -

został odebrany matce po tym, jak nabawił się zapalenia płuc i od tego czasu spędził dwa lata w szpitalach i u opiekunów wyznaczonych mu przez

państwo. Chłopiec był mały jak na swój wiek, nie umiał korzystać z toalety

i znał zaledwie kilka słów. Według lekarzy był umysłowo opóźniony. Czy wciąż byłem zainteresowany?

Denis miał płowe włosy i twarz, która chciała się uśmiechnąć, ale powstrzymywały ją przed tym poważne informacje, które miał do przekazania.

Patrzył miło, neutralnie. Nie powiedział, że rozważa moją kandydaturę dla tego chłopca, bo trudno byłoby im znaleźć parę, której nie odstraszyłyby taki przypadek. Nie powiedział, że to być może moja jedyna szansa, jedna na

milion wypatrzona przez opiekuna społecznego ze środkowego Zachodu. -
Ma

pan jego zdjęcie? - spytałem.

- Tak. - Denis zawahał się. - Czasem lepiej nie oglądać zdjęć, dopóki nie rozważy się wszystkich za i przeciw. Fotografia sprawia, że dziecko staje się realne, utrudnia decyzję, jeśli zechce pan zrezygnować.

- Chcę go wziąć.

Był pełen wątpliwości.

- Proszę posłuchać - powiedziałem. - Kto wie, czy ta diagnoza jest prawidłowa? Jak to dziecko mogło się dotąd rozwijać? Wierzę w pozytywny

wpływ środowiska. Przy mnie nadrobi zaległości. Czekam już tak długo.

Nie

zrezygnuję z niego. Denis westchnął, zajrzał do biurka, potem skierował wzrok na mnie, ale w końcu uśmiechnął się i podał mi zdjęcie z polaroida.

Zobaczyłem małego chłopca, boleśnie wychudłego, z ciemną czupryną ostrzyżoną na pazia, w za długiej bluzie i bez butów. Opierał się o maskę samochodu wyższego niż on sam, z wyrazem twarzy, który wydawał się wymuszony i smutny. Rozpoznałbym go na końcu świata: moje marzenie spełniło się.

Tydzień później czekałem na lotnisku w Pierre na Ritę Duffy z Biura Opieki Społecznej Dakoty Południowej. Postawiłem na ziemi torbę, a w rękę

trzymałem psa maskotkę, dzięki któremu panna Duffy miała mnie rozpoznać i

który miał być pierwszym upominkiem dla mego syna "Adama". Byłem wykończony podróżą i oczekiwaniem.

- Pan Dorris? - Rita była wysoka, jasnowłosa i przyjacielska. Zanim zdążyłem zaprotestować, chwyciła moją torbę i zaniósła do swego samochodu,

podczas gdy ja próbowałem dotrzymać jej kroku. - Przepraszam za spóźnienie

- powiedziała - ale wstąpiłam do biura, żeby sprawdzić, czy sytuacja chłopca jest uregulowana. Czeka na pana.

- Już? Jedziemy tam od razu? - Po całych miesiącach ciszy, dniu spędzonym

w podróży, wypadki zaczęły się toczyć strasznie szybko. Rita przystanęła z kluczykami wycelowanymi w zamek drzwi od strony kierowcy. - Chyba że pan

nie chce - powiedziała. - Sądziłam, że jest pan ciekawy, więc pojechałam po

niego do domu zastępczego. Chciałby pan najpierw pojechać do motelu?

- Wykluczone - odparłem. - To po prostu wielka chwila. Sądzę, że nigdy nie będę na nią przygotowany.

- Spokojnie. - Rita wsunęła się za kierownicę i pochyliła się, żeby otworzyć, mi drzwi. Kiedy wsiadłem, spojrzała na mnie z uśmiechem. -

Będzie

wspaniale. Pokazaliśmy mu pańskie zdjęcie i powiedzieliśmy, że przyjedzie

pan dziś popołudniu. Jest naprawdę przejęty.

Nie pamiętam wiele z drogi do Pierre, choć Rita pokazywała mi ciekawe widoki. Czuję wilgoć pól ograbionych ze zbóż, na których zamarzały strupy

stojącej wody. Krajobraz w oczekiwaniu na okrycie śniegu. Okrążyliśmy stolicę stanu, minęliśmy maleńkie centrum handlowe w śródmieściu, graniczące z jednej strony z parkingiem dla używanych samochodów, i wreszcie zatrzymaliśmy się przed niskim, betonowym budynkiem, na miejscu

wyznaczonym do parkowania. Weszliśmy do środka. Siedziba sztabu Rity składała się z oddzielonego szybą kąta ozdobionego wieloma nalepkami z krzykliwymi nakazami i sloganami w stylu Dziękujemy za niepalenie, samcom

wstęp wzbroniony (z rysunkiem sfrustrowanego jelenia wpatrzonego w ślepy

mur), to przyjdzie pocztą I pewnego dnia będę zorganizowana.

- Zobaczę, co z nim. - Kazała mi usiąść na składanym krześle i oddaliła się korytarzem.

Obejrzałem sobie wyludnione biuro - była pora lunchu - a potem zerknąłem

na biurko Rity. Leżała na nim teczka z moim nazwiskiem wypisanym na fiszce.

Miałem wielką ochotę zajrzeć do środka. Co po tych wszystkich pytaniach i

odpowiedziach napisano na mój temat? Co miała do powiedzenia Janet Lindeman

i inni, z którymi rozmawiałem i prosiłem o listy polecające na temat mego

pragnienia i możliwości bycia ojcem? Musiało to być pozytywne i popierające, inaczej nie byłoby mnie tutaj, ale w ciągu tych ostatnich kilku sekund, które przeżywałem jako samotny mężczyzna, potrzebowałem emocjonalnego wsparcia. Nie widziałem nigdzie Rity, zbliżyłem się więc i z udaną obojętnością uniosłem okładkę. To, co tam zobaczyłem, nie było żadnym podsumowaniem, streszczeniem mego życiorysu, nie było moją przeszłości, lecz przyszłością: na pierwszej stronie znajdowała się fotografia Adama, taka sama, jaką nosiłem w portfelu od miesiąca.

- Jesteśmy gotowi - obwieściła Rita, klepiąc mnie po plecach i odsuwając się o krok. Nacisnąłem klamkę i drzwi otworzyły się. Podniosłem wzrok, nakazując sobie nie oczekiwać zbyt wiele, przygotowany na początkowe odrzucenie, na rozczarowanie. W pokoju leżał zielony, puszysty dywan zarzucony zabawkami, samochodzikami i klockami. Nachylał się nad nimi mały chłopiec opatulony od stóp do głów w czerwony kombinezon zamykany na zamek błyskawiczny. Nie od razu zdał sobie sprawę z mojej obecności i bawił się dalej, ale po chwili wychwycił obcy dźwięk. Podniósł oczy i nasze spojrzenia spotkały się. Miał regularną twarz z głębokimi, wyrazistymi, wąskimi oczami, patrzącymi jasno spod gęstych prostych rzęs i brwi. Nad kołnierzem kombinezonu sterczały czarne włosy. Miał szerokie oceniające usta. Ożywił się, rozpoznając mnie.

- Cześć, tatusiu - powiedział naturalnie i bez wahania i wrócił do samochodzików. Stałem - oszołomiony, obdarzony łaską, przeniesiony, na zawsze odmieniony - słuchając z wyteżoną uwagą dźwięków trzeszczących hamulców i uruchamianego silnika.

To było takie proste. Wszystko, co przeczytałem o procesie "nawiązywania

więzi", o powolnym nabieraniu zaufania, komplikacjach wynikających z adopcji "starszego" dziecka, uleciało jak poranna mgła. Byłem uprzejmie głuchy na rady udzielane mi przez Ritę i jej zwierzchników: uważali, że powinienem spędzić z Adamem jakiś czas w Pierre, a potem rozstać się z nim

na trochę. Może jutro mógłby przyjść na godzinę do mojego hotelu. Aby spojrzeć na wszystko z pewnej perspektywy, powinienem sam wrócić do New

Hampshire i przemyśleć wszystko, a kiedy - jeżeli w ogóle - zdecyduję się wziąć go pod tymczasową opiekę, Rita przywiezie Adama samolotem na koszt

państwa. Nie powinienem działać pochopnie. Nie muszę się spieszyć.

Uznałem, że postradali rozum.

Adam i ja spędziliśmy tę pierwszą noc razem, w Holiday Inn. Nie umiał jeszcze korzystać z toalety i powiedziano mi, że używa tylko dwudziestu słów. Został zaklasyfikowany jako lekko opóźniony w rozwoju na podstawie

swego zachowania na wielu testach i ostrzegano mnie, że prawdopodobnie nigdy nie pójdzie do normalnej szkoły. Nie wierzyłem w ani jedno słowo.

Był

samym uczuciem, całkowicie swobodny. Podczas kąpieli odkryłem ślady po

kroplówce i cewniku, pamiątki po nawrotach chronicznego zapalenia płuc. Jego nadgarstki i kostki pokryte były również cienkimi, białymi bliznami z czasów, kiedy jako niemowlę był przywiązywany do łóżeczka przez swoją gniewną, niedbałą matkę. Mimo swoich trzech lat wyglądał i zachowywał się

jak młodsze dziecko. Miał długie, delikatne kończyny z ładnymi paznokciami.

Co dziwne, jego dłonie niemal zupełnie pozbawione były linii papilarnych, jakby przeszłość i przyszłość miały dopiero zostać określone. Od czasu do czasu, posłuszny wewnętrznemu nakazowi, obejmował się.

Interpretowałem ten

gest jako głębokie zamyślenie. Był wolny od lęku, żalu i obciążeń.

Następnego ranka rozmawiałem z Ritą na osobności. - Pani wie, że nie wyjadę bez niego - powiedziałem. - Nie zmienię zdania, nie muszę niczego rozważać.

- Wiem. Wiedziałam już wczoraj.

- To co robimy?

- Proszę zostawić to mnie.

Trzymając mocno Adama za rączkę, przeszedłem dwa rzędy budynków na północ od Holiday Inn. Znalazłem tam cuchnący stęchlizną sklepik, w którym kupiłem

mu ubranie: spodnie, sweterek, piżamę w pociągi, podkoszulki, pieluszki i skarpetki. Adam miał ze sobą pluszowego psa ode mnie i wszędzie, gdzie byliśmy, przedstawiałem go sprzedawcom, kelnerkom, chłopcom hotelowym i urzędnikom bankowym jako mego syna.

Koniec końców wylecieliśmy z Adamem z Dakoty Południowej bez oficjalnego pozwolenia, a Rita i jej koledzy wspaniałomyślnie przymknęli na to oczy. Pogwałciliśmy procedury, wzięliśmy prawo w swoje ręce i zrobiliśmy wyłom w przepisach. Nasz nielegalny wyjazd dodał nutki dramatyzmu i dreszczyku do zakończenia tego rozdziału naszej historii. Kiedy tylko ktoś otwierał drzwi do poczekalni lotniska, ukrywaliśmy się jak zbiegowie między automatami z papierosami i stojakiem z pocztówkami. Byliśmy Ingrid i Paulem uciekającymi z Casablanki, Rita zaś grała rolę Bogarta. Kiedy byliśmy już w powietrzu, odpiąłem pasy Adama i wzięłem go na kolana, żeby mógł oglądać szare pola daleko w dole. Miał ożywione oczy, instynktownie brał udział w przestępstwie.

Kiedy czekaliśmy na przesiadkę w Minneapolis, pozwoliłem Adamowi pobiegać po korytarzu. Sprawdziłem bilety, żeby nie przegapić godziny odlotu, a kiedy podniosłem wzrok, nie było go. Pobiegnę do miejsca, w którym

widziałem go po raz ostatni i zawołałem po imieniu, ale mógł go przecież nie rozpoznać. A potem zobaczyłem go, jak uszczęśliwiony jedzie na taśmie z bagażami, pomiędzy dwiema walizkami, i za chwilę zniknąłby w magazynie za paskowaną zasłoną.

Chwyciłem go z ulgą i przycisnąłem wijące się ciało do piersi.

- Zrobiłem siusiu - obwieścił Adam dumny ze swego dokonania.

Zabrałem go

do pustej poczekalni, położyłem na podłodze i rozpiąłem mu spodnie.

Potem,

kiedy wpatrywał się w sufit, wytarłem go i przypudrowałem. Nie sposób było

patrzeć na jego chude nogi ze spiczastymi kolanami i nie podejmować zobowiązań. Potrzebował odżywienia, opieki, wsparcia i stabilizacji.

Byłem

zdecydowany doprowadzić go do etapu rozwoju właściwego dla jego wieku

jeszcze przed końcem przyszłego roku.

Gdzieś nad Wielkimi Jeziorami zasnął na moich kolanach, a ja w absolutnym

zachwycie śledziłem rytm jego oddechu, ruch gałek ocznych pod powiekami,

nagłe ruchy palców. W czasie tego lotu świat znajdował się w moich ramionach.

Wieczór, w którym dotarliśmy do Sugar Hills był jak wyjęty z

trzeciorzędnego filmu. Moi koledzy z college'u udekorowali mieszkancko w suterenie paskami bibuły i plakatami gratulacyjnymi. W lodówce były lody, przyniesiono nawet szczeniaka syberyjskiego husky o imieniu Skahota, z kokardką na szyi. Adam był zmęczony podróżą i przeżyciami, ale chciał wskoczyć na każde łóżko, wyciągnąć wszystkie szuflady i rozpakować prezenty. Uśmiechnięty biegał z pokoju do pokoju i od czasu do czasu łapał mnie za nogę. Wszyscy byli nim zachwyceni. Nareszcie o dziesiątej goście wyszli i zostaliśmy sami.

- Chcesz spać dzisiaj ze mną? - spytałem sądząc, że w obcym otoczeniu będzie się czuł samotny w pokoju z tapetą w koniki na biegunach.

- Tak, tatusiu - powiedział, więc włożyłem mu piżamkę, ułożyłem poduszki na podłodze na wypadek gdyby spadł z łóżka, i zgasilem światło.

- Opowiedzieć ci bajkę?

- Tak, tatusiu.

Zacząłem opowiadać bajkę o trzech misiach w wersji zmodyfikowanej.

- Był sobie tata miś, Adam miś i Skahota miś - szeptałem, przyciągając jego małe ciało bliżej siebie. - Mieszkali razem w małym domku, do połowy ukrytym pod ziemią, w pobliżu gór. Byli bardzo szczęśliwi.

Dla mnie to też był długi dzień i zanim Złotowłosa połamała pierwsze krzesło, zasnąłem. Obudziłem się po jakimś czasie w ciemności i leżałem przez chwilę bez ruchu, uświadamiając sobie nową sytuację. Wyciągnąłem

rękę, by poklepać Adama po plecach, ale natrafiłem na puste łóżko. Natychmiast oprzytomniałem, zapaliłem światło i sprawdziłem na podłodze.

Nie było go. Odgarnąłem koce i przeszedłem przez kuchnię do jego sypialni, ale tu też nikogo nie było. Drzwi wejściowe były zaryglowane i zamknięte na

łańcuch, żeby Adam nie mógł wydostać się na zewnątrz. Sprawdziłem w kredensie, pudełku dla psa ani w szafie. Było dwanaście po trzeciej nad ranem. Przyszło mi do głowy, że może wciąż śpię. Może doświadczam właśnie

pierwotnego lęku przed stratą, normalnego objawu u świeżo upieczonych rodziców. Doszedłem jednak do wniosku, że skoro o tym pomyślałem to muszę

być przytomny. Potem wkradła się do mojej świadomości jeszcze bardziej irytująca myśl - może Adam mi się tylko przyśnił. Wcale nie byłem w Dakocie

Południowej. Uratował mnie dowód w postaci jego tenisówki porzuconej przy kuchence. Musiało istnieć jakieś wytłumaczenie.

Wróciłem do sypialni uzbrojony w przekonanie, że zniknięcie jest niemożliwe, i rozpocząłem systematyczne poszukiwania potencjalnej kryjówki.

Dopiero po chwili zauważyłem, że koce leżą dziwnie wysoko w nogach łóżka.

Uniosłem je i zobaczyłem Adama. Spał w klasycznej pozycji

embrionalnej, z
kolanami przyciągniętymi do klatki piersiowej, zajmując jak najmniej
miejsca. Jak często w ciągu czterech dni można się w kimś zakochiwać, za
każdym razem tak, jakby to było po raz pierwszy? Delikatnie przesunąłem
mojego malutkiego synka na poduszki, położyłem się przy nim i
przykryłem
nas obu. Kiedy sięgałem, żeby wyłączyć światło, obudził się, zamrugał
oczami i spojrzał na mnie.

- Trzy misie? - spytał i poczuł się jak w domu.

Rozdział drugi

Był listopad, zbliżało się Święto Dziękczynienia, a nasza rodzinna
sielanka trwała niezmacona aż do Świąt Bożego Narodzenia. Pamiętam
szczególnie dzień, w którym Denis zapowiedział się na pierwszą oficjalną
wizytę. Zależało mi na tym, żeby zrobić na nim wrażenie. Mieszkanie
lśniło
czystością, Adam spał, przygotowałem dla niego ubranko i zajrzałem do
lodówki na parę godzin przed jego wizytą. Poprzedniego wieczora
wertowałem
książki kucharskie w poszukiwaniu natchnienia. Zamierzałem
przygotować
zwykły domowy posiłek, który jednak sugerowałby "troskliwego rodzica"
czy

"domowe ognisko", taka delikatna wskazówka w metajęzyku.

Po namyśle wybrałem szarlotkę. Prawdziwą szarlotkę, oczywiście, nie żaden

tam gotowy wyrób z piekarni, z owocami z puszki. O nie. Moje dziecko będzie

wychowywane w domu wypełnionym zapachem wypiekanych pasztecików, będzie

bawić się krążkami jabłek, które ja będę suszyć w piecyku. Pełen animuszu

wyciągnąłem więc kuchenne przybory i zabrałem się do mieszania, ugniatania

i formowania ciasta. Dłubałem, dolewałem wody, lepiłem, a na koniec wyciąłem wyszukany wzór w kształcie litery "A".

Kiedy jednak ciasto znalazło się w piekarniku, opadły mnie czarne myśli.

A jeśli Denis nie lubi jabłek? Jeśli potraktuje moje wysiłki jak tani chwyt, który ma pokryć brak kwalifikacji rodzicielskich? Musiałem opracować

inny wariant, poszerzyć ofertę swoich możliwości. Szarlotka była już gotowa, zabrałem się więc do pieczenia kurczaka, licząc na apetyt pracowników socjalnych. Czekoladowy mus z powodzeniem można było przygotować na kuchence. Ustawiłem talerz z surowymi warzywami, połałem

gorącym sosem koperkowym i odstawiłem do ostygnięcia. Na szczęście miałem w

domu wszystkie składniki do zupy pomidorowej na bekonie, która w książce

kucharskiej prezentowała się znakomicie i nie wymagała wiele zachodu. Rozmroziłem wymyślny bochenek chleba - dostałem go od przyjaciela, ale komu by to przyszło do głowy? Wycisnąłem cytryny na lemoniadę, pognąłem do sklepu po sześć puszek piwa, zaparzyłem kawę i sprawdziłem zapas herbaty i mleka. Właśnie kiedy miałem przesiać mąkę na duńskie ciasto czekoladowe, usłyszałem, że Adam się obudził. Nie zostało wiele czasu, żeby go wykąpać, umyć mu głowę i nakarmić zupką, aby nie wyglądał na głodnego i zaniedbanego.

Rozległo się pukanie. Rzuciłem ostatnie spojrzenie na wysprzątaną kuchnię i otworzyłem drzwi. Denis zachowywał się bardzo przyjaźnie, przyniósł nawet zabawkę do kąpielii dla Adama, dużą, błękitną żaglówkę. Wziął na rękę mego syna, który wcale się tym nie spieszył, i ruszył za mną na obchód naszych czterech pokoi. Byliśmy w sypialni, kiedy wyraz twarzy Denisa nagle się zmienił, mężczyzna wydawał się zaniepokojony, wręcz niezadowolony. Czyżbym o czymś zapomniał? Spodziewał się kolorowej fotografii mojej przyszłej żony na biurku? Czy moje prześcieradła w paski wskazywały na więzienną przeszłość? A może szafa była zbyt pełna albo zbyt pusta?

- Michael - zaczął, jakby już żałował tego, co musi powiedzieć.

Przełknąłem ślinę w oczekiwaniu na cios. - Myślę, że trzeba go przewinąć. Subtelnie to ujął. Nowe śpioszki powędrowały do plastikowego worka na śmieci, zostały zapieczętowane i włożone do większego.

Adam wrzeszczał pod prysznicem, domagając się starych, podartych śpioszków z nową plamą po pomidorze. Wciąż jeszcze siąkał nosem, kiedy

wróciłem z nim do kuchni.

- Szybko się rozwija - powiedziałem. - Na wiosnę będzie korzystał z toalety.

Denis kiwnął głową. - Wygląda na zadowolonego z życia. Poszedłem za jego

wzrokiem. Po policzkach Adama spływały łzy. Włosy miał mokre i zmierzwione,

a w dodatku zgubił gdzieś jeden bucik. Zmieniłem temat.

- Może byś coś zjadł?

Denis spojrział na zegarek i odsunął krzesło. - Nie rób sobie kłopotu - powiedział. - Już jestem spóźniony na spotkanie w biurze, a widzę, że dobrze sobie radzisz.

Musiał dojrzeć coś w moim wyrazie twarzy, jakiś błysk szaleństwa, bo nie wstał.

- Na pewno jesteś głodny - ciągnąłem, jakby nie słysząc jego słów. Mówiłem powoli, cedząc słowa. Brzmiało to jak rozkaz.

- Cóż - zrezygnował. - Jeśli nie sprawi ci to kłopotu.

- Nie sprawi. Na co masz ochotę?

- A co masz?

- Wszystko.

Nigdy nie dowiedziałem się, co sobie wtedy myślał. Zachowywał się bardzo taktownie, tak jakby wejść do cudzej kuchni i znaleźć tam pełen wybór z kartą "Specjalności Dnia" był najnormalniejszą rzeczą na świecie. Spróbował każdej potrawy, a kiedy nalegałem, zgodził się zabrać kawałek szarlotki dla żony. Ale po kilku tygodniach, przy następnej wizycie zaznaczył, że jest tuż po lunchu. Tym razem upiekłem tylko ciasto.

Nie porównywałem nigdy Adama z innymi dziećmi w jego wieku, nie przyszło mi to nawet do głowy. Byłem tak zajęty przystosowywaniem się do mojej nowej roli i sytuacji, wszystkich szczegółów związanych z ojcostwem, uczeniem i gospodarowaniem pieniędzmi - wysokie pensje nie były zaletą eksperymentalnego college'u we wczesnych latach siedemdziesiątych - że rozwój fizyczny i umysłowy Adama wydawał mi się pod każdym względem prawidłowy. Nic martwiło mnie, że ma kłopot z imionami innych dzieci, że nadal potrzebuje pieluszek, wykazuje nadmierną aktywność, a kiedy zostaje sam, kiwa się w przód i w tył, jakby chciał się ukołysać. Pomimo dobrego

apetytu ważył bardzo niewiele, aż zauważali to ludzie na ulicy. Na szczęście doświadczony pediatra zapewnił mnie, że Adam jest zdrowy i silny mimo niewielkiego wzrostu.

- To wcześniak - przypominał. - Musi to nadrobić. Poza tym pochodzi pewnie z niskiego plemienia.

Adam panicznie bał się prysznic, więc kiedy tylko nasza łazienka powiększyła się trochę, przyjaciel przysłał mi pieniądze na zakup blaszanej wanny. Każdego ranka przed wyjściem do pracy napełniałem ją ciepłą wodą, dolewałem płynu z bąbelkami i pozwalałem Adamowi bawić się w niej żaglówką.

Łąkę przed domem pokrywał śnieg, w górach odbijały się promienie słońca.

Adam pluskał się, a ja włączałem płyty Eltona Johna, Cata Stevensa, Beatlesów czy Roberta Flack i siedząc przy kuchennym stole, przygotowywałem lekcje. Nie wyobrażałem sobie, że mógłbym być gdzie indziej i robić cokolwiek innego.

Pod koniec stycznia, tuż po czwartych urodzinach Adama, miałem spotkanie w sprawie pracy na Uniwersytecie McGilla w Montrealu. Po Franconii ta posada mogła być wielkim krokiem naprzód w mojej karierze. Mieliśmy przed sobą zaledwie cztery godziny jazdy przez zimowy krajobraz Currier i Ives,

a

Adam zdawał się być zadowolony z podróży tak samo jak ja. Po przyjeździe zasnął zwinięty w kłębek na klubowym fotelu, podczas gdy ja przedstawiłem swoją ofertę na Wydziale Antropologii. Nie narzekał na zimny wiatr od Rzeki św. Wawrzyńca, kiedy zwiedzaliśmy campus. Jak zwykle w takich sytuacjach oglądałem miasto pełen pytań: Jak będzie nam się tu mieszkało? Na ile pamiętam jeszcze francuski? Czy naprawdę chcę przenieść się na uniwersytet, gdzie publikacje liczą się bardziej od nauczania? McGilla i Franconię dzieliła przepaść, a ja starannie rozważałem wszystkie za i przeciw. Zapadał mrok, kiedy wciąż zamyślony jechałem na południe, w stronę granicy. Nagle uświadomiłem sobie, że zgubiłem drogę pośród śniegu, w obcym kraju, z głodnym dzieckiem i bez pieniędzy. Zawracałem dwukrotnie i pytałem o drogę najwyraźniej, jak umiałem. Zależało mi na znalezieniu trasy przez góry, zanim pogorszy się pogoda. Kiedy wreszcie trafiłem na autostradę, kazałem Adamowi wyciągnąć się na tylnym siedzeniu. Postanowiłem nakarmić go po powrocie do domu. Jechałem ostrożnie, odmrażacz działał na wysokich

obrotach, wycieraczki pracownicy odgarniały śnieg z przedniej szyby. Nareszcie około północy podjechaliśmy pod dom. Adam był rozespany, zmieniłem mu więc tylko pieluszkę i położyłem do łóżka, a sam kompletnie wyczerpany padłem w ubraniu na materac. Spałem twardo przez osiem godzin.

Kiedy się obudziłem, zaskoczyła mnie absolutna cisza. Nie docierały nawet hałasy z ulicy. Ziemię pokryła gruba warstwa śniegu, a pług śnieżny jeszcze nie dotarły na wzgórze. Zawołałem Adama, ale nie było odpowiedzi.

Zazwyczaj wstawał o wpół do szóstej bez względu na to, o której się położył. Zaniepokojony, poszedłem do jego pokoju.

Leżał twarzą do podłogi, nieprzytomny i rozpalony. Przewróciłem go na plecy i potrząsnąłem nim, ale nie zareagował. Z kącika ust sączyła mu się ślina, spływając po policzku na piżamę. Uniesiona powieka ukazała tylko białko. Położyłem go na łóżku. Był taki lekki i wiotki. Głowa przechyliła mu się na bok, oddychał szybko i płytko.

- Nie ruszaj się. - Pobiegłem do kuchni po miskę z wodą i ścierkę, żeby schłodzić mu czoło. Nadal nie reagował. Ogarnął mnie ten rodzaj przerażenia, któremu towarzyszy szum głowy i przedziwny spokój i rozwaga.

Wciąż byłem w ubraniu, nałożyłem więc tylko płaszcz, zawinąłem Adama w koc, chwyciłem kluczyki i wybiegłem. Silnik zaskoczył bez oporu, a śnieg usunął

się, tworząc przejazd. Bardzo pewnie ruszyłem do szpitala odległego o piętnaście kilometrów. Adam zapadł w siedzenie obok mnie, obojętny na wszystko, ale mówiłem do niego przez całą drogę.

- Trzymaj się. Zaraz będziemy na miejscu. Spójrz na tę górę. Nie poddawaj się. Powiedz coś. Będziesz mógł wybrać nowy wóz. Odpocznij sobie. Już dobrze. Proszę. Proszę. Zatrzymałem samochód przed wejściem na oddział reanimacji i włączyłem klakson. Po chwili pojawiło się dwóch sanitariuszy.

- Mój syn jest chory! - krzyknąłem, a oni podążyli za moim wzrokiem. Miał zsiniałe usta, drżał mu prawy nadgarstek. Jeden z sanitariuszy otworzył drzwiczki, a drugi pobiegł po łóżko na kółkach. Obserwowałem ich z boku sparaliżowany, nie mogąc w niczym pomóc. Wjechali na podjazd i zniknęli za wahadłowymi drzwiami. Nagle wyrósł przede mną ceglany mur z napisem Bezwzględny zakaz parkowania. Pomyślałem, że nie mogę tu zostać. Wrzuciłem wsteczny bieg i obejrzałem się przez ramię. Potem zatrzymałem się i zdjąłem nogę z pedału gazu. Silnik zatrzęsł się i zamarł. Zapaliła się czerwona lampka, ale ja biegłem już do szpitala, zapominając o kluczyku w stacyjce i otwartych drzwiach.

W izbie przyjęć panowało zamieszanie, pielęgniarki biegały dokądś ze stojakami i lekarstwami. Łóżko Adama było częściowo ukryte za

prowizoryczną

zasłoną. Pochylał się nad nim brodaty, płowowłosy mężczyzna w białym fartuchu, ze stetoskopem. Podszedłem. Ciało Adama miały konwulsje.

Z

niewiarygodną siłą szarpał się pod zabezpieczającymi go pasami.

Przygryziona dolna warga krwawiła. Oczy miał na wpół otwarte, nieprzytomne.

- Wyjdzie z tego? - Lekarz nie usłyszał mnie albo zignorował. Dotknąłem jego ramienia. - Co się dzieje? Co z nim?

Tym razem spojrzał na mnie.

- Kim pan jest? - Miał niewyraźny południowy akcent.

- Ojcem.

- Od jak dawna jest w takim stanie?

Opowiedziałem mu wszystko, odruchowo wpadając w żargon medycznych

programów telewizyjnych. Starłem się, by brzmiało to wiarygodnie.

Chciałem

sprawić wrażenie specjalisty, kogoś, komu powiedziałby, że to nic poważnego, normalny stan, i nie ma się czym przejmować.

- Zrobimy badania - powiedział. - Ale przede wszystkim musimy obniżyć temperaturę. Ile chłopiec normalnie waży?

- Trzyście kilogramów podczas ostatnich badań.

- Waży teraz mniej niż dziesięć. Jeśli nie uda się nam uzyskać równowagi... Czy miał już napady epilepsji? Bierze phenobarb?

- Dotąd był zdrowy. Wczorajszy dzień był dość męczący... - Wciąż brzmiały

mi w uszach słowa lekarza. - Nikt nie wspominał mi o epilepsji. Jak to się stało, że stracił tyle na wadze?

- To właśnie muszę ustalić. Przenoszę go na OIOM. Może pan zaczekać w

holu. Powiadomię pana, kiedy czegoś się dowiem.

Czułem, że mu przeszkadzam, więc zawróciłem do poczekalni. Littleton był

niewielkim szpitalem, a tego ranka nie było tam wiele ruchu. Dla zabicia czasu zacząłem przeglądać stare numery McCalls i Biuletynu

Uniwersyteckiego, które leżały na stoliku, i spoglądałem na zegar. Od czasu

do czasu słyszałem czyjeś kroki. Prostowałem się i przesuwałem na brzeg fotela w oczekiwaniu na wezwanie. Minęła jednak godzina, a nikt po mnie nie

przyszedł. W końcu, nie mogąc tego znieść, poszedłem do recepcji.

Zapukałem, przerywając rozmowę pielęgniarki z urzędniczką.

- Przepraszam - zacząłem - przed godziną przywiozłem tu chorego syna.

Chciałbym wiedzieć, co się z nim dzieje.

Popatrzyły na mnie nie rozumiejąc.

- Ma cztery lata, od rana był nieprzytomny.

- Och - pielęgniarka zwróciła się do przyjaciółki - to pewnie ten mały Wietnameczyk - Indianin - poprawiłem. - Jesteśmy Indianami.

- Nieważne. - Przyglądały mi się z zaciekawieniem. Znałem to spojrzenie,

zazwyczaj reagowano tak na ludzi mieszanej rasy: "Nie wyglądasz na Indianina". Tak często mi się to zdarzało, tyle razy ludzie mieli mi za

złe, że nie przypominam hollywoodzkiego wizerunku Siedzącego Byka, a przecież wciąż czułem się tym zraniony. - Jestem półkrwi Indianinem - wyjaśniłem. Wiedziałem z doświadczenia, że nie odpuszczą, zanim nie udzielię

im wyczerpującej odpowiedzi. - Mały jest Indianinem. Adoptowałem go. Zadowolone, wymieniły znaczące spojrzenia.

- Zdaje się, że jest poważnie chory - powiedziała pielęgniarka. - Miał badania płynu rdzeniowego. Powiadomią pana, kiedy będą wyniki.

Skinałem głową i zawróciłem do poczekalni, kiedy urzędniczka spytała:

- Przeprowadzono już adopcję?

- Nie. - odparłem zaskoczony. - Będę się nim opiekował warunkowo przez pół roku, zanim zostanie ostatecznie zatwierdzona.

- To dobrze. Będzie pan mógł go oddać, gdyby okazało się, że to coś poważnego.

Nie mogłem nic na to odpowiedzieć, więc odszedłem. Byłem zbyt przerażony,

zbyt pochłonięty sytuacją, by stawić czoło jej ignorancji. Zapamiętałem jednak tę uwagę, żeby opowiedzieć później znajomym o nieludzkiej biurokracji. Jej słowa tak bardzo pasowały do tego dnia, że wydawały się niemal na miejscu.

Usiadłem na kulawym winylowym chromowanym krześle z krótszą nogą i

próbowałem uspokoić myśli. Recytowałem słowa wszystkich zapamiętanych

piosenek. Zacząłem obgryzać paznokiec do równej linii. Wsłuchiwałem

się we

własny oddech, kontrolując wdechy i wydechy.

Nareszcie w drzwiach stanął lekarz, zmęczony i oficjalny.

- Może pan do niego zajrzeć na chwilę.

Ruszyliśmy po schodach, a potem długim, cichym korytarzem zakończonym

oszkłonymi drzwiami oddziału intensywnej terapii. W izolatce stało łóżko, a

na nim leżał Adam. Jego nagie ciało podłączone było do aparatury jaskrawymi

kolorowymi kablami. Monitor wyłapywał oznaki życia. Ciszę przerywał jedynie

sygnał respiratora. Lampka u wezglowia dawała nikiłe światło, ale widziałem,

że nie odzyskał przytomności. Miał wklęsły brzuch i wychudłe kończyny, niczym połączone patyki zakończone dłońmi i stopami. Wydawał się taki bezbronny.

- Przynajmniej udało nam się przerwać atak. - Wtrącił lekarz.

- Ale co wywołało kryzys...?

Wzruszył ramionami. - Z początku myśleliśmy, że to zapalenie opon mózgowych, ale po dwukrotnym badaniu wyeliminowaliśmy tę przyczynę. Sprawdzaliśmy też możliwość guza mózgu... To nie to.

- Musi pan mieć jakąś teorię. - Zakręciło mi się w głowie od nazw tych chorób.

Wyrecytował mi coś po łacinie, nie wiem, czy była to lista chorób, czy stanów, ale brzmiała tajemniczo i przerażająco. Nie wierzyłem, że

wytłumaczy mi te wszystkie nazwy, poprosiłem więc, aby je zapisał.

Uniósł

brwi, ale wyciągnął notes i zrobił, o co prosiłem. Wziąłem tę kartkę i schowałem do kieszeni.

Dotknąłem włosów Adama. Były mokre.

- Kapaliśmy go, żeby obniżyć temperaturę - powiedział doktor, uprzedzając moje pytanie. - Miał prawie 41 stopni, kiedy tu przyjechał, teraz gorączka spadła do 38,5.

Twarz Adama zapadła się, uwydatniając kości policzkowe. Jego skóra błyszczała, a opaska przytrzymująca igłę w żyłę obejmowała niemal całe przedramię. Przesunąłem koniuszkiem palca po jego brwiach i zawilej linii uszu.

- Cześć - szepnąłem.

- On pana nie słyszy.

Przyłożyłem mu rękę do ust. Czytałem gdzieś, że zapach jest najstarszym, najbardziej podstawowym ze zmysłów. Miałem nadzieję, że mój zapach uświadomi mu moją obecność, że poczuje się mniej osamotniony.

- Proszę wypełnić formularz i pojechać do domu. Powinien pan odpocząć

-
powiedział lekarz. - Nic pan tu nie może zrobić. Zadzwonimy do pana, jeśli się obudzi.

Wychwyciłem słówko "jeśli".

- Zostanę. Skorzystam z automatu w holu.

Zamierzałem zadzwonić do matki. Z początku niepewne mojej decyzji o adopcji, ona i jej siostry powitały Adama w rodzinie bez wahania.

Odwiedziliśmy je w Kentucky w czasie świąt. Od pierwszej chwili były zachwycone rolami babci i ciotecznych babć. Całymi godzinami trzymały Adama

na kolanach, opowiadając mu ulubione historyjki i huśtając go. Nie wydawały

się rozczarowane tym, że ignorował starannie wybierane prezenty i bawił się

pustymi pudełkami. Nie zwracały uwagi na to, że często mylił ich imiona.

Przyzwyczyły się do jego nawyków szybciej niż ja sam.

Wykręciłem numer matki, ale zaraz odłożyłem słuchawkę. Co mogłem jej powiedzieć? Nie wiedziałem więcej o stanie Adama niż przed sześcioma godzinami, kiedy znalazłem go na podłodze. Nie mogłem obiecać, że z tego

wyjdzie, nie znałem nazwy jego choroby.

Przypomniałem sobie o kartce w kieszeni. Recepcjonistka skierowała mnie

do małej biblioteki medycznej w podziemiach szpitala. Nauczyłem się cenić

prace badawczą i teraz z akademicką obojętnością, z której nie zdawałem sobie sprawy, począłem wyszukiwać nazwy, które podał mi lekarz.

Zupełnie,

jakbym przez nabranie dystansu mógł wyeliminować zagrożenie czyhające na

Adama. Odkryłem jednak, że lekarz opierał się wyłącznie na domysłach, a

ich

zakres był dość szeroki. Według jego listy Adam mógł cierpieć na wszystko,

począwszy od gorączki Gór Skalistych, po rzadką dolegliwość wymagającą

całkowitej transfuzji krwi. Jedyną cechą wspólną tych niezwykłych schorzeń

była wieloznaczność ich objawów. Wszystkie charakteryzowały się stanem śpiączki, wysoką temperaturą i nagłą utratą wagi. Poza tym prognozy i sposób leczenia różniły się diametralnie. Było jasne, że lekarz nie miał pojęcia, co się stało.

Zadzwoiłem do Petera Blasco, kolegi z college'u, który kończył właśnie staż na pediatrii rozwojowej u Johna Hopkinsa.

- Na twoim miejscu - powiedział, kiedy opisałem mu wydarzenia dnia, łącznie z listą chorób przedstawioną przez lekarza - jak najszybciej przewioźłbym go do większego szpitala. W twoim przypadku byłyby to Dartmouth

w Hanoverze albo uniwersytecki szpital Vermont w Burlington. Który jest bliżej?

Nigdy nie byłem w żadnym z tych miast.

- Chyba Hanover - odparłem. - To sto kilometrów na południe.

- Kiedy stan Adama ustabilizuje się, wynajmij karetkę i przewieź go tam. Popytam, z kim mógłbyś się tam skonsultować. Zawiadomią cię, kiedy dotrzesz na miejsce.

Zabrzmiało to rozsądnie. Kiedy wróciłem na OIOM, stan Adama nie

uległ

zmianie. Oznajmiłem lekarzowi moją decyzję o szukaniu konsultacji, co ku

mojemu zaskoczeniu potraktował jako obrazę.

- Zrobi pan co zechce, ale zabiera pan dziecko na własną odpowiedzialność.

- Przecież nie rozpoznał pan schorzenia. Nie wiecie, jak go leczyć.

- Teraz już nic nie mogę zrobić - powiedział i wyszedł z godnością.

Czułem się zagubiony, nie wiedziałem, co robić. Gdybym zostawił tu Adama,

jego życie byłoby w niebezpieczeństwie. Wywożąc go, być może narażałem je

jeszcze bardziej. Spojrzałem na dyżurną pielęgniarkę, ale unikała mego wzroku.

- Gdzie mógłbym wynająć karetkę? - spytałem.

Zawahała się z odpowiedzią, ale w końcu podała mi numer. Odebrali po trzecim sygnale i obiecali podjechać pod wejście za kwadrans.

- Proszę się nie martwić - powiedział dyżurny. - Często przyjmujemy takie

zgłoszenia.

Podpisałem formularz o zwolnieniu Adama i czekałem. Nie mogłem przewidzieć, jak długo pozostaniemy w Hanowerze, a ponieważ nie miałbym

czym wrócić do Franconii, poszedłem po samochód.

Zaparkowano go na uboczu, kluczyki leżały na siedzeniu. Szyba zaparowała

od mego oddechu. Włączyłem silnik i patrzyłem, jak stopniowo rozjaśnia się widok za szkłem. Było rześkie, jasne popołudnie. Po prawej stronie znajdował się mały park, w którym ustawiono stół, latem ocieniony zielonymi gałęziami dwóch wierzb płaczących. Teraz nagie konary przybrały kolor musztardy, odcinając się wyraźnie na tle błękitu nieba. Podjechałem przed wejście do szpitala i czekałem na czerwono-białą karetkę z bursztynowo świecą lampą. Przytrzymałem drzwi, kiedy w pośpiechu wywieziono Adama.

Przy jego łóżku szedł sanitariusz niosący plastikową kroplówkę.

- Proszę się nie przejmować ograniczeniami prędkości - powiedział, zabezpieczywszy tylne drzwi ambulansu. - Niech pan jedzie tuż za nami. Będziemy na miejscu w rekordowym czasie.

Kiwnąłem głową, zadowolony, że mogę słuchać poleceń, być kierowany przez kogoś, kto wie co robić. Potem, przez najbliższe półtorej godziny mego życia, jechałem za karetką drogą numer dziesięć. Mijając zamknięte budki sprzedające syrop klonowy, zniszczone zabudowania, zakręty równoległe do zamarznętej rzeki Connecticut i małe miściny z rzędami białych domów z cegieł, powtarzałem tylko jedno słowo: Nie.

Wydaje się nam, że medycyna jest wszechmocna, bo jej magia nie działa dla każdego z nas tylko raz. Sądziłem, że po rozpoznaniu choroby Adama,

będzie

można ją uleczyć, uzdrowić go. Nie mogłem uwierzyć, że moje życie tak nagle

się zmieniło, że utraciłem kontrolę nad wypadkami. W wyobraźni żywo widziałem szczegóły dalszego życia Adama - jaki wybierze zawód, ile może

mieć dzieci, jakie będzie miał pasje i zainteresowania - nigdy nie podawałem w wątpliwość ciągłości, rozwoju, szczęśliwych lat jego życia.

Teraz cała moja wiara w jego porządek i logikę, budowana z takim wysiłkiem,

została zachwiana.

W holu oddziału pediatrycznego szpitala Mary Hitchcock widziałem twarze

innych rodziców. Było na nich to samo niedowierzenie, gniew i niepokój, które sam odczuwałem. Obserwowaliśmy się nawzajem, ci obcy ludzie i ja,

niczym finaliści teleturnieju złych wiadomości pragnąc, by wygrali inni.

Statystycznie rzecz biorąc, niektórzy z nas zdołają umknąć stąd tej nocy wraz ze swymi dziećmi. Ale nie wszyscy. Co jakiś czas pojawiał się lekarz

w

bladozielonym fartuchu i siadał przy jakiejś wylęknionej parze.

Rozmawiali

szeptem, podczas gdy wszyscy inni przerzucali kartki czasopism z udawaną

obojętnością, by dać im złudzenie prywatności. W rzeczywistości jednak notowaliśmy każdy szczegół. Obserwowaliśmy ich spojrzenia, nasilenie

pytań,

gesty zadowolenia czy szczęścia. Reakcje rodziców miały podwójne znaczenie:

ich szczęście dodawało otuchy, ale zmniejszało również nasze szanse.

Smutek

potwierdzał najgorsze obawy, ale przemieszany był z pełną poczucia winy ulgą.

Dochodziła szósta wieczorem i uświadomiłem sobie, że od czasu wczorajszego lunchu w Montrealu nie miałem nic w ustach. Byłem brudny, nie

ogolony i nie uczesany. Do nikogo nie zadzwoniłem ani nie rozmawiałem z

nikim oprócz lekarzy i pielęgniarek. Czuję się, jakby ten dzień był wyjęty

z mego życia. Znalazłem w kieszeni drobne i kupiłem sobie kawę z automatu.

Czekając, aż ostygnie, zadzwoniłem do Petera, do Marylandu.

- Rozmawiałem z jednym z lekarzy, który badał Adama - powiedział i urwał.

- Ktoś już go tu badał?

- Zbadali mu jeszcze płyn rdzeniowy, nic tam nie ma. To silny organizm, ale na razie brak jakiegokolwiek poprawy. To dobrzy specjaliści, stale go obserwują i robią wszystko, co w ich mocy.

- Mają jakąś diagnozę?

- To wciąż zagadka. Może zapalenie mózgu, a może rzadki przypadek epilepsji. Zdarzało mu się już coś takiego?

- Nie. To znaczy nie wiem.

- Pracuje tam Bob Storrs, zajrzy do ciebie wieczorem. To dobry lekarz i będzie z tobą szczery, ale nie spodziewaj się żadnych wiążących odpowiedzi.

Przeprowadzą szereg testów, może wtedy wyjaśni się przyczyna ataku.

- A co ty o tym myślisz, Pete?

- Jedyne, czego się uczysz na medycynie, Michael, to tego, jak niewiele wiemy. To może być wszystko, od alergii do... no, wszystko.

Problem w tym, że nic nie wiemy o jego przeszłości. Może to schorzenie dziedziczne, wynik wstrząsu w czasie ciąży...

- To wcześniak.

- Może to być zarówno symptomem, jak i przyczyną. Zadzwoń jutro do Opieki Społecznej, która go znalazła i zapytaj, co o tym wiedzą. A na razie idź do motelu i prześpij się trochę. Nie pomożesz Adamowi, padając za zmęczenia.

Pół godziny później doktor Storrs - wysoki, sześćdziesięcioletni Vermontczyk - podszedł do mojej kanapki w poczekalni, kulejąc lekko. Wyglądał na zmęczonego, ale pełnego współczucia. Usiadł obok mnie, oparł łokcie na kolanach i przemówił do podłogi. Jego głos był tak cichy, że nic nie słyszałem, więc pochyliłem się, świadomy spojrzeń reszty oczekujących.

- Mógłby pan powtórzyć? - poprosiłem.

- Bez zmian, bez zmian. Walczy o życie. Podajemy mu kroplówkę z dilantyną

przeciw atakom. Myślę, że dziś będzie odpoczywał, a jutro go obudzimy.

- Co jest przyczyną?

Potrząsnął głową. - Ma pan gdzie się zatrzymać na noc? Proszę wynająć pokój w motelu Chieftain na tej ulicy. Zadzwonimy do pana, jeśli coś się będzie działo. Nie ma sensu się wykańczać. Wygląda pan okropnie.

- Ale on wyjdzie z tego?

Doktor Storrs uniósł głowę i spojrzał na mnie. Miał inteligentne, szaroniebieskie oczy.

- To był ciężki dzień. Myślę, że będzie dobrze, ale dowiemy się czegoś dopiero jutro o dziewiątej rano, kiedy będą wyniki badań.

- Przeniósł ciężar ciała do przodu i wykorzystał ten moment, żeby wstać. Miał na nogach wielkie brązowe buty na gumowej podeszwie, paznokcie u rąk przycięte do prostej linii. Wyciągnął rękę, uścisnął lekko moje ramię i odszedł.

Już po raz drugi tego dnia przeszukiwałem szpitalny parking, ale teraz zrobiło się ciemno, a widok przesłaniał dodatkowo zimny deszcz. Kiedy wreszcie znalazłem samochód, musiałem rozgrzać zamek zapaloną zapałką, a potem przez pięć minut wydrapywałem koło na zamarzniętej przedniej szybie.

Nie miałem kłopotu ze znalezieniem motelu Chieftain, widniał na nim jasnozielony neon, karykatura głowy Indianina. Jedyne wolne pokój nie miał telefonu, więc zanim poszedłem spać, wyszedłem na zewnątrz, żeby zadzwonić

z budki do mojej matki. Rozmawiałem z nią, opierając czoło o chłodną szybę.

Mówiłem jej to, czego nie wiedziałem, udzielałem zapewnień, które sam chciałem usłyszeć. Musiałem przekrzykiwać odgłosy klaksonów i szum samochodów na drodze, a w końcu włożyłem sobie słuchawkę między ucho i

ramię, tak że mogłem rozgrzać ręce w kieszeniach. Z przechyloną głową mogłem tylko wpatrywać się przez zamarznąłą szybę budki w gniewne oczy postaci z neonu.

Spędziłem jeszcze jeden dzień przy łóżku Adama, zanim otworzył oczy. Przewieziono go już z OIOM-u, ale jeśli nie liczyć pojawiającego się od czasu do czasu drżenia prawej strony ciała, nie ruszał się. Mała, cicha istotka pośrodku białego szpitalnego łóżka. Plastikowe rurki łączyły go ze światem, a ja patrzyłem, jak poziom glukozy w kroplówce opada kropla za kroplą. Zjadłem posiłek z tacy Adama, którą podano nie bacząc na jego stan,

i obejrzałem teleturniej w telewizorze zawieszonym na ścianie. Ledwo przyjmowałem do wiadomości pocieszenia życzliwych gości - kapłanów i rabinów. Kiedy nie mogłem już znieść zamknięcia w pokoju, przerzucałem kartki ciężkich ksiąg w szpitalnej bibliotece medycznej. Chciałem odnaleźć

zespół objawów występujących u mego syna. Testy Adama wykazały wzmożoną

aktywność w lewym skroniowym płacie mózgu, co więcej, szczegółowe badania

grupy lekarzy ujawniły wiele niepokojących symptomów: miał nienormalnie

mały obwód czaszki (o 5 procent), słabo rozwinięte stawy i tendencje do skrzywienia kręgosłupa. Kiedy odpowiedziałem na pytania o jego rozwój - powolność w mowie, bieganiu, uczeniu się zasad korzystania z toalety, niezwykłą serdeczność wobec obcych, nawyk kiwania się w tył i w przód - zauważyłem zatroskane skupienie na twarzach lekarzy.

- Miał po prostu paskudny start - wyjaśniałem gwałtownie internistom i rezydentom, opisując drogę Adama od zaniedbujących go biologicznych rodziców, poprzez stanowe szpitale i domy zastępcze, aż do naszego spotkania. - Zrobił niewiarygodne postępy.

Najwyraźniej nie byli przekonani. Moje słowa nie zdołały zrównoważyć faktu, że leżał tu nieprzytomny na łóżku.

- Co pan wie o nawykach jego rodziców? - spytał doktor Storrs drugiego wieczoru. - Czy matka odżywiała się prawidłowo w czasie ciąży? Paliła? Brała narkotyki? Piła?

Przypomniałem sobie pierwsze wiadomości od Denisa Diagle'a. - Kiedy odebrano go rodzicom, Adam był niedożywiony. Nie rozwijał się prawidłowo -

cytowałem. - I tak, jego matka piła, ale nie wiem co i w jakich ilościach.

Zapisał te informacje w karcie choroby.

- Jak jej zachowanie sprzed lat mogło wpłynąć na ten atak? - spytałem.

- Szukamy wszelkich możliwych powiązań. Ostatnie wyniki testów na zwierzętach sugerują, że pewne teratogeny mogą istotnie wpływać na rozwój

płodu. Spróbuję dowiedzieć się o tym więcej. Szczerze mówiąc, stan

pańskiego syna jest dla mnie prawdziwą zagadką. To, co się z nim dzieje, powinno o czymś świadczyć, ale nie wiem, o czym.

Delikatnie ujął nadgarstek Adama kciukiem i palcem wskazującym, i zmierzył mu puls. - Serce mu bije jak u długodystansowca. Może wybierze kiedyś ten sport.

Staralem się zachować optymizm. Po godzinie leżałem z zamkniętymi oczami w hotelowym łóżku i wyobrażałem sobie Adama przeskakującego białe, drewniane płotki, Adama rzucającego oszczepem, wypinającego chudą pierś, by przerwać wstęgę i wygrać wyścig.

Obudziło mnie pukanie do drzwi. Oprzytomnienie zajęło mi ledwie krótką chwilę.

- Tak. - Zauważyłem, że światło prześwitujące przez weneckie zasłony wskazuje na wczesny ranek.

- Miał pan telefon ze szpitala - usłyszałem - Prosili, żeby pan przyjechał.

Serce mi zamarło. Nagle wszystkie szczegóły umeblowania pokoju nabrały niezwyklej wyrazistości, jakby obwiedziono je czarnym ołówkiem. Jak na filmie w zwolnionym tempie koncentrowałem się na detalach, których przedtem nie zauważyłem: odbicie spadającego jesiennego liścia nad biurkiem, fakt, że nie brakowało żadnej z czterech śrub w zamku, ciemna plama na dywanie

tuż przy wejściu, gdzie wycierano zbyt wiele butów.

- Pańskie dziecko obudziło się i pyta o pana. Niech pan im powie, żeby na przyszłość dzwonili po ósmej.

Czas zaczął pędzić. Opłukałem twarz i zapomniałem zasznurować buty.

W

połowie drogi od parkingu zorientowałem się, że nie mam płaszcza, ale zamiast wrócić, włączyłem ogrzewanie. Niebo na wschodzie przybrało miedzianożółtą barwę, a zasy pył śnieżny wzdłuż drogi przykryła świeża warstwa. O tej godzinie było jeszcze niewiele samochodów, ale te, które były, wyrzucały chmury spalin. Światła uliczne nie przestawiły się jeszcze na dzienną pracę i w przerwach migają tylko bladą żółcią. Jechałem przed siebie, jakby wszystkie były zielone.

Przeskakiwałem po dwa stopnie biegnąc na górę do pokoju Adama.

Dobiegły

mnie stamtąd głosy i wszedłem. Doktor Storrs siedział na łóżku, zasłaniając mi widok białym fartuchem.

- Patrz za moim palcem - powiedział do mego syna. - Tak... W górę, w prawo, w lewo i w dół. A teraz spójrz na ten punkt na moim czole.

Zatrzymaj

wzrok. Dobrze. Jesteś głodny? Zjadłbyś śniadanie?

Zapadła cisza, więc od razu pospieszyłem z wyjaśnieniami.

- Nie rozumie pana. Nie zna jeszcze słów. - Nagle przypomniałem sobie, gdzie jestem, zamknąłem oczy i podziękowałem.

- Sok pomarańczowy.

Dziękuję. Doktor Storrs wstał i Adam mnie zobaczył.

- Sok pomarańczowy, tatusiu.

Rozdział trzeci

Wciąż, jak przypominał mi wiele razy w ciągu następnego tygodnia doktor Storrs, "nie wyszliśmy z lasu". Adam był wyraźnie coraz zdrowszy - wrócił mu apetyt i przybierał na wadze, a ataki zdarzały się coraz rzadziej i wydawały się być kontrolowane przez dilantynę. Wciąż jednak nie wiedzieliśmy, co było ich przyczyną. Adam dobrze się czuł w szpitalu i wkrótce podbił serca pielęgniarek i sanitariuszy z oddziału. Wszystkich wchodzących do jego pokoju witał tak, jakby byli jego najserdeczniejszymi przyjaciółmi, a jego wylewność szybko zdobyła mu popularność w całym szpitalu.

Pewnego dnia, kiedy czytałem Adamowi bajkę "O małym silniku, który mógł"

- zapukało do nas dwóch młodych Indian. Byli studentami pierwszego roku z

Dartmouth, gdzie niedawno postawiono na kształcenie utalentowanych Indian.

Usłyszeli w miasteczku o naszym przyjeździe. Krąg Rdzennych

Amerykanów jest stosunkowo niewielki i rzadko się zdarza, żeby po pięciu minutach rozmowy nie zahaczyć o wspólnych znajomych. Howard Zła Ręka (z rezerwatu rezerwatu Siuksów różyczka), Duane Niedźwiedzi Ptak (Mandan-Hidastsa z rezerwatu Fort Berthold w Dakocie Północnej) i ja wkrótce odkryliśmy paru wspólnych przyjaciół. Podczas zabawy z Adamem, Howard i Duane opowiedzieli mi, że są członkami piętnastoosobowej grupy rdzennych amerykańskich studentów z całego kraju, a college jest w trakcie opracowywania Programu Studiów nad Indianami. Czy nie chciałbym tam wykładać?

Dobrze mi się rozmawiało z Howardem i Duane'em. Mieli bliskie mi, szelmowskie poczucie humoru właściwe Rdzennym Amerykanom z Alaski i mojej rodzinie. Jest to rodzaj dowcipu opartego na dwuznacznikach, kalamburach, śmianiu się z siebie samego i pomniejszaniu faktów. Już dawno nie czułem się tak swojsko i swobodnie. Studenci Franconii byli bardzo mili, ale różniliśmy się odniesieniami i systemem skojarzeń. Pochodzili w większości z bogatych rodzin, choć próbowali tuszować ten fakt tanimi ciuchami i wojskowym ekwipunkiem. Żarliwie interesowali się polityką, z

wyrafinowaniem

używali narkotyków, i męczyły ich kaprysy establishmentu. Przewidywali swą

przyszłość na podstawie daty urodzin, konfiguracji gwiazd, linii dłoni bądź zawłości ucha i ponad wszystko w świecie pragnęli być dorośli. Nie znali też śmiesznych kawałów. Duane za szybko przeszedł do kwestii robienia pieniędzy, co miało zagwarantować opłacalność Programu Studiów nad Indianami.

- Moglibyśmy opracować indiańską grę w monopol - podsunął. - Zamiast kategorii szansy, pojawiłoby się BSI (Biuro do Spraw Indian): "Twoje plemię

wygrało właśnie sprawę w Sądzie Apelacyjnym. Cofasz się o trzy pola".

- Albo - przerwał mu Howard - moglibyśmy napisać pilota indiańskiej epopei science-fiction, pod tytułem "Indianie w kosmosie". Lamowane srebrem

bryczesy i antenka zamiast pióropusza. Wspaniałe.

Pomyślałem, że dobrze byłoby, gdyby Adam wychowywał się wśród Indian,

dobrze również dla mnie, powiedziałem więc, że jeśli Program Studiów nad

Rdzennymi Amerykanami wejdzie w życie, to jestem zainteresowany.

Duane i

Howard obiecali wpisać mnie na listę.

Po powrocie do Sugar Hills wahałem się, czy opowiedzieć Denisowi o wypadku Adama, wciąż tkwiły mi w pamięci słowa urzędniczki ze szpitala Littleton. Przerazała mnie myśl o komplikacjach, które mogłyby opóźnić

albo

uniemożliwić adopcję. W jakimś sensie czułem się winny, jakby choroba Adama

była wywołana moim zaniedbaniem czy nieuwagą. Obwinałem się, że stracił na

wadze, bo nie zatrzymałem się na obiad w drodze z Montrealu. Poza tym, gdybym wstał wcześniej i zareagował szybko, mógłbym zapobiec fatalnym

konsekwencjom. Być może Adam stracił przytomność, bo żądałem od niego zbyt

wiele i zbyt szybko? Może Denis stwierdzi, że skoro muszę pracować na pełnym etacie, nie mogę samotnie opiekować się dzieckiem z chronicznym schorzeniem.

Administracja college'u Franconia okazała wyrozumiałość, a moi studenci z

ochotą przełożyli bądź odpuścili sobie opuszczone przeze mnie zajęcia.

Poranne i wieczorne dawki dilantyny kontrolowały ataki Adama i dzięki temu

mógł wrócić do centrum dziennej opieki. Po kilku tygodniach nasze życie wróciło do normy, tyle tylko, że ja się zmieniłem. Już nie byłem tak beztroski, zwracałem uwagę na każdą zmianę w zachowaniu Adama i zacząłem

widzieć go w nowym świetle: po raz pierwszy wydał mi się nie tylko cenny i

cudowny, lecz również niezwykle warty. Bałem się o jego bezpieczeństwo na

podwórku, podatność na choroby dziecięce, o każdy następny oddech. Wypatrywałem skutków ubocznych jego długiej utraty przytomności - ospałości, utraty pamięci, braku koordynacji - i wszystkie je dostrzegałem. Dwa czy trzy razy przed zaśnięciem stawałem cicho w drzwiach jego sypialni i w ciemności wsłuchiwałem się w rytm jego oddechu. Czekałem na to, żeby coś się stało, coś, co przeniosłoby nas ze stanu niepewności w szeroki strumień naszej przyszłości.

Czekałem na to ledwie trzy tygodnie.

Sroga zima jest normalnym zjawiskiem w środkowej Nowej Anglii, zauważalnym jedynie w wypadku dużej częstotliwości bądź wyjątkowej intensywności. Codziennie rano odgarniałem śnieg, podczas gdy silnik samochodu się rozgrzewał. Adam bawił się w kojcu, póki nie oczyściłem drogi, nie zdrapałem mrozu z przedniej szyby i nie włączyłem odmrażacza.

Czynności te były dla mnie równie energetyzujące jak filiżanka czarnej kawy. Powietrze było zimne i ostre, kontury krajobrazu złagodzone nocnymi opadami śniegu, a cisza poranka tak elektryzująco błękitna, że ledwo zauważałem te utrudnienia. Pługi śnieżne zaczynały pracę przed świtem i droga na nasze wzgórze była zazwyczaj przejezdna. Ignorowałem więc prognozy pogody i nie słuchałem deszczu ze śniegiem bijącego o szyby.

Byłem zaskoczony, kiedy pewnego lodowatego poranka pod koniec lutego,

ubrany w wełnianą koszulę z kapturem i ciepłe rękawice, pchnąłem frontowe

drzwi, a one pozostały zamknięte. Słońce jeszcze nie wzeszło, włączyłem więc światło przed domem i wyjrzałem na szalejącą zamieć. Wokół domu przysiadły wysokie na metr zasy śnieżne. Nie mogłem wyjść przez okno ani

otworzyć drzwi dzielących naszą suterенę od reszty domu. Lokalna stacja radiowa ogłosiła stan klęski żywiołowej i odwołała wszelkie spotkania od kolacji urodzinowej Lincolna w kościele Kongregacji z pieczoną fasolą, po zajęcia w college'u Franconia.

- Jesteśmy uwięzieni - szepnąłem do Adama, który natychmiast podchwycił zabawę, wytrzeszczając oczy z przerażenia.

Zdjąłem mu płaszczyk i buty i nastawiłem płytę Joan Baez "The Night They Drove Old Dixie Down". Lodówka była jak zawsze pełna. Kiedy się ma ogrzewanie, elektryczność, bieżącą wodę i możliwość przyurządzenia steku wołowego, trudno wyobrazić sobie coś lepszego niż uwięzienie przez śnieg.

Ograniczenia narzucone przez naturę wzmagają poczucie komfortu i luksusu

mijających godzin. Widziałem już cały dzień wypełniony, według określenia

podręczników wychowawczych, "wartościowymi zajęciami", przeżyciami ojca i

syna, które tajemniczo zapadną w psychikę Adama i których wspomnienie przechowa na zawsze. Należał do nich zapach wyjętego z suszarki koca albo smak mleka, kiedy się jest spragnionym. Postanowiłem zorganizować ten czas oddzielenia od świata, stworzyć uzdrawiające, niezwykle poczucie przygody.

Jak rozbawione dzieci przeglądaliśmy kolejne książki z obrazkami, nie troszcząc się o odkładanie ich na półkę. W rezultacie zaśłaliśmy nimi cały dywan. Z przewróconych garnków, talerzy i misek zbudowaliśmy wioskę, a po drodze ciągnęły konwoje ciężarówek z prażonej kukurydzy i kanapek z masłem orzechowym. Jeśli spodobała się nam jakaś piosenka, puszczaaliśmy ją do upojenia. Adam pałętał się po mieszkaniu w moich rozsznurowanych butach.

Rysowaliśmy też paznokciami wzory na oszronionych szybach. W południe wciąż szalała zamieć, a my byliśmy już zmęczeni. Wsunęliśmy się więc pod koce na moim łóżku i zasnęliśmy ukołysani zawodzeniem silnego wiatru.

Otworzyłem oczy po kilku godzinach, kiedy krótkie północne światło dnia zaczynało ciemnieć. Minęła dobra chwila, zanim oprzytomniałem i oddzieliłem sen od ostrego klucia w boku. Nagle przebudziłem się ostatecznie. Adam

leżał na plecach z głową przekreśloną na lewy bok i nienaturalnie wyciągniętą szyją. Wokół ust pozostał ślad po strużce śliny. Oczy miał na wpół otwarte, niewidzące. Skóra była sucha i gorąca, a ramiona i nogi podrygiwały zgodnie z powolnym rytmem jego serca długodystansowca.

Mówiono mi, że ataki nie były tak poważne, jak to wyglądało, że powinienem trzymać Adama blisko siebie, przewrócić go na bok i upewnić się,

że język nie zatyka tchawicy. Miałem przemawiać do niego łagodnym tonem i czekać.

- Obudź się, Adamie - powiedziałem przytulając go do piersi. - To ja, tatuś. Wszystko w porządku. Spokojnie. Odpręż się. - Poruszył kończynami przypominającymi skrzydła ptaka zrywającego się do ucieczki. Siła, z jaką się miotał na oślep, przerażała mnie. Mówiłem jednak dalej, raz po raz, aż wreszcie, niechętnie jak ryba na piasku, uspokoił się i znieruchomiał. Nie mogłem go unieść.

Pobiegłem do łazienki i zmoczyłem ścierkę zimną wodą. Miał tak wysoką gorączkę, że trzeba było się tym zająć w pierwszej kolejności. Odgarnąłem miękko jego włosy i przesuwałem mokrą ściereczką po twarzy, pozostawiając krople wody do wyschnięcia. Zachęcony nieznacznym grymasem, przemówiłem znowu.

- Hej, Adam. Czas na obiad. No, dalej, otwórz oczy.

Zrozumiał mnie. Widziałem, jak usiłuje odzyskać świadomość, i zbyt wyczerpany, poddaje się.

- No to śpij - powiedziałem. - Poczujesz się lepiej, kiedy wypoczniesz. Już dobrze, śpij.

Nie spuszczać go z oczu, sięgnąłem po telefon, wykręciłem zero i powiedziałem telefonistce, żeby połączyła mnie z pogotowiem.

Naliczyłem

siedem sygnałów, zanim usłyszałem głos dyżurnego lekarza. Był to ten sam

lekarz, który badał Adama. Przypomniałem mu, kim jestem.

- Adam miał kolejny atak. Bardzo poważny - mówiłem spokojnym tonem. Jeśli

Adam mnie słyszał, nie chciałem go bardziej zdenerwować.

Nie odpowiedział od razu. - Dlaczego dzwoni pan do mnie? Sądziłem, że wystarczająco dobrzy lekarze są tylko w Hanoverze.

Poczułem czystą i w pełni uświadomioną wściekłość. Ten człowiek, starszy

ode mnie ledwie o kilka lat, nagle zmienił się z doświadczonego lekarza i potencjalnego przyjaciela w przestępcę, którego urażone ego było ważniejsze

od zdrowia mego dziecka. Na usta cisnęły mi się słowa oskarżenia i groźby,

ale zachowałem je na później, kiedy nie będę miał nic do stracenia.

- Był w szpitalu przez tydzień - powiedziałem, jakbym go nie słyszał. - Bierze dilantyne, a to pierwszy atak od naszego powrotu. Przepraszam, powinienem był zadzwonić wcześniej, ale byłem zajęty... Co mam robić?

Gorączka nieco opadła i leży teraz spokojnie, ale wciąż nie mogę go dobudzić.

- Niech to prześpi. To pewnie nic groźnego, ale jeśli chce się pan upewnić, zawsze może pan zadzwonić do Hanoveru.

Uświadomiłem sobie, że musiał przeciwiczyć sobie tę rozmowę i przedłużając ją teraz, przysparzałem mu tylko satysfakcji. Odłożyłem słuchawkę i siedziałem w ciemniejszym pokoju. Z zaciśniętymi z gniewu szczękami wpatrywałem się tępo w ścianę. Łóżko zatrzęsło się, Adam miał kolejny atak.

Rozpoczął się od drżenia uda, uderzenia ręki i rozwarcia ramienia. Jego plecy wygięły się w łuk, kiedy przyciągnąłem go do siebie i odnalazłem ścierkę, wciąż ciepłą od ostatniego ataku. Trzymałem go tak blisko, że nasze ciała wymieniły ruchy: jego w końcu uspokoiło się, a moje kołysało się na boki.

Tej nocy, pomiędzy drugim a trzecim atakiem Adama, zadzwoniłem do doktora

Storrssa i opowiedziałem mu wszystko ze szczegółami. Słuchał mnie, nie przerywając.

- Może to grypa - powiedział. - Gorączka mogła wywołać ataki. Dobrze pan

robi, obniżając temperaturę. Niech pan mu da aspirynę dla niemowląt - małą

dawkę ze względu na jego wagę - i proszę trzymać go w chłodzie, ale nie w

zimnie. Gdyby pan był w mieście, kazałbym panu przyjechać, ale pogoda

jest

okropna. Zajęłoby to parę godzin, a droga pewnie i tak jest nieprzejezdna.

Opowiedziałem mu o tutejszym lekarzu, ale nie chciał tego komentować.

- Adamowi prawdopodobnie nie posłużyłby pobyt w szpitalu. Dopóki ataki

nie trwają dłużej niż kilka minut, a pan może kontrolować temperaturę,

jest

bezpieczniejszy w domu niż w samochodzie. Proszę go jutro przywieźć na badanie krwi, może zwiększymy dawkę leku.

Staralem się znaleźć oparcie w jego słowach, kiedy Adam przechodził jeszcze dziewięć ataków tej nocy, nie odzyskując nawet przytomności.

Chwilami wydawało się, że walczy ze znacznie większym, silniejszym i bardziej doświadczonym przeciwnikiem. Szarpał się, żeby nie zostać unieruchomionym, by jego barki nie zostały przygwożdżone, by rzucić przeciwnika z siebie. Grałem rolę trenera, menedżera i dopingującej publiczności. Nie wygraliśmy, ale i nie zostaliśmy zwyciężeni. Z

nadejściem

ranka, kiedy byliśmy wyczerpani, obolali i oszołomieni od razów, mecz dobiegł końca. Adam odzyskał przytomność. Nakarmiłem go mlekiem i

tostem i

wykąpałem w naszej blaszanej wannie. Po kuchni walały się resztki naszego

idealnego dnia pośród śniegu - rozrzucone książki, przewrócone garnki, resztki nie uprażonych ziaren w pomarańczowej plastikowej misce.

Posprzątałem to dopiero wieczorem, kiedy wróciłem ze szpitala w

Hanoverze z

nową fiolką pigułek.

W ciągu następnych kilku miesięcy różni specjaliści sugerowali różne hipotezy w kwestii ataków Adama. Test elektroencefalograficzny (EEG) wykazał niewielkie uszkodzenie w lewym płacie skroniowym mózgu, które wywoływało gwałtowne impulsy. One właśnie stymulowały ruchy prawego ramienia i nogi, blokując normalne funkcjonowanie świadomości i kontroli motorycznej. Współczesna technologia była bezsilna wobec tego problemu spowodowanego bądź uszkodzeniem przy porodzie, bądź wstrząsem. Najchętniej przyjmowano teorię nie popartą żadnymi dowodami z wyjątkiem faktu istnienia defektu. Według niej, w czasie nieokreślonym i nie udokumentowanym, Adam przeszedł zapalenie mózgu. Powszechnie sądzono, że choroba ta jest przenoszona przez końskie kleszcze i mogła być przyczyną tego, co pokazywały odczyty EEG, jak i chronicznej natury ataków. Zapewniono mnie, że Adam nie jest epileptykiem, choć z wielu powodów mógł być leczony, jak gdyby nim był.

Pierwszym przepisany na dłuższy termin lekiem był phenobarbital, specyfik pobudzający mózg i motorykę u dorosłych, ale tłumiący ją u dzieci.

Był stosunkowo tani, skuteczny i wywoływał niewiele efektów ubocznych.

W

wypadku Adama działał jednak jak środek nasenny. Jeśli nie był

pogrążony w

głębokim śnie, zapadał w letarg, obojętny na wszystko. Dilantyna, którą

brał wcześniej, pomagała mu zachować przytomność, ale wywoływała

również

komplikacje. Dawka była tak duża, że stymulowała porost włosów na

głowie,

ramionach i nogach, a z czasem osłabiała dziąsła, które zaczęły krwawić.

Mniej groźna, ale co najmniej równie kłopotliwa była świadomość, że

miłość Adama do świata była wywołana lekami, których skutki uboczne

były

właściwie niewiadomą. Dopiero zaczynał funkcjonować jako odrębna

istota i

nie mogłem porównać jego ostatnich reakcji, zdolności do nauki czy

bystrości. Wydawał mi się na przemian ospały i nadmiernie aktywny,

napęczniony energią i wyczerpany. Podręczniki o rozwoju dzieci były w

jego

wypadku bezużyteczne, większość z nich nie uwzględniała przypadków

wcześniaków maltretowanych i porzucanych, przechowywanych w

różnych

instytucjach, klasyfikowanych, a na koniec chorych - wszystko w ciągu

pierwszych trzech lat życia. Nie mieścił się w ramach ich normalnych

przypadków i przewidywań, wybryk natury, z którym wszystko było

możliwe,

ale niczego nie można było zagwarantować. Nie istniały standardowe wykresy, według których można było zmierzyć jego zdolność mowy, poziom wiedzy i sprawność ruchową. Nie można było oczekiwać od niego nic konkretnego. Każdy najskromniejszy sukces był osiągnięciem, każdy przejaw normalności cudem.

Adam i ja, jako syn i ojciec, znajdowaliśmy się na terytorium bez określonych praw. Nikt nie znał odpowiedzi na najbardziej podstawowe pytanie: Czy wyzdrowieje? Jeśli ataki konwulsji były wywołane zapaleniem mózgu, byłoby możliwe, możliwe, że stopniowo będą zanikać w miarę dojrzewania. W trakcie jego rozwoju, uszkodzenie mogło zniknąć albo zbliżyć się tak, że nie musiałby już brać leków. Mogłoby to mieć miejsce w okresie dojrzewania albo wcześniej czy później. Może nigdy. Jeśli jednak jego problemy miały inną przyczynę - cechy dziedziczne z nieznaną, zamkniętą linią biologiczną, wtedy mogły stawać się coraz poważniejsze, a nawet zagrażać jego życiu. Wciąż mi powtarzano, że musimy czekać.

A na razie, dzień po dniu, rano, w południe i wieczorem, były leki. Stały się moim wytłumaczeniem, uzasadnieniem każdej niemocy Adama. Nie potrafił na przykład doliczyć do pięciu, liczby swoich lat.

Całymi tygodniami pomijał liczbę trzy.

- Jeden, dwa, cztery, pięć - powtarzał pomimo moich starań.
- Jeden, dwa, trzy - nalegałem. - Trzy, trzy, trzy.
- Jeden, dwa, cztery - odpowiadał.

Musiała to być wina leku.

Miał takie kłopoty z rozróżnianiem kolorów kredek, że sądziłem, iż jest daltonistą.

- Ta jest czerwona, ta niebieska, a ta żółta - pokazywałem. - Czerwona, niebieska, żółta.

Nie mógł tego opanować przez całe lata. Znów winne były leki.

Korzystanie z toalety wydawało się poza zasięgiem jego możliwości, a przecież kiedy uprzedzałem jego potrzebę i sadzałem go na sedesie, wiedział, co robić i próbował się dostosować. Jeśli jednak ja zapominałem, on również zapominał i pozostawał nieczuły na zmoczoną pieluchę.

Inne dzieci z jego centrum opieki, nawet te młodsze, ulepszały swoją mowę

przez używanie zaimków. Nie miały problemów z rozróżnieniem "ja" i "mnie" a

resztą ludzkości w postaci "ty". Adam natomiast utknął na trzeciej osobie i nawet o sobie mówił po imieniu: "butelka Adama", "Adam śpiący",

"Adam

jeść". Mnie i wszystkim innym zadawał to samo pytanie: "Kochasz Adama"? i

niezależnie od tego, ile razy powtarzano mu czyjeś imię, nie pamiętał go.

Z

wyjątkiem mnie. Nigdy nie zapomniał słowa "tatuś".

Musiała to być wina leku.

Nasze życie uległo diametralnej zmianie. Zaproponowano mi posadę w college'u Dartmouth i przyjąłem ją od następnego roku. Niedługo przed tym, jak Adam zachorował, związałem się z pewną artystką o imieniu Eileen, która również wykładała we Franconii i mieszkała w sąsiednim miasteczku. Odwzajemniła moje uczucia i w krótkim czasie zaczęliśmy planować wspólną przyszłość. Oboje z Adamem z miejsca przypadli sobie do gustu. Całymi godzinami rozprawialiśmy o naszym stosunku do małżeństwa - teoretycznie zgodziliśmy się na rodzicielstwo i zmiany, które wprowadzi ono w naszym życiu "osobistym". Prace Eileen zaczynały zdobywać sobie popularność w kraju, co sprawiało, że brak zobowiązań pozwalał jej teraz na ekscytujące zmiany i stanowił równą atrakcję jak dla mnie uroki domowego ogniska. Obojgu nam odpowiadała niezależność, dodawała blasku życiu. A jednak nasze uczucie było tak silne, że rozważaliśmy każdą możliwość.

Kiedy stan Adama poprawił się na tyle, że mogłem wrócić do pracy, oboje z Eileen zaczęliśmy się znów spotykać i przez jakiś czas nasz związek zdawał się być silniejszy niż kiedykolwiek. Czasem zapraszała Adama do siebie na całe popołudnie, żebym mógł odetchnąć i dać im szansę poznania się sam

na

sam. Był odprężony w jej towarzystwie, a ona darzyła go coraz większym uczuciem. Przez całą wiosnę planowaliśmy pikniki, wycieczki w Białe Góry,

polowania na jajko wielkanocne w składzie trzyosobowym, a kiedy myślałem o

pracy w Dartmouth, z radością wyobrażałem sobie, że znajdziemy mieszkanie w

połowie drogi między naszymi miejscami pracy.

Kiedy tylko powracała kwestia stanu zdrowia Adama, a było to nieuniknione

przynajmniej trzy razy dziennie, kiedy brał leki, Eileen zawsze była skora do pomocy, przekonana, że będzie coraz lepiej. W krytycznym okresie, kiedy

musiałem zaakceptować fizyczną ułomność mego syna, była prawdziwym przyjacielem, doradcą i troskliwą opiekunką. A ja wyciągnąłem błędne wnioski.

W miarę jak zbliżał się koniec roku szkolnego, coraz częściej rozmawiałem

z agencjami nieruchomości, wyszukiwałem domy i obliczałem czas przejazdu do

Hanoveru. Wypadki minionej zimy i wiosny nadwątlily moje poczucie pewności

i chętnie chwytalem się teraz kazdego złudzenia bezpieczenstwa.

Chcialem

wypracowac definicje, ustanowic reguly, ktore uchronilyby mnie przed

niespodziankami. Nagle zacząłem bać się samotności, bycia jedynym opiekunem

Adama. W ten sposób wyrobiłem sobie jednostronny obraz związku z Eileen.

Stałem się najgorszym typem partnera - kogoś, kto usiłuje wymusić spełnienie własnych potrzeb - zupełnie przeciwieństwo samowystarczalnego

bon-vivant bez zobowiązań, którym się z początku wydawałem.

Naciskałem i

nakłaniałem Eileen do przyjęcia zobowiązań, aż wreszcie zmusiłem ją do obrony własnych wyborów i do wyjazdu.

W ostatni dzień semestru przyszedł list. Eileen przyznawała z żalem, że nie jest gotowa na bliski związek ze mną i wzięcie odpowiedzialności za Adama. Ceniła sobie swobodę i możliwość zmian w swojej pracy. Było to możliwe z mężczyzną, który byłby zajęty własną karierą, ale z dzieckiem, szczególnie chorym, nie miało szans na powodzenie. Nie chciała być nieodpowiedzialną matką i dlatego na razie nie mogła być matką w ogóle. Będzie lepiej dla wszystkich, jeśli się rozstaniemy. Kiedy będę czytał ten list, ona będzie już w Kaliforni, gdzie spędzi całe lato. Jej uczucie do mnie było szczere, pisała, ale potrzebowałem więcej, niż mogła mi dać.

Była

pewna, że któregoś dnia, kiedy wszystko się uspokoi, zostaniemy dobrymi przyjaciółmi.

Jak się okazało po siedemnastu latach, nie myliła się. Dokonała odważnego

i dojrzałego wyboru, który wynikał z wiedzy o sobie choć wtedy nie

umiałem

tego dostrzec. Tego dnia, stojąc w drzwiach, przeczytałem jej list dwukrotnie. Nie podała swego adresu ani numeru telefonu. Czułem się okradziony, utwierdzony w najgorszych obawach, rozgniewany i przerażony,

zmuszony ponieść konsekwencje własnych decyzji. Nikt nie wykręcał mi ręki

ani nie obiecywał, że samotne wychowywanie dziecka będzie łatwe. Nie była

to dwustronicowa historyjka w czasopiśmie "Reader's Digest", pod deskami

sceny nie czekał deus ex machina, by rozwiązać wszystkie moje problemy.

W

ciągu paru tygodni musiałem znaleźć dom, umówić przeprowadzkę, znaleźć

opiekę dla dziecka, rozpocząć stresującą pracę i wdrożyć się w akademicką

dyscyplinę. Miałem wykładać Program Wiedzy o Rdzennych Amerykanach,

kierunek, w którym nie miałem formalnego wykształcenia. Nie skończyłem

doktoratu i musiałem zajmować się chronicznie chorym dzieckiem.

Adam spał w swoim łóżeczku, a ja usiadłem przy kuchennym stole.

Drzwi

frontowe były otwarte i czasem wpadał tu z bzyzieniem jakiś owad. Na blacie

stał karton mleka, grał telewizor, a ja spóźniałem się z telefonem do agenta nieruchomości. Mój plan na resztę dnia leżał obok lewej ręki: poprawić eseje, napisać listy, zrobić zakupy (sok pomarańczowy, chleb, jabłka, jajka, papryka), pralnia, Eileen. Będzie leciała z Bostonu, mógłbym tam pojechać i przekonać ją, by została, musiałbym się tylko pospieszyć. Chciałem obudzić Adama, zmienić mu pieluszkę, dać mu lunch i lekarstwo, i ruszyć jak Dustin Hoffman w ostatniej scenie "Absolwenta". Projekt wydał mi się jednak zbyt pracochłonny, wyczerpujący, skomplikowany i z małą szansą na powodzenie. Podjąłem decyzję dawno temu, Eileen miała prawo zrobić to samo. Siedziałem więc dalej, a cienie na podwórzu wydłużały się coraz bardziej. Kiedy Adam się obudził, wybraliśmy się razem do sklepu, wróciliśmy do domu i zjedliśmy omlet. Pranie zostawiłem na następnym dniu.

Nasz pierwszy dom w Górnej Dolinie, jak nazywa się obszar pomiędzy New Hampshire a Vermont, po obu stronach Hanoveru, był chatką nad jeziorem Mascoma. Zamieszkaliśmy w miasteczku Enfield, dwadzieścia minut jazdy samochodem z Dartmouth. Chatkę określono w ogłoszeniu jako bungalow. Za cenę 175 dolarów miesięcznie wydawała się idealnym lokum. Wnętrze było

wyłożone prawdziwym drewnem klonowym, a mebli było niewiele, za to ładnych:

podwójne łóżka w obydwu małych sypialniach, wąska kuchnia, salon z piecykiem naftowym i kominkiem. Jezioro znajdowało się jakieś czterdzieści

metrów w dół zbocza zakończonego pasem piaszczystej plaży. Naszymi jedynymi

sąsiadami była starsza para i rodzina z dwiema córkami. Zajmowali również

wykończone drewnem domy, trochę tylko większe i bardziej rozbudowane niż

nasz. Wszystkie trzy były pomalowane na żółto z zielonymi gontowymi dachami. Cały teren okalały wysokie stare sosny, a nocą najlepsze oświetlenie nie mogło konkurować z niebem.

Adam i ja spaliśmy w pokojach wychodzących na jadalnię. Kiedy zrobiło się

chłodniej, tego pierwszego roku, zaczynałem dzień od ryzykownej operacji

rozpalania w piecyku. W tym celu należało zgnieść kulkę papieru toaletowego, podpalić ją i wrzucić do zbiornika z naftą tuż obok kominka, a

przedtem przekręcić starter. Jeśli zdążyło się zrobić wszystko w porę, następował niewielki wybuch i zaczynało rozchodzić się ciepło. Jeśli zaś nie zdołałem skoordynować wszystkich czynności, musiałem zaczynać całą

procedurę od nowa. Wolałem nie myśleć o gorszej ewentualności.

Moja nowa praca akademicka stanowiła wyzwanie. Nikt w Dartmouth nie miał pojęcia, jak powinien wyglądać Program Wiedzy o Rdzennych Amerykanach, choć pomimo tłumaczeń podejrzewano, że może zawierać naukę pleceniaków i mistycyzm, taka forma przekupstwa radykalnej mniejszości studenckiej. Komplet przydzielonych mi początkowych zajęć wynosił pięć "pełnogodzinnych równoważników", co oznaczało, że połowa mnie była szefem nowego wydziału, a drugą połowę przydzielono katedrze antropologii. Aby uciszyć grzecznie przemilczane wątpliwości Rady, postanowiłem wprowadzić żelazny rygor i wkrótce odstraszyłem tych, którzy zapisali się, bo wydawało im się to szczytem liberalizmu. Ci, którzy pozostali, nie mieli sentymentalnego podejścia do "położenia czerwonoskórych" i byli zdolni.

Zapisałem Adama do centrum dziennej opieki w Norwich w Vermont, które od Hanoveru dzieliła rzeka Connecticut. Budynek w kształcie litery "A", z pluszowym Snoopym w oknie poddasza, wydawał się idealnym miejscem. Pracownicy byli zachwyceni indiańskim dzieckiem - "to takie pouczające dla naszych maluchów" - i zgodzili się podawać Adamowi popołudniowe leki. Byli nieustraszeni wobec tego, co nazywali "opóźnieniem w rozwoju" Adama, i

jako

pierwsi w długiej procesji ludzi byli przekonani, że dzięki swej szerokiej i dogłębnej wiedzy zdołają wprowadzić zmiany tam, gdzie inni, tacy jak ja,

ponieśli klęskę.

Chciałem, żeby mieli rację. Stosowałem ich metody i życzyłem im powodzenia w nauczaniu mego syna liter alfabetu, liczby trzy i rozróżniania

kolorów. Wierzyłem w ich zapewnienia, że w ciągu paru tygodni dzięki ich delikatnej presji Adam nie będzie już potrzebował pieluszek. Miał to być dla nas nowy początek. Nie mogłem się doczekać, kiedy Adam zacznie robić

postępy, będzie się rozwijał, odczuwał motywację do uniezależnienia się. Czekałem, aż sam zechce zawiązać sobie buty, poprosi o jakąś konkretną płytę, zaprzyjaźni się z rówieśnikami, przytyje i zasypie mnie pytaniami.

Każdego ranka i popołudnia, kiedy przywoziłem go i zabierałem ze szkoły,

bez przerwy do niego mówiłem. Wskazywałem ciekawe widoki, pytałem o spędzony dzień, zdawałem mu szczegółową relację z wydarzeń w pracy.

W

połowie trasy drogę przecinały tory kolejowe i Adam myślał tylko o nich. Zauważył je wkrótce po naszej przeprowadzce i utożsamiał z "Małym silnikiem, który mógł".

- Ciuchcia! - Zawołał, kiedy pierwszy raz przejechaliśmy je z turkotem, a ja dołączyłem się, zachwycony jego skojarzeniem:

- Ciuch, ciuch!

Tego wieczoru w drodze do domu czekał na przejazd, a kiedy się pojawił, zawołał: "Ciuchcia". Powtórzył to następnego ranka i wieczora, i jeszcze później. W ciągu dwóch lat dojazdów do centrum opieki nigdy nie opuścił tej uwagi, choć rzadko dodawał cokolwiek poza nią. Mogłem mu opowiadać o wszelkich zaletach suchych spodni - o wycieczkach, które moglibyśmy odbywać bez pieluchy, luksusie czystej skóry, aprobacie i radości innych dzieci i dorosłych - a on nagle, w środku zdania mówił "ciuchcia" i zamykał mi usta.

Mogłem zbliżać się właśnie do punktu kulminacyjnego bajki: "Kto spał w moim łóżeczku i wciąż tam śpi?"

- Ciuchcia.

W takich razach reagowałem zniecierpliwieniem i frustracją albo przeciwnie, pochlebstwem i wesołością.

- Ciuchcia - powtarzał niewzruszenie mój pięcioletni syn.

Jeśli wybierałem inną, okrężną drogę, Adam był zbyt zajęty wypatrywaniem znajomych znaków, żeby mnie słuchać. Jeśli zaś jechałem zwykłą trasą, żaden inny temat czy wydarzenie, żadne błagania nie mogły odwrócić jego uwagi od tej manii. Myślałem, że wskazuje to na jego zainteresowanie koleją, że może

przedwcześnie go zaciekały. Kupowałem więc wszelkie typy kolejek z drewna, plastiku i elektryczne. Wynajdywałem książeczki dla dzieci o pociągach i czytywałem mu je przed snem. Kiedyś, późnym wieczorem, zabrałem

Adama na stację kolejową węzła White River, skąd w ciemnościach obserwowaliśmy żółtą wstęgę przejeżdżającego z łoskotem pociągu do Montrealu. Skoro nie miałem szans zwyciężyć z jego upodobaniem do kolei,

może mógłbym wykorzystać ich silny wpływ na Adama i zwiększyć jego zainteresowanie światem zewnętrznym.

Podczas wszelkich prób Adam nigdy nie narzekał, posłusznie powtarzał to,

co mu kazano, i uśmiechał się, kiedy o to prosiłem. Tkwił przy torach kolejowych niczym samochód bez paliwa. Ani drgnął.

Był to drobiazg, którym nie warto było się przejmować. Dziś, kiedy od dawna już nie jeżdżę tą drogą, a Adama zaprzatają inne sprawy, tamtą historię można potraktować jako zabawną anegdotkę o przesadnej reakcji rodzicielskiej. Wtedy jednak, po pierwszym miesiącu, nie widziałem w tym

nic śmiesznego. Za każdym razem, kiedy mijaliśmy tory, Adam zachowywał się

tak, jakby widział je po raz pierwszy. Jego niezmiennie reakcje były jak cios w żołądek, czerwona płachta albo oślepiające światło prosto w oczy. Jakby zawisł na drabinie na rękach i nie chciał się puścić. Wołał huścić się, dopóki nie spadnie. Uchwycił się jedyne połączenia ze światem, które

na niego oddziaływało i to mu wystarczało, miał dosyć, pochłoneło go całkowicie. Brakowało mu właściwości tak cenionej w naszym gatunku: pragnienia zobaczenia czegoś z następnego wzgórza.

W następnych latach tory kolejowe miały zastąpić inne manie - komiksy z

Garfieldem, krówkami albo kasety magnetofonowe słuchane bez końca na walkmanie - ale nigdy nie zdarzyło się, by zainteresował się więcej niż jedną rzeczą naraz. Nowe pomysły nie przychodziły mu do głowy, był lojalny

wobec jednej myśli, trwał przy niej, aż się zużyła. Nie wiem, co kierowało jego wyborem nowych pasji, poza tym, że wszystkie miały niewiele wspólnego

z tym, co próbowałem mu zaproponować. Czasem myślałem, że jest zamknięty na

przyjmowanie wszelkich nowych idei, które są dla niego korzystne, że postępuje tak z uporu. Często też wyobrażałem sobie, jakby, to było wspaniale zajrzeć do jego mózgu na godzinkę i posprzątać tam, poukładać dane, wyrzucić śmieci i trochę przewietrzyć. Móc powiedzieć prosto i jasno:

to jest ważne, Adamie, to się liczy, to warto wiedzieć. Całymi latami walczyłem ze skutkami przyjmowania leków, atakowałem bariery jego opóźnionego startu, wdzierałem się za mury obronne, które wznosił przeciw

opuszczeniu zaznanym w dzieciństwie. Dopiero następnego lata, kiedy Adam

wciąż miał pięć lat, zacząłem podejrzewać, że moim prawdziwym

przeciwnikiem

jest żyjący w nim duch jego biologicznej matki, która nie żyła już w roku 1973. Zmarła na skutek zatrucia alkoholowego.

Rozdział czwarty

Beatrice Medicine, uznana antropolog z rezerwatu Stojąca Skała
plemienia

Lakota, dołączyła do mnie w Dartmouth z gościnnymi wykładami dla
Programu

Wiedzy o Rdzennych Amerykanach. Początkowo czysto profesjonalne,
nasze

kontakty pogłębiły się tak bardzo, że zaczęła mnie przedstawiać jako
swego

syna. Ta niezwykle mądra i współczująca kobieta żywo zainteresowała się
Adamem. Często jadaliśmy wspólnie z nią i jej szesnastoletnim synem,
Tedem,

w ich małym, wynajętym przez college domku w Hanoverze. Ich dwoje, a
także

wielu innych Rdzennych Amerykanów, jak Nina Sazer, założycielka
centrum

dziennej opieki, do którego chodził Adam, stali się moimi bliskimi i
zaufanymi przyjaciółmi. Razem tworzyliśmy lokalną rodzinę.

Studenci medycyny i innych kierunków - Duane i Howard, Eva Smith

(Shimecock), Butch Guerue (Siuks z Różyczki), Cleora Hubbard (z plemienia Nawaho), Harry i Gerri Buchanage (Siuksowie z Sontac i Sosnowej Grani), Bruce Oakes (Mohawka), Karen Louise Erdrich (Chippewej z Żółwiej Góry), Travis Kinsley (Hopki), Lydia Begay (Nawaho), Mike Hanitchak (Choctaw), Cathy Wilson (Nei Perce), Charlie Kaiaraiak (Inuit), Deborah Wódz Prerii (Czejeni), Charlie Brech (Czirokezi), Grace Newell (Pajuci), Pedro Rado (Tlingit), i inni niedużo młodszy ode mnie, mieszkali tu o setki i tysiące kilometrów od domu. Zazwyczaj traktowali mnie jak równego sobie, Adama zaś jak młodszego brata. Pełni cierpliwości i akceptacji, mówili czasem, że przypomina im bratanka czy kuzyna. Sądziłem wtedy, że dawali się zwieść pozorom.

Po pierwszych szalonych dziewięciu miesiącach Wydział Wiedzy o Rdzennych Amerykanach zdobył sobie uznanie na uczelni. Bea zaprosiła nas z Adamem w lipcu w odwiedziny do jej matki w Wakpaha w Dakocie Południowej, do rezerwatu Stojącej Skały. Przyjąłem tę propozycję z ochotą. Posługując się wykrojem z gazety z wycięciami w kształcie rękawów, przodu i tyłu, Nina uszyła nam tradycyjne koszule powwow dla ojca i syna. Koszule były z ciemnej marynarskiej krepki w białe groszki, ożywionej wąskimi lamówkami z

białej satyny wokół klatki piersiowej i mankietów. Podczas naszego tam pobytu, w Wakpala miała odbywać się wielka uroczystość. Adam miał dostać

imię Lakota. Wiedząc o tym parę miesięcy wcześniej, pozwoliłem, by urosły

nam włosy. Moje, mieszane, opadały na ramiona brązową falą, zaś włosy Adama

pełnej krwi były absolutnie czarne. Rosły dużo szybciej przez działanie dilantyny i teraz można je było zapleść w dwa warkoczki.

Mam zdjęcie zrobione tuż przed naszym wyjazdem z New Hampshire.

Adam ma

na nim czystą skórę i ogromne ciemne oczy z prostymi gęstymi rzęsami.

Siedzi na drewnianym płocie za naszym domkiem i spogląda przez ramię w

obiektyw. Jego włosy połyskują w promieniach słońca zza drzew.

Uśmiecha

się. Ma na sobie spodnie w niebiesko-białe paski i czerwoną koszulę -

prezenty od ciotki. Jest zbyt szczupły, ma kościste ramiona, sterczące

łokcie i kostki nadgarstka. Wygląda na mniejszego i młodszego niż jest.

Jego oczy wyrażają zagubienie, jakby oczekiwał dalszych instrukcji.

Za dwa dni mieliśmy spotkać się z Beą w Instytucie Indiańskim

Uniwersytetu Vermillion w Dakocie Południowej. Wyjechałem z New

Hampshire

przed świtem, wybierając mało uczęszczaną północną drogę przez Kanadę.

Adam

był dobrym towarzyszem podróży. Siedział spokojnie, ożywiając się tylko

na

widok ciężarówki albo torów kolejowych. Nie pytał, kiedy wreszcie dojedziemy, nie wybierał stacji radiowych, nie chciał wiedzieć, dokąd i po co jedziemy. Kiedy zatrzymałem się po benzynę, położyłem go na tylnym siedzeniu i przewinałem, a późnym popołudniem, w sklepiku w górnej części

półwyspu Michigan kupiłem chleb i ser na kanapki. Przy kasie uświadomiłem

sobie, jak męczące musiało być dla Adama tych jednaście godzin w samochodzie, więc by wynagrodzić jego cierpliwość, kupiłem mu pierwszą w

życiu gumę owocową.

- Tylko jej nie połykaj - powtarzałem raz po raz. - Kiedy skończysz, wyrzuć zużyty kawałek do popielniczki albo zawiń w papierek i wyrzuć do

śmieci. Żuj po jednej gumie za każdym razem.

Adam dał znak, że rozumie. Żuł uważnie, otwierając szeroko szczęki po każdym przygryzieniu, by uwolnić gumę, i zaciskał je znowu. Skupił się na

pracy zębów całkowicie, do góry i na dół.

Próbował, ale oczywiście mu się nie udało. Po pierwszym przełknięciu śliny guma zniknęła. Zrozumiałem, że muszę kontrolować każdy kawałek i

zniechęciły mnie godziny wyjaśnień. Skreśliłem więc w myślach gumę z rzeczy

dostępnych Adamowi. Kolejny drobiazg bez znaczenia, będący jednak

częścią

wielu rzeczy na zawsze usuniętych z jego życia. Przypomniałem sobie
dowcip

o człowieku, który nie mógł chodzić i żuć gumy jednocześnie. Teraz,
kiedy

mój syn okazał się taką osobą, przestało mnie to bawić.

- Wiesz co? - Zacząłem. - Usiądź sobie na tylnym siedzeniu z całą
paczką.

Kiedy tylko zniknie smak, połykaj gumę i bierz następną.

- Uznałem, że lepiej będzie zakończyć sprawę w pięć minut i zapomnieć
o
wszystkim.

Adam był uszczęśliwiony. Widziałem w tylnym lusterku, jak rozpakował
cztery gumy. Żwawo ruszał szczękami, na jego twarzy malowało się
podniecenie. Było to dla niego najbardziej interesujące wydarzenie z całej
podróży. Kiedy zużył ostatnią gumę, podałem mu chusteczkę, żeby wytarł
sobie brodę i przód koszuli, i zaproponowałem parogodzinną drzemkę.
Chciałem jechać jak najdłużej, żeby następnego dnia przed obiadem
dotrzeć

do Vermillion. Oznaczało to, że tej nocy musiałem dojechać jak najbliżej
Duluten. Droga była prawie pusta, a krajobraz bujny i słabo zaludniony.

Przełączyłem radio na stację C??&??W z Marquwtte i próbowałem sobie
wyobrazić rezerwat. Za dwa dni znów będą jedli zupę z kukurydzy i
smażony

chleb przy wtórze bębnow z północnej równiny. I po raz pierwszy będę
tam z

Adamem. Chciałem nauczyć go pięknych tańców, kiedy podrośnie, może nawet zdobędą taśmy w narzeczu Lakota i Siuksów i nauczę go ojczystego języka.

Jadąc coraz dalej na zachód, odczuwałem ulgę. Nad drzewami otwierało się przede mną niebo na końcu nieskończonego szerokiego i długiego leja, niczym strop zawieszony bez podpory ponad linią horyzontu.

Dochodziła dziewiąta, kiedy podjechałem pod duży motel ze znakiem mówiącym, że mają tu wolne pokoje. Adam już się obudził, wysiedliśmy więc z samochodu i z wieczornego chłodu weszliśmy do jasno oświetlonego holu. Kierownik, uśmiechnięty na dźwięk dzwonka, popatrzył na mnie, na Adama, i znowu na mnie.

- Ma pan pokój dwuosobowy? - spytałem. - Jesteśmy z synem w drodze od rana.

Mężczyzna spojrział na Adama. - Przykro mi, wodzu. Mamy komplet.

- Na zewnątrz jest znak, że są wolne miejsca - zaprotestowałem i nagle dotarło do mnie, że powiedział "wodzu". Przygryzłem wargę, żeby się pohamować. - Gdzie jest najbliższy motel?

- Nie wiem.

- Postępuje pan niezgodnie z prawem.

- Mówiłem, że mamy komplet - uśmiechnął się.

Wzięłem Adama za rękę i pchnąłem drzwi pozwalając, by się zatrzasnęły. Przystanęliśmy na schodach, a ja zastanawiałem się co robić. Obcy ludzie zazwyczaj nie brali mnie za Indianina, ale z Adamem sprawa przedstawiała się inaczej. Znajdowaliśmy się w części kraju o największej liczbie rezerwatów, gdzie królowała dyskryminacja i prześladowania. Było już za późno, żeby szukać numeru Komisji Praw Człowieka w Michigan i donieść na zjadłego kierownika - zostawiłem to do następnego ranka - a Adam był wykończony.

- Jedziemy - powiedziałem. Przejechaliśmy ponad dwadzieścia kilometrów, zanim pokazał się następny motel.

- Zaczekaj tu. Zaraz wracam. - Tym razem oczywiście nie było problemu. Właścicielka była uosobieniem gościnności. Miło było jej mnie widzieć, niepokoiła się o pozostawionego w samochodzie chłopczyka. Obiecała cichy pokój, w którym nikt nie będzie nas niepokoił. Może zachowywałaby się tak samo, gdyby Adam był ze mną, ale nie chciałem ryzykować.

Pokój wyłożony był czerwonym drzewem i oświetlony lampkami rzucającymi ciemnozielone cienie. Łóżka okryte brązowymi narzutami z weluru były zbyt miękkie. Mimo to mogliśmy wreszcie wypocząć. Zamknąłem drzwi i padłem na

materac, wyciągając się na całą długość. Adam podszedł do telewizora i czekał, aż go włączę, ale wyciągnąłem do niego ramiona.

- Uściskaj tatusia - poprosiłem. - Byłeś dziś bardzo grzeczny.

Adam podbiegł i przylgnął do mnie twardym, lekkim ciałem.

Uwielbiał pieszczoty nade wszystko. Zamknąłem oczy, zdjąłem gumkę, która

więzała jego długie włosy w koński ogon, i zacząłem niedbale przeczesywać je palcami.

Naraz natrafiłem na przeszkodę. I jeszcze jedną. I jeszcze. Włosy Adama były posklejane i lepkie. Tuż przy głowie potworzyły się kołtuny. Oparłem się na łokciu, żeby się temu lepiej przyjrzeć i zrozumiałem. Guma.

Zabrałem

Adama do łazienki, żeby obejrzeć szkody w lepszym świetle. Guzowate strąki

były zbite i osadzone w suchych, poskręcanych grudkach. Kiedy próbowałem je

rozczesywać kawałek po kawałku, łamały się pod palcami. Nie było nadziei,

jedynym rozwiązaniem było ścięcie ich na krótko.

Przecież zapuszczałem mu włosy miesiącami, żeby przygotować go na ceremonię nadania imienia. Chciałem, by miał warkoczyki, według tradycji.

Nie chciałem tłumaczyć tym ludziom, dlaczego ma ogoloną głowę. Musiał istnieć jakiś sposób na zmycie gumy. Wyciągnąłem notes i zacząłem wydzwaniać po całym kraju prosząc o radę. W końcu, wiedziony intuicją,

zadzwoiłem do ciotki Reny. Była grubo po siedemdziesiątce i mieszkała w małym miasteczku we wschodniej części stanu Waszyngton, w rezerwacie Couerd

Alene. Przywitałem się krótko i od razu przeszedłem do rzeczy.

- Masło orzechowe - zawyrokowała bez wahania.

- Masło orzechowe?

- Tylko nie w kawałkach. Miękkie. Wcieraj je we włosy, wyciskaj, i zmywaj. Działa za każdym razem.

- Jesteś pewna? - spytałem.

- Nie w kawałkach.

Ale oczywiście kiedy zapakowałem Adama do samochodu i znalazłem jedyny

otwarty o tej porze sklep spożywczy, mieli masło orzechowe tylko w kawałkach. Kupiłem niedużo i pognąłem z powrotem do motelu.

- To będzie taka zabawa - wyjaśniałem Adamowi, ściągając mu koszulkę i

spodnie. - Wetrę ci masło orzechowe we włosy. Będzie śmiesznie.

- Ty pierwszy - powiedział.

Mogłem się sprzeciwić, ale machnąłem ręką. Nabrałem masła na dwa palce i

rozmasałem sobie na czubku głowy. - Teraz ty.

Masło orzechowe utworzyło spływające kuleczki i wiszące bańki.

Opalony,

Adam wyglądał jak w kapeluszu z mokrej gliny. Byłem tak delikatny jak mogłem, ale i tak ciągnąłem go za włosy. Po minucie masowania zaczął

płakać, a potem jęczeć.

- Ćśśś - uspokajałem go. - Jesteśmy w motelu. Musimy zachowywać się cicho.

Ale płakał coraz głośniej, aż sam przestraszył się własnych krzyków.

- Proszę, płacz w to - podałem mu zwinięty ręcznik i pokazałem, jak może

zasłonić sobie nim usta i wrzeszczeć do woli. Miałem wizję oddziałów specjalnych z Michigan, które wyważają drzwi, oceniają sytuację, i aresztują mnie za porwanie i torturowanie masłem orzechowym nagiego dziecka.

Opróżniłem słoik i postawiłem Adama pod prysznicem, którego nie lubił od

zawsze. Nareszcie zasnął na stojąco, po wylaniu połowy butelki szamponu Johnson's Baby. Lśniące, luźne włosy opadały mu na plecy.

W Vermillion, a potem w Stojącej Skale ludzie czuli się w obowiązku pochwalić je.

- Pański syn ma takie lśniące włosy - mówili. - I jest taki szczupły.

Kiwałem głową i przyjmowałem komplementy, każąc Adamowi dziękować.

Wieczorami zaś wciąż natrafiałem na małe grudki masła orzechowego między

zębami grzebienia. A jeśli nawet w ciągu następnych dni ktokolwiek zauważył

chmary much krążące nad naszymi głowami, był zbyt dobrze wychowany, by

powiedzieć to głośno.

Spotkaliśmy się z Beą według planu i ruszyliśmy w dalszą drogę. Trasa przez Dakotę Południową była cudowna. Najpierw zatrzymaliśmy się z godziną wizytą u przyjaciół, w rezerwacie Sisseton niedaleko granicy Minnesoty, a potem, około trzeciej po południu, wjechaliśmy na autostradę stanową wiodącą na zachód, do Mobridge. Słońce wciąż utrzymywało się na niebie, kiedy przez następne cztery godziny przemierzaliśmy równiny zielone i gładkie jak bilardowy stół. O zmierzchu wydawało się, że podróżujemy, z szybkością zachodzącego słońca. Słoneczna kula zawisała nieruchomo nad linią horyzontu, rzucając przez niskie chmury czerwone i złote błyski. Dla przybysza kraina ta mogła wydawać się monotonna, każdy, kilometr był podobny do przebitego i następnych, leżących w oddali. Ta jednostajność tworzyła wrażenie bezkresnej przestrzeni, swobody bez limitów ograniczeń.

Nasz samochód zdawał się sunąć w powietrzu, tak gładka była ta jazda, tak prosty, niezmienny kierunek.

Światło igrało na twarzy Bei, kiedy zabawiała nas opowieściami o podróżach i powrotach do domu, do swego plemienia. Myślałem wtedy o tym, jak to jest być obcym. Rezerwaty są ostatnimi skrawkami Ameryki Północnej, na której Indianie utrzymali się po pięciuset latach kontaktów z Europejczykami. Według Zasad Sądu Najwyższego Johna Marshalla z

początków

dziewiętnastego wieku, są one "wewnętrznymi podległymi państewkami" należącymi do Ameryki, choć nie będącymi częścią żadnego stanu. Mają skomplikowane prawa wewnętrzne, plemienne systemy prawne i własne podatki.

Pod względem prawnym są quasi-suwerenne, a ich mieszkańcy od 1924 mają

podwójne obywatelstwo, amerykańskie i plemienne. Ich polityczną tożsamość

określa prawo, które mówi, że mogą żyć na terenie każdego kraju i kontynentu.

"Prawa Rdzennej Ludności", uznane na całym świecie, gwarantują im długoterminowe zajmowanie danego terytorium bardziej na prawach faktu niż

spisanego aktu własności. Współcześnie istnieje ponad trzysta rezerwatów -

nazywanych "Indiańską Krainą" - które łącznie z rdzennymi osadami Alaski i

regionalnymi korporacjami zajmują około stu milionów akrów. Ich wielkość

waha się od pojedynczych parceli rozmiarów dużego domu po ziemię Państwa

Nawaho, prawie tak rozległe jak Zachodnia Wirginia.

Dla Indian w nich mieszkających rezerwaty są czymś więcej niż posiadany

skrawkiem ziemi. Stanowią ich przeszłość i przyszłość, namacalny dowód

na

to, że plemiona były kiedyś wolne i niezależne jak inne narody świata.

Wyrażają nadzieję na zachowanie samowystarczalności w przypadku dochowania

warunków umowy. Są gniazdami rodzinnymi, w których przemieszała się krew i

pokolenia, urazy i wybaczenia, w których dzieli się miejsce i czas. To

tutaj, dawniej i dziś, pozbawiono ich praw, więziono i nakładano restrykcje religijne, wprowadzano poniżające i frustrujące nierówności społeczne, osłabiano finansowo. A przecież rezerwaty są również schronieniem,

domem, w

którym znane słowa wymawiane w języku ojczystym bądź skrótowym angielskim

są rozumiane, gdzie każda piędź ziemi ma swoją opowieść, do której możesz

wrócić, kiedy tego potrzebujesz.

Nie istnieją już dwa podobne rezerwaty, nie ma dwóch jednakich plemion,

ale są cechy wspólne, budynki rządowe, misje, powwow, wewnętrzne spory

polityczne, dysproporcje pomiędzy liczbą starszego i młodszego pokolenia,

sarkastyczne poczucie humoru, głośne debaty w sprawie alkoholu, Biuro do

Spraw Indian, zepsute samochody, cisza. Ludzie znają się nawzajem, wiedzą,

kto jest kim i z kim jest spokrewniony. To dużo znaczy i rozpina parasol tolerancji, akceptacji i braku krytycyzmu, tak rzadko występujących w większych społecznościach. Jeśli przynależysz do nas, akceptujemy cię. Jeśli zaś jesteś obcy, odczuwasz to jako ciągle "kopanie" prądu.

Kiedy maszerujesz ulicą dużego miasta, nikt nie wydaje ci się nieznajomy,

bo nie znasz nikogo. Rzadko spotyka się kogoś znajomego - to wydarzenie.

Ale jeśli jesteś obcy w małej mieścinie albo na bocznej drodze pomiędzy osadami rezerwatu, to jesteś przybyszem z zewnątrz w miejscu, w którym goście nigdy nie przynosili dobrych wiadomości.

Podczas odwiedzin w rezerwach, gdzie nikogo się nie zna, obowiązuje pewna etykieta. Jeśli wyglądasz jak "Indianin", jest ci łatwiej - w zależności od tego, jak jesteś ubrany; pozostaje wtedy pytanie, z kim jesteś i po co tu przyjechałeś. Jeżeli jesteś "niepewny", mieszanej krwi, rozmowy przypominają zwykle litanie rozpoczynającą się od słów: "A znasz...?" Musisz ujawnić swoje powiązania, okazać tożsamość i ewentualne

referencje od osób, które w razie czego mogą potwierdzić, że jesteś w porządku. Nie pomoże tu pewność siebie, obwieszanie się turkusami czy wyrobami z koralików i dar wymowy. Jesteś petentem, stoisz przed sądem, nie

wolno ci pospieszać biegu spraw. Tutejsi ludzie są wyćwiczeni w wystawianiu

ocen. Musieli się tego nauczyć.

Istnieje coś takiego jak głęboka satysfakcja z życia w rodzinnym

rezerwacie. Jest to coś więcej niż poczucie przynależności do nacji, więcej niż gwarancja bezpieczeństwa. Chodzi o świadomość przetrwania, bycia ogniwem w długim łańcuchu pokoleń. Spełniony obowiązek, dotrzymana ważna

obietnica, wybór czegoś, co na pozór gorsze jest od tego, co oferuje świat na zewnątrz, a przecież ma bezcenną wartość. Ci, którzy lubią mity o szlachetnych dzikusach, pragną wierzyć, że jest jakaś mistyka w powiązaniu

Indian z ziemią. Ale niczego nie rozumieją. Ziemia jest przeciwieństwem magii: realna, solidna i trwała. Ziemia jest dziedzictwem, daje i wspiera życie, jest zarówno początkiem, jak i celem drogi. Ziemia to skały, ukryte korzenie, brud i pogrzebane kości, coś osobistego i jednocześnie wspólnego.

A jeżeli nie jest twoja prawem krwi i wspomnień, twój pierwszy krok na niej jest krokiem intruza.

Tak więc w miarę, jak zbliżaliśmy się do Stojącej Skały, byłem pełen zrozumienia, ale i obaw. Nie odpowiadała mi rola przybysza. Bałem się prezentacji, podejrzliwego przyjęcia, skrępowania i samotności wypływającej

z braku dookreślenia. Choć towarzyszyliśmy Bei, musieliśmy przejść subtelne testy. Oblanie ich oznaczało nie tylko stratę opanowania:

bylibyśmy negatywnie ocenieni przez ludzi, na których nam najbardziej zależało, którzy byli nam potrzebni. Oczami tych nieznanym mi ludzi miałem

zobaczyć, czy życie w New Hampshire, nauczanie w szkole Ivy League

zmieniło

mnie. Ich reakcja będzie papierkiem lakmusowym, ponieważ zachowując czysty

osąd, będą wiedzieli lepiej niż ja.

Nie rozmawiałem o tym z Beą. Niebo ciemniało wokół nas, a my dyskutowaliśmy o statystykach; o szokującym stanie zdrowia Indian i ich statusie w Dakocie Południowej, o wysokiej średniej umieralności niemowląt,

osiemdziesięcioprocentowym bezrobociu w wielu społecznościach plemiennych,

dużych liczbach Siuksów w więzieniach stanowych, obliczeniach, że życie mieszkańców rezerwatu jest krótsze o dziesięć lat niż życie białych poza nim. Wszystko to były i są przerażające okoliczności, na które nie ma prostych wytłumaczeń, choroby, których przyczynę łatwo odnaleźć - zwykłym

wskazaniem palca - w "rządzie", braku pieniędzy, nie dotrzymanyh obietnicach, wszechobecnej biurokracji służb cywilnych. Były to typowe wyjaśnienia, niekoniecznie prawdziwe, ale politycznie do przyjęcia. Nie wystarczały jednak w rozmowie dwojga przyjaciół, którzy słyszeli i powtarzali je już kiedyś. Wszelkie wymówki były rzeczywistym powodem groźnych problemów Rdzennych Amerykanów. Nie można było winić ludzi o to,

że pokonały ich okoliczności pozostające poza ich kontrolą. Ramię w ramię

na tej zachodniej drodze, z Adamem śpiącym na tylnym siedzeniu, Bea i ja dociekaliśmy najbardziej skomplikowanych przyczyn.

Wyświechtane frazesy nie przynosiły ulgi. Gdyby rząd nagle się zmienił, gdyby było dość pieniędzy, administracja działałaby sprawniej, zaczęto by nareszcie stosować się do warunków umów, czy wszystkie problemy rozwiązałyby się same? Czy współcześni amerykańscy Indianie nie ponosili

żadnej odpowiedzialności za dzisiejszy kryzys? Czy nasze postępowanie w żaden sposób nie przyczyniało się do takiego stanu rzeczy? Czyż nie mieliśmy siły na wprowadzenie zmian i polepszenie sytuacji?

Nie chcieliśmy przyjąć do wiadomości niewygodnych wniosków, naprawą

stosunków w społecznościach plemiennych obarczaliśmy naszych rodaków, osoby

pracujące bez wytchnienia, z niewiarygodnym poświęceniem: nauczycieli, wybranych urzędników, pracowników socjalnych, lekarzy i pielęgniarki, przywódców religijnych, działaczy, doradców rodzinnych. Ci mężczyźni i kobiety pracowali z optymizmem, odporni na zniechęcenie, broniąc się poczuciem humoru przed straszną rzeczywistością i rozczarowaniami, z którymi przychodziło im się mierzyć kilka razy dziennie. Byli to bohaterowie i bohaterki, odważni i mocni, gotowi wiele znieść, często niezauważeni i nie wynagradzani z powodu swych zasad i determinacji, obdarzeni wiarą, że jeśli nie wykorzenią cierpienia, to przynajmniej mu ulżą.

Nie chcieliśmy jednak przyjąć do wiadomości faktu, że ludzie ci często się wypalali. Po początkowym wybuchu entuzjazmu, przekonaniu, że mają moc

do wprowadzenia zmian, wobec konieczności pokonywania przeszkód

całymi

dniami i latami, ciągłego poświęcania wielkich celów dla małych

zwycięstw,

wielu z nich w końcu poddawało się, wycofywało, przymykało oczy.

Niektórzy

stawali się cyniczni, inni opowiadali z humorem o okropnych rzeczach,

które

przyszło im oglądać, a jeszcze inni wstępowali do opozycji, porzucali

abstynencję i zaczęli pić. Było coś nieubłaganego w tym procesie, kiedy

obserwowało się go z zewnątrz, granica ludzkiej wytrzymałości, która

przekroczona - padała w gruzach. Determinacja w osiągnięciu normalnego,

wolnego od uzależnień życia, gasła wraz z ciągłym leczeniem małych ran.

Siedem rezerwatów w Dakocie Południowej - Sosnowa Grań, Rzeka

Czejenów,

Stojąca Skala, Różyczka, Wronia Zatoczka, Lover Brule, Yankton,

Sisseton -

pełne były ludzi na różnych etapach tego cyklu. Terytoria te, sięgające

niczym wyszczerbione szkło na północ, zachód, południe i wschód od

naszej

drogi, wśród pszenicznych pól Dakoty Południowej, były pozostałością

Wielkiego Rezerwatu Siuksów, powstałego na mocy traktatu Senatu

Stanów

Zjednoczonych z 1868 roku, który obiecywał jego wieczyste zachowanie.

Na

mapie widać, że w środku każdego fragmentu znajduje się miasto -

siedziba

władz, szpitali i lokalnej policji. Są tam brukowane drogi, bary szybkiej obsługi i wysokie na kilometr anteny telewizyjne. Poza tym szkoły średnie BSI i rzędy domów z prefabrykatów w jednakowych kolorach, zwróconych w tę

samą stronę. Telefony nie są tu rzadkością, lądują również helikoptery, przewożące przewlekle chorych do Akademii Medycznych w Minneapolis lub

Denver. To tutaj jest największy kościół i czasami kanalizacja. Tutaj, jeśli w ogóle, znajdują się ośrodki terapii alkoholowej, przytułki dla maltretowanych kobiet, więzienia. Tutaj czasami podlewa się trawę tworzącą

nieregularne plamy zieleni, kontrastujące z żółtymi dzikimi zaroślami porastającymi okolicę w czasie suszy. Jest tu sklep z wygórowanymi cenami

na luksusowe produkty, ciasto w proszku i mieszanki.

Jest w tych miastach podobieństwo wykraczające poza zwyczajową architekturę i barwy podyktowane odgórnie. Wydają się one tymczasowe, jakby

zbudowane z klocków przez dziecko o ograniczonej wyobraźni. Sprawiają wrażenie, jakby włożono w nie nie ukierunkowany, niewystarczający wysiłek,

aby zbudować kompleks plemiennych budynków administracyjnych albo lokalne

centrum. Wszystko w stylu "indiańskim" - betonowe ściany z niepraktycznymi,

geometrycznymi kątami, okna w kształcie "Bożego oka", kominy

przypominające

słupy tipi. Są to poruszające eksperymenty jako wyraz czyichś nadziei, piękne marzenie o tym, że treść wypełni gotową formę, że we właściwym otoczeniu powrócą dawne wartości, grzeczność, atencja. Widać w tych projektach nacisk na orientację z kompasem, malowane okna starają się otwierać na perspektywę mitologicznych początków albo symbolicznie na wschodzące słońce. Ale pomimo wspaniałości koncepcji, te pomniki stoją w

większości puste, zapomniane pośród żwirowych skwerków i przyczep z chełpliwymi napisami: Rząd Stanów Zjednoczonych, Biuro Kierownictwa Plemienia, ogrodzone improwizowanymi wydeptanymi chodnikami. W miastach

tych są duże latarnie. Oświetlają one opustoszałe ulice i wejścia do budynków rzekomo wymagających zabezpieczenia. Zasilane generatorami albo

liniami wysokiego napięcia tworzą czterystuwatowe nocne koła, wielkie białe

bańki jarzące się po świt, a czasem i w ciągu dnia.

Myślałem o tych zapalających się latarniach, kiedy zbliżaliśmy się do celu. Zachód słońca przybrał teraz zabrudzoną barwę żaru ogniska, a znaki przydrożne informowały, że pozostało 75, 60, 30 kilometrów do Mobridge,

miasta najbliższego Stojącej Skały, gdzie mieliśmy zarezerwowane pokoje w

hotelu Best Western. Sięgnąłem za siebie, chcąc sprawdzić, czy Adam nie osunął się z siedzenia i natrafiłem ręką na jego włosy, wciąż gładkie od

masła orzechowego. Bea siedziała wyprostowana, jakby chciała popędzić samochód. Minął już prawie rok, od kiedy była ostatnio w domu.

Mimo że dochodziła już dziesiąta wieczorem, minęliśmy motel i skierowaliśmy się na północną, wyboistą dwupasmówkę. Zabłyśły gwiazdy i

nisko zawisł księżyc. Bea wskazywała punkty orientacyjne przy wjeździe do

rezerwatu. Kierowaliśmy się do małej osady, w której mieszkała jej matka.

Nie było tu siedziby żadnych władz, po prostu grupka domków zbudowanych w

czasie Wielkiego Kryzysu przez ludzi, których rodziny mieszkały tu do dziś.

Jedynym znakiem ich obecności były dalekie światelka okien, zazwyczaj po

jednym na dom, rozrzucone wiele kilometrów od siebie.

Od północy przywiał zapach deszczu, w radiu usłyszeliśmy, że trwa tam burza. Ta południowa część Stojącej Skały jest miejscem tak cichym, że słyhać tu niski, statyczny dźwięk powietrza, przerywany tej nocy jedynie odgłosem kół naszego samochodu. Byliśmy ruchomą wyspą, punktem przesuającym się pośród trwającego w bezruchu krajobrazu.

Wyczuwaliśmy to,

przestaliśmy rozmawiać, źrenice nasze rozszerzyły się, oddech pogłębił i owionął nas zapach siana i purpurowej lucerny.

Na niewyraźnym rozjeździe skręciliśmy w prawo, na pokryty koleinami trawiasty szlak, i wjechaliśmy na wzgórze, na którym mieszkała samotnie Annie Medicine, matka Bei. Dwupokojowy domek był niski i kwadratowy.

Pachniał wybielanym praniem i herbatą. Pani Medicine czekała w drzwiach, w długiej, błękitnej, bawełnianej sukience zapinanej na guziki z przodu, i w pantoflach. Była postawną kobietą o długich, silnych ramionach i mocnych nogach. Za grubymi szklami jej okularów kryły się ruchliwe i taksujące oczy. Piękne, siwe włosy związała kok z tyłu głowy, a skóra jej twarzy o szerokich kościach policzkowych była ledwo pomarszczona. Powitała Bee w języku Lakota i kiwnęła głową w moją stronę. Wskazała mi kanapkę, na której sypiał przyjeżdżający z wizytą brat Bei, Marne, a teraz mogłem położyć tam Adama.

Pokój był czysty, ściany obwieszane portretami katolickich świętych, krucyfikami i innymi dewocjonaliami. Wszelkie dostępne miejsca - biurko, parapety okienne, lodówka - zastawione były zdjęciami uśmiechniętych krewnych w ramkach. Rozpuszczalny deser Sara Lee stał pośrodku stołu obok stosu talerzyków i widelcy. Na piecyku parował czajnik.

W kącie leżały rzeczy przygotowane do jutrzejszego rozdania: niebieskie metalowe talerze, dzbanki do kawy, koce z akrylu, szale z frędzlami. Była też otwarta koperta z pięciodolarówką, serweta zapakowana w folię i zwój nowego żółtego sznurka.

Rozmowa to gwałtownie ożywała, to zapadała w leniwą ciszę.

Zachowywaliśmy

się tak, jakby powodem naszego przyjazdu było jedzenie. Brzęk podawanych

talerzy, szmer dodawanej śmietanki i cukru i mieszanie herbaty dawało tło muzyczne. Opowiadaliśmy o warunkach na drodze, o pogodzie, i pytaliśmy o

plany na jutrzejszą roczną ceremonię powwow. Tematy były neutralne, bezosobowe, informacje podawano nieufnie, a jednak podczas tej wymiany

wiadomości dokonała się jakaś przemiana - stałem się mniej obcy. Nie chodziło o to, że mówiłem właściwe rzeczy, lecz o to, że nie mówiłem niewłaściwych. Nie zadawałem nieodpowiednich pytań, nie byłem zbyt gorliwy.

Adam obudził się i oparty o mnie przecierał oczy, znęcony widokiem ciasta.

Pani Medicine pochwaliła długość jego włosów, wyjęła grzebień i zaczęła rozczesywać wijące się kosmyki. Siedziała na brzegu krzesła, a on posłusznie stał między jej kolanami i trzymał sztywno kark. Z wieloletnią wprawą zrobiła równy przedziałek, zaplotła luźne warkocze i związała końce

gumkami wyjętymi z kieszeni. Na koniec polizała opuszki palców i ułożyła

krótsze włosy na czole Adama, a potem bez słowa podała mu swoją filiżankę

do spróbowania. Kiedy to zrobił, uśmiechnęła się do mnie na znak, że nie tylko dla Adama przygotowała imię Lakotów, ma je również dla mnie.

Adam nie obudził się, kiedy zaniósłem go do naszego pokoju i rozebrałem, pozwoliłem mu więc spać w podkoszulce, pieluszce i spodenkach. Okno łazienki było otwarte, była chłodna, pachnąca trawą noc. Mieliśmy spać w jednym łóżku, a ja leżałem jeszcze długo, jak zwykle po wielu godzinach jazdy. Byłem tak skoncentrowany na zachowaniu przytomności za kółkiem, że teraz, kiedy zaczynałem odpływać w sen, budziłem się z lęku przed wypadkiem. Zamknąwszy oczy, widziałem światła na powiekach i wciąż czułem ruch samochodu, niczym echo. Dostroilem się do Johnny'ego Carsona i wyciszyłem dźwięk, aż stał się ledwo uchwytny. Dzisiaj był Wielkim Karnakiem, niezwykłym telepatą, ubranym w błyszczący turban i długą szatę.

W końcu, ukołysany oddechem Adama, zasnąłem.

Nawet we śnie prowadziłem samochód. Bea, Adam i ja jechaliśmy krętą, piaszczystą drogą przez niskie wzgórza nad brzegami Missouri, które widziałem w świetle księżyca, chociaż był dzień. Nagle z niebytu wyłoniły się trzy wielkie ptaki i z dużą szybkością uderzyły o przednią szybę. Wściekle biły skrzydłami, próbując uciec, ale zostały przyszpilone do szyby. W tej dziwnej sennej rzeczywistości byłem w nich, odczuwałem to samo co one. I nagle przyszło zrozumienie: kiedy byłem dzieckiem, chodziłem czasami do wesołego miasteczka. W Hilarity Hall znajdowała się olbrzymia drewniana kula, wpuszczona w podłogę. Kiedy była nieruchoma, jeźdźcy

kładli

się na wznak na dnie dziwacznie rozkładając ramiona i nogi - na przykład łokcie i kolana ugięte jak podczas biegu albo palce rąk i nóg wyciągnięte jak do nurkowania.

Z wciśnięciem guzika kula zaczynała się kręcić, z początku powoli, stopniowo nabierając szybkości. Siła odśrodkowa przekreślała dzieci na bok,

nie były w stanie poruszyć niczym z wyjątkiem oczu. Pamiętam, że szeroko

rozwarłem usta, kiedy wydawało się nieuniknione, że zostanę uniesiony i rzucony z niezwykłą prędkością o przeciwległą ścianę. Nie mogłem temu w

żaden sposób zapobiec. Zawsze przychodził moment kapitulacji, odprężenia

mięśni w przygotowaniu do tego lotu, i ten pośpiech, akceptacja i zgoda na niebezpieczeństwo sprawiły, że dotknąłem umysłem ptaków ze snu, kiedy zakrywały szybę rozcapierzonymi brązowymi skrzydłami. Moja wizja zniknęła,

zjąłem ręce z kierownicy i odwróciłem się na siedzeniu, żeby dotknąć Adama, kiedy zbliżaliśmy się do katastrofy.

Obudziłem się, trzymając go w ramionach. Czujnie rozglądał się dookoła, i

odwzajemnił mój uścisk. Miał kościste plecy i kanciaste łokcie.

- Nie zmoczyłem się - wyszeptał niemal pieszczotliwie, a ja pochwalilem go za to, choć nie była to prawda. Miał nie tylko problemy z rozpoznawaniem

potrzeb fizjologicznych, trudno mu było również rozeznąć się w tym, co zrobił.

Mieliśmy się spotkać z Beą o dziewiątej w kawiarni, więc zaczęliśmy się pospiesznie ubierać. Zawiązałem czerwone kokardki na warkoczach Adama, ale swoje włosy puściłem luźno. Ostrożnie założyłem odziedziczoną kamizelkę: na błękitnym tle czerwonymi i żółtymi koralikami wyszyte były wzory geometryczne i kwiatowe. Z jednej strony widniało słowo wojny, a z drugiej rok 1906. Ich znaczenie było dla mnie tajemnicą. Adam wyglądał pięknie. Jego szczupła, wrażliwa twarz promieniowała radością na okoliczność włożenia nowego stroju. Dałem mu poranną porcję leków, nakarmiłem jajecznicą, a kiedy przyjechała Bea, byliśmy już gotowi do drogi.

Po drodze na teren powwow oglądaliśmy w świetle to, co majaczyło ciemnymi kształtami wczorajszej nocy. Upał narastał, para unosiła się nad ziemią na wysokości oczu, pozwalając dostrzec coś najwyżej w odległości metra. Pusty łuk nieba był tak wyrazisty, że wszystko zdawało się przepływać po nim, zawieszony w powietrzu. To, co przed paroma godzinami wydawało się tylko oświetlonymi prostokątami okien, przybrało teraz kształt solidnych budowli z cegieł albo małych chatek, odgradzonych barierą zepsutych samochodów i

wygiętej blachy. Machaliśmy do ludzi pozdrawiających nas ze stopni ganków

albo spod sznurów rozwieszanego prania. Opowiedziałem Bei mój sen.

Pokręciła głową i szeroko otworzyła oczy sugerując, że musiałem coś zjeść. Byliśmy już spóźnieni i bała się, że matka i siostry same poustawiają stoły z darami i jedzeniem. Jej siostry, Marguerite i Lile, całymi dniami przygotowywały potrawy na tę ucztę: olbrzymie ilości kukurydzianych i mięsnych kotletów, smażony chleb, waishapi, galaretowaty słodkość przyrządzaną z czerwonych jagód.

Rzeczywiście, niedaleko terenu powwow zaparkowało już wiele samochodów, a znad ognisk i butanowych kuchenek unosił się dym. Scenę stanowiło piaszczyste koło otoczone z trzech stron ławkami i stołami przed półkolem z wysokich pali. Na metalowym maszcie wisiała amerykańska flaga, a w środku koła ustawiono wielki bęben w kręgu składanych krzeseł. Przy każdym wejściu przybito tabliczki z zakazem picia alkoholu, a z boku rozstawiono grupę namiotów, tymczasowe lokum i garderoba dla przyjezdnych tancerzy. Ci, mężczyźni i kobiety przybrani byli w kolorowe pióra, dzwoneczki, strojne szale i krezy z końskiej grzywy. Pochylali się, by poprawić nogawki lub zawiązać mokasyny, zerkali do luster zawieszonych na otwartych drzwiach, by ozdobić policzki, brwi i brody dramatycznymi paskami czerwieni i czerni. Ćwiczyli posuwisty krok i ukłony w rytmie powtarzanych w pamięci

pieśni.

W porównaniu z ich pewnością siebie i świetnym wyglądem, byłem nieśmiały i zakłopotany. Kimże byliśmy, by honorowano nas imionami Lakotów, wyprawiano ucztę na naszą cześć i przedstawiano w języku, którego nawet nie rozumieliśmy? Byłem przekonany, że wszyscy, którzy nas widzieli, zadawali sobie to pytanie, a nie miałem na nie dobrej odpowiedzi. Trzymałem Adama za rękę, żeby nie pobiegł bawić się w piasku, ale nie protestował. Usiedliśmy na krzesłach obok pani Medicine, a Bea poszła pomóc krewnym.

Annie Medicine była tu szefem. Nie musiała nawet wstawać ani mówić. Obserwowała wszystkie przygotowania do chwili ich zakończenia.

Wczorajszej

nocy, w drodze powrotnej do Mobridge, Bea powiedziała, że matka mnie zaakceptowała, choć nie wiedziałem dlaczego. Wydawało mi się, że byłem milczący, spięty, i nie mówiłem nic o sobie. Co jej się mogło podobać?

- Nie okazałeś się głupcem - powiedziała Bea, jakby to wyjaśniało wszystko. Próbowałem więc nadal nim się nie okazać. Nie zadawałem pytań,

choć miałem ich wiele. Czego od nas oczekiwała pani Medicine jako od ludzi,

którym miała nadać imiona? Czy mieliśmy wygłosić mowę dziękczynną?

Czy

wiele imion zostanie dziś nadanych? Wiedziałem tylko, że imiona były

własnością nadających, odziedziczone po ich przodkach, zarezerwowane dla ludzi, którzy mieli przyjąć na siebie im przyległe cechy. Do pani Medicine należało zdecydować, kim był Adam i ja, kim zostaniemy. Miała tak niewiele wskazówek. Długowłosy chłopiec, który lubił ciastka. Mężczyzna, który jak dotąd nie okazał się głupcem.

Trzymałem Adama na kolanach i odganiałem od niego moskity. To dzięki mnie trafił do Dartmouth, ale tutaj czułem się jak jego gość. Stara kobieta pochwaliła właśnie jego, on dostał pierwszy łyk zupy, on, nareszcie puszczony, wmieszał się w grupkę dzieci, które mogłyby być jego krewnymi.

Pasował do tego miejsca.

Było już późne popołudnie, a my oglądaliśmy taniec za tańcem. Grzmiał potężny głos bębna, głosy śpiewających mężczyzn mieszały się z pulsującym rytmem z początku naśladowującym, a potem prowadzącym serce.

Publiczność

koncentrowała się na ulubionych wykonawcach, wiwatując na cześć szczególnie

zręcznego ruchu i gwizdząc, jeśli komuś nie udało się zakończyć zgodnie z muzyką i rytmem. Kiedy Bea, pani Medicine, jej dzieci - Lila, Marne, Earl,

Marguerite - Adam i ja usiedliśmy w rzędzie, mężczyźni w kowbojskich

kapeluszach i kobiety, których twarze zasłaniały chusty, podeszli, by złożyć wyrazy uszanowania. Uśmiechali się i uchylali kapeluszy, lekko dotykali naszych dłoni. Cała prezentacja dokonywała się w języku Lakota, więc nie miałem pojęcia, co o mnie mówiono, kim miałem być, jedyne, co mnie

określało, to fakt, że byłem ojcem Adama i przyjacielem Bei.

O czwartej Annie Medicine wstała z krzesła, zarzuciła szal na ramiona i dołączyła do mistrza ceremonii przy bębnie. Bea przesiadła się na puste krzesło obok mnie, żeby szeptem tłumaczyć mi ceremonię. Publiczność rozlokowana na ławkach i kocach twarzą do koła uciszyła się. Nadszedł czas

na główny punkt programu. Pani Medicine zwróciła się do zebranych mocnym i

pewnym głosem. Jej ciało pozostało nieruchome, lekko pochylone, ale władczy

ton przykuwał uwagę. Dla mnie brzmiało to jak wyzwanie, prowokacja, jej słowa zdawały się atakować, ale tłumaczenie Bei było życzliwe i łagodne.

- Wita wszystkich w imieniu naszej rodziny. Mówi, że zaszczycają nas swoją obecnością... Cieszy się, że znów otaczają ją dzieci, szczególnie najmłodszy wnuk...

Pani Medicine przywołała gestem Adama, który podbiegł do niej bez wahania. Przejechała dłonią po jego warkoczach i uniosła podbródek, nie przerywając przemowy.

- Wybrała dla niego imię - przetłumaczyła Bea. - Dumne imię ważnego i dzielnego człowieka z Północy, z okolic Saskaczewan. Człowiek ten wiele

w

życiu przeszedł, a jednak dożył sędziwych lat.

- Can Ra - powiedziała pani Medicine, trzymając rękę na ramieniu Adama. -

Can Ra.

- To dobre i ważne imię - szepnęła Bea. - Oznacza Górę Drzewa.

Słyszałam

kiedyś o tym człowieku. Był łagodny, tak jak Adam.

Najstarszy brat Bei, Earl, wstał i podał matce przedmiot zawinięty w koc Pendletona, a potem wrócił na miejsce. Pani Medicine ostrożnie odwinęła świętą fajkę, której cybuch wyrzeźbiono z czerwonej gliny, a trzonek z gładzonego drewna ozdobionego sznurkami koralików. Podała ją Adamowi.

Zebrani zakrzyknęli z aprobatą, ale Annie Medicine jeszcze nie skończyła.

- Teraz twoja kolej - rzekła Bea. - Stań obok nich.

Przeszedłem przez piaszczystą scenę ze wzrokiem wbitym w ziemię i spierzchniętymi wargami. Wyobrażałem sobie wrogie spojrzenia, pełne oburzenia, i poczułem się arogancki, zakłopotany i osamotniony.

Kamizelka,

koszula w kropki, długie włosy i akademicka wiedza nie dawały mi tu żadnych

praw. Byłem wyschłym źródłem, dziurawą misą, mogłem stać się kimkolwiek, bo

byłem nikim.

Do rzeczywistości przywrócił mnie Adam, który gwałtownie przywarł do mego

uda. - Spójrz, tatusiu - mówił. - Spójrz, co ona mi dała. - Pokazywał mi

fajkę, a ja patrzyłem na jego rozpromienioną twarz. Góra Drzewa.

Pani Medicine chwyciła mnie za nadgarstek i przytrzymała, kontynuując swoją przemowę. Miała chłodne, suche palce, a głos lekko ochrypliły od wysiłku. Nie przerywała jednak. Jej słowa wznosiły się i opadały jak zawołania śpiewaków, rytm bębna, akcenty. Poszukałem spojrzenia Bei, od

której dzieliła mnie pusta przestrzeń. Chciałem wyczytać w jej oczach znaczenie słów. Z początku patrzyła spokojnie, zachęcająco, z zadowoleniem,

ale kiedy pani Medicine wymówiła ostatnie słowa: "Wambli Rapan.

Wambli

Rapan", twarz Bei zastygła w zadziwieniu, a ona sama pochyliła się do przodu.

Nie było czasu na zastanowienie, bo Earl wstał znowu i podał matce kolejne zawiniątko. Wyjęła z niego wielki pióropusz ze starych orlich piór powtykanych w kosmyki siwej końskiej grzywy i owinięte czerwoną nicią. Było

to dzieło sztuki, jakie widywałem dotąd tylko w muzeach. Najwyższe odznaczenie, symbol, który pani Medicine włożyła mi na głowę.

Bęben zaczął wybijać uroczystą pieśń, a Annie Medicine poprowadziła mnie

do tańca, krokiem na dwa, zgodnie z ruchem wskazówek zegara, dookoła śpiewaków. Za nami podążała Bea, trzymając za rękę Adama, a za nią Earl,

Margureite, Lila i Marne. Do korowodu dołączyło z początku kilka osób, ale

potem sunęli już wszyscy wspaniali tancerze, wszyscy widzowie. Przez
trzy
minuty świat poruszał się w jednym rytmie muzyki. Nadchodził koniec
dnia
wypełniony przyjemnością dawania i przyjmowania prezentów. Pani
Medicine
poruszała się z wdziękiem, jej ciało pozbawione było ciężaru, okulary
odbijały światło słońca, oddychała miarowo. Grupa tańczących dawała
wrażenie wirujących kolorów, jasnych kocy, falujących dżersejowych
szali.

Obok mnie pojawił się jeden z najstrojniejszych tancerzy, młody
mężczyzna
z białym puklerzem z kości, w pelerynie w czerwono-niebieskie cętki, z
krowimi dzwonkami wokół goleni, w pióropuszu. Na ramionach nosił
wymyślną
czerwono-niebieską uprząż z umieszczonym w środku okrągłym
lusterkiem.

Kiedy tak wirował, pochylał się do przodu i na boki, zobaczyłem w nim
własne odbicie, moją twarz okoloną orlimi piórami. Był to tak niezwykle
widok, że zachciało mi się śmiać. Ogarnęła mnie radość z tego łańcucha
nie
kończących się zdarzeń, nieoczekiwanych, ale połączonych ze sobą.

Kiedy umilkły śpiewy, rodzina Medicine, Adam i ja podeszliśmy do stołu
zastawionego podarunkami, a herold wywoływał obdarowanych po
imieniu. Dla
każdego pani Medicine sama wybierała prezent i podawała go z lekkim

ukłonem. Goście powracali potem na miejsce wzdłuż szeregu oczekujących na swą kolej, którzy kiwali im głowami i składali życzenia.

Bea podeszła do mnie, kręcąc głową. - Gdyby mogli zobaczyć cię teraz w Dartmouth - powiedziała. - Stałeś się moim indiańskim synem.

- Dlaczego tak cię zaszokowały słowa matki? - Nareszcie miałem okazję o to spytać. - Co powiedziała?

- Nigdy nie przestanie mnie zadziwiać. Jak mogła znać twój sen? Wybrała dla ciebie imię Wambli Rapan. Orle Skrzydło.

Rozdział piąty

W połowie lat siedemdziesiątych wciąż walczyłem, by zrozumieć mego podrastającego synka. Świadomość, że Adam miał poważniejszy problem niż

"opóźniony start", przychodziła stopniowo przez kilka lat. Z dzisiejszej perspektywy widzę wiele znaków wskazujących na to, ale wtedy zamartwiałem

się jego słabym słuchem, konwulsjami, koniecznością wielokrotnego powtarzania najprostszych poleceń, zaburzeniami uwagi, wieloma pomniejszymi

wypadkami, błędami i rozczarowaniami. Owe szczegóły tak się w końcu nawarstwiły, że żyłem w ustawicznym niepokoju. Ale nawet wtedy moje

zdolności racjonalnego tłumaczenia tych objawów wydawały się nieograniczone.

Do ukończenia przez Adama siedmiu lat, dokąd pozostawał pierwszym i jedynym dzieckiem, nie miałem podstaw do porównań. Bezkrytycznie akceptowałem jego specyficzny proces rozwoju. Był produktem takiego splotu

okoliczności, tak wielu przeciwności, że publicznie głosiłem niezmałony optymizm jeszcze długo po tym, jak lęk przeniknął do moich snów.

Z czasem zacząłem winić rasizm: negatywne oceny zaniżające poziom Adama

były wynikiem nieświadomych, nie wyrażonych, negatywnych uczuć do mniejszości narodowych. Odrzucałem "stronnicze kulturowo" testy na inteligencję, które wciąż dawały Adamowi po sześćdziesiąt,

siedemdziesiąt

punktów. Od czasu do czasu stwierdzałem niekompetencję nauczycieli Adama,

ich złe wykształcenie bądź lenistwo, kiedy nie udawało im się go ożywić podczas zajęć. Składałem gorące protesty u dyrektorów, kuratorów, a raz nawet w rządzie federalnym.

Teraz, kiedy minęło sporo czasu, nie żałuję tego. Adam został przyjęty do oświeconego moim zdaniem centrum dziennej opieki, a ja przyjąłem rolę samotnego rodzica profesjonalisty. Wciąż byłem przed trzydziestką i wierzyłem, że dobre funkcjonowanie rodziny i kariery zawodowej wymaga

wyłącznie organizacji i dobrej woli. Mając za sobą lekturę wielu podręczników i w zanadrzu cytaty ze statystyk, gotów byłem zażarcie

bronić

poglądu, że wychowanie dzieci leży w możliwościach ludzkich, a nie wyłącznie kobiecych.

Byłem przygotowany na wątpliwe spojrzenia i unoszenie brwi, mogłem swobodnie wymieniać przepisy i porady podczas pobytu w pralniach automatycznych albo w kolejce do Sears, gdzie robiono portrety rodzinne.

Nie spodziewałem się jednak rywali pośród odnoszących sukcesy,

pracujących

rodziców - samotnych czy pozostających w małżeństwie - tak samo

broniących

prawa do zatrudnienia poza domem.

Rywalizacja, jak wkrótce zrozumiałem, nie byłaby łatwa. Inne mamusie i tatusiowie przeczytali i wynotowali wszystkie dostępne na rynku

wskazówki

jak-być-idealnym-rodzicem. Ich potomstwo zjawiało się rankiem w

kolorowych

kombinezonach, dobranych zegarkach, z pełnym zestawem sprzętu

zimowego.

Każdy chłopiec i dziewczynka mieli fryzurki, które wymagały godzinnych porannych zabiegów. Wszystkie te dzieci miały popularne alergie na syntetyczne ubrania i kurz, co wymagało szczególnej uwagi.

Urodziny to dla dziecka okazja, żeby znaleźć się w centrum zainteresowania. Przyjęcia te stały się tak wystawne na rok przed naszym przyjazdem, że centrum opieki ograniczyło przygotowane potrawy na zrobione

przez rodziców w ich domach. Wydawało się to rozsądnym rozwiązaniem,

ale w

zimie, pod koniec okresu świątecznego zauważyłem takie ekstrawagancje,
że

zacząłem podejrzewać oszustwo. Jak inaczej wytłumaczyć filiżanki
lodowe,

hot dogi z pieczoną fasolą, miseczki z papajów wypełnione twarożkiem.

Adam i ja nadal mieszkaliśmy w drewnianym domku nad jeziorem
Mascoma -

koszt odpowiadał mojej nauczycielskiej pensji. Właśnie tam zacząłem
obmyślać zbliżające się styczniowe urodziny Adama. Pod żadnym
pozorem nie

wysłałbym go z wypiekami zakupionymi ukradkiem w cukierni. Musiałem
coś
udowodnić.

Przez chwilę rozważałem ptysie ze śmietaną i eklery, ale uznałem to za
zbyt ryzykowne. Nie byłem doświadczonym kucharzem, a mój piekarnik
nie
gwarantował właściwej temperatury. Zastanawiałem się nad możliwością
przyrządzenia puddingu, ale odrzuciłem ją ze względu na zbytnią
wymyślność.

Z każdej niekonwencjonalnej wycieczki wracałem do tortu.

- Jakie ciasto byłoby najlepsze? - spytałem Adama pewnego wieczoru,
kiedy

bawił się na dywanie z naszym husky, Skahotą. Odpowiedź padła bez
wahania i

była deklaracją jego niegasnącej namiętności.

- Ciuchcia! - obwieścił i powrócił do zabawy. Były to jego urodziny, więc nie próbowałem nawet perswazji ani wyjaśnień. Tym razem potraktowałem jego gorącą pasję poważnie i zadzwoniłem do Niny, która знаła się na wypiekach lepiej ode mnie. Przeglądając swoje przepisy, znalazła opis specjalnej tekturowej formy do ciasta, owiniętej folią aluminiową. Wagony towarowe i pasażerskie nie nastęrczały trudności, ale lokomotywa stanowiła wyzwanie. Mogłem zaspokoić szalony kaprys Adama, który okazałby się najświetniejszym deserem podanym na niskim stole centrum opieki. Poświęciłem mu tydzień mojego życia.

Zgromadzone na kawałku dykty sześć wagonów były prostokątami 24 na 12 centymetrów z ciasta biszkoptowego z papierowymi kołami, połączonymi dźwigniami z irysów. W lokalnym sklepie spożywczym nie było jedzenia o dość intensywne i żywe barwy, więc pewnego sobotniego popołudnia wybrałem się do specjalnego sklepu, gdzie po dwa dolary za sztukę kupiłem małe buteleczki błękitu, czerwieni, żółci i zieleni tak jaskrawych i błyszczących, że wystarczyła jedna kropla dla zabarwienia miseczek białego

lodu. Ale szukałem czegoś więcej niż kolor, potrzeba mi było wyrazu,
więc
dla lepszych proporcji mieszałem coraz więcej farb na mojej palecie, aż
otrzymałem oślepiające barwy. Żaden wagon towarowy nie był jeszcze tak
czerwony, żadna mała dzielna lokomotywa ozdobiona kulkami gumy,
ręcznym
lusterkiem i wesołą miną nie była tak błękitna. Był to mały silnik, który
mógł i wiedział o tym. Trudniej było mi uzyskać czerń dla parowozu, ale
rozwiązałem ten problem rozpuszczoną lukrecją, która rozsmarowana na
ciepło
i pozostawiona do stwardnienia przemieniła delikatne ścianki w
niezniszczalną stal. Zaniedbałem przygotowanie wykładu, ale skończyłem
pociąg o północy przed urodzinami Adama. Wokół zbudowałem domki,
wyciąłem
rysunki szczęśliwych rodzin (w kilku z nich był tylko jeden rodzic), i
pasących się zwierząt. Zanim poszedłem spać, poprosiłem Beę, żeby
przyjechała i zrobiła zdjęcie Adamowi, Ninie i mnie na tle mego dzieła.
Mój
syn nie będzie musiał się wstydzić.

Wszystko odbyło się tak, jak sobie wyobrażałem. Kiedy ostrożnie
wyjąłem z
samochodu dyktę i wszedłem środkowymi drzwiami, tort pociągowy
został
przyjęty okrzykami zachwytu i niedowierzania zarówno przez personel,
jak i
dzieci. Rodzice zaś, którzy wyłuskiwali swe pociechy z pokładów rękawic,

butów i kombinezonów, spoglądali to na tort, to na mnie z zawiścią i zdradą w oczach.

Stałem się dla nich wyzwaniem, kimś, kogo należało pokonać. Z pomocą miksera osiągnąłem status Rodzica Idealnego, dorosłego, dla którego nie było rzeczy niemożliwych, nie było życzeń dziecka, których nie mógłbym spełnić. Tak, pracowałem na cały etat, ale czy przeszkodziło mi to w obowiązkach rodzicielskich? Ciasto pociągowe mówiło samo za siebie.

Wróciłem później tego dnia, żeby poprowadzić to pamiętne przyjęcie. W migocącym świetle sześciu świeczek (jedna, by rósł dalej), oczy dzieci błyszczały zachwytem. W ich głosach brzmiało łakomstwo, a kiedy ucichły brawa, szybko uporały się z moim dziełem. W ciągu dwudziestu minut miniaturowy świat przeobraził się w surrealistyczną mieszaninę barw. Pozostał jedynie parowóz, naruszony, ale nie zjedzony, jako samotny świadek.

Adam, który w podnieceniu nawet nie spróbował tortu, był najlepszym przyjacielem wszystkich, bohaterem dnia, a kiedy wsiedliśmy do naszego błękitnego wozu, oparł się o siedzenie ze wzruszającym, szczęśliwym uśmiechem.

- Dziękuję, tatusiu - powiedział.

Spojrzałem na niego, na małego chłopca, który był tu najważniejszy. Jego ciemne oczy wyrażały tylko jedno: jego marzenie spełniło się. Z kolei ja, patrząc na niego, uświadomiłem sobie coś: moje marzenie również spełniło się w nim.

- Wszystkiego najlepszego - powiedziałem.

I na tym mogłaby się skończyć ta historia, kiedy tort został zjedzony, Adam uszczęśliwiony, a ja zrozumiałem prawdziwy sens, ale pozostał jeszcze

ostatni rozdział. Wieczorem, koło dziesiątej, siedziałem przy kuchennym stole, próbując uporządkować notatki na jutrzejszy wykład, kiedy zadzwonił

telefon. Była to dyrektorka centrum dziennej opieki. W jej głosie brzmiała wściekłość.

- Czego pan dodał do tortu? - spytała.

- Niczego - zaniepokoiłem się, że pogwałciłem jakieś nakazy zdrowego odżywiania się. - Tylko mąkę, cukier i trochę słodczy. Co się stało?

- Przez cały wieczór dzwonią do mnie rodzice - powiedziała. - Są w hysterii, chcą odwozić dzieci na pogotowie.

- Dlaczego? - Teraz i ja poczułem strach.

- Zanim położyli dzieci do łóżek, zabrali je do toalety. I przed spuszczeniem wody zauważyli, że muszla jest zielona! Albo niebieska! Żarówiasto żółta! Pomarańczowa!

Zamknąłem oczy i zobaczyłem jaskrawe wagony, stojące w szeregu i gotowe do drogi. Mój tort zrobił większe wrażenie, niż zamierzałem.

Po kilku dniach, kiedy wszystkie kosztowne farbki przeszły bezpiecznie przez system trawienny dzieci, Rada Pedagogiczna centrum dziennej opieki

wydała nową zasadę przyjęć: wszystkie potrawy urodzinowe mają być zwyczajne. Nic w stylu pociągu nie może się powtórzyć.

Przez następne miesiące przy odbieraniu Adama zachowywałem się jak trusia, żeby nie narobić zamieszania. Zgadzałem się na każde nowe zarządzenie, starając się nie zauważać gniewnych min rodziców. Adam nie bardzo radził sobie z codziennymi czynnościami, więc najwięcej energii wkładałem w jego spóźniony trening toaletowy i opanowanie sztuki wiązania butów. Poza tym, myślałem, za parę miesięcy pójdzie do szkoły, a wtedy zrobi znaczne postępy.

W naszym miasteczku nie było publicznej klasy zerowej, więc napisałem podanie do cieszącego się dobrą opinią programu w Norwich w Vermoncie. Nie będąc mieszkańcem miasta, musiałem płacić więcej, ale pragnąłem stworzyć Adamowi wszelkie szanse.

Ku mojemu zdziwieniu, zostałem odrzucony. Wpadłem więc do biura dyrektora szkoły podstawowej, żądając wyjaśnień. Wyjął z szuflady biurka teczkę Adama, przejrzał parę stron i zamknął ją z powrotem.

- Obawiam się, że brak nam środków, by radzić sobie z problemami w nauce

- powiedział. - To kwestia budżetu. Widzi pan, chciałbym...

- Problemy w nauce! - przerwałem. - Jakie problemy? Kto mówi, że on ma problemy w nauce?

Wyglądał na zaskoczonego. Jeszcze raz otworzył teczkę i zaczął ją przeglądać. - Nie wysłali panu kopii? - Pokazał mi kartkę maszynopisu. -

Studenci psychologii z Dartmouth mieli za zadanie obserwację dzieci z centrum dziennej opieki. Sądziłem, że mieli na to pozwolenie.

Zerknąłem na obciążający dokument. Zauważono, że Adam przesiaduje na podłodze, kołysząc się w przód i w tył. Miał ponad pięć lat i nie umiał korzystać z toalety. Wyłączył adapter w połowie piosenki, nie patrząc na to, że inne dzieci słuchają przez słuchawki.

Miałem gotową odpowiedź na wszystko. Oczywiście, że się kiwał - w ten sposób kołysał się jako dziecko, kiedy nie było nikogo, kto by go przytulił. Późno rozpoczął trening toaletowy, z pewnością nie ze swojej winy. To naturalne, że wyłączył adapter, skoro nie słyszał muzyki, nie wiedział o słuchawkach. Chciał tylko być pomocny.

Dyrektor wysłuchał mnie cierpliwie, ale nie zmienił decyzji. Nie mogli wziąć na siebie takiej odpowiedzialności. Nie mieli wystarczających środków.

Wróciłem do domu wściekły. Zadzwoiłem do centrum opieki i urządziłem awanturę o to, że dziewiętnastoletni studenci mogą decydować o wykształceniu mojego syna. Chciałem wiedzieć, dlaczego nie skonsultowano tego ze mną?

Dyrektorka przepraszała. Powinienem był otrzymać kopię raportu, mówiła, i zapewne powinni poprosić mnie o podpisanie zgody na jego wydanie. Było to przeoczenie ze strony centrum, ale sama obserwacja była czysto

profesjonalna. Stanowiła część fundowanego przez rząd programu Szkoły Medycznej w Dartmouth, który miał posłużyć rozpoznaniu późniejszych trudności w nauce u dzieci w wieku przedszkolnym. Prognozy dla Adama nie

były zaskoczeniem dla jego wychowawców. To uroczy chłopiec i wszyscy wariowali na jego punkcie, ale był wyraźnie PN.

- PN?

- Problemy w Nauce.

Zażądałem natychmiastowego spotkania z dyrektorką, profesorem psychologii, który opracował ten program, i dyrektorem szkoły podstawowej w

Norwich. Wszyscy chcieli się wybielić i przelać winę na mnie, ale nie pozwoliłem im na to. Kiedy jeden z asystentów psychologa zaczął jakąś głupią rozmowę, zanim wygłosiłem swoje zdanie, zareagowałem gwałtownie:

- Sądzę, że w pańskiej terminologii mój stan umysłu można określić jako "wrogi".

Nikt z nich nie wiedział, że wystosowałem już długi, szczegółowy list do Zarządu Fundacji Edukacji Narodowej, agencji rządowej, która zarządzała stypendiami dla szkół medycznych. Napisałem o niewłaściwych procedurach i

nieetycznym postępowaniu. Zadzwoiłem też do kolegi z college'u, który został prawnikiem, i zapytałem, czy powinienem wnieść oskarżenie, by usunąć

obraźliwy dokument z akt Adama. W tym wewnętrznym dramacie byłem lwem

broniącym swojego młodego przed stadem hien.

I miałem racje we wszystkim, co robiłem, choć może byłem nieco zbyt patetyczny. Sposób, w jaki postąpiło z Adamem centrum opieki, projektodawca

i dyrektor szkoły, wskazywał na amatorstwo i nieudolność. Przesłano mi formalne przeprosiny, profesor psychologii okazał zakłopotanie, a Adam, po

usunięciu krzywdzącej opinii z jego akt, zyskał prawo do ubiegania się o przyjęcie do szkoły w Norwich po zaliczeniu serii testów na inteligencję. Z gniewną pogardą odrzuciłem ostatni warunek. Nawet nie będę rozważał posyłania mego dziecka do takiej szkoły. Umieszczę go w prywatnym przedszkolu, a potem na czysto zostanie przyjęty do pierwszej klasy szkoły

w naszym miasteczku.

Byłem tak przejęty tym, że mam rację, że nie przyjmowałem do wiadomości

tego, co w krótkim czasie zauważyłby każdy student college'u, wychowawca w

przedszkolu czy dobry urzędnik. Chciałem, by Adam był normalny, ale tak nie było.

Podchodziłem do kwestii upośledzenia Adama jak prawnik w sądzie, szukający ekspertów, którzy potwierdziliby jego argumenty. Moja przyjaciółka, Sally Dean, którą poznałem na Alasce, robiła właśnie doktorat

z psychologii na Uniwersytecie w Bostonie. Poprosiłem ją, by poleciła mi

dobrego fachowca zdolnego ocenić inteligencję Adama. Chciałem, by stwierdził, czy rzeczywiście ma on słabe punkty, a jeśli tak, to jak sobie z nimi poradzić.

Sally podała mi nazwisko kobiety pracującej dla bostońskiej Akademii Medycznej, z którą umówiłem się na spotkanie bardzo pewny siebie.

Nigdy nie

wątpiłem, nie dopuszczałem możliwości, że Adam mógłby nie mieć jakiegoś

"daru", ukrytego talentu. Na tym etapie mego życia wierzyłem, że w kosmicznym porządku rzeczy każdy brak równoważy jakaś szczególna umiejętność. Adam był niewinny, o ile niewinność istniała, i dlatego nie podlegał karze. Jeśli nie nauczył się do tej pory korzystać z toalety, to zapewne drzemał w nim geniusz malarski, muzyczny czy poetycki, który zaprzętał jego uwagę. Jego metodyczność i powtarzanie pierwszych słów z pewnością wskazywały na zalety, które ujawnią się później. Może miał poświęcić się wyższej matematyce albo innej dziedzinie wiedzy i po prostu

nudziły go wycinanki i klejenie kolorowego papieru.

Byłem przekonany, że widzę w Adamie głębię niedostrzegalną dla innych i

że to ich problem, a nie nasz. Prawdziwa profesjonalistka z wielkiego miasta, ze stopniem doktorskim, szerokim doświadczeniem i przychylna dzieciom zauważy natychmiast, że mój syn jest kimś szczególnym. W wyobraźni

widziałem swój triumfalny powrót do centrum opieki w Norwich, do wybranej

szkoły, i profesora z Dartmouth, który pozwolił, żeby Adam został niedoceniony. Pokazywałem im dumny raport psychologa. Byliby pogiębieni, oskarżaliby się, przerażeni własną pomyłką. Co więcej, wygrana Adama posłuży całemu społeczeństwu i oszczędzi innym niezwykłym dzieciom i ich rodzicom tego gorzkiego doświadczenia.

O świcie w dniu spotkania zająłem się poważnie wyglądem Adama i swoim.

Ubraliśmy się tak, żeby zrobić wrażenie: on w dość drogie spodnie dobrane

do marynarki i nową białą koszulkę, wyprane tenisówki i skarpetki w Ulicę

Sezamkową. Upewniłem się, że zabrał książkę, którą miał przeglądać w poczekalni. Jego włosy były świeżo ostrzyżone i pachniały szamponem kwiatowym. Paznokcie dłoni i stóp równo przycięte. Zęby wyczyszczone, zresztą miałem w kieszeni szczoteczkę, by w ostatniej chwili dodać im blasku. Niech świeży oddech zrównoważy korzystnie egzamin. Poza tym miał

nowe okulary o nieskazitelnie czystych szklach i zegarek na rękę, choć sam

przyznawałem, że określanie czasu wykraczało poza jego możliwości.

Wyglądał

wspaniale - przystojny, atrakcyjny chłopiec - oczy mu błyszczały wobec perspektywy czterogodzinnej jazdy do Massachusetts. Kto wie, ile torów kolejowych przyjdzie nam przejeżdżać?

Mój strój był równie starannie dobrany. Chciałem uzyskać efekt "kolegi po fachu", wykreowałem się więc na miejskiego psychologa, przynajmniej tak, jak go sobie wyobrażałem. Konserwatywny, choć z kilkoma oryginalnymi dodatkami sugerującymi umysł otwarty na interesujące nowości. Morski sportowy płaszcz ożywiony niedbale zawiązaną jedną z moich hippisowskich chustek. Do tego teczka z materiału na zamek błyskawiczny ze snobistycznym nadrukiem: "Coroczny Zjazd Amerykańskiego Stowarzyszenia Antropologów - Toronto". Miało to podkreślić moją erudycję i możliwość wymiany informacji w żargonie socjologicznym. Zdaje się, że zabrałem nawet kopię swego życiorysu, na wszelki wypadek, jakbym ubiegał się o pracę, a nie o pozytywną ocenę mego sześciolatniego syna potwierdzającą jego zdolność do radzenia sobie w pierwszej klasie. W gruncie rzeczy chciałem uchodzić za osobę tak otwartą i czarującą, że pani psycholog trudno byłoby mnie rozczarować. Wszystko za kciuk uniesiony do góry.

Poczekalnia, według zaleceń pediatrycznych, była wyposażona w kolorowe twórcze zabawki, układanki i książeczki z rysunkami zaznaczonymi kropkami.

Miało to zadziwić dzieci, nie serwowano im ciężarówek na zdjęciu.

Zaprowadziłem Adama do łazienki, a potem posadziłem w poczekalni.

Byłem

przekonany, że jesteśmy obserwowani, mimo że naszą jedyną publicznością o

tak wczesnej porze była zajęta sobą recepcjonistka. Jeśli nasze stroje miały wywołać miłe, wysoko punktowane i porządne wrażenie, ta kobieta mogła

występować w Radio City Music Hall. Jej potapirowane i spryskane lakierem

włosy miały konsystencję i kształt prażonej mrożonej bezy na szczycie ciasta. Wypukłe szkarłatne paznokcie można było określić jedynie jako szpony. Założyła nogę na nogę, a z uniesionej stopy zwisał pantofel na obcasie dwudziestocentymetrowej wysokości. Oprawki jej okularów miały dziwny kształt, jakby założyła je do góry nogami. Zrobione były z plastiku, który pobłyskiwał na różowo. Oczy wymalowane były głębokim sinym

cieniem, a sztuczne rzęsy były tak długie, że ocierały się o szkła, kiedy mrugała, co zdarzało się często. Miała na sobie krótką, obcisłą, karmazynową sukienkę, której krój jak podejrzewałem, pochodził od Fredericka z Hollywoodu tak idealnie bowiem jej pierś układała się w kształcie litery "W".

Wszystkie ołówki w pudełku na jej zarzuconym biurku były doskonale naostrzone. Nazwisko Adama, pierwsze na krótkiej liście obok telefonu, zostało sprawdzone tuż po naszym przyjeździe. Jej nietknięta filiżanka w kształcie pucharu, ozdobiona Uśmiechniętą Twarzą, była w połowie wypełniona

kawą ze śmietanką. Telefon miał słuchawkę z podpórką na ramię sugerującą, że zdarzały się chwile, w których kobieta miała obie ręce zajęte - wypadek, który trudno mi było sobie wyobrazić. W ciągu pół godziny naszego oczekiwania, podczas gdy ja coraz bardziej sztywniałem, a Adam się wiercił, żadna z jej rąk nie miała nic do roboty.

Nareszcie pojawiła się przyjaciółka Sally. Była ciepła i przyjacielska, ubrana zwyczajnie w golf i džinsy, i od razu skoncentrowała się na Adamie.

Pochwaliła jego zegarek i skarpetki (policzyłem punkty dla siebie) i zaprowadziła nas do niewielkiego gabinetu. Zadała mi wiele fachowych pytań, przez cały czas świadoma i wrażliwa na to, co Adam mógł usłyszeć. Pytała o jego pochodzenie, doświadczenia przedszkolne i sytuację w domu. Nie czułem, że nas osądza, słuchała cierpliwie, robiła uspokajające notatki, podczas gdy ja gorliwie wyjaśniałem, przeprowadzałem kwalifikacje, proponowałem własne, amatorskie diagnozy, żeby odparować każdy niepokojący sygnał. Zauważyłem, że przeszedłem na żargon podręcznikowy, jak gdyby moje wnioski mogły okazać się bardziej istotne w ustach poważnego naukowca specjalizującego się w przypadku Adama niż zmartwionego rodzica.

Po skończonej rozmowie wyszedłem z pokoju, a pani psycholog wybrała Test na Inteligencję Wechslera dla dzieci w wieku przedszkolnym i szkoły podstawowej. Test składał się z dwóch części: słownej i przedstawianej. Nie powiem, że spodziewałem się cudu. Nie wiedziałem, że jest potrzebny. Zamiast tego czekałem, tak jak zwykle w przypadku moich własnych egzaminów, uzbrojony w nastawienie pod tytułem: nie zaskoczycie mnie. Jeszcze w szkole fascynowałem się analizą punktów moich Zróżnicowanych Testów Progностycznych, które miały stwierdzić czy będę szczęśliwszy jako artysta estradowy czy też dyrektor socjalny YMCA. Bez względu na to, że nie miałem słuchu i byłem raczej odludkiem, test wykazał, że mam ukryty talent. Mojemu synowi jednak nie dane było pójść w moje muzyczne czy medyczne ślady. Test stwierdził, że nie zostanie również geniuszem w żadnej innej dziedzinie. Psychologiczna ocena Adama nie była zachęcająca. Wynik testu na inteligencję był bliski dolnej granicy. Pod pewnymi względami był na poziomie dzieci rok młodszych od siebie, a pod innymi znacznie odbiegał od normy "w dziedzinach wymagających uważności na bodźce słuchowe". W tłumaczeniu oznaczało to, że Adam miał kłopoty z koncentracją,

szczególnie

na kwestiach abstrakcyjnych. Co więcej, okazało się, że jak na swój wiek, wykazuje nadmierną aktywność, impulsywnie podchodzi do zadań i jest bardzo

rozkojarzony ("zarówno słuchowo, jak i wizualnie").

Słuchałem, przybity rozczarowaniem i niepokojem, kiedy nakreśliła mi program edukacyjny dla dzieci "takich jak Adam". Gdyby miał znaleźć się w

normalnej szkole, wymagałby wzmożonej kontroli i musiałby unikać "nadmiernej stymulacji". Nauczyciel mógłby zapewnić mu kabinę oddzieloną od

reszty klasy, by uniemożliwić odciąganie jego uwagi. Zdanie podsumowujące

całe badanie psychologiczne brzmiało: "Z tych samych względów należałoby

kontrolować programy telewizyjne i filmy oglądane przez dziecko takie jak

Adam, ponieważ jest bardzo wpływowy i niezdolny do pomieszczenia w sobie

podniecenia, kiedy koła idą w ruch."

Nigdy przedtem nie przyszło mi do głowy, że Adam mógłby zostać zakwalifikowany do jakiejś określonej kategorii, że był "jak" ktoś inny w znaczący, przewidywalny sposób.

- A co poza tym? - pytałem, prosząc o jakiś równoważący dowód, znak na

szczęśliwą przyszłość, wskazówkę, że był to stan przejściowy, pozostałość

z

czasów jego sławnego "spóźnionego startu".

- Jest coś - zaczęła i odchrząknęła. - Zastanawiam się, czy Adamowi nie brak towarzystwa... kobiety.

- Kobiety? Pani wie, że nie jestem żonaty, ale mamy wiele znajomych, wiele krewnych, ciotek, babć i kuzynek. Czy wyrażał się negatywnie o kobietach?

- Nie przy mnie. - Wydawała się zakłopotana. - Ale Estella, recepcjonistka, którą poznał pan dziś rano, powiedziała mi prywatnie, że Adam z całą pewnością patrzył na jej piersi. Uznałam, że powinnam o tym wspomnieć. Może mógłby pan mu wytłumaczyć różnicę między chłopcami i dziewczynkami. Czasem dobrze jest posłużyć się przykładem lalek.

Zajął mi chwilę, zanim zorientowałem się, o kim mówiła, aż wreszcie przypomniałem sobie z wielką ulgą. Jeśli pani psycholog mogła mylić się co

do jednej rzeczy - Estella zrobiła wszystko z wyjątkiem przypięcia świecącego neonu, żeby zwrócić uwagę na swoje piersi. Nie trzeba było stopnia naukowego z języka ciała, żeby zorientować się, że Adam odpowiedział po prostu na wyraźną prowokację - to spokojnie mogłem podważyć

wiarygodność reszty jej oceny. Uchwyciłem się mego rozbawionego oburzenia,

uczyniłem z niego moją tarczę, upewniłem się, że kolejna osoba wyciągnęła

pochopne wnioski co do Adama z nieistotnych powodów - jego rasy,

posiadania

jednego tylko rodzica, problemów zdrowotnych - i nie potrafiła rozpoznać jego rzeczywistych możliwości. Prawdziwy problem, tłumaczyłem sobie, nie

tkwił w Adamie, lecz w tym, jak postrzegali go inni. Mogłem nad tym popracować, a reszta przyjdzie w naturalny sposób. Na razie postanowiłem się nie przejmować, zapomnieć o światełkach ostrzegawczych i nie zauważać

wzrastającego niepokoju innych tym, że istniał poważny problem.

W latach wczesnego dzieciństwa Adama nie wierzyłem w żadne diagnozy, z

wyjątkiem tych zachęcających, w żadną drogę, która nie prowadziła do normalnego, dorosłego życia. Odrzucałem jako niemożliwe opinie "ekspertów",

które dotąd słyszałem. Pozostało mi więc tylko samemu zostać ekspertem.

Uzbrojony w wystarczające dane mogę pokonać niedowiarków i sprawić, że Adam

odniesie sukces. Jeśli niepowodzenia Adama były czymś więcej niż zwykłym

pechem, stanem przejściowym, to jedyne i niegroźne ich wytłumaczenie tkwiło

w historii jego biologicznych rodziców.

Kiedy niechętnie zacząłem przyznawać, że może być lekko upośledzony niezależnie od mojej miłości i energii, ponownie zwróciłem się w stronę uspokajających lektur. Wpojono mi wiarę, że wszystkie odpowiedzi można znaleźć w bibliotece. Czekwały tam na odkrycie, trzeba było tylko szukać

we

właściwym katalogu, z wystarczającym uporem. Badania niosły ze sobą autorytet, a autorytet, jak niegdyś wierzyłem, moc.

Szukałem oświecenia w dziedzinach, o których miałem jakieś pojęcie dzięki

latom nauki, szczególnie w antropologii, dyscyplinie akademickiej, którą wykładałem zawodowo. Jaką można mieć lepszą motywację do borykania się z

kaprysmi "ethnohistorii" - nauki o ponadczasowych zachowaniach kulturalnych

ludzkości - od obrony ukochanego dziecka? Adam miał korzenie genetyczne

najmniej nam znane, niedostępne. Zbadanie ich oznaczało zajęcie się tym, co

już i tak robiłem zawodowo. Był dzieckiem znikąd, tajemniczym potomkiem

jakiegoś mężczyzny i kobiety - nie miałem szczegółowych informacji na jego

temat - a przecież pochodził z konkretnego plemienia i był amerykańskim Indianinem. Chociaż koncentrowałem się na Adamie, jego historia była w pewnym sensie mikrokosmosem większego obrazu. Nigdy nie spodziewałem się,

że mój syn będzie mnie uczył o Indianach. Uznałem jednak, że dogłębne studia nad pewnymi aspektami sytuacji amerykańskich Indian pomogą mi lepiej

zrozumieć Adama.

Wybrałem pozbawione emocji, czysto naukowe podejście, chciałem bowiem zachować obiektywizm. Będę świadomie odrzucał wszelkie osobiste wnioski, intuicję i wspomnienia. Mogą okazać się stronnicze. Chciałem faktów, szerszej perspektywy, a pierwszą linią ataku będzie systematyczne badanie historii.

Rozdział szósty

Denis Daigle, pracownik socjalny, niewiele mógł mi powiedzieć o biologicznych rodzicach Adama poza tym, że oboje byli Siuksami z Dakoty Południowej. Odpowiadała mi ta dyskrecja, bo działała w obie strony. Najbardziej obawiałem się, że w okresie próbnym, kiedy adopcja nie była jeszcze oficjalnie zatwierdzona, ktoś zadzwoni lub zapuka do moich drzwi, chcąc odebrać mi Adama. Gdyby do tego doszło, miałem już plan zapożyczony z "Chaty Wuja Toma". Zamierzałem uciec z nim do Kanady, zmienić nazwisko, zniknąć. Im mniej wiedziałem o rodzinie Adama, tym mniej oni wiedzieli o mnie. Niestety, odkryłem również, że im mniej wiedziałem o nich, tym

mniej

o Adamie.

Na początku jednak nie potrzebowałem wiele informacji. W swojej naiwności

i zarożumiałości byłem przekonany, że życie Adama zaczęło się od naszego

spotkania. Jakikolwiek obciążenia wyniósł ze swoich pierwszych trzech lat,

można się ich pozbyć tak samo jak rzeczy, które przyjechały z nim w obwiązanej paskiem walizce. Zatrzymaliśmy te, które były przydatne, do których Adam był przywiązany, reszta zaś została zastąpiona lepszymi rzeczami. Niewiele tego zachowaliśmy.

Zanim po niego przyjechałem, Adam był najnowszym mieszkańcem zatłoczonego

domu zastępczego. Jego opiekunowie mieli kilkoro własnych i adoptowanych

dzieci, jak również tymczasowych mieszkańców, których pieniądze na utrzymanie stanowiły dla nich źródło dochodu. Obydwoje zrobili na mnie wrażenie ludzi o dobrych intencjach, choć wyrządzali wiele szkody, preferując własne dzieci. Ich najmłodszy syn, Tommy, był tylko trochę starszy od Adama, i w całym swoim zagubieniu i milczeniu Adam czuł jego

wyższość. Jeszcze po roku spędzonym ze mną, poprawiał mnie, kiedy opowiadałem bajkę o trzech misiach. Zamieniał "dziecko Misia" na "Tommy'ego

Misia". Z domu zastępczego zabrał tylko dwie rzeczy, które wydawały się

jego własnością. Był to pojedynczy, czarny zdarty kowbojski but,
dziecinna

czwórka i mały błękitno-biały kawałek kołdry, ozdobiony frędzlami jak
śliniaczek. Był robiony ręcznie i tak postrzępiony, że choć nikt mi tego
nie mówił, uznałem, że dostał go od matki. Te dwa skarby, które wciąż
przechowujemy jako jego dziedzictwo, były całą przeszłością Adama,
jakiej

według mnie potrzebowaliśmy.

Ale podczas pobytu w Pierre podsłuchałem dwoje pracowników
socjalnych

rozmawiających o pochodzeniu Adama. Informacje były podawane w
suchym

skrótce, powtarzali historię tak podobną do innych, słyszanych każdego
dnia, że była im znajoma. Matka, mówił jeden z nich, zmarła w wieku
trzydziestu trzech lat, ojciec zaś siedział w więzieniu za jakieś bliżej
nie określone przestępstwo. Jedno dziecko z rodzeństwa Adama zostało
adoptowane przez parę chrześcijan, drugie było zapewne zbyt duże, by
kiedykolwiek wyrwać się z domu zastępczego. Och, i babcia ze strony
matki.

Ktoś widział ją pijaną w lokalnej tawernie.

To, co mówili, było tak przerażające, że natychmiast zepchnąłem to w
głąb

pamięci. Historia rozpadu rodziny była zbyt smutna, zbyt podobna do
tych,

które oglądałem lub o których słyszałem na Alasce czy w Montanie u
moich

miejskich sąsiadów. Standard, jaki przytaczałem w moich wykładach, obwiniając "system", ale tym razem to mój syn padł jego ofiarą. Czułem gniew większy niż kiedykolwiek, na historię i warunki społeczne, które wpędziły rodziców Adama w ślepy zaułek. Jednocześnie, pomimo politycznych uwarunkowań, nie mogłem usprawiedliwić rodziców, którzy ze słabości i samopobłażania pozwalali cierpieć własnym dzieciom. Cokolwiek mieli na swoje usprawiedliwienie, pozostawali oprawcami Adama. Skazali go na samotność w tym świecie i pomimo że szukałem dla nich wytłumaczenia, straciłem dla nich współczucie.

Gdzie była pijana babcia, kiedy nadgarstki i kostki Adama poraniły się od sznurów przywiązujących go do łóżeczka? Gdzie była, kiedy w niemowlęctwie głodował i nabawił się chronicznego zapalenia płuc? Co się z nią działo, kiedy pozostawiono go bez opieki i nie umiał nawet skorzystać z toalety w obcym domu zastępczym? Nigdy nie przyznałem tego otwarcie, nawet przed sobą samym, ale po części czułem ulgę z odejścia przeszłości Adama.

Choć nie było to oczywiście takie proste. Genetyczny łańcuch człowieka jest bardzo długi, ostatnie ogniwo zaczyna się w momencie poczęcia, nie narodzin. Adam miał cechy swych przodków zapisane w chromosomach, w każdym paciorku wiązania DNA, w każdym genie. Były jego surowcem, tworzywem, z którego powstał. Rodzice, którzy go wychowywali, biologiczni czy

adopcyjni,
mogli obudzić jego wewnętrzne siły bądź uwolnić słabości, ale nie mogli niczego zmienić. Nie myślałem o tym, nie uświadamiałem sobie ważności tych faktów w początkach naszego życia. Koncentrowałem się na byciu troskliwym opiekunem. Zagadki natury pozostawiłem genetykom albo tym, którzy uznawali predestynację jako sposób na usprawiedliwienie się.

Graham Nash śpiewał pieśń, która stała się hymnem mojego pokolenia: "Możemy zmienić świat". I choć nie wpłynęło to na wycofanie wojsk amerykańskich z Wietnamu ani zaprowadzenie pokoju w Biafrze, nie wątpiłem, że zdołam przywrócić Adamowi zdolność do niezależnych wyborów, jego prawo do życia jako wolnej ludzkiej istoty. A jednak owo idealistyczne przekonanie nie mogło wydostać go spoza muru testów na inteligencję. Postanowiłem więc coś: jeśli Adam nie mógł pominąć obciążeń, które stały się częścią jego dziedzictwa, mogłem przyjrzeć się tym punktom zapalnym i nauczyć się, jak je wykorzystywać.

Wierzyłem w przyczyny zewnętrzne. Skoro istniał problem, to musiał mieć jakieś źródło, powód, wyjaśnienie. Jeśli zdolność percepcji Adama była trwale ograniczona - jak zgodnie twierdzili specjaliści - chciałem poznać

winowajcę, chorobę za to odpowiedzialną, a zwaną patologią. Był we mnie ten rodzaj gniewu, który mógł zostać złagodzony tylko przez zrozumienie, zaakceptowany dopiero po wywróceniu każdego kamienia, powiązaniu wszystkich wątków w jeden wniosek. Nie wystarczało mi za odpowiedź zrozumiałe skądinąd wzruszenie ramion na pytanie "dlaczego?". Chciałem konkretów. Przecież problem Adama nie był odosobniony. Nie był to zwykły pechowy przypadek. A jednak litania jego objawów - niska waga po urodzeniu, mały obwód czaszki, nadmierna aktywność, powtarzanie tych samych błędów, wczesne problemy w rozwoju, brak uważności, ataki - jak twierdzili lekarze i inni specjaliści, których prosiłem o konsultacje, nie sugerowała żadnej konkretnej diagnozy.

Musiałem dowiedzieć się, kim był Adam, żeby odkryć, kim mógł się stać. Ale miałem tak niewiele dowodów, kluczy, tylko zapieczętowane przez sąd raporty medyczne, które mogły rozjaśnić mi piętnaście lat wstecz. Znałem plemię Adama. Wiedziałem, że pochodził z rozbitej rodziny. Wiedziałem też, że jego matka piła i zmarła przed ukończeniem trzydziestego piątego roku życia. Kilka lat po adopcji Adama zginął również jego ojciec. Dowiedziałem

się o tym z raportu, który przyszedł pocztą. Ten człowiek, niewiele starszy ode mnie, został pobity na śmierć przez obcych ludzi w jednej z alei miasta

Sunbelt. Od wczesnej młodości często przebywał w więzieniach, najczęściej za pijaństwo i chuligaństwo, choć zdarzały się włamania i napady.

Podawał

zawód "artysta" i przynajmniej raz zmienił nazwisko. Nie miał żadnego majątku do zapisania z wyjątkiem 50 procent udziału w dzierżawie ziemi w

jakimś rezerwacie.

Opracowywałem to punkt po punkcie.

Siuksowie albo Lakota ("lud" w ich własnym języku) mieszkali przed przyjazdem Europejczyków w rolniczych osadach na zachód od Wielkich Jezior.

Wypalali glinianą ceramikę, urządzali polowania na niewielką skalę i cieszyli się systemem społecznym, w którym mężczyźni i kobiety dzielili władzę i rządy we wszystkich dziedzinach życia. Z niektórymi sąsiadami żyli

dobrze, z innymi prowadzili wojny, praktykowali skomplikowaną religię, tworzyli muzykę fletów, grzechotek i bębnow i przedkładali oratorstwo nad

inne sztuki. Handlowali z ludami innych kultur z wielu regionów Ameryki Północnej i wierzyli, że twórcza siła Wakau przemieniła ich przodków w Czarne Wzgórza (paha sapa), te dziwne, poruszające i ciemne wypukłości na

płaskim krajobrazie zachodniej Dakoty Południowej.

Kiedy na ich ziemie dotarły w końcu konie szlakiem handlowym ciągnącym się od Meksyku poprzez puebla Wielkiej Równiny, Lakota w większości porzucili swoje osady dla wyzwania i przygody, które niósł ze sobą ciągły ruch. Koń stał się dla nich agentem rewolucji, jak koło czy samochód dla innych narodowości, w innych czasach. Wypuszczał ich na wolność długim, nie zamieszkałym korytarzem otwartej przestrzeni między wschodnimi preriami i Górami Skalistymi. Była to kraina zamieszkała przez bizona, ostatnie zwierzęta, które dostarczały wszystkiego, co potrzebne do życia: pożywienia, ubrań i schronienia dla ludności, która nie miała zbyt wielkich wymagań w dziedzinie materii. Ku konsternacji współczesnych antropologów, którzy uważają, że to sprzeczne z logiką, plemię to porzuciło życie "na garnuszku" i wybrało zajęcie bardziej ryzykowne i ekscytujące niż uprawa roli.

Na zachód od Missouri rozciąga się zachwycająco piękny płaskowyż, pachnące szalwią przestrzenie żółtej trawy przecinane głębokimi wąwozami.

Był to bardzo niebezpieczny obszar, ziemia jadowitych węży pośród chwastów,

kraj wilków i kojotów, gdzie niedościgłe orły i jastrzębie polują swobodnie na stworzenia ziemne. Klimat charakteryzował się ekstremalnym chłodem albo

upałami, suszą i potopem. Wysoka równina nie ma wybrzeża oceanicznego. Jej punktem odniesienia i źródłem mitologicznej inspiracji było zawsze zmieniające się niebo, dające światło za dnia i kierunek wyznaczany gwiazdami nocą. Barwy świtu i zmierzchu wabią różnorodnością na tle monotonii krajobrazu. Na tym terytorium, na którym nic nie przesłania dalekich linii horyzontu, większość ptaków znalazła swój dom.

Szalejące wiatry zrywają się tu niespodzianie, wzbijając diabelskie cyklony piachu podczas letniej suszy lub zapalając żywe zapalki błyskawic, gdziekolwiek dotkną ziemi. Zimą zaś wzbudzają tak szaleńcze zamiecie, że wystawienie nogi przed drzwi bez zabezpieczenia powoduje utratę równowagi.

W dawnych czasach przetrwanie człowieka w takim środowisku było miarą jego inwencji i szczerości. Wymagało refleksu, giętkości, zdolności do natychmiastowej, nieskrepowanej reakcji na wszelkie niespodzianki natury.

Życie było szansą, śmierć bezruczem.

Przez kilka dumnych pokoleń Lakota dzielili swą ziemię z innymi Indianami - Czejenami, Arapaho, Crow, Paunisami i Assiniboinami - szczepami, których zachowanie i system wartości były cenione przez Lakotów, nawet gdy stosunki

międzyplemienne nie były przyjazne.

Jak można się spodziewać po ludziach, którym bliższa była tułaczka nad uprawę ziemi, Lakota cenili sobie niezależność i indywidualizm. Nawet uczestnictwo w wojnie czy rola płci w dorosłym życiu pozostawały kwestią osobistego wyboru.

Wobec pierwszych Europejczyków i Amerykanów, którzy penetrowali ich terytorium w osiemnastym i dziewiętnastym wieku w poszukiwaniu partnerów handlowych, Lakota stosowali zasadę: żyj i pozwól żyć. Kiedy "odkryto" złoto w Czarnych Wzgórzach, na tę świętą ziemię wjechały tabory zuchwałych przedsiębiorców, poszukiwaczy i bandytów, którzy rozdzielali ją, zarzynali tysiące bizonów i pozostawiali gnijące na słońcu zwierzęta. Było rzeczą ogólnie znaną, że inne plemiona próbowały żyć w pokoju z przybyszami, a jednak padały ofiarami rzezi lub banicji. Tak więc Lakota podnieśli krwawy, legendarny dziś bunt. Wraz z pokonaniem pod Little Big Horn generała George'a Custer, człowieka, który od dziesięciu lat mordował bezbronnych Indian, Lakota i ich sojusznicy wstrząsnęli narodem w momencie obchodów jego stulecia. Ich zwycięstwo, które według wszelkich współczesnych reguł musi zostać uznane za samoobronę, utrwaliło ich stereotyp jako

"wojowniczych" i stało się usprawiedliwieniem dla rządu federalnego za rozparcelowanie ich terytorium chronionego rzekomo mocą traktatu.

Dla ludu koczowniczego wprowadzenie ścisłych ograniczeń przemieszczania się było straszną siłą destrukcyjną. Przypisany prawem do granic rezerwatu, niechętny uprawie roli, pozbawiony bizonów, i zastraszonego przez skorumpowanych pracowników rządowych, Wielki Naród Siuksów, jak nigdyś się nazywał, został politycznie i duchowo stłamszony. Historia i wartości kulturowe Lakotów, podobnie jak choroby i napaści zbrojne, choćby na Wounded Knee, przed którymi nie potrafili się obronić, sprawiły, że byli szczególnie podatni na depresję, zgorzknienie, zależności i zdemoralizowanie.

Nieszczęśliwym trafem - zły przykład, wprowadzający w błąd precedens, niepokojący wysoki rozwój - pomiędzy rokiem 1790 a 1830 (1D).

Francuzi,

Brytyjczycy i amerykańscy traperzy zaczęli przywozić Lakotom alkohol.

W

latach świetności plemienia wielu mężczyzn i niektóre kobiety uprawiały poszukiwania wizji albo hanbleceya (wołanie o wizję). Była to inicjacja w okres dojrzewania. Kolejno opuszczali bezpieczne domy rodzinne, często po

raz pierwszy w życiu, i samotnie, bez jedzenia wyruszali w nieznane.

Mieli

pozostawać w odosobnieniu do chwili, w której w zmiennym stanie

umysłu

wywołanym strachem, głodem, pragnieniem, stresem i wiarą, że przydarzy im

się coś niezwykłego, doświadczali wizji. To wejrzenie w siebie pozwalało dostrzec władzę wyższej jaźni nad ich życiem, potwierdzić swoją tożsamość.

Było wydarzeniem o niezwykłej wadze dla kierowania własnym losem.

Jeśli w

późniejszych latach pragnęli odnowienia tej wizji bądź zmieniła się ich sytuacja, mogli szukać drugiego hanbleceya poprzez taniec słońca bądź inny

rytuał.

Znaczenie, które przypisywali wizjom, wskazywało na to, że ostatecznie zaakceptują alkohol - początkowo zwany przez Lakotów minnewaken

(magiczna

woda) (2Ḑ). Zdawał się oferować im skuteczniejszą i mniej bolesną drogę do

osiągania zmiennych stanów świadomości. Przyzwyczajeni do

poszukiwania i

ufania niejasnym snom i wizjom, mężczyźni Lakota bez zastrzeżeń

przyjmowali

efekty upojenia alkoholowego. Przecież żyli w czasach, które wymagały

wizyjnego wyjaśnienia. Z pewnością nigdy przedtem w historii plemienia

nie

było większej potrzeby oświecenia wnętrza dla zrozumienia kierunku, w

którym podążał świat.

Rejestr transakcji przygranicznych wypełniony jest danymi o transportach spirytusu dla nie podejrzewających niczego Indian. Europejscy traperzy i handlarze, zazwyczaj pierwsi przedstawiciele swych nacji, którzy zapuszczali się w głąb lądu, mieli pijackie nawyki z Londynu, Paryża czy Madrytu. Głośne, awanturnicze zachowanie, które przysporzyło im złej sławy, nie było tolerowane w ich ojczystych krajach. Indianie nie mieli jednak porównania i byli nastawieni tolerancyjnie. W końcu europejscy handlarze posiadali doskonały towar - gwoździe, noże, narzędzia, lustra, ubrania - a Indianie pragnęli je zdobyć.

Wokół handlu rozwinęła się cała etykieta z przemowami powitalnymi, zapewnieniami o dobrych intencjach przywódców, rozdawaniem jedzenia, a szczególnie alkoholu przez handlarzy, wymianą towarów i uroczystością końcową. Wiele wczesnych zapisów świadczy o tym, że Indianie byli początkowo zniechęceni smakiem trunków otrzymywanych ze sfermentowanej kukurydzy i innych składników, które oferowali handlarze. Ich niechęć mogły również wywoływać skutki fizjologiczne - Wschodni Azjaci i amerykańscy Indianie reagowali na alkohol wysypką - jak również utratą godności i samokontroli. Z pewnością smak alkoholu stanowił w Ameryce Północnej równą nowość jak reguły społeczne nakazujące jego używanie. Reguły te były

zresztą prezentowane przez bandę cudzoziemców produkujących i rozprowadzających często przemywany samogon.

Plemiona indiańskie uczyły się po kolei nie tylko picia, lecz i sposobu picia. Europejczycy nie mieli żadnych manier ani ograniczeń w swoim pijaństwie i wkrótce "traperski styl" picia przeniknął do niektórych społeczności indiańskich. Bardziej stateczni osadnicy, kupcy i misjonarze, którzy przyjechali później i nigdy przedtem nie widzieli człowieka z Białej Góry, byli już uprzedzeni i przerażeni plotkami i stereotypami "dzikich czerownoskórych". Fakt, że Indianie pili alkohol i sposób, w jaki nań reagowali, potwierdzał ich najgorsze obawy. I tak plotki stały się z czasem rzeczywistością. Picie na zabawach, picie wszystkiego, co było pod ręką (ze sporadycznymi okresami abstynencji), picie do utraty przytomności. Stanowiło to część zaprezentowanego przez Europejczyków rytuału wymiany handlowej i paradoksalnie złożyło się na amerykański stereotyp "naturalnych" reakcji Indian na alkohol.

Dla odpowiednich europejskich władz, jak również dla współczesnej amerykańskiej biurokracji, ten fenomen jest do dziś doskonałym usprawiedliwieniem dla wprowadzania ograniczeń i zakazów (poczynając od Aktu o Handlu z Indianami i Wzajemnych Stosunkach z 1834 roku). Ograniczenia te stosowano wobec ludzi innej kultury, którzy stanowili pewną przeszkodę. Doprowadziło to do rozwoju drobnego przemysłu. Dla pozbawionych

skrupułów "przemysłowców" z osiemnastego i dziewiętnastego wieku
przemyt

alkoholu był ekwiwalentem dzisiejszego handlu kokainą i innymi
narkotykami.

Indianie cierpieli wskutek coraz poważniejszych ograniczeń, zaboru ziemi,
języka, religii, fryzur i potraw narzucanych im przez nerwowych, dobrze
uzbrojonych żołnierzy. W tej sytuacji picie w sposób "nie do przyjęcia"
stało się jedną z niewielu form protestu i ekspresji etnicznej. Niosło ze
sobą bunt przeciw kolonizacji, afirmację tożsamości plemiennej, niezgodę
na

opresyjny, poniżający, nietolerancyjny i niemożliwy do przyjęcia stan.

Dawało również zapomnienie, iluzję mocy, (3) ucieczkę od
rzeczywistości

pełnej frustracji i porażek, (4) w której zdawał się pogrążyć dawny świat.

Sposób życia, duchowe przekonania, dawne przekazy i konwencje
społeczne

zachowywane od tysięcy lat, stały się nagle nielegalne, nieskuteczne i
zakazane.

Ale zamiast rozwiązywać sprzeczności ludzkiego bytu, jak w przypadku
hanbleceya, alkohol potęgował jeszcze pomieszanie w umysłach
młodzieży.

Zamiast przystosowywać jednostki do czynnego życia w społeczeństwie,
rozrywał delikatną pajęczynę wspólnych obyczajów, powinności i
perspektyw

nadających znaczenie zwykłemu chaosowi życia.

W ostatnich latach wielu ludzi - socjologów, przywódców plemion,

pracowników służby zdrowia - usiłuje zrozumieć i wyjaśnić zjawisko nadużywania alkoholu przez amerykańskich Indian. W kilku społecznościach indiańskich, w których mieszkałem - nawet pośród moich krewnych - picie było rzeczą tak powszechną, że w pełni je akceptowałem, a nawet entuzjastycznie praktykowałem. Kiedy biesiadnicy wymieniali się szalonymi opowieściami o dziwnych wypadkach podczas picia, zawsze miałem kilka własnych historii w zanadrzu. Raz na przykład moja dziewczyna spadła na przyjęciu ze schodów, ale zaraz potem wstała i tańczyła do rana. Dopiero następnego dnia zorientowaliśmy się, że złamała rękę. Pewnej zimowej nocy dla kaprysu wyskoczyłem z łaźni parowej, żeby wytarzać się nago w śniegu, bo ktoś powiedział, że tak się robi w Finlandii. Wpadłem w zaspę, ogarnął mnie sen i byłbym zamarzył na śmierć, gdyby mojemu kuzynowi nie przyszło na myśl, żeby mnie poszukać. Prawie wszyscy mogli opowiedzieć o sobie coś podobnego. Śmieszyło nas to, ponieważ pomimo wszelkich przeszkód wychodziliśmy cało z opresji. Te szalone wyskoki poza granice zdrowego rozsądku miały także efekt zrównujący: niezależnie od tego, kim i czym byłeś, po wypiciu nieodmiennie okazywałeś się beznadziejnym idiotą.

Uratowały mnie dwie rzeczy. Po pierwsze, z reguły po wypiciu więcej niż trzech drinków byłem już ciężko chory, choć może sam ten fakt nie zniechęciłby mnie do picia. Kiedy w towarzystwie pojawiała się butelka, zbyt łatwo zapominałem o uroczystych ślubowaniach składanych sobie

poprzedniego ranka, kiedy siedziałem w łazience samotny i nieszczęśliwy. Ale po drugie i ważniejsze, moja najbliższa rodzina zachowywała wstrzemięźliwość i umiar, tak więc pomimo młodzieńczych wyskoków czerpałem siłę z ich przykładu.

"Rozumiałem" picie, choć nie w przemyślany i zanalizowany sposób. Wiedziałem, jak zachowywać się podczas picia, wiedziałem, jaka to przyjemność. Znałem ryzyko, ale nie miałem dystansu. Aby dowiedzieć się, jak funkcjonowało środowisko naturalnych rodziców Adama, wystarczyło mi pozbierać własne doświadczenia i zsumować je z teoriami innych. Materiału z pewnością nie brakowało. Przy niewielkim wysiłku zgromadziłem dziesiątki opinii, artykułów, książek, raportów i statystyk wyjaśniających przyczyny picia alkoholu przez Indian. Niektóre z nich odrzucałem od razu, jak na przykład teorię pewnego pilota. Pewnego ranka leciałem z nim z Fairbanks do odległej wioski na Alasce, gdzie miałem poprowadzić dwudniowe warsztaty dla nauczycieli. Ten pilot, którego przezywano Punky, zmusił mnie do zastanowienia. Byliśmy sami w jednosilnikowym samolocie, ponad tysiącami kilometrów niezamieszkałej dzikiej przestrzeni, a on wykończył już butelkę

Wild Turkey.

- Chce pan wiedzieć, dlaczego tak łatwo im się urznąć? - pytał, Punky, biorąc potężny łyk. Obaj wiedzieliśmy, o kim mówił. Zastanawiałem się, czy

zorientowałbym się we wszystkich przełącznikach i tarczach na tablicy kontrolnej, gdyby nagle stracił przytomność. Czy w schowku na rękawiczki

znajdowała się instrukcja obsługi samolotu? Czy spokojny głos dyżurnego ruchu powietrznego zdoła bezpiecznie sprowadzić mnie na ziemię, jeśli uda

mi się uruchomić radio?

- Mają to w genach - ciągnął Punky, nie czekając na moją odpowiedź.

- W genach? - nie zrozumiałem.

Kiwnął głową z przekonaniem. - Indiańskie geny są większe od białych, więc wchłanianie bimbrowi zajmuje im więcej czasu.

Chciałem zaprotestować, powiedzieć Punky'emu, że jest półgłówkiem.

Nie

odezwałem się jednak, bo w następnej chwili zobaczył lecącego pod nami orła

i z okrzykiem "odpalić pocisk!" rzucił w niego pustą butelką. Z pewnością miał to w genach.

Trudno było jednak pominąć alarmujące fakty. Według "Finalnego Raportu

Komisji do Spraw Amerykańskich Indian", (5D) nadużywanie alkoholu było

"najpoważniejszym i najbardziej rozpowszechnionym problemem

współczesnych

Indian". Około 50 procent populacji dorosłych amerykańskich Indian było

w

pewnym stopniu uzależnione od alkoholu. Praktycznie oznaczało to, że

prawie

każdy Rdzenny Amerykanin był bezpośrednio lub pośrednio pod

wpływem

alkoholu.

Badania z 1975 roku wykazały, że ponad 50 procent Indian zetknęło się z

problemem alkoholizmu w najbliższej rodzinie. Zgony spowodowane

przez

alkohol zdarzały się tu sześć i pół razy częściej w stosunku do reszty

kraju, a 71 procent aresztowań Indian w 1960 (6^Ź) roku było wynikiem

nadużycia alkoholu. Zgony wskutek wypadku czy zatrucia były trzy razy

częstsze niż u reszty ludności, a w 1973 roku Indiańska Służba Zdrowia

donosiła, że na 100 000 badanych Indian stwierdzono 27,3 przypadków

marskości wątroby, a u innych ras tylko 6,1 (7^Ź).

W 1976 roku 4,7% Indian poniosło śmierć wskutek morderstwa bądź

aktu

przemocy w porównaniu z 0,5 procent ludności. W Południowej Dakocie,

gdzie

urodził się Adam, jedną trzecią więźniów stanowili Indianie, mimo że w

95

procent stan zamieszkują biali. (8^Ź). Odsetek samobójstw był ostatnio

dwa i

pół raza większy niż u reszty ludności, a wśród młodzieży nawet wyższy.

Średnia długość życia Indian jest krótsza niż innych grup etnicznych w Stanach Zjednoczonych. Rzeczywiście, w porównaniu z ogromem nieszczęść wywołanych pijacką rozpaczą, gwałtem, marnotrawieniem, uzależnieniem i nędzą w tak wielu wiejskich i miejskich społecznościach indiańskich, "trzeźwa" przeszłość wydawała się światem nieskażonych emocji i czystej myśli, rodzinnych i społecznych związków wolnych od etanolu, aktywnego chemicznego składnika alkoholu. Była Złotym Wiekiem. Rajem.

Armia socjologów, antropologów, psychologów i dietetyków snuła liczne hipotezy dotyczące przyczyn i zasięgu spożywania alkoholu przez Indian.

Jak

jednak mogłem ocenić wiarygodność ich sądów? Pewne wnioski były oczywiste:

zobojętnienie, które przynosił alkohol, było dla niektórych sposobem na uporanie się z nędzą, rozwodem, stratą pracy, poczuciem winy, a nawet śmiercią kogoś bliskiego - wszystkich tych aż nazbyt powszechnych zjawisk w

życiu rezerwatu czy miejskiego getta. Ale były to bardziej symptomy niż przyczyny. W rzeczywistości alkohol zagrażał półtoramilionowej populacji współczesnych Indian. Podobnie pięćset lat temu plagi Starego Świata przerzedziły populację zachodniej półkuli, doprowadzając w krótkim czasie

do śmierci dziewiętnastu na każde dwadzieścia osób.

Szukałem odpowiedzi w pracach kobiety, której instynktownie ufałem. W

swej pracy doktorskiej "Etnografia picia i trzeźwości wśród Siuksów Lakota" pisała ona o rezerwacie Stojącej Skały, miejscu, w którym Adam i ja

otrzymaliśmy imiona Lakota. Bea Medicine przeprowadziła badania współczesnej społeczności amerykańskich Indian w czasie kryzysu.

Własnej

społeczności. Jej spojrzenie nacechowane było współczuciem, ale i drobiazgowym naukowym podejściem człowieka stamtąd. Badania te, prowadzone

od 1969 do 1983 roku, koncentrowały się w miejscu, w którym się urodziła i

wychowała, na 848 akrach federalnego rezerwatu na granicy Północnej i Południowej Dakoty. Wiele rozmów przeprowadziła w ojczystym języku Lakota.

Dzięki temu uzyskane przez nią odpowiedzi cechowała głębia i szczerść rzadko spotykane w pracach antropologicznych. Dzięki swej przynależności do

plemienia inspirowała i wzbudzała absolutne zaufanie u swych rozmówców. Co

więcej, pisała o miejscu, które nie będąc mieszkaniem rodziców Adama, bardzo je przypominało.

W czasie, kiedy Bea przeprowadzała badania, ośmiotysięczna społeczność

rezerwatu Stojącej Skały miała 60 procent bezrobocia, a średnie wykształcenie mieszkańców sięgało dziewięciu klas. Większość ziemi wydzierżawiono obcym do wypasania bydła, a głównym tutejszym

pracodawcą

pozostawał rząd federalny. Praca Bei dotycząca stopnia uzależnienia alkoholowego opierała się na wcześniejszych badaniach, a głównie na monografii J.O. Whittakera z 1962 roku i studium Luisa Kemnitzera z 1972.

Raport Whittakera był alarmujący: pośród piętnasto-, siedemnastolatków piło 50 procent chłopców i 40 procent dziewcząt; między dwudziestym a dwudziestym dziewiątym rokiem życia piło 99 procent mężczyzn i 72 procent

kobiet; między trzydziestym a trzydziestym dziewiątym rokiem życia 93 procent mężczyzn i 85 procent kobiet. (9Ď). Bea podawała zbliżone liczby, a

w niektórych przypadkach nawet wyższe, wzrastające procentowo w tych grupach wiekowych. (10Ď)

Whittaker dodaje:

"44 procent pije do stanu upojenia; 68 procent było aresztowanych za pijaństwo, 35 procent dwa lub więcej razy; 42 procent doświadczało utraty przytomności, 25 procent doświadcza jej coraz częściej; 14 procent było albo hospitalizowanych, albo szukało porady lekarskiej wskutek schorzeń wywołanych przez alkohol; 9 procent cierpiało na delirium tremens.

Przyjęcia i biesiady organizowane są od czterech w roku po cotygodniowe, a

więcej niż połowa pijących wspominała o dwu do siedmiodniowych ciągach

alkoholowych." (11Ď)

Badaniu zostało poddanych 31 procent abstynentów, 45 procent pijących

okazyjnie i 24 procent pijących regularnie (to znaczy więcej niż 3 razy w tygodniu). Według opinii mężczyzn z 1962 roku, 18 procent kobiet nie piło wcale. (12) Dane ze Stożonej Skały i Sosnowej Grani (również rezerwatu Siuksów z Południowej Dakoty) sugerowały, że wraz ze wzrostem zabezpieczenia ekonomicznego wzrasta także spożycie alkoholu (13).

Działo

się tak szczególnie w dniu wypłaty, kiedy właściciele ziemi otrzymywali czeki dzierżawne albo gotówkę ze sprzedaży gruntu. Innymi słowy, abstynencja powodowana była raczej brakiem funduszy niż wewnętrznym wyborem. (14)

Według wielu źródeł, picie alkoholu przez Lakotów tradycyjnie pozostawało

kwestią publiczną, a nie prywatną. Gordon MacGregor w swoich "Wojownikach

bez broni" (1945), spisał cztery cnoty główne tradycyjnej społeczności Lakotów. Były to: szczodrość, męstwo, dzielność i moralna siła. Według Bei

w wypadku zachowania podczas picia dominująca była szczodrość. W praktyce

oznaczało to nalewanie wszystkim obecnym na przyjęciu, bez względu na płeć

i wiek. Odmowa wypicia była równoznaczna z policzkiem (15), ponieważ

pozbawiała gospodarzy okazji do szczodrości.

Obserwacje Kemnitzera w Sosnowej Grani potwierdzały te dane.

"Na pijackich przyjęciach obecne są małe dzieci. Kobiety zabierają

niemowlęta do barów i karmią je piersią albo dolewają piwa i wina do butelek z mlekiem. Dzieci poniżej dwunastu lat bawią się w barach, a w piętnastym roku życia same zaczynają pić w grupach swych rówieśników, choć do wspólnych przyjęć dopuszczane są dopiero, gdy podrosną. Młodzi ludzie wdychają także benzynę i klej. Pijackie zachowania widać również w zabawach małych dzieci.

Dwóch małych chłopców bawi się samochodzikami. Udają, że załadowują wozy ludźmi i jadą do White Clay po wino, żeby się upić i rozbić w drodze powrotnej. Małe dziewczynki podczas zabawy lalkami przedstawiają sytuacje, w których "rodzice" upijają się i biją ze sobą. Tak więc zachowania i wartości utwierdzające wzorce pijaństwa przekazywane są dzieciom w postaci przykładów i wskazówek w każdej grupie wiekowej. W ten sposób pijackie zachowanie staje się "normalne" dla znaczącej liczby osób. (16D)

Stało się jasne, że spożycie alkoholu było czymś więcej niż neutralną manifestacją, przeciwstawieniem się dominującej kulturze. Przekształciło się w nałóg, uzależnienie fizyczne, narkotyk, bez którego nie można się obejść. Co więcej, w procesie nie do końca jeszcze zrozumiałym, dzieci alkoholików (szczególnie ojców alkoholików) wykazywały w dorosłym życiu

większą tendencje do popadania w chemiczne uzależnienia. Działo się tak niezależnie od tego, czy dorastały w środowisku pijącym, czy też były wcześniej z niego usuwane i wychowywane przez rodziny abstynenckie po odebraniu ich naturalnym rodzicom i adoptowaniu. Nie znaczy to, że wszystkie dzieci alkoholików miały problem alkoholowy, lecz mężczyźni i kobiety z tej grupy wykazują statystycznie większą podatność na uleganie nałogom, o ile zaczną pić.

To niewyjaśnione, ale i niezaprzeczalne dziedzictwo stało się przekleństwem wielu rodzin, społeczności i kultur świata - także amerykańskich Indian. Przyczyna tego pozostaje zagadką, paragrafem 22, w

którym nie ma jasności: czy społeczna tolerancja wobec nadmiernego picia

stworzyła wielopokoleniowy wzorzec pijaństwa, czy też pewne zmiany biochemiczne wpłynęły na wzorce genetyczne prowadzące do autodestrukcji?

Gdzie leżał nacisk, w wyborze czy konieczności? Czy rozwiązanie leżało w

edukacji profilaktycznej - wymagającej aktu woli - czy w zaprowadzonej przez rząd ścisłej prohibicji? Niezależnie od rozważań teoretycznych, z poprzednich prób narzucania podobnych ograniczeń przez Kongres w 1953 roku

wynikało, że droga ta nie tylko nie okazała się skuteczna, lecz znacznie pogorszyła sprawę. Prawo zakazujące Indianom posiadania butelki whiskey

zachęcało ich tylko do szybkiego picia i zacierania śladów.

Próbowałem połączyć te teorie, aby poznać pochodzenie mego syna.

Biorąc

pod uwagę fakt, że picie było prawdziwą epidemią wśród mężczyzn z plemienia Lakota, można było usprawiedliwić ojca Adama. Jeszcze jednak w

1969 roku Eileen Maynard mogła napisać:

"Kobieta, która nie pije, jest szanowana, zaś kobieta pijąca krytykowana. Szczególnie piętnowane są kobiety, które zaniedbują swoje dzieci z powodu picia albo pozostawiają przy barach bez opieki." (17)

Bea zanotowała zaś, że tradycyjnie "niektóre kobiety uważały, że nadużywanie alkoholu może spowodować poronienie lub urodzenie martwego dziecka. Większość kobiet nie pije w czasie ciąży. Dla niektórych może to być czas, w którym całkowicie zrezygnują z picia. Zdarzało się, że młode kobiety w wieku dwudziestu paru lat, noszące nieślubne dzieci, zaczynały nadmiernie pić, odmawiając jakichkolwiek wyjaśnień na ten temat." (18)

Czy to właśnie przydarzyło się matce Adama? Była takim wyjątkiem?

Jak

udało jej się uniknąć interwencji społeczności, w której żyła, i zapieć się na śmierć? Jeśli było coś nowego pod słońcem, to wzrastający odsetek kobiet

w rezerwatach, które piły nadmiernie między 18. a 45. rokiem życia - czasie

plodności, ciąży i macierzyństwa. Przyczyny tego zjawiska upatrywano w dyskryminacji kobiet, powstaniu ruchu równouprawnienia, polityce

zachęcającej kobiety, by nie ugięły się dłużej pod presją. Bardziej jednak przemawiał do mnie prostszy argument, że wzrastająca liczba pijących kobiet

miała swe źródło we wzrastającej liczbie pijącej ludności w ogóle. Skoro skłonności do popadania w uzależnienie od etanolu były dziedziczne, to liczba ludzi dotkniętych alkoholizmem wzrastała z pokolenia na pokolenie. A

jeśli pod wpływem alkoholu - co wydawało się oczywiste - rzadziej stosowano

środki antykoncepcyjne albo inne metody zapobiegania ciąży, prowadziły to

do coraz większej liczby nie chcianych ciąż. Nic więc dziwnego, że częste nadużywanie alkoholu było wprost proporcjonalne do liczby porodów kobiet o

coraz niższej średniej wieku. Warunki te mnożyły się same, w każdym znaczeniu tego słowa.

W swoim studium z 1962 roku Whittaker napisał, że na 55 procent pijących

kobiet, tylko 20 procent ich matek piło również. (19^Ź) Bea zaś odnotowała,

że w czasie powstawania jej pracy wzrosła liczba pijących kobiet Lakota (20^Ź), ale nie zauważyła, by zmieniło się to po urodzeniu dzieci.

Właściwie

"od 1960 roku kobiety wychowujące dzieci piją częściej." (21^Ź) Dzieje się tak prawdopodobnie dlatego, że większość tych kobiet dorastała w czasie prohibicji i "picie stało się dla nich formą rytuału inicjacji". (22^Ź) Co

więcej, wielu rodziców kojarzyło wzrost liczby pijących młodych kobiet ze

wzrostem wczesnych, nastoletnich ciąży. (23Ď)

Zazwyczaj kobiety uczą się pić w rodzinie. W większości wypadków piją ich

ojcowie i matki, dla których podawanie alkoholu córkom nie stanowi problemu. Wielu rodziców zachęca wręcz do towarzyszenia im podczas przyjęć.

inni troskliwie strzegą je przed współbiesiadnikami. Rodziny, które zachęcają lub nie odstręczają córek od picia, mają nastawienie fatalistyczne. Dziewczyna i tak zacznie pić bez względu na to, co zrobią. Poza tym pijąca córka może zabezpieczyć stały dopływ alkoholu. Może przyciągać białych ranczerów, farmerów, a nawet policjantów, którzy będą zaopatrywać ją w alkohol. W takich wypadkach cała jej liczna rodzina korzysta z tego układu. Kobiety indiańskie, które pasują do tego schematu, często wchodzi w związki z właścicielami barów, barmanami lub przedsiębiorcami gwarantującymi im ciągłe dostawy alkoholu. Takie związki

mogą stać się ich źródłem utrzymania.(24Ď)

Kolejne studium Whittakera z 1980 roku, dotyczące rezerwatu Stojąca Skała, stwierdza znaczny wzrost spożycia alkoholu (25Ď) sugerując jednocześnie, że plemię Lakota ma szczególny problem w zwalczaniu tego trendu. Wielu badaczy wskazywało na to, że picie nie budziło tu żadnych protestów (26Ď). Podobną teorię prezentowało studium kanadyjskiego plemienia Kri. (27Ď) Nadużywanie alkoholu nie budzi poczucia winy, nie burzy własnego pozytywnego wizerunku, jak mogłoby się zdarzyć w

wypadku

innej rasy. Whittaker zauważył, że 38 procent ankietowanych ze Stożkowej Skały nie potępiłoby pijanego mężczyzny bijącego swoją żonę. (28)

Z doświadczenia Bei wynika, że "picie i zboczenia (pijaństwo i agresja, samobójstwo i zabójstwo) były tolerowane w rezerwatach." (29)

"Jednostki,

które piją - pisze - nie są odrzucane przez grupę. Nikt nie wymierza im kary ani nie zmusza do poczucia winy. To charakterystyczne podejście Lakotów nie służy jako silny społeczny mechanizm kontroli." (30) I dodaje:

"Głównym czynnikiem przeciwstawiającym się zachowaniu trzeźwości jest

powszechnie i od dawna uznawana presja picia. Szczególnie w przypadku młodych mężczyzn, choć ostatnio zaczynają jej podlegać również kobiety."

(31) Bea zakłada również, że jednostka, która szuka odmiennego stylu życia, zostanie z pewnością odrzucona przez swą grupę społeczną" (32) i narazi się na poczucie wyobcowania z powodu nagłej utraty przyjaciół.

(33)

Stwierdzenia w stylu: "Myślisz, że jesteś za dobry, żeby z nami pić" albo

"Nie wiedziałem, że taki z ciebie wasichu (Biały)" czy też "A więc nie jesteś już Lakotą" to przykłady presji picia, które mogą odbierać odwagę

niepijącym. (34) "Pierwszą reakcją na trzeźwą osobę jest niedowierzanie rodziny i społeczności." (35)

Sytuacja, którą próbowałem przedstawić rozumowo, wydawała się nacechowana

wewnętrzna sprzecznością: tak piękna wartość kulturowa wolności osobistej funkcjonowała tylko w jedną stronę. Jednostka pijąca lub pijana nie podlegała krytyce, ponieważ miała prawo postępować według własnej woli.

Chyba że nie chciała pić, a wtedy cała grupa mogła z niej szydzić do woli. A tak przy okazji, co miało znaczyć "Myślisz, że jesteś zbyt dobry, żeby z nami pić"?

Przypomniało mi to pewien kawał. Dwóch mężczyzn, Biały i Indianin, przez

cały ranek łąwiło z pomostu kraby i mają już po pełnym wiaderku.

Odchodzą

więc na lunch, a kiedy wracają, wiadro Białego jest puste, zaś Indianina pełne, jak przed godziną.

- Nie rozumiem - denerwuje się Biały.

- To proste - odpowiada przyjaciel. - To indiańskie kraby. Kiedy jeden próbuje się wydostać, inne ściągają go w dół.

Wszystkie materiały, które udało mi się zdobyć, potwierdzają, że intensywne picie przy różnych okazjach jest warunkiem przynależności do określonych indiańskich grup - stwierdzeniem etnicznej tożsamości. Jak ujęła to Gretchen Lang w swoim studium o Chippewa mieszkających w Minneapolis: "rezygnacja z alkoholu równa się rezygnacji z pewnego stylu życia. Jest to o wiele bardziej skomplikowane niż tylko powstrzymanie się od picia."(36Ď)

Bea utrzymuje, że za takie podejście odpowiedzialna jest po części ekonomia. Lakota zdołali przetrwać tylko dzięki elastyczności i dzieleniu

się pracą i zyskami (tiospaya) w skrajnych sytuacjach. Wzajemna pomoc i wymiana pozwoliły im poradzić sobie z bezustannym pozbawianiem ich praw.(37Ď)

Wzorzec ten funkcjonował w dość skomplikowany sposób, ponieważ w ogromnej części, jak zauważyła Bea, "picie nie jest postrzegane jako problem przez Siuksów Lakota". (38Ď) Istniały jednak przesłanki dla zachodzących zmian.

(39Ď) Niektórzy mężczyźni, z którymi rozmawiała Bea, przestawali pić, "kiedy pomyśleli jaki problem stanowiło to dla narodu Siuksów". Nasuwa się

więc wniosek, że "ludzie mają świadomość tego, jak wiele dysonansów życia

Lakotów - kryzys rodziny, zanik wartości, zaniedbywanie dzieci, wzrost liczby wypadków spowodowanych jazdą po pijanemu i drobnych przestępstw, a

szczególnie kradzieży w celu zdobycia pieniędzy na alkohol - wynika z nadużywania alkoholu". (40Ď)

Nastawienie ludzi jest jednak bardzo różne. Niewielu wymieniło oczywiste

kłopoty zdrowotne jako powód, dla którego wybrali trzeźwość.

Stowarzyszenia

Anonimowych Alkoholików i narkomanów tak skuteczne w przypadku innych ras,

nie zdały egzaminu w społecznościach Rdzennych Amerykanów. (41Ď)

Z drugiej strony "bycie zreformowanym" - według określenia Lakotów -

"stało się częścią procesu dojrzewania wielu mężczyzn, choć "nie można tego

stwierdzić z całą pewnością." (42) Kobiety, które przestają pić po czterdziestce albo przy okazji zostania babkami ("ich dzieci są już dorosłe" (43)) i postanowiły dawać dobry przykład albo po prostu "były już

zmęczone piciem i hulankami" (44), nazywane są winyach tanka (kobiety

duże) co w języku Lakota kojarzy się z "dojrzałością." (45)

Według wszelkich uczonych dowodów, alkohol był nieodłączną częścią systemu społecznego amerykańskich Indian od ponad stu pięćdziesięciu lat i

nie można go było tak łatwo wyeliminować. Przez całe pokolenia picie stanowiło formę demonstracji, przejaw solidarności plemiennej, tożsamości i

pamięć dobrych czasów. Alkohol należał do akceptowanych wzorców rzeczywistości, a odmawianie go było równoznaczne z zanegowaniem podstawowych wartości społecznych. Nie było więc wątpliwości, że uzależnienie od alkoholu tkwiło u podstaw wielu problemów współczesnych

Indian, niektórych z nich bezpośrednio (śmierć w wypadku, marskość wątroby), inne zaś potęgując (ubóstwo, rozpad rodziny, maltretowanie dzieci). Zniszczyło naturalną rodzinę mego syna.

Bea twierdziła, że "odwaga i świadoma separacja są właściwe dla życia w trzeźwości". (46) Dawne jakości uważane przez Lakota za podstawowe cnoty,

straciły znaczenie. Kiedy Whittaker pytał swych rozmówców, jak według nich alkoholik mógł przestać pić, 73 procent odpowiadało, że wymaga to jedynie siły woli, 21 procent, że potrzebne jest wsparcie z zewnątrz, a 6 procent szukało rozwiązania w religii. (47Ď) Bea interpretowała "siłę woli" jako tradycyjny koncept "chin ka cha" - "samouwarunkowanie albo ćwiczenie w procesie autonomii podejmowania decyzji". (48Ď) Innym sposobem na zmianę nastawienia, spekulowała, mogła być praktyka "ah wa bleze ki" - badanie własnej jaźni, rozmyślanie, introspekcja. (49Ď) Być może istotny koncept wacunza ("wyrządzanie krzywdy", szczególnie członkom rodziny) mógł być potężnym hamulcem dla picia alkoholu.

"Zasadniczą kwestią jest to, że dopóki człowiek nie będzie w stanie rozważać własnych działań i ustawić ich w odpowiedniej perspektywie, nie

poradzi sobie z problemami w związkach międzyludzkich...

Rozwiązaniem tego

problemu mogłoby być zachowanie samoświadomości i rozsądku osoby wywołującej dysonans. Wymaga to całkowitego skoncentrowania się na osobistej

autonomii (chin ka cha)... Nie istnieje taka zewnętrzna siła jak wakan (święta wszechmocna siła) ani poczucie winy znane z chrześcijańskiej etyki,

która umiejscawia ośrodek kontroli we wnętrzu jednostki. Może to więc stanowić wyjaśnienie, dlaczego wielu Siuksów kojarzy zachowanie trzeźwości

z "siłą woli". Nacisk kładziony na indywidualność, a przynajmniej na samodzielne podejmowanie decyzji, wynika z koncepcji osobowości. (50Ď)

"Każdy ma nieograniczoną wolność wyboru". Jeśli mężczyzna lub kobieta zachowuje się w określony sposób, oznacza to, że "wybiera właśnie taki sposób zachowania i żadna zewnętrzna siła nie może temu przeszkodzić" (51Ď).

Niektórzy terapeuci plemienni bądź ludzie mający do czynienia z alkoholizmem w swojej pracy zauważali, że pewni pacjenci odnajdowali siłę

dzięki zmianie systemu wiary, przyjęciu zachodnich religii, takich jak mormonizm lub fundamentalne chrześcijaństwo, ostro zakazujące spożywania

alkoholu. Inni protestowali, że zwrot w stronę tradycyjnych systemów wierzeń może być tylko częściowym rozwiązaniem. Thomas Mails w swoim

studium nad odnową rytuału tańca słońca w rezerwatach Sosnowej Grani i Różyczce wskazuje, że picie "z punktu widzenia każdego lekarza czy przywódcy, jest przekleństwem o niewiarygodnych proporcjach". (52Ď)

Joseph

Jorgenson zinterpretował podstawowe cele współczesnych tańców słońca jako

wzmocnienie poszczególnych uczestników i ogólną krytykę systemu

społecznego. (53Ď) Jak zawsze jednak w przypadku Lakotów, silny nacisk kładziono na osobistą odpowiedzialność. Osoba szukająca pomocy gdziekolwiek, nie oczekiwała i nie przyjąłaby szczegółowych instrukcji i poleceń. Według słów Bei "proszona jest o ah bleze swoich działań i dokonanie zmiany". (54Ď)

Jak zawsze w przypadku trudnych wyzwań, prawdziwa motywacja pochodzi z wewnątrz.

Rozdział siódmy

Historia Adama jest osnową tej książki, ale występuje w niej więcej postaci. W 1974 roku, kiedy Adam miał sześć lat, Denis dopomógł mi w adopcji dwuletniego chłopca również pochodzącego z plemienia Siuksów z

Południowej Dakoty. Mój drugi syn otrzymał imię po dawnym druhu, z którym

łowiliśmy niegdyś ryby na Alasce. Sava był człowiekiem o wielkiej cierpliwości i umiejętnościach, poczuciu humoru i łagodnym usposobieniu.

Sava Stephan wierzył w dziwne teorie, jak najbardziej nieprawdopodobne. Utrzymywał na przykład, że łososie z Zatoki Cooka wiedzą, kiedy morze będzie tak wzburzone, że rozsądni ludzie nie będą się za nimi uganiać w drewnianych kutrach. Według niego im gorsza była pogoda, tym więcej

łososi

przeplýwało obok wioski. To przekonanie w pewnym sensie zdecydowało o tym,

że wziął mnie na współnika. Nie byłem zbyt dobry w wiązaniu sieci ani sterowaniu łodzią, ale pałałem entuzjazmem do nauki rzemiosła. Byłem więc

jedyną osobą w wiosce gotową ryzykować życiem dla udowodnienia jego teorii.

Główne wydarzenie całego okresu naszej współpracy nastąpiło drugiego sierpnia. Byliśmy w Tyonek. W szary i zimny poranek wiatr rozbijał fale o poobijane pale. Na całym wybrzeżu Zatoki Cooka doświadczeni rybacy spoglądali na groźne niebo, dorzucali węgla do pieca i rozkładali karty. Ale nie Sava Stephan.

- Ojej - powiedział w języku tanaina. - Dziś będą ich całe ławice.

Deszcz zalewał szkła moich okularów, kiedy spychaliśmy łódź na wodę. Mieliliśmy na sobie po kilka swetrów, długie kalesony i dzinsy, kalosze, płaszcze przeciwdeszczowe i gumowe kapelusze z szerokim niskim rondem, a

mimo to byłem przemoczony i zmarznięty. Wciągaliśmy na dziób ciężkie sieci

nasiąknięte wodą. Sól wżerała się w moje stare rany na dłoniach, kiedy wyciągaliśmy je metr po metrze. Zastawianie sieci stanowiło cały rytuał.

Sava sterował łodzią do zakotwiczonej, unoszącej się na wodzie beczki.

Kiedy byliśmy dość blisko, zarzucałem na nią pętlę liny i zabezpieczałem ją

prostym węzłem z liną znajdującą się u końca sieci. Potem, naciągając

sieć,
podpływaliliśmy do kolejnej beczki odpowiednio oddalonej, i
powtarzaliśmy
całą procedurę. Nie było to dla mnie łatwe, nawet kiedy morze było
spokojne. Zajęcie to wymagało dużej zręczności i koordynacji, a w tym
nie
byłem najlepszy.

Tamten dzień był morderczy. Odpłynęliśmy jakieś pół kilometra od
brzegu,
a wiatr był tak silny, że ledwie słyszałem głos Savy siedzącego na drugim
końcu łodzi. Pod wpływem zdenerwowania przestawałem rozumieć
tanaina i
złapałem się na tym, że tłumaczę sobie jego polecenia najpierw na
angielski, nie nadążając z wykonywaniem ich. Udało mi się jednak
chwycić i
przytwierdzić jeden koniec sieci do pierwszej beczki, ponieważ złapaliśmy
falę we właściwym momencie.

Potem zacząłem wyrzucać sieć przez burzę, podczas gdy Sava sterował w
stronę czerwonej boi wyznaczającej drugi koniec. Tym razem fala uniosła
nas
wysoko, pozostawiając beczkę w dole. Wyciągnąłem więc jedną rękę, by
zarzucić pętlę, a drugą przytrzymałem linę przy końcu sieci. Przez
chwilę
trzymałem je obie, ale nagle usłyszałem polecenie Savy.

- Jesteśmy za daleko - starannie przetłumaczyłem sobie jego słowa. -
Puszczaj, podpłyniemy jeszcze raz.

Zrobiłem, jak kazał, ale popełniłem błąd: puściłem sieć i przytrzymałem się beczki. Wyglądało to jak na zwolnionym filmie - pamiętam, że widziałem

wszystko jak na filmie rysunkowym - wyciągnęło mnie zza burty i rzuciło do

lodowatej wody. Poczułem, jak buty wypełniają się wodą. Jest to pierwszy znak tonięcia na Alasce (drugim jest przegrzanie, nawet w lecie). Wtedy uświadomiłem sobie, że jednym wyskokiem mogę znaleźć się na powierzchni.

Podkurczyłem nogi i wybiłem się w powietrze. Otworzyłem oczy i zobaczyłem

wychylonego z łodzi Sava, który mnie szukał. Złapaliśmy się za ręce i wyciągnął mnie z nadludzką siłą.

Mówią, że kiedy człowiek otrze się o śmierć, inaczej zaczyna widzieć świat. Tak też było ze mną, ale kiedy odzyskałem oddech, okazało się, że to

z powodu zgubienia okularów. Widziałem wyraźnie na odległość wyciągniętych

ramion. Dalej świat zasnuwała mgła. Jeśli z początku mogłem stanowić jakąś

pomoc, to teraz zaprzepaściłem wszystko.

- Morze jest chyba trochę zbyt wzburzone - stwierdził Sava z nutką żalu w

głosie. Wiedziałem, że widzi ławice chytrych ryb przemykających pod dnem

jego łodzi.

- Możliwe - zgodziłem się. W chwilę potem silnik szarpnął i zgasł.

- Jest tylko mokry - zawyrokował Sava. - Masz coś małego i wodoodpornego, żeby owinać zapłon?

Sięgnąłem do kieszeni prochowca i natrafiłem na małą plastikową torebkę z karmelkami.

- Doskonale! - Sava wyrzucił cukierki i owinał świecę plastikiem. Podziałało. Silnik zaskoczył, a torebka zapaliła się. Sava szybko oblał silnik wiadrem wody, zanim bak paliwa eksplodował, ale musieliśmy odtąd dryfować, pozbawieni napędu. Wiatr wzmaczał się i miotło nami we wszystkie strony.

- Chyba musimy przeczekać - głos Savy przedzierał się przez wycie wiatru.

- Wyrzucić kotwicę.

Prawie nic nie widziałem, więc po omacku rzuciłem się naprzód i wymacałem ciężkie żelastwo.

- Na prawo czy na lewo? - wrzasnąłem, a pokład to wznosił się, to opadał pode mną.

- Na prawo, na prawo - odpowiedział.

Byłem dumny, że tak dobrze go zrozumiałem i rzuciłem kotwicę przez właściwą burtę. Jedyne problem polegał na tym, że nie była przywiązana do

liny. Usłyszeliśmy daleki plusk i popatrzyliśmy na siebie poprzez strugi deszczu, nie mając sobie nic do powiedzenia.

Wtedy Sava znalazł jedyne wyjście z tej sytuacji. Odrzucił w tył głowę i wybuchnął śmiechem.

- Niezła historia - powiedział, kiedy w końcu złapał oddech. - Naprawdę dobra. Nie martw się. Jest zbyt dobra, żeby o niej nie opowiedzieć.

I miał rację. Nareszcie łódź złapała wielką falę i niczym deska surfingowa pomknęła na brzeg. Omijając skały, wpłynęła do maleńkiej rzeczki i osiadła bez większych uszkodzeń kadłuba. Kiedy sztorm w końcu ucichł i przyszła pora odpływu, znaleźliśmy naszą kotwicę, podartą sieć i nawet okulary z jednym szkłem wystającym z błota, które niczym latarnia odbijało promienie popołudniowego słońca.

- Tym razem nam się wymknęły - mówił Sava, wciąż pewny słuszności swojej teorii.

Kilka lat po tym, jak wyjechałem z wioski, zaledwie trzydziestopięcioletni Sava Stephan dostał ataku serca podczas gry w siatkówkę i umarł na szkolnej sali gimnastycznej w Tyonek. Dałem memu synowi jego imię w nadziei, że i on wyrośnie na człowieka, którego ostatnią deską ratunku jest śmiech.

Adam był zachwycony faktem, że ma brata, a Sava okazał się fantastycznym

brzdącem. Podczas gdy Adam był długi i chudy, Sava miał krępa i niską budowę. Od początku miał szczery uśmiech i pragnienie niezależności. Wkrótce za pięćset dolarów kupiłem osiemnastowieczną farmę z trzydziestoletnią hipoteką. "Raj dla majsterkowicza", jak powiedział agent nieruchomości, około trzydziestu minut jazdy z Hanoveru. Z pomocą Niny wytapetowałem górne sypialnie dla chłopców. Adama w dżunglę pełną zebr,

lwów i żyraf, a Savy w jaskrawe czerwone ptaki, zielone ryby i żółte sarenki. Ich okna wychodziły na kwadratową budę Skahoty ustawioną na podwórku w cieniu klonu.

W ciągu następnych lat wprowadzaliśmy w tym domu kolejne ulepszenia

-
zdrapaliśmy zieloną farbę z podłogi, naprawiliśmy instalacje, a pokoje jeden po drugim wypełnialiśmy książkami i używanymi meblami. Ale od początku był to nasz dom. Wodę braliśmy ze studni na szczycie wzgórza o pół

mili od nas. Łąka koło domu idealnie nadawała się pod ogród warzywny, na

naszych jedenastu akrach rosły jabłonie, maliny, jagody i agrest. Mieliśmy nawet niewielki staw. Posiadłość położona była w pewnej odległości od głównej drogi i nawet w lecie, przy kakofonii odgłosów żab i świerszczy, było tu zacisznie i spokojnie. Przejeżdżało tędy niewiele samochodów, więc

Adam i Sava mogli bawić się bez ograniczeń, podczas gdy ja siadywałem na

granitowej płycie przed domem, czytając i robiąc notatki do wykładów.

Zadziwiła mnie, jak szybko Sava uczył się mówić i opanowywał nowe zadania. W ciągu dwóch miesięcy nauczył się korzystać z toalety, wyćwiczył zawiązywanie butów i robił, co mógł, żeby się na coś przydać. Pomimo pięciu lat różnicy, obaj chłopcy byli w pewnych dziedzinach na jednakim poziomie.

Wtedy wydawało mi się to wygodą i błogosławieństwem. Podczas tego pierwszego wspólnego roku jeździłem na wykłady do Dartmouth, a Sava przebywał w centrum dziennej opieki, dokąd przychodził po swoich zajęciach

Adam. Przywoziłem ich tam o 8:30, a zabierałem o czwartej po południu.

Nie miałem zbyt wiele czasu na życie towarzyskie - mój dzień był podzielony między rodzinę, pracę i kilkoro najbliższych przyjaciół - ale nie narzekałem. Rzadko zatrudniałem opiekunki do dzieci. Przede wszystkim

dlatego, że nie było mnie na to stać, a poza tym wychodziłem z reguły wieczorem tylko wtedy, kiedy i chłopcy byli zaproszeni. Przyzwyczaili się do weekendów, kiedy zakładali piżamy i zasypiali w obcych łóżkach, a ja pomagałem zmywać naczynia i rozmawiałem do późnej nocy z kolegami.

Pod

koniec wieczoru zapalałem silnik, włączałem ogrzewanie i przenosiłem zawiniętych w koce chłopców na tylne siedzenie. Radio cicho grało, kiedy wracaliśmy pustą drogą do domu i zawsze przed wejściem do środka czekaliśmy

na koniec piosenki.

Pierwsze dociekania źródła problemów Adama z nauką wyposażyły mnie w dowody potwierdzające moje założenia. Poznałem naukowe wytłumaczenie jego stanu, które oczyszczało z zarzutów nie tylko mnie jako rodzica, lecz Indian w ogóle. Niektórzy Indianie pili dlatego, że niektórzy Indianie pili. Być może wykazywaliśmy szczególną biologiczną podatność na alkohol, a może wzorzec picia był tylko kulturowym produktem ubocznym. Byliśmy niewinni, zakażeni plagą, która przyszła z zewnątrz. Potrafiłem niezwykle elokwentnie przedstawić cały ten proces studentom drugiego roku w Dartmouth i w ciągu kwadransa poruszyć ich serca. Istniały tysiące logicznych, zewnętrznych przyczyn stanu Adama, który wydawał się nieunikniony i niezawiniony.

Wyjaśnienia te okazały się jednak bezużyteczne w dniu, kiedy niemal go utraciłem.

Siedziałem tego ranka w wolnej sypialni, w której urządziłem sobie gabinet. Pisałem moją pierwszą książkę, a Sava i Adam bawili się w wannie.

Nie znając specjalistycznego języka, miałem trudności z opisaniem zawilej polityki rządowej wobec Indian. Próbowałem się skoncentrować, ale wciąż wychwytywałem hałasy i plusk z pomieszczenia obok. Nagle zapadła cisza, a

potem usłyszałem głos Savy:

- Wyjdź stamtąd, Adam, szybko. - Brzmiało to zbyt spokojnie i denerwująco.

Pobiegłem zobaczyć, co się stało. Sava siedział w wannie i wyglądał tak, jakby za chwilę miał się rozpłakać.

- Adam nie chce się bawić - powiedział. Spojrzałem na Adama. Prawą stronę

jego ciała opanowało drzenie, głowę miał zanurzoną w wodzie.

Wyciągnąłem go

z wanny i ułożyłem na podłodze. Zdawał się nie oddychać. Odchyliłem mu

głowę, ścisnąłem za nos i zacząłem tłoczyć powietrze do jego płuc.

Pomiędzy

oddechami próbowałem uspokajać Savę słowami, w które sam nie wierzyłem.

- Wszystko w porządku, skarbie - mówiłem, nie przestając liczyć. - Już dobrze. - Nigdy przedtem nie robiłem sztucznego oddychania, nie wiedziałem

więc, czy postępuję właściwie. Zastanawiałem się, co robić, czy dalej pompować powietrze, czy natychmiast dzwonić na pogotowie. Wydawało się

oczywiste, że powinienem robić obie rzeczy naraz i po raz pierwszy w życiu

poczułem się głęboko wstrząśnięty własną arogancją. Jak mogłem zdecydować

się na samotne wychowywanie Adama? Przy dwojgu rodzicach miałby znacznie

większe szanse.

Nie odszedłem od niego ani na chwilę i po nieskończone długim czasie poczułem, że porusza się inaczej niż podczas ataku. Zakaszłał i z wymiotował

wodę. Sava zaczął płakać, więc wyciągnąłem rękę, żeby go uspokoić.

- Już dobrze - powiedziałem. - Bardzo dobrze.

Adam funkcjonował samodzielnie, biorąc gniewne, wspaniałe, nierówne oddechy. Ułożyłem jego głowę na swoich kolanach, wyciągnąłem Savę z wanny i owinałem ręcznikiem.

- Zaśpiewaj Adamowi - zaproponowałem, a on natychmiast rozpoczął swój repertuar: "Pracowałem na kolei". Oparłem się o chłodną porcelanę wanny. Żółte, luźne kartki z notesu przesiąkły wodą tam, gdzie je upuściłem. Pierś Adama była tak wątła, a skóra półprzezroczysta. Widziałem błękitne i czerwone linie żył i obserwowałem bicie jego serca. Jego wargi ze śladami zasychającej śliny poszarzały ze strachu lub zimna. Oczy miał zamknięte. Czarne, gęste rzęsy odcinały się od bladości policzków. Trzymałem jego dłonie w swoich. Ścisnąłem koniuszki palców opuchniętych od wody. Próbowałem uspokoić swój gniew. Zastanawiałem się do kogo był podobny, cień czyjej twarzy widziałem przed sobą?

Obraz matki Adama, który czasem budowałem w wyobraźni, był zamglony, niewyraźny, oparty bardziej na tym, co wiedziałem o jej życiu niż o rysach jej twarzy. W trakcie poszukiwań dowiedziałem się, że ta kobieta

pogwałciła

tradycje Lakota, pijąc w czasie ciąży. Prawdopodobnie jednak zmuszali ją do

tego najbliżsi. Gdyby tylko stała się abstynentką, mormonką, słuchała rad, przyjmowała wskazówki, lepiej poznała własną świadomość.

W wielu źródłach czytałem jednak, że nie ponosiła odpowiedzialności za to, że tego nie zrobiła. Nie była w stanie, ponieważ stała się przedmiotem sił społecznych, które określiły jej los na długo przed jej urodzeniem. Jej własna matka, pamiętna babcia Adama bawiąca się w tawernach, była tylko

kolejnym oczkiem w wielkiej sieci. To także nie jej wina. Każdy, kto miał twarz lub nazwisko, był tutaj ofiarą. Niezależnie od tego, czy na ułomność fizyczną i umysłową mego syna miało bezpośredni wpływ środowisko jego

pijącej matki, zaniedbanie go i porzucenie, czy też cokolwiek innego, w rzeczywistości była ona dziedzictwem jakiegoś anonimowego francuskiego

trajera, rezultatem wiary jego niewinnych przodków w transcendentale wizje, szyderczym produktem jakiegoś głupca, który poczułby się emocjonalnie zagrożony, gdyby matka Adama odmówiła whisky, kiedy potrzebował jej opieki.

Mimo że podziwiałem technikę i przenikliwość uczonych, odkładałem ich

książki ze zniecierpliwieniem. Rozumiałem i zgadzałem się ze wszystkim, co

mówili, ale kiedy przypominałem sobie o Adamie, który nie umiał liczyć

powyżej dziesięciu albo stał bezradny przed układanką dla trzylatków, wszystkie teorie traciły sens. Były tylko bardziej wyrafinowaną wersją obojętnego wzruszenia ramion. Cała historia ucisku na świecie nie mogła zrównoważyć niesprawiedliwości osobistej tragedii Adama, kiedy tak leżał bezbronny w moich ramionach. Istoty ludzkie były czymś więcej niż tylko zaprogramowanymi robotami, niewolnikami sytuacji socjo-ekonomicznej.

A

przecież, z powodów dla mnie niezrozumiałych, ludzi bezpośrednio odpowiedzialnych za początki życia Adama nie obchodziło to, co się z nim działo.

Abstrakcyjne tłumaczenia nie miały dla mnie wielkiego znaczenia. Ich lekceważące uproszczenia były gorsze w swojej akceptacji fatalizmu od naiwnych tłumaczeń "pecha", od których zaczynałem. Fascynujące teorie o

"pijaństwie Indian" i ich społecznym okaleczeniu były upiornym mózgowym

tworem, pozbawionym rzeczywistych podstaw. Rzeczywistością była niezdolność

Adama do zawiązania butów w wieku siedmiu lat, do zrozumienia pojęciowej

różnicy pomiędzy śniadaniem, obiadem a kolacją, do koncentracji przez całą

kreskówkę z Kaczorem Donaldem i wzięcia kąpieli z bąbelkami bez wypadku,

który zagrażałby jego życiu. Nie obchodziło mnie antropologicznie

uzasadnione i politycznie właściwe prawo do indywidualnego wyboru, ta

egoistyczna kulturowa apologia nietykalności nawet w przypadku destrukcyjnego postępowania wobec dzieci. Nie interesowały mnie żadne skomplikowane usprawiedliwienia sposobu, w jaki potraktowano Adama.

Następną jesienią zapisałem Adama do szkoły podstawowej w Cornish, dwa

kilometry od naszego domu. Codziennie o siódmej dziesiątej rano żółty autobus

zabierał go ze skraju drogi. Miał ze sobą lunch - kanapkę, banana, ciastko, dwie tabletki dilantyny i jedną tegretolu - w blaszanym pudełku Raggedy Andy. Zawsze chętnie tam jeździł. W ciągu ośmiu lat nauki nie stracił więcej niż parę dni przewidzianych na zwykłe choroby. Wydawał się odporny

na przeziębienie, grypę i cały wachlarz chorób dziecięcych, tak jakby wystarczyły mu przewlekłe schorzenia (skrzywienie kręgosłupa, nadmiar stałych zębów czy kłopoty ze słuchem) czekające w ukryciu, by pojawić się w

późniejszym wieku.

Pierwszą nauczycielką Adama była Alice Hendrick, kobieta o wieloletnim

doświadczeniu, nieskończonej cierpliwości, optymizmie i skromności. Tak długo już uczyła sześciolatki, że nawet rozmawiając z dorosłymi wyraźnie wymawiała słowa i robiła częste uwagi mające dodać otuchy, a w rzeczywistości zbijające nas z pantałyku.

- Jak pięknie wypastował pan buty - powiedziała mi kiedyś na wywiadówce.

- I nie spóźnił się pan!

Spółeczność Comish była oryginalną mieszaniną północy Nowej Anglii.

Byli

to po części starzy jankescy farmerzy, po części współcześni hippisi żyjący w komunach i wykładowcy college'u w Dartmouth. Widać to było

wyraźnie na

przykładzie imion kolegów z klasy Adama, począwszy od proroków

Starego

Testamentu po takie innowacje, jak Promyk Słońca czy Kardamon. W

całej

szkole uczyła się ponad setka dzieci i w ciągu miesiąca nauczyciele znali

je już wszystkie z nazwiska.

Pani Hendrick szczególnie zainteresowała się Adamem. Odrzuciła z miejsca

moją propozycję dodatkowej zapłaty i prosiła, bym podrzucał go jej w sobotnie poranki w czasie roku szkolnego i w dni powszednie podczas

wakacji. Podzielała moją wiarę w jego możliwości i poświęciła mu

wszystkie

swoje umiejętności nabyte w ciągu lat pracy. W tym czasie Adam niemal

zatrzymał się w miejscu, choć z perspektywy lat widzę, że pani Hendrick

osiągnęła w ciągu roku coś, co powinno zająć więcej czasu: nauczyła go

czytać. Nie przyszło mu to łatwo, ale stopniowo nauczył się recytować

słowa, harmonizować ich brzmienie i oddech. Zaczął rozpoznawać

związek

głosek i liter, układał usta i wydychał powietrze. Kiedy połapał się w tym,

zaczął pisać. Pisał powoli i mozolnie. Przez całe lata stawiał nierówne

litery, niektóre odwrócone, ale było to czytelne. Adam zdobył nowy środek

komunikowania się, odbierania i udzielania informacji. Wierzyłem, że jest to oczekiwany długo przełom, że po pierwszym zwycięstwie reszta stanie się prosta. Od 1974 do 1979 roku Adam odbywał regularne wizyty u neurologa dziecięcego w szpitalu Kennedy'ego w Bostonie. Doktor Edward Hart był dokładny, wstrzemięzliwy w wydawaniu ocen i bardzo profesjonalny. Z jego szczegółowych notatek po każdej wizycie mogę dziś odtworzyć chwiejny proces jego rozwoju, wyniki badań krwi, zwiększone dawki leku i powolnego przybierania na wadze - siedem i pół kilo w ciągu pięciu lat, aż osiągnął trzydzieści trzy kilogramy w wieku lat jedenastu. Jest to historia wzlotów nadziei i załamań, ataków i poprawy. Adam zawsze wydawał się być w lepszym stanie, niż można by przypuszczać, choć nigdy potem nie było tak dobrze, jak wskazywały pierwotne oceny. Notatki lekarskie określają Adama z wielką precyzją i sympatią, choć nie składają żadnych obietnic, nie popadają w entuzjazm.

Te wizyty stopowały mój optymizm, tak jak nauka czytania go podbudowywała. Nie myślałem o tym, że niewiele z tego rozumiał, że nie pamiętał dopiero przeczytanych historii. Nie zwracałem uwagi na to, że pomijał znaki przestankowe, nie akcentując pauz ani kropek. Sunął od początku do końca książki, łącznie z notą wydawniczą, nie widząc żadnej różnicy. Zamówiłem mu specjalne książki z wydruku komputerowego, w

których

główny bohater zawsze miał na imię Adam, a pośród postaci występował Sava,

Skahota i ja. Ale my przejmowaliśmy się tym bardziej niż on. Nauka czytania

była ważnym krokiem naprzód dla Adama, ale był to bilet do dorosłości na autobus, nie na ekspres.

Wszystkie zajęcia w Dartmouth kończyłem przed trzecią trzydzieści. W ten

sposób odbierałem jeszcze Savę z centrum dziennej opieki i czekałem w domu

na powrót Adama ze szkoły. Nasze życie było pod wieloma względami sielanką

i czasem żartowałem, że żyjemy na okładce czasopisma sobotniej Gazety Wieczornej z 1955 roku.

Mieliśmy też swoją porcję nieszczęśliwych wypadków. Kiedyś, będąc sam z

Savą w domu, zaciąłem się w palec. Krew lała się strumieniami na moje ubranie, więc zanim ruszyłem na pogotowie z zawiniętą ręcznikiem ręką, pobiegłem na górę, żeby się przebrać. Chciałem zrobić dobre wrażenie na ekipie pogotowia. Kiedy wreszcie dojechałem na miejsce, uspokajając Savę

przez całą drogę, kwalifikowałem się do transfuzji.

Również pod względem zawodowym panowało lekkie zamieszanie. Aby utrzymać

się w Dartmouth przy niewielkiej promocji, należało często publikować.

Byłem przeciążony wykładami, a jednocześnie pracowałem nad poszerzeniem programu Wiedzy o Rdzennych Amerykanach. W tym czasie przyjęto wielu nowych indiańskich studentów. Zaistniał też pewien szczególny problem. Jeszcze przed otwarciem mojego wydziału szkoła traktowała symbol "Indianina" jak nieoficjalną maskotkę. Chłopcy z bractwa malowali twarze i stroili się w pióra podczas przerw w meczach futbolu, a publiczność reagowała okrzykami "Wah hoo wah". Nie mieli na myśli nic złego, ale indiańscy studenci przybyli do Hanoveru potraktowali to jako obrazę, złośliwą karykaturę występów swych pieśniarzy. Sprawę przedstawiono na Radzie Pedagogicznej, która z pewnym zakłopotaniem nakazała usunąć symbol. Niektórzy studenci podnieśli jednak bunt. Oni byli Indianami, spierali się. Jeśli Rdzennym Amerykanom to się nie podoba, powinni pamiętać, że są gośćmi w Dartmouth i mogą zostać wyproszeni. Cała historia była męcząca i wzbudzała niepotrzebne kontrowersje, ale ciągnęła się przez jakiś czas. Rok po roku musieliśmy tłumaczyć synom i córkom Dartmouth, dlaczego naśladowanie stereotypu Indianina jest nie na miejscu. Stereotyp ten sugerował dzikość, pierwotność, szlachetne serce i stoicyzm, a naśladowanie go byłoby tym samym, co udawanie rytmicznych czarnych czy bogatych Żydów. Cała

sprawa

nabrała znaczenia symbolu dla tych wszystkich, dla których istotną kwestią

były istniejące różnice i zacieranie ich. Każdego roku powtarzało się więc to samo, co męczyło mnie i wszystkich Indian w mieście, ale wydawało się

nie do uniknięcia. I tak na wszystkich frontach doświadczałem wielu niepokojów zawodowych i osobistych, dręczyły mnie nieuniknione wątpliwości

i zmartwienia finansowe. Nasza studnia kompletnie wysychała przynajmniej

dwukrotnie. Raz trwało to od stycznia do marca i byłem zmuszony taszczyć

wodę do domu w kartonach po mleku, a w razie większej potrzeby topić śnieg.

Dom mojej matki w Kentucky został niemal zmieciony z powierzchni ziemi

przez tornado. Pomimo to wszystko musiało mi się dziwnym sposobem wydawać

pod kontrolą, bo na wiosnę 1976 roku zadzwoniłem do Denisa i powiedziałem,

że chcę przeprowadzić trzecią adopcję.

- Niemożliwe - powiedział. - Nigdy ci się to nie uda.

- Jeszcze bardziej niemożliwe, niż myślisz - odparłem. - Tym razem mam konkretne wymagania: chcę mieć córkę i to malutką, żeby była rozsądna różnica wieku między nią a Savą. Denis roześmiał się, ale zgodził się na

spotkanie. Przyznaję, że nie zawsze byłem z nim do końca szczery.

Nigdy na przykład nie ujawniłem przed nim wszystkich problemów Adama, nie

wspomniałem, że jego możliwości przyswajania wiedzy były trwale ograniczone. Podkreślałem za to jego postępy, opowiadałem o nowych umiejętnościach, o jego mądrych uwagach czynionych niekiedy i potencjalnych

zainteresowaniach, które miał wkrótce wykazać. Nie było wątpliwości, że Adam jest szczęśliwym małym chłopcem, uczuciowym, emocjonalnie zrównoważonym, wciąż trochę chudym, ale wyglądającym zdrowo. Jego reakcja

na pojawienie się Savy świadczyła o doskonałej harmonii, a jego wybiórcza

pamięć - potrafił odtworzyć ustawienie mebli w biurze Katolickiej Opieki Społecznej podczas pierwszej wizyty, choć czasem nie pamiętał imion swoich

kolegów z klasy - robiła ogólnie korzystne wrażenie.

Na dodatek, aby uciszyć niepokój Denisa, który obawiał się, że biorę na siebie zbyt duży ciężar, robiłem subtelne uwagi na temat pewnej kobiety, prawie narzeczonej, która według mego opisu miała pewnego dnia wyjść za

mnie i zostać matką moich dzieci. Ta tajemnicza kobieta była indiańską prawniczką, która marzyła o macierzyństwie, pochodziła z olbrzymiej, kochającej rodziny, a w charakterze premii była wysoka, piękna i godna zaufania. Denis pytał o nią nieraz w miarę postępów procesu adopcyjnego,

a

ja opowiadałem o jej ostatnich sukcesach albo gorliwie przytaczałem anegdotki ilustrujące jej oddanie dla Adama, Savy i dla mnie.

Zdaje się, że chwilami sam zaczynałem wierzyć w jej istnienie, choć pomiędzy nauczaniem, zarządzaniem i promocją Programu Wiedzy o Rdzennych

Amerykanach a opieką nad moimi dwoma synami nie miałem czasu ani energii na

życie towarzyskie. Pozwalałem sobie jedynie na rzadkie wizyty domowe,

kontakty z niektórymi indiańskimi studentami, sąsiadami i gronem

najbliższych przyjaciół. Moje życie było tak wypełnione pracą i

upragnionymi dziećmi, których z początku nie spodziewałem się mieć, że

rzadko przychodziło mi do głowy prosić o więcej. Miałem za sobą

przykłady

pogodzonych z losem samotnej mamy i babci, a moje własne życie

wydawało mi

się kwintesencją normalności.

Musiałoby się tak również wydawać Agencji Opieki Społecznej z Dakoty Południowej, ponieważ pewnego czerwcowego poranka odebrałem telefon od

zadziwionego Denisa.

- Co byś powiedział - spytał - na dziesięciomiesięczną dziewczynkę?

- Zapytałbym kiedy - odparłem.

- Co byś powiedział na przyszły tydzień?

- Poniedziałek.

Jakimś cudem udało mi się ułożyć wszystkie zajęcia. Znalazłem zastępstwo

w szkole, a opiekę nad Adamem i Savą powierzyłem na czas wyjazdu Ninie,
która mieszkała w sąsiedztwie ze swoim wspaniałym synkiem o imieniu Joshua.

Od czasu ich pierwszego spotkania, kiedy adoptowała go w El Salvador, Joshua był zakochany w każdym nowym doświadczeniu, które ofiarowywało mu

życie. Po raz trzeci poleciałem do Pierre i jeszcze tego samego popołudnia poznałem moją córkę, Madeline. Zgodnie z obietnicą była doskonała.

Miała

łśniące czarne włosy, błyszczące ciemne oczy i wystające kości policzkowe,

które sprawiały, że wyglądała jak boginka Majów. Od urodzenia mieszkała w

domu zastępczym, a z wyjątkiem brzydkiej wysypki od pieluch cieszyła się

doskonałym zdrowiem. Kiedy ją pierwszy raz zobaczyłem, była ubrana w różową

organdyne i siedziała spokojnie i poważnie na środku kojca. Cechowała ją naturalna rezerwa, nie prosiła o nic, ale kiedy butelka lub grzechotka trafiała do jej rączek, była zachwycona. Parę miesięcy później Madeline wymówiła swoje pierwsze słowo "dobra" i odtąd powtarzała je przy każdej okazji.

- Czas wstawać, Madeline.

- Dobra.

- Lunch, Madeline.

- Dobra.
- Znajdź piżamkę, Madeline.
- Dobra.

I mówiła to z przekonaniem. Adam i Sava od razu zaakceptowali istnienie siostry, Skahota otrzymał nową parę kochających rąk, a centrum dziennej opieki Savy znalazło miejsce dla jeszcze jednej pensjonariuszki trzy razy w tygodniu. Z przyjazdem Madeline wątek naszego życia rodzinnego stał się bogatszy, bardziej skomplikowany i nabrał rytmu. W dodatku moja kariera układała się świetnie - opublikowałem książkę i kilka artykułów, a moje noty jako nauczyciela były bardzo pochlebne. Grupa ekspertów z zewnątrz sugerowała, że studia nad Rdzennymi Amerykanami powinny na stałe wejść do programu Dartmouth, a po sześciu latach pracy na wydziale dostałem awans z asystenta na starszego wykładowcę.

Kiedy myślę dziś o tamtych czasach, przypominam sobie jedną scenę; Skahota szczeka radośnie na dźwięk kroków Adama, ja wydaję pachnące ciasteczka z piekarnika, a Sava podsuwa krzesło do stołu dla Madeline. W naszej stodole zazwyczaj mieszkały koty o znaczących imionach. Najbardziej przyjacielskie były Sierra Madre, Sierra Leone, Sierra Blanca i Sierra Nevada. W moim wspomnieniu one również przeciągają się i przygotowują na przyjęcie.

Nasze życie nie mogło być jednak tak dobrze zorganizowane, pod tak doskonałą kontrolą. W starych kalendarzach natrafiłem na zapisy wizyt u lekarzy w Bostonie. Wciąż czytałem też książki o teorii uczenia się i próbowałem wprowadzać zmiany w eksperymentalnych programach, aby znaleźć

metodę odpowiednią dla Adama. Początkowo zwróciłem się w stronę teorii

dzieci kwiatów z 1960 roku. Była to zasada nieingerencji i naturalności.

Miałem pozwolić Adamowi na odnalezienie właściwego dlań poziomu, na którym

poczułby się "wolny". Zainspirował mnie rysunek, który przykleiłem na lodówce. Ukazywał on klasę z idealnie równymi rzędami ławek, w których uczniowie patrzyli zgodnie w jednym kierunku. Wyjątek stanowił samotny amerykański Indianin siedzący na podłodze, który spoglądał w inną stronę. Niewrażliwy nauczyciel krzyczał na niego: "Dlaczego nie jesteś taki jak inni?" Nie chciałem być podobny do niego! Napisałem więc pod rysunkiem:

"Nie przejmuj się, jeżeli Adam: 1) zmoczy majtki; 2) będzie przeszkadzał

grupie; 3) zrobi coś niechlujnie; 4) odmówi udziału w zajęciach; 5) nerwowo gestykułuje; 6) będzie w złym humorze; 7) uderzy kogoś; 8) jest

powolny". Nie sądzę, żeby moje dobre intencje przetrwały długo.

Dla umocnienia pozytywnych wzorców wypisałem listę codziennych domowych i

szkolnych zajęć Adama, z których każde, jeśli zostało wykonane, było

nagradzane gwiazdką. Określona ilość gwiazdek pod koniec dnia dawała certyfikat. Certyfikaty te mogły być później wydawane jak pieniądze na zabawki, jedzenie w barze czy inne przyjemności. Kartki zatytułowane "Dzień

Adama" zawierały takie kategorie, jak "siedział spokojnie przy śniadaniu", "nie zmoczył się rano", "był wesoły na..." i "sam się rozebrał". Pomysł z zarabianiem punktów nie zdawał jednak egzaminu w wypadku Adama i nadal nie

zdaje. Mój syn jest żywym przykładem maksymy Horacego - "carpe diem".

Pojęcie jutra według niego nie umywa się do teraz, więc po miesiącu mieszanych rezultatów listy zostały odłożone. Pozbawianie go przywilejów

również nie było wystarczającą groźbą. Adam nie pragnął niczego tak bardzo,

czego strata wpłynęłaby na zmianę jego postępowania. Jeśli mówiłem: "Adam,

będziesz musiał włożyć pieluszkę do szkoły jeżeli się zmoczysz", jeśli groziłem, że odeślę go do jego pokoju, o ile nie będzie siedział spokojnie, przyjmował konsekwencje bez narzekania i w rezultacie to ja czułem się paskudnie. Zdarzały się i postępy. Całymi tygodniami zachowywał się poprawnie w tej czy innej dziedzinie.

Przy całkowitej koncentracji, nieustannych instrukcjach, namowach i zachętach, czasem histerycznych, mogłem wpłynąć na zmianę zachowania Adama,

ale w chwili gdy przestawałem naciskać i kierować nim, natychmiast

wracał

do starych nawyków. Nie widać w nim było samodzielności. Nie

wykazywał

szczególnego zainteresowania, wewnętrznej motywacji, większej

dojrzałości

czy poczucia bezpieczeństwa, uczenia się na doświadczeniach.

Niezależnie od

tego, ile energii włożyłem ja czy jego nauczyciele, Adam zawsze kończył

w

punkcie wyjścia. Walczyliśmy o jego dojrzałość z jego obojętnością. Na

zewnątrz prezentował powagę i wyrozumiałość dla frustracji opiekunów i

z

zadowoleniem przystawał na każdą nową metodę.

Szczególny talent Adama, jego urzekające usposobienie często

pokrywało

brak jego postępów. W ostatnich latach zastanawiałem się, jak mogłem tak

długo nie zauważać, że Adam ma trwałe upośledzenie. Trzy lata po adopcji

napisałem następujący list do psychologa: "Jestem przekonany, że Adam

nie

ma żadnych trwałych problemów. Z pewnością słyszy to pani od każdego

rodzica, z którym pani pracuje, ale myślę, że dokonałem obiektywnego

osądu... To oczywiste, że jest opóźniony w rozwoju w niektórych

dziedzinach, ale jego postępy są niezwykle, wstrząsające, znacznie

większe,

niż mógłbym się spodziewać." Pięciostronicowy list zakończyłem uwagą:

"Gdybym mógł sobie życzyć czegoś dla niego, to większej wrażliwości na

pochwały i nagany. Aby znaczyły dla niego więcej, aby częściej odbierał bodźce od innych. W przeszłości wypracował sobie odporność na zranienie,

ale czas ją nieco osłabić. Muszę wiedzieć, jak mu pomóc w rozwijaniu zaufania. Jest słodkim, kochającym, uczuciowym i łagodnym chłopcem, najmiłszą osobą, jaką spotkałem."

Kolejni nauczyciele mieli podobny odbiór, czego dowodziły ich raporty przysyłane do domu każdego roku. "Adam jest uroczym chłopcem i naprawdę

miło mi mieć go w klasie" - komentował jego nauczyciel trzeciej klasy.

"Adam jest kochającym dzieckiem. Lubię z nim pracować" - to raport z następnego roku. "Tak dobrze sobie radzi! Aż trudno uwierzyć, że to ten sam

chłopiec" - napisał dyrektor szkoły na początku piątej klasy. Wszyscy ci dobrzy ludzie chcieli być optymistami. Chwalili "postępy" Adama w rysowaniu

map i naukach społecznych, jego zamiłowanie do książek, wielkie

zainteresowanie sztuką, przyjacielskość i głosili jego mistrzostwo w

podstawach arytmetyki ("Rozumie proces dodawania i odejmowania. Ma

niewielkie problemy z obliczaniem ułamków, ale wykazuje również

rozumienie

geometrii), słownictwa, określania czasu.

Przechowywałem te pochwały jako lek na chwilę zniechęcenia.

Potwierdzały

to, w co chciałem wierzyć, więc cytowałem je psychologom, lekarzom i nowym

nauczycielom Adama. Dopiero teraz, po czasie widzę, że były to pobożne życzenia, zbiorowe złudzenia. W żadnym momencie swego życia Adam nie mógł, nawet w najśmielszej wyobraźni, czytać mapy albo rozumieć zasad geometrii.

W ciągu ośmiu lat nauki w szkole Cornish nigdy nie odebrał żadnego telefonu ani nie otrzymał zaproszenia od "kolegi". Nie wysiedział w jednym miejscu dłużej niż kilka minut bez nadzoru.

Kiedy Adam był mały, ludzie zakochiwali się w nim i w swoich wyobrażeniach o nim. Był realnym bohaterem "filmu tygodnia", który zasługiwał na happy end. Poza tym miał dobre maniere, ujmującą twarz i do roli menedżera. Był jedynym Indianinem, którego spotkała większość jego kolegów ze szkoły. Jego problemy z nauką wydawały się z początku tak marginesowe i łatwe do rozwiązania. Przy niewielkim wysiłku jego stan mógł wrócić do normalności. Każdy dobry nauczyciel, pedagog czy wychowawca na koloniach letnich, których Adam spotykał w szkole podstawowej i średniej, traktował go jako wyzwanie. Wszyscy podchodzili początkowo do jego edukacji z przekonaniem i determinacją. Jego umiejętności były tak bliskie granicy

normalności, że wydawało się niemożliwością, aby przy odpowiednich staraniach nie udało mu się. Doskonale rozumiałem to przekonanie i dzieliłem je przez piętnaście lat. Czasem miewałem wizje, że gdybym zdołał

przeniknąć mgłę spowijającą świadomość Adama i szybko ponazywać rzeczy,

byłby zdrowy. Jediną wadą było jego lekkie rozkojarzenie.

W rzeczywistości trudno było osiągnąć poprawę, a jeśli już się to udało, jeszcze trudniej było ją utrzymać. Przegląd corocznych raportów nauczycieli

ujawnia, że rok po roku Adam pracował na takim samym poziomie nad tymi

samymi zadaniami. Każdego roku zaczynał na nowo i osiągał pewną granicę,

której nie potrafił już przekroczyć. Krzywa poziomu jego osiągnięć w nauce

przypominała jedną z tych karnawałowych zabaw dla silnych mężczyzn.

Uderza

się w platformę ciężkim młotem i piłka leci w górę dotykając dzwonu. W przypadku mego syna dzwonek czasem dźwięczał, ale piłka zawsze spadała z

powrotem na ziemię. Był małym silnikiem, który nie mógł przejechać przez

góry i we frustracji i rozczarowaniu tylko kilku oddanych ludzi nie porzucało myśli, że cała podróż warta jest ich wysiłku.

Ale co to byli za ludzie. Może zabrzmiało to dziwnie, ale Adam miał w

niektórych dziedzinach życia niewiarygodne szczęście, szczególnie do nauczycieli. Olivia Alexion przyjechała do szkoły podstawowej w Cornish, kiedy Adam był w drugiej klasie, i przeprowadziła go przez następnych siedem lat z nie słabnącym uczuciem i oddaniem. Była bardzo młoda, ledwie ukończyła college, ale miała cierpliwość i zdolność patrzenia w przyszłość, które idealnie pasowały do tej pracy. Panna Alexion była realistką obdarzoną niezwykle krótką pamięcią. Potrafiła więc zapominać o wszelkich porażkach i zachowywała stały optymizm, nawet jeśli musiała rok po roku powtarzać te same lekcje z Adamem. Utworzyliśmy spisec, związek, który wymagał czasem codziennych rozmów konsolidujących i utrwalających jego osiągnięcia w domu i w szkole. Byliśmy dzienną i nocną zmianą w tej samej fabryce, Adam zaś był naszą wspólną pracą, posuwającą się naprzód, centymetr po centymetrze, ale zawsze naprzód. Pisała setki uwag o jego zajęciach, zapisywała każdy sukces, świętowała każdy postęp i nie zauważała potknięć. Wierzyła równie gorąco jak ja, że Adam ma ukryte zdolności. Była przeciwieństwem zniechęcenia.

Wtedy, podobnie jak dzisiaj, zastanawiałem się, co z tego ma. Chodziło jej o podniesienie poczucia własnej wartości? O wygraną za wszelką cenę? Pracowała całymi godzinami za niską pensję i spędziła wiele wieczorów w

bibliotece, żeby opanować nowe metody nauczania. Z początku bałem się chwalić ją w obecności innych rodziców dzieci specjalnej troski - nie chciałem okazać, jak wiele uwagi poświęca Adamowi - ale okazało się, że wszyscy mają podobne zdanie na jej temat. Koncentrowała się na każdym uczniu, jakby był jedynym dzieckiem na świecie i dzięki niej wszyscy oni osiągnęli pułap postrzegany jako granica ich możliwości.

Pewnego styczniowego poranka, kiedy Adam był w połowie czwartej klasy,

panna Alexion postanowiła poddać go testowi na inteligencję WISC-R. Uważała, że poprzednie wyniki były "zaniżone", że w idealnych warunkach

egzaminacyjnych mogą okazać się znacznie lepsze. Siedzieliśmy oboje w pokoju, kiedy Adam był pytany, co w jej przekonaniu miało go uspokoić i złagodzić tendencję do rozkojarzenia w każdej nowej sytuacji.

Rezultat jednak był taki sam. Z testu ustnego otrzymał 63-77 punktów, z prezentacji 63-81 punktów, a ogólny wynik sięgał 64-76 punktów. Jak zawsze

jego możliwości znacznie różniły się w wielu dziedzinach. Miał najwięcej punktów za dokończenie obrazka i obiekt grupowy, a najmniej za konstrukcję z klocków, układanki i odnajdywanie podobieństw. Innymi słowy zadania, które wymagały abstrakcyjnego myślenia, sprawiały mu najwięcej trudności.

Nie takiej odpowiedzi pragnąłem, więc zanegowałem wyniki w długim mądrym

liście do panny Alexion. Zauważyłem, że test był "przejawem podziału

kulturowego na korzyść głównego trendu amerykańskiego" - tak jakby Adam,

syn profesora z Dartmouth, mieszkający w Cornish, New Hampshire, pochodził

z jakiejś egzotycznej społeczności. Przyznając, że w wieku dziesięciu lat wartościowanie podobny i inny, starszy i młodszy było dla Adama kłopotliwe,

wystawiłem jednak cały mój antropologiczny arsenał dla zaprzeczenia zasadności jego wyników: "ułożenie obrazków w sekwencje tak, aby utworzyły

historyjkę, "która ma sens" jest celowe, o ile polega na wspólnym rozumieniu i organizacji świata. "Układanie" historii, a nie próba rozeznania się w jej ustalonym porządku, odbija zachodni system kontrolowania świata w opozycji do nauki życia w nim takim, jaki jest".

Byłem naprawdę rozeźlony. To samo z obliczeniami. "Test przedkłada pewne

typy przedstawiń nad inne" - protestowałem. - "Ciągłe powtarzanie zrób to

jak najszybciej ma niewielkie znaczenie dla dziecka nauczonego cenić bardziej proces od czystej wydajności." Czy rzeczywiście tak wychowywałem

Adama? A przecież i dla mnie brzmiało to przekonująco. Jeśli chodziło o niego, potrafiłem wytłumaczyć wszystko. Moja obrona oparta była na fakcie,

że jako Indianin widział świat w innych, wybranych kategoriach. Czytając moje listy z tamtych lat można odnieść wrażenie, że Adam miał szczęście,

skoro nie umiał określić czasu, rozróżniać pieniędzy albo mylił duże z małym. To cały świat, amerykańska kultura i naukowcy mieli problemy - Adam był w porządku.

Musiałem być kłopotliwy dla nauczycieli Adama, kiedy odwołując się do intelektu bądź kultury, próbowałem przekabacić ich na swoją stronę.

Mówiłem

więcej, niż chciałem słyszeć, żądałem raportów o "postępach" i żywo sprzeciwiałem się wszelkim opiniom, które ograniczały szanse Adama.

Stwierdzenie, że nie ma on wrodzonych zdolności - zauważałem z goryczą

-

wypływało z kiepskiego wykształcenia, rasizmu albo defetyzmu.

Naciskałem

ich przede wszystkim dlatego, że pragnąłem, aby z Adamem było wszystko w

porządku, ale również byłem dumny, arogancki i nachalny. Przeglądam dziś

oceny Adama z czasów Cornish, wszystkie te dwójki i trójki z matematyki, przyrody i historii, które wymuszałem, zaliczenia materiału, którego nie pamiętał dłużej niż minutę. Do jakiego stopnia przechodzenie Adama z klasy

do klasy wynikało z zamieszania, które robiłem? Jak dalece panna Alexion prowadziła go za rękę? Na ile jego nauczyciele z własnych liberalnych czy dowartościowujących ich powodów pragnęli wierzyć, że należy dać mu szansę?

Im większe postępy robił Adam na papierze, tym bardziej się cofał.

Rozdział ósmy

W drugą sobotę maja 1979 roku przebrałem Adama, Savę i Madeline w stroje do tańca i zawiozłem do Storrs Pond w Hanoverze, gdzie jak co roku pod gołym niebem odbywała się uroczystość powwow w Dartmouth. Odwiedzałem ją od 1973 roku ciesząc się na tańce, dobre jedzenie, pieśni i spotkania ze starymi przyjaciółmi. Ubiegłej jesieni podczas wizyty w rezerwacie Choctaw w Filadelfii, Mississippi, zamówiłem nowe błękitne koszule dla chłopców i czerwoną sukienkę dla Madeline. Dostarczono je na czas, idealnie skrojone, ozdobione wyraźnym zygzakowatym wzorem - symbolem Choctow. Dzieciaki prezentowały się fantastycznie. Czteroletnia Madeline miała już dość długie włosy na warkocze, a nasza przyjaciółka, Eva Smith, przysłała jej szal. Chłopcy dostali nowe pióropusze i naramienniki: Adam różowo-biały, a Sava żółto-czarny. Nie chcąc zostać w tyle, pieczołowicie zająłem się własnym strojem. Włożyłem ozdobną ciemnoniebieską koszulę z satyny -

prawdziwy

skarb wyszperany na wyprzedazy u Macy'ego, ciężki turkusowy pierścień, miękkie mokasyny z jeleniej skóry z rezerwatu Micmac w Nowej Szkocji i moją

chlubę - kamizelkę w kwiaty wyszywaną koralikami, którą miałam na sobie

podczas uroczystości nadawania imion. Na szyi zawiesiłem naszyjnik z kolców

jeżozwierz, a na głowę włożyłem kowbojski kapelusz. Byłem gotowy.

Tegoroczna uroczystość powwow była szczególna, ponieważ mieli się tu spotkać pierwsi absolwenci Programu Wiedzy o Rdzennych Amerykanach. Spodziewałem się zobaczyć wielu dawnych studentów, którzy rozjechali się po

całym kraju na dalszą naukę lub do pracy. Butch Guerue został plemiennym

sędzią w rodzimym rezerwacie Różyczka, Duane Ptasi Niedźwiedź pracował w

Lidze Ochrony Przyrody, a Eva kończyła Akademię Medyczną w Georgetown. Nie

wiedzieliśmy, ilu z nich się pojawi, ale zapowiadał się ciekawy emocjonujący wieczór. Miał się rozpocząć przyjęciem w Hanover Inn o szóstej, po zakończeniu uroczystości na świeżym powietrzu.

Tego dnia w tańcu wzięła udział cała trójka moich dzieci. Przyglądałem im

się z trudną do opisaną przyjemnością. Daleko im było do mistrzostwa, ale

pozbawione były lęku. Nawet Madeline, która szurała nieudolnie nóżkami, wmieszała się między dorosłych tancerzy. Ciągnęła za sobą nowy, żółty szal

i wymijała kobiety trzy razy większe od niej. Adam kręcił się niczym fryga,

szczęśliwy, że choć raz może wyszaleć się do woli, a Sava z powagą naśladował ruchy zawodowych tancerzy. Było to wspaniałe popołudnie, ciepłe

i słoneczne. Po długiej zimie nareszcie zawitała wiosna. Wokół ustawiono budki, w których można było kupić smażony chleb z miodem zupę kukurydzianą

i różne produkty. Nasz Program przetrwał w Dartmouth siedem magicznych

lat. Został poddany zewnętrznym i wewnętrznym ocenom i był już oficjalnie

zatwierdzony. Mieliśmy co świętować.

Później, w chłodnej i słabo oświetlonej sali Hanover Inn kiedy Adam, Sava

i Madeline spali w kącie na stosie kocy Pendletona sączyłem poncz gawędząc

z Butchem i Cath Wilson. Studiowali wtedy prawo w Arizonie. Wokół siebie

widziałem same znajome twarze, a rozmowa toczyła się przez całą salę.

Odczuwaliśmy coś w rodzaju zbiorowej ulgi, tej szczególnej pierwszej fali nostalgii, która dopada ludzi tuż przed i po trzydziestce. Wtedy zwykle przychodzi zrozumienie tego czym jest ta cała błazenada. Gratulowaliśmy

sobie nawzajem dojrzałości, ponieważ byliśmy wciąż jeszcze dość młodzi, by traktować wiek jako plus. W pewnym sensie nadal bawiliśmy się w dorosłość.

Różnica wieku pomiędzy mną a moimi dawnymi uczniami zanikała, przestała mieć znaczenie. Należeliśmy do tego samego pokolenia, ja po jednej stronie, a najmłodszy z nich po drugiej, weterani tej samej kampanii.

W pewnej chwili przez odległe drzwi weszła do sali wysoka kobieta i przez

chwilę nie potrafiłem jej skojarzyć. Była szczupła, pełna wdzięku, o długich ciemnych włosach, ubrana w gładką różową bluzkę z perkalu.

- Kto to jest? - spytałem Cathy.

- Karen Erdrich. Zmieniła się. Podobno używa teraz drugiego imienia Louise. Ciekawe, czy wciąż pisze.

- Tak - odparłem. - Rozmawiałem z nią przez telefon jakieś pół roku temu.

Pracuje w redakcji gazety Bostońskiej Rady Indian.

Podczas gdy Louise szła do nas przez całą salę, wróciły wspomnienia.

Kiedy przyjechałem do Dartmouth w 1972 roku, należała do piętnastoosobowej

grupy rdzennych amerykańskich studentów, kiedy to po raz pierwszy przyjęto

tam kobiety. Ja sam byłem świeżo upieczonym wykładowcą, przed którym postawiono zadanie stworzenia Programu Wiedzy o Rdzennych

Amerykanach.

Bawiliśmy się na powitalnym pikniku w parku, nad rzeką Connecticut.

Oboje

stanęliśmy z boku, podczas gdy grupa bardziej energicznych studentów grała

w siatkówkę. Ona miała wtedy fryzurę w stylu wczesnych lat

siedemdziesiątych, twarz okalały jej kosmyki mocno skręcone trwałą

ondulacją. Ubrana była w minispódniczkę i czerwone kowbojskie buty. Po

kilku minutach rozmowy ze mną i z Adamem zaproponowała po prostu, że weźmie

Skahotę na spacer. Pies nie był przyzwyczajony do smyczy i traktował ją

jako jarzmo. Louise starała się wyglądać godnie i dystyngowanie, ale w rezultacie ciągał ją za sobą po całym parku.

Jako studentka trzymała się na uboczu, ale zwracała na siebie uwagę.

Malowała i kiedyś nawet podjęła się zilustrowania krótkich opowiadań dla

dzieci mego autorstwa. Jej rysunki były wieloznaczne i wyraziste, dużo lepsze od moich tekstów. Innym razem, na zajęciach z Wiedzy o

Rdzennych

Amerykanach zaproponowała, że zamiast pracy semestralnej opíše

fikcyjne

spotkanie Indian Delaware ze Szwedami. Podobno było to historyczne

wydarzenie, o którym gdzieś przeczytała. Gubernator Nowej Szkocji

(później

Delaware), zadufany w sobie biurokrata, zażądał od lokalnych Indian, by

uszyli dla niego strój z wampum, muszelek używanych jako pieniądze.

Sądził,

że wywoła to duże wrażenie i przysporzy, mu uznania i szacunku. Indianie zgodzili się, ponieważ zaproponował im sówitą zapłatę. Kiedy jednak strój był gotowy, gubernator przytył już tak bardzo, że trzeba było wysmarować go

masłem, aby mógł się weń wcisnąć. Szata pękła jednak już przy pierwszym

oddechu. Była to świetna historia, a Louise opisała ją z humorem uwypuklającym absurd i kontrast pierwszych kontaktów obu kultur.

Mimo że podczas jej studiów w Dartmouth znałem Louise słabiej niż innych,

zostaliśmy przyjaciółmi. Oboje byliśmy mieszanej krwi. Kiedy ukończyła szkołę i wróciła do Dakoty Północnej, wciąż utrzymywaliśmy kontakt, wymieniając karty świąteczne i sporadyczne telefony. Louise została wędrownym nauczycielem poezji w ramach stanowego programu humanistycznego.

Jej zadaniem było podróżowanie po małych miasteczkach z dwu- lub trzydniowymi warsztatami poezji w lokalnych szkołach publicznych.

Czasem

dzwoniła do mnie z jakiegoś małego hoteliku na równinach, żeby podzielić

się jakąś zabawną obserwacją. Kiedyś na przykład trafiła do miasta, które miało dwie wieże wodne na końcach głównej ulicy. W przypiływie weny nazwano

je "gorąca" i "zimna".

W ciągu trzech lat od ukończenia college'u Louise pracowała dla publicznej telewizji Nebraska przy filmie o Indianach; brała udział w

niesławnym procesie Ruchu Amerykańskich Indian w Fargo; pracowała na stacji

ważenia ciężarówek na granicy stanów. Ostatnio otrzymała dyplom ukończenia

warsztatów pisarskich Uniwersytetu Johna Hopkinsa i zamieszkała w Bostonie.

Nie widziałem jej od 1975 roku ani nie czytałem jej utworów z wyjątkiem kilku studenckich wierszy publikowanych w literackich czasopismach Dartmouth i opowiadania dla dzieci na zajęcia ze mną.

W końcu dotarła do mnie, Butcha i Cathy. Nie była umalowana ani nie nosiła biżuterii poza długimi kolczykami, ale była najpiękniejszą kobietą, jaką w życiu widziałem.

- Jak się ma twój chłopak? - spytałem, natychmiast żałując pierwszego pytania, które wpadło mi do głowy. Myślałem, że wciąż jest z przystojnym rzeźbiarzem, z którym spotykała się na studiach.

Wzruszyła ramionami. - Przeszliśmy ciężki okres.

Starałem się okazać jej współczucie. Nie wiem, o czym mówiliśmy podczas

naszej pierwszej rozmowy, ale potem dowiedziałem się przypadkiem, że Grace

Newell, szefowa Programu Wiedzy o Rdzennych Amerykanach, zaprosiła Louise

za dwa tygodnie do Dartmouth i istniała szansa, że od stycznia będzie przebywać na uczelni przez rok jako pisarka rezydentka.

Czternaście dni później opiekunka zajęła się moimi dziećmi, a ja zasiadłem w pierwszym rzędzie składanych krzeseł w Collis, akademiku,

w

którym odbywały się dodatkowe zajęcia, i czekałem na rozpoczęcie wieczoru autorskiego Louise.

W pewnym sensie byłem filistrem w dziedzinie poezji współczesnej. Na ogół przerastała moje możliwości rozumienia, podobnie jak muzyka klasyczna i jazz. Oczywiście nie wspomniałem o tym Louise. Miała tremę przed występem, a ja dodawałem jej otuchy jako stary przyjaciel. Chciałem również zrobić na niej dobre wrażenie.

Przyciemniono światła, a Louise stanęła na podium i otworzyła teczkę. Miała na sobie białą bluzkę, czarną spódnicę, brązowe kozaki i te same kolczyki co przedtem. Stuknęła palcem w mikrofon, żeby upewnić się czy jest podłączony, a potem wzięła głęboki oddech i zaczęła czytać.

Nigdy dotąd nie słyszałem czegoś tak dziwnego. Rozpoczęła od kilku wierszy opisujących życie w małym miasteczku na środkowym zachodzie. Postaci, absolutnie oryginalne, a przecież znajome, ożywały, walczyły, kochały, umierały i rodziły się. Jedna za drugą przepływały jędrne, żywe i skondensowane opowieści niczym czarne dziury w kosmosie. Emocje w nich zawarte były archetypowe, uniwersalne, zabawne i tragiczne jak mity greckie, choć osadzone w zwykłych realiach i przez to bardziej wyraziste. Potem, kiedy publiczność czekała w odurzeniu - nie śmiejąc przerywać

oklaskami - Louise przeczytała fragment czegoś, co nazwała piszącą-się-powieścią. Była to opowieść o kobiecie z plemienia Chipewa, która siedząc u rzeźnika, wygrała w karty z grupą rozwścieczonych tym mężczyzn. Wrażenia towarzyszące tej lekturze były na przemian wesołe i bardzo smutne, wirowały w wyobraźni z niewiarygodną siłą.

Zapalono światła i teraz wybuchły brawa, a ja siedziałem w pomieszczeniu, jakbym dostał obuchem w głowę. Kilku wykładowców angielskiego zabrało

Louise do stołówki. Poszedłem za nimi. Kiedy przechodzili obok z tacami ziołowych herbat i organicznych deserów, dotknąłem łokcia Louise.

- Chcesz przejść do świetlicy? - szepnąłem, jakby nie miała nic innego do roboty.

- Tak - odpowiedziała szeptem i kiwnęła głową.

Wyśliznęliśmy się niczym szpiedzy, którzy mieli wymienić ważne informacje. Zostawiliśmy za sobą profesorów angielskiego, którzy wykręcali

szyje, żeby zobaczyć, co stało się z Louise. Znaleźliśmy ustronny kąt ze stolikiem i dwoma krzesłami i usiedliśmy nie mówiąc zbyt wiele. Nie potrafiłem znaleźć właściwych słów, żeby wyrazić, co czułem słuchając jej wierszy. Teraz, kiedy minęła jej trema, odprężyła się wreszcie. Potem odwiozłem ją do domu, w którym się zatrzymała. Wyłączyłem silnik i przez

chwilę siedzieliśmy w ciemnym samochodzie. Prawie nie znałem tej kobiety,

ale przeszło mi przez myśl, żeby zapytać ją, czy chce wyjść za mąż. Za mnie. Czyste szaleństwo. Zupełnie nie w moim stylu. Ale uściśnąłem tylko

jej dłoń, kiedy wysiadała z samochodu. Byłem przekonany, że taka szalona miłość zdarza się tylko w filmach i kiepskich romansidłach. Poza tym za tydzień wyjeżdżałem z dziećmi do Nowej Zelandii na dziewięciomiesięczne stypendium. Nie było najmniejszych szans na to, by połączyło nas coś więcej niż przyjaźń, a mimo to poprosiłem ją o adres i zostawiłem swój na południowej półkuli.

Dużo, dużo później teściowa wyznała mi, że jej córka zadzwoniła do niej tego wieczoru, wyciągając ją z łóżka.

- Nie uwierzysz - powiedziała Louise - ale spotkałam właśnie mężczyznę, którego zamierzam poślubić.

Razem z dziećmi wynajęliśmy samochód na lotnisko Kennedy'ego, poleciliśmy do Los Angeles, przesiedliśmy się na lot do Avernoy na Wyspach Cooka. Tutaj zatrzymaliśmy się na kilka dni w gościnnym domu z dachem wyłożonym liśćmi palmowymi, na idealnej, pustej plaży. Żywiliśmy się owocami drzewa chlebowego, papayami i rybami, które łowił nasz sąsiad. Był to raj na ziemi jak w reklamie, o cudownych rozgwieżdżonych nocach pod Krzyżem Południa, pośród przyjaznych ludzi, przy wschodach słońca, od których mogło pęknąć serce. Popołudniami, kiedy dzieci drzemały pod palmami, układałem notatki i szkicowałem projekt porównawczego studium między Traktatem Waitangi - uroczystym paktem między Maorysami a Brytyjczykami - a podobnymi układami amerykańsko-indiańskimi.

Miesiące bezpośrednio poprzedzające nasz wyjazd były koszmarem.

Kończyłem

moją część bibliografii Amerykańskiego Stowarzyszenia Bibliotekarzy, opublikowanej ostatecznie jako Przewodnik po Badaniach nad Indianami Ameryki Północnej. Poza tym musiałem przygotować dom do wynajęcia. Zgłosiłem się na wyjazd do Nowej Zelandii, ponieważ między innymi słyszałem

o tamtejszej efektywności w nauczaniu specjalnym. Sądziłem, że to życie może być korzystne dla Adama, Savy i Madeline. Korespondencyjnie wynajęliśmy dom na terenie seminarium Baptystów, mieliśmy więc spokojne

sąsiedztwo, a Uniwersytet w Auckland przydzielił mi gabinet i możliwość korzystania z biblioteki Wydziału Studiów nad Maorysami.

Adam, Sava i Madeline poszli do szkoły przy Victoria Avenue, którą zarządzała panna Bishop, osoba skrupulatna i pełna rezerwy. Ważną kwestią

dla dzieci stały się szkolne mundurki, krótkie spodenki dla chłopców, nowy

zestaw idiomów i akcentów oraz wiele fałszywych wyobrażeń na temat amerykańskich Indian.

Na szczęście droga do szkoły nie nastęczała problemów. Dzieci musiały przejść piechotą ledwie kilometr, a ja ustawiłem swoje zajęcia na uczelni tak, żeby zdążyć do domu przed ich powrotem.

Madeline i Sava łatwo nawiązali przyjaźnie, podobnie jak w New Hampshire,

ale dla Adama Victoria Avenue stała się kolejną wersją Cornish.

Nauczyciele

zgłaszali podobne uwagi: nie potrafił usiedzieć na miejscu, miał kłopoty z koncentracją, luki w podstawach matematyki i w ogólnej wiedzy.

Pochwały

również się powtarzały: miał ujmujące usposobienie, był uprzejmy, miał dużo

energii witalnej. Umieszczono go w niższej klasie i zatrzymywano na dodatkowych zajęciach w świetlicy, ale robił niewielkie postępy. Parę razy zgubił się po drodze do domu, choć seminarium i szkoła mieściły się na tej samej ulicy. Na wszelkie nowości zaś reagował przesadną ostrożnością bądź

obojętnością. Brał udział we wspólnych wycieczkach, ale rzadko ożywiał się

na widok nowych ludzi czy miejsc. Jak zwykle, kolejno radziłem się specjalistów - neurologów, psychologów, pedagogów - nie powiedzieli mi jednak nic nowego.

Na zwykłym poziomie rozumienia Adam nie miał pojęcia, gdzie jest, i nieszczególnie go to interesowało. Był zadowolony, jeśli potrafił zapamiętać nową sytuację, jego niepokój wzbudzały zaś wszelkie obce i nowe

rzeczy. Bardziej niż ktokolwiek z nas żył w świecie wyobrażonym i starał się go projektować na wszelkie możliwe sytuacje. Był entuzjastyczny w przejawianiu uczuć - z radością reagował na uściski, łaskotki czy młynki w powietrzu, ale nie dawało się go wciągnąć w rozmowę. Do wszelkich szczegółów otoczenia podchodził z niewiarygodnym lekceważeniem. Nie przyswajał informacji, które dla większości ludzi stanowią podstawy

zdrowego rozsądku. Po siedmiu latach nauki według intensywnych programów specjalnych, nadal nie umiał rozmienić dolara, ominąć błotnistej kałuży ani odróżnić czystego talerza od brudnego.

Miesiące spędzone w Nowej Zelandii mijały szybko i bardzo dla mnie efektywnie. Pakt Waitangi dawał Maorysom dużo mniejsze zabezpieczenie, niż amerykańskie traktaty federalne oferowały Indianom. Mimo to panowało tu powszechne przekonanie, że stosunki między rdzennymi Polinezyjczykami a potomkami angielskich imigrantów (nazywanymi pakeha albo "białymi rzepami") były najlepsze pod słońcem. Według nich stanowiły one doskonały przykład harmonii międzykulturowej. Otrzymaliśmy zaproszenia do wielu marais, tradycyjnych domów spotkań w klanach maoryskich. Do późnej nocy wymienialiśmy tam opowieści, plemienne mitologie, sposoby przetrwania, kawały i przepisy kulinarne. Dałem serię wykładów na uniwersytetach w Auckland i Wellington i zbierałem mnóstwo notatek, fotokopii i wycinków. W czasie wakacji szkolnych, razem z przyjacielem z Dartmouth, wyruszyliśmy w podróż przez Południową Wyspę. Przemierzyliśmy lodowce, słoneczne wybrzeża

i tereny narciarskie. W grudniu, w środku podzwrotnikowego lata, poleciliśmy na tydzień do Australii, a stamtąd do domu w Stanach Zjednoczonych.

Cieszyłem się z powrotu. W Nowej Zelandii tęskniłem za otwartością i gadatliwością Amerykanów - brak mi było pogaduszek z obcymi ludźmi na

przystankach autobusowych albo w kolejce do kasy w supermarkecie.

Dlatego

też - i dlatego, że nie zostało mi dużo pieniędzy ze stypendium - po wylądowaniu w Los Angeles postanowiłem, że zabawnie byłoby wracać do domu

autobusem przez cały kraj. Chciałem być w kontakcie z "ludźmi", poczuć rytm

życia mojej rodzimej ziemi, a poza tym było to nieprzyzwoicie tanie. Nie przejmowałem się tym, że mamy dziewiętnaście walizek. Nieważne, że Adam nie

zniesie tego tak dobrze, a Sava i Madeline mają dopiero osiem i pięć lat.

Nieważne, że na półkuli północnej grudzień nie jest najcieplejszą porą. Na stację w Greyhound odwiozła nas Nina, która mieszkała teraz w Los Angeles

ze swym synkiem Joshua i córeczką Natalie. Uważała mój pomysł za dziwną

kombinację zapożyczoną od Jacka Kerouaca i Erny Banbeck.

Ta podróż była dla mnie wielką lekcją. Zacząłem coś podejrzewać już w pierwszych godzinach jazdy, kiedy w ciemności przemierzaliśmy pustynię w

kierunku Arizony. Moje podejrzenia potwierdzały kolejne dni i noce, kiedy jechaliśmy coraz dalej na północny wschód. Na każdym przystanku przedstawiciel firmy autobusowej wynajdował najdziwniej wyglądającego osobnika i ofiarowywał mu bezpłatny przejazd. Być może robiono tak, by zapewnić reszcie pasażerów darmowe przedstawienie, nie wiem.

Nieodmiennie

jednak okazywało się, że pan lub pani Odmieniec siadywali w pobliżu podróżujących Dorrisów. Sadałem Savę, Adama i Madeline naprzeciwko siebie,

aby mieć ich na oku, widzieć, czy Adam nie ma ataku i czy cała trójka jest przykryta w nocy.

Już pierwszego wieczoru, podobnie jak reszta pasażerów, zostaliśmy zauroczeni długim wywodem na temat wszystkich za i przeciw sadomasochizmu.

Wykład wygłaszała kobieta siedząca po przekątnej od nas. Jej zdaniem baty i

łańcuchy miały zdecydowaną przewagę. Innym razem dosiadł się mężczyzna

skrywający pod koszulą kota. Wysadzono go siłą w Springfield w Missouri i

długo jeszcze stał przed autobusem, wzywając pasażerów na świadków. O wschodzie słońca na drodze z Indianapolis do Louisville przyglądałem się z

fascynacją, jak przebrany transwestyta podrywa nic nie podejrzewającego mieszkańca stanu Indiana. Po jakimś czasie poprosili wreszcie kierowcę, aby

wysadził ich w odludnym miejscu na autostradzie, niedaleko rzeki Ohio. Przez wiele kilometrów wyobrażałem sobie zaskoczoną minę mieszkańca Indiany. Od Pittsburga do dworca autobusowego w Port Authority na Manhattanie wszyscy podróżni z wyjątkiem nas włączyli olbrzymie radia. Podkrećali je na cały regulator i słuchali konkurencyjnych stacji.

Mimo że lekko zeszywniały mi plecy, co było nieuniknione, byłem zachwycony jazdą. Razem z dziećmi jadałem na śniadanie chili w grubych białych miseczkach na wietrznych przystankach w zachodnim Nowym Meksyku,

grałem w odczytywanie rejestracji samochodów w Oklahomie. Przez cztery i

pół tysiąca kilometrów nie starliśmy się nawet słowem. Odwiedzaliśmy po drodze przyjaciół i rodzinę. Czasem wpadaliśmy do nich na krótko między przesiadkami, a czasem zostawialiśmy na noc. Do Nowego Jorku dotarliśmy po

południu i zatrzymaliśmy się na dwa dni przed ostatnią przesiadką.

Czułem,

że nasza podróż dobiegła końca. Uświadomiły mi to dość brutalnie nagłówki

gazet, w których przeczytałem o zamordowaniu Johna Lennona. Tej zimowej

nocy zostawiłem dzieci pod opieką ciotki Ginni i dołączyłem do setki innych

na milczącej warcie przed Dakota House, domem, w którym mieszkał.

Kolejnego popołudnia, na krótko przed świętami, wsiedliśmy do zielono-białego autobusu Vermont Transit i ruszyliśmy na północ, przez

pokrytą śniegiem ziemię. Były to znajome tereny. Nasza podróż zatoczyła koło. Naszych dziewiętnaście walizek mieściło przeróżne rzeczy od muszelek z Wyspy Cooka po kopie maoryskich statutów. Byliśmy zdrowi, odnowieni, stęsknieni za widokiem Skahoty, naszego domu, i sąsiadów. A ja tęskniłem za czymś jeszcze: następnego dnia miała przyjechać Louise, żeby objąć posadę rezydującej na uczelni pisarki.

W ciągu ostatnich siedmiu miesięcy pisywaliśmy do siebie co tydzień, często dołączając do listów podarki. Na początek wysłała mi liście z Kolonii Artystów MacDowella, gdzie przerabiała swoje rękopisy. Odwzajemniłem się pocztówkami z Mórz Południowych z niezwykle roślinami i ptakami. Stało się również coś nieoczekiwanego: po raz pierwszy, z dala od stresów i obowiązków mojej pracy w Dartmouth, zacząłem pisać wiersze i opowiadania. Kiedy studiowałem w Georgetown, publikowano mnie czasem w czasopiśmie uniwersyteckich, ale nigdy nie zostałem zauważony. Po ukończeniu szkoły rozpocząłem antropologiczne badania na Alasce, a potem nauczanie, nie znajdując czasu ani inspiracji, których wymagało twórcze pisanie.

A teraz nagle chciałem tylko pisać. Z pewnością po części było to zasługą

Louise - nie znałem przed nią żadnej "prawdziwej" pisarki. W końcu zacząłem jej przysyłać moje utwory, a ona odwzajemniała się tym samym. Do tej pory nie określaliśmy natury naszej przyjaźni, jej możliwości, pozostała nieuświadomiona, ledwo wyczuwalna. Z ulgą więc powitaliśmy coś, na czym mogliśmy się oprzeć i zabraliśmy się do wyczerpujących komentarzy naszych utworów. Od początku byliśmy bardzo szczerzy - chwaliliśmy to, co nam się podobało, i kwestionowaliśmy resztę. Muszę też przyznać, że każda dręcząca mnie krytyka Louise miała konkretne podstawy.

Razem z Adamem, Savą i Madeline pojechaliśmy na lotnisko Lebanon, żeby przywitać Louise przylatującą z Fargo przez Boston. Chciałem, żeby zaczęła poznawać się z dziećmi. Oczywiście pamiętała Adama z czasów studenckich, a Savę i Madeline spotkała przed rokiem, na ceremonii powwow. Opowiadałem jej i pisałem o każdym z nich, o zdrowiu Adama i jego trudnościach w szkole, ale jeśli miała poznać mnie lepiej, mogło się to stać tylko poprzez dzieci. Stanowiliśmy jedność, połączeni latami wzajemnej zależności i uczucia. Spóźniłem się albo samolot wylądował przed czasem. Kiedy

zaparkowałem

samochód przed szklaną ścianą lotniska, natychmiast zobaczyłem Louise.

Stała samotnie obok żółtego metalowego słupa, twarzą zwrócona w inną

stronę, w długim czarnym płaszczu. Zawahałem się chwilę obserwując ją,

zanim otworzyłem drzwi. Powróciło do mnie wspomnienie jej wieczoru

poetyckiego. Nigdy nie byliśmy na randce, nie wyznaliśmy sobie uczuć.

Znałem ją bardziej z jej utworów niż z prawdziwego życia. I znowu

myślałem

tylko o tym, żeby poprosić ją o rękę. Wziąłem głęboki oddech. Nie

chciałem,

by uznała mnie za wariata, nie chciałem jej przestraszyć. Tej nocy Adam,

Sava i Madeline spali w wynajętym przez Louise mieszkaniu w

Hanoverze, a my

rozmawialiśmy o naszych utworach do czwartej nad ranem. Potem

zabrałem

dzieci i wróciliśmy do domu. Następnego wieczoru przyjechała do nas na

kolację i została - rozmawialiśmy o kwestiach wydawniczych - do trzeciej

nad ranem. Trwało to jak na nasz gust dość długo. Kiedy wreszcie doszło

do

oświadczyn, pozostało już tylko ustalić datę.

Ze strony matki Louise wywodziła się z plemienia Chippewa z rezerwatu Żółwiej Góry, po ojcu zaś odziedziczyła amerykańsko-niemiecką krew.

Była

najstarsza z siedmiorga rodzeństwa, z których najmłodsze było ledwie parę

lat starsze od Adama. Potrafiła opiekować się dziećmi i podchodziła do

swego zbliżającego się macierzyństwa ze spokojem i radością. Oboje

musieliśmy zmienić wiele przyzwyczajzeń - porzucić własny obraz życia w pojedynkę przede wszystkim - tak więc ani ona, ani ja nie koncentrowaliśmy się na szczegółach. Kochaliśmy się, ona kochała dzieci, a dzieci ją. Cała reszta przyjdzie w naturalny sposób.

Zastanawiałem się, czy po tylu latach posiadania mnie wyłącznie dla siebie dzieci zaakceptują jeszcze jedną osobę w ich życiu. Poruszyłem tę kwestię po kolacji, kiedy na stole zjawił się placek z jagodami. Adam miał wtedy trzynaście, Sava dziewięć, a Madeline sześć lat.

- Powinniśmy o czymś porozmawiać - zacząłem. Przez głowę przelatywały mi setki programów telewizyjnych na ten temat.

Oglądałem tę scenę wiele razy. Pierwsze odcinki "Gromadki Brady'ego" albo

"Ośmioro to już dość" czy mnóstwo nieporozumień w "Zalotach ojca Eddiego".

Przerwałem czekając, aż zwrócą na mnie uwagę i w tej ciszy uświadomiłem

sobie nowy wymiar naszej sytuacji. To, co miałem do powiedzenia, stanowiło

koniec długiego rozdziału w moim życiu. Byłem samotnym rodzicem. W ciągu

ostatnich dziesięciu lat całkowicie utożsamiałem się z tą rolą. Stała się ona dla mnie źródłem siły płynącej z samookreślenia. Obwieszczeniem światu,

że mężczyzna może sam wychowywać dzieci. Osiągnięciem ponad

wszelkimi

ograniczeniami, do którego odnosiłem się, kiedy wszystko się psuło.

Decyzja

o adopcji była częścią mojej przeszłości, której nigdy nie żałowałem, nie myślałem o niej. Bez tego odniesienia musiałbym od nowa budować własny

obraz siebie. Musiałem przyznać, że pośród podniecenia i oczekiwania przyszłych wydarzeń ogarnął mnie również smutek jakiegoś zakończenia.

Już

nigdy nie będę jedyną ważną osobą w życiu moich dzieci. Chwila ta była granicą, która raz przekroczona, zostanie zamknięta na zawsze.

- W październiku - powiedziałem - Louise, ja i wy weźmiemy ślub.

Louise

chce zamieszkać tutaj i zostać waszą mamą.

- A co będzie jadła? - spytała Madeline, wpatrując się z czułością w ostatni kawałek placka na blasze.

Spojrzałem na moją córkę. Czy jej pytanie było wywołane lękiem przed odrzuceniem? Bała się, że ktoś zajmie jej miejsce? Obserwowałem twarz Madeline. Jej brwi ściągnęły się w namyśle, usta wydeły wojowniczo, a podbródek był lekko uniesiony. Zrozumiałem, że chodzi jej wyłącznie o placek.

- Posiłki będą większe, kiedy Louise tu zamieszka - zapewniłem ją. - Będzie jadła to samo co my.

Madeline uśmiechnęła się z olbrzymią ulgą.

- Wiedziałem - oznajmił z dumą Sava. - Mówiłem ci, że tak będzie, Madeline. - Wystarczało mu to, że ma rację, nie wiedział jeszcze, co to

oznacza.

Zwróciłem się do Adama czekając, aż coś powie. Z całej trójki on od początku najbardziej przylgnął do Louise. Był jednak również najbliżej związany ze mną. Teraz, kiedy przysłała jego kolej, bez słowa zaczął klaskać, układając dłonie w miseczki dla lepszego efektu. Klaskanie wzbijało się w powietrze, niczym fajerwerki dźwięków. Wciągało nas to. Jedno po drugim dołączyliśmy wszyscy.

Pobraliśmy się jesienią 1981 roku - cała piątka - pomiędzy dwiema wierzbami, na świeżo przystrzyżonym trawniku. Towarzyszyło nam kilkoro przyjaciół, siostra Louise Heidi i sędzia pokoju. Poprosiliśmy o prostą ceremonię - trwała całe pięć minut łącznie z przemową, którą napisaliśmy sami. Obiecywaliśmy w niej być dobrzy dla dzieci, a one grzeczne dla nas. Był słoneczny dzień, początek jesieni, kiedy kolorowe liście jeszcze utrzymują się na drzewach. Matka Louise uszyła jej suknię i przysłała ją z Dakoty Północnej, a ja zamówiłem ślubny bukiet z anemonów i róż. Nasz dom tonął w kwiatach, dar od praktycznego sąsiada, który przyniósł je z domu pogrzebowego, żeby się nie zmarnowały.

Tej zimy Adam jako pierwszy zaczął mówić do Louise "mamo" a kiedy już zaczął, wtrącał to słówko do każdego zdania. Trudniej było mu przystosować się na powrót do szkoły. Wróciliśmy z Południowego Pacyfiku do New Hampshire w grudniu, kiedy na południowej półkuli zaczynały się letnie wakacje. W Nowej Anglii rok szkolny trwał wtedy w najlepsze i w

rezultacie

dzieci miały tylko krótką przerwę pomiędzy dwunastoma miesiącami lekcji.

Trudno było zakwalifikować Adama do konkretnej klasy, postanowiono więc, że spędzi jeden dodatkowy rok w Cornish, zanim pójdzie do szkoły średniej. Pani Alexion, dyrektorka i ja zgodnie uznaliśmy, że da mu to poczucie bezpieczeństwa i utrwali jego wiedzę.

Przez pierwsze dwa lata małżeństwa mieszałyśmy ze sobą wiele linii naszego indywidualnego życia. Louise z determinacją chodziła na wszystkie wywiadówki Savy i Madeline i razem oglądaliśmy szkolne przedstawienia i uroczystości. Okazało się, że nasza obecność była konieczna na niezliczonej ilości zawodach sportowych. Pamiętam jednak szczególnie wieczór w stylu starożytnego Rzymu, kiedy rodzice jedli spaghetti z sokiem winogronowym, serwowane przez ich pociechy w tunikach. Siedzieliśmy wszyscy przy długich barowych stołach w holu i oklaskiwaliśmy wiersze z błędami recytowane po łacinie. Gwóźdź programu stanowił skecz zatytułowany "Dylemat Persefony", w którym bogini bez końca zastanawia się, czy zostać w podziemiach z

małżonkiem, czy może dołączyć do mamusi "na górze".

Po pięciu latach odrzucania utworów Louise przez czasopisma i dzienniki literackie, w końcu zaczęto je publikować. Aby mogła całkowicie poświęcić

się pisaniu, przyjąłem dodatkową posadę dyrektora liberalnego programu nauczania w Dartmouth, działającego głównie podczas wakacji. Poza tym zasilałem nasze dochody konsultacjami i wyjazdami na wykłady do indiańskich

społeczności na Alasce, w Kaliforni i Nowym Meksyku. Były to krótkie, intensywne podróże.

Przez cały ten czas zajmowaliśmy się wygładzaniem rogów, krzyżowaniem

dróg, łapaniem luźnych końców - słowem, stawaliśmy się jednością. W grudniu

1982 roku, na sali sądowej w naszym okręgu, Louise oficjalnie adoptowała moje dzieci. Słuchałem, jak wywoływano Adama, Savę i Madeline, i patrzyłem,

jak Louise przytula każde z nich po kolei. Kiedy podpisano dokumenty zatwierdzające dawno już funkcjonującą sytuację, zacząłem rozglądać się po

drewnianych ornamentach na ścianach pokoju. Całość lśniła woskiem, a wzory

na rogach dobrano tak starannie, że wydawały się nieprzerwane, jakby wyrzeźbiono je z jednego kawałka olbrzymiego drzewa. Po drodze do domu

zatrzymaliśmy się w restauracji na krem z krabów i razem wznieśliśmy

toast

uniesionymi w górę, parującymi łyżkami.

Louise chciała, by jej rodzicie i rodzeństwo poznali Adama, Savę i Madeline. Choć była w trzecim miesiącu ciąży, zabrała ich w lipcu na dwutygodniowy pobyt w Dakocie Północnej. Pojechała naszym starym, rozklekotanym Chevroletem Malibu i zawarła znajomość z wieloma mechanikami

na drodze przez Ontario, Michigan i Minnesotę. W sierpniu, po ich powrocie,

nasza studnia wyschła. Nie mogliśmy sobie pozwolić na nowy wykop, więc

przez siedem tygodni czekaliśmy na deszcz, nosząc wodę w kartonach po mleku

z sali gimnastycznej w Dartmouth. Jadaliśmy głównie gotowe potrawy i owoce,

ponieważ nie trzeba było po nich zmywać.

Kiedy wiosną 1983 roku Adam "ukończył" szkołę w Cornish, nadal nie umiał

dodawać, odejmować, liczyć pieniędzy ani rozpoznać swego miasta, stanu, kraju ani planety, na której żył. Pani Alexion poszła na zwolnienie z powodu kłopotów zdrowotnych, a wszyscy zgadzali się, że Adam jest za duży

na powtarzanie jeszcze jednej klasy podstawówki. Zwlekanie do niczego nie

prowadziło. Dlatego jego następną szkołą stało się Liceum Stevensa w Claremont, New Hampshire, pół godziny jazdy od domu.

Pewnego czerwcowego popołudnia Louise, ja i pani Storrs - nowa nauczycielka specjalna i synowa pierwszego lekarza Adama z Hanoveru - spotkaliśmy się z nauczycielami ze Stevensa. Chcieliśmy wyjaśnić, na czym polegają kłopoty Adama i natrafiliśmy na grupę ludzi niezachwianie wierzących w swój sukces.

- Przez dwadzieścia lat nauczania nie poniosłam ani jednej porażki - obwieściła nauczycielka nauk społecznych. - Mam taką niewzruszoną zasadę:

jedne schody biegną w górę, a drugie w dół. Ja zaś stoję na szczycie i kieruję ruchem.

Oboje z Louise zerknęliśmy na siebie nie wiedząc, czy mówi dosłownie, metaforycznie, czy też odwołuje się do filmu Sandy'ego Dennisa. Ale wobec takiego doświadczenia i pewności siebie, nie odważyliśmy się o to zapytać.

Posłusznie wypełniliśmy zgłoszenia na kursy Adama: dwie godziny zajęć w

światlicy, podstawy matematyki, wychowanie obywatelskie (prowadzone przez

panią o świetnych wynikach) i angielski. Kupiliśmy Adamowi nowe ubranie i

przez całe lato karmiliśmy się dobrymi prognozami i trzymaliśmy kciuki w nadziei, że do sukcesu trzeba mu tylko zmiany otoczenia, większej odpowiedzialności i wyższych oczekiwań.

Rzeczywistość jednak nie wyglądała tak różowo, poczynając od autobusu

szkolnego pod koniec dnia. Czasem Adam spóźniał się na niego, czasem wsiadał do innego i dojeżdżał do końca trasy w przeciwnym kierunku. Codziennie o czwartej po południu stawialiśmy sobie to samo pytanie: czy Adam pojawi się w domu? Czy zadzwoni telefon? Czy my będziemy musieli dzwonić, żeby go odszukać? Kolejną kwestią była praca domowa. W połowie jesieni Adam miał test z mechanizmów rządowych. Jego nauczycielka przesłała nam surowe polecenie przerobienia z nim czterech rozdziałów. Musiał to zaliczyć, powiedziała. Pierwszy rozdział dotyczył między innymi zasady działania Komitetów Senackich.

Biedny Adam. Oboje z Louise pracowaliśmy ciężko przez cały weekend, żeby wbić mu do głowy wiadomości. W końcu mieliśmy tego dosyć. Mogliśmy równie dobrze mówić w tagalog - nic do niego nie docierało. Przerazał nas jego kompletny brak zrozumienia. Popadliśmy w obsesję, jakby jedyną rzeczą na świecie godną poznania była procedura, według której projekt ustawy trafiał do Senatu. Wychowanie obywatelskie wydawało się jedyną Prawdą, do której startowaliśmy w zawodach. Gdyby Adam zdołał opanować materiał, którego wymagano od niego w pierwszej klasie, miałby szansę na samodzielną

przyszłość. Walczyliśmy o jego życie, tracąc całkowicie perspektywę. Wrzeszczeliśmy, krzyczeliśmy i błagaliśmy, groziliśmy i płakaliśmy, owacyjnie przyjmowaliśmy każdą prawidłową odpowiedź, którą podawał przypadkowo. Weekend z zasadami Komitetu stał się naszym ostatnim sięgnięciem do stanu normalności. Żeby go zdobyć, posunęliśmy się do szaleństwa i oszustwa, byliśmy najgorszym typem rodziców. W

poniedziałek

wszyscy troje byliśmy ciężko chorzy, wycieńczeni psychicznie, podupadli na

duchu i wykończeni. Adam nie odpowiedział prawidłowo na ani jedno pytanie.

Nauczycielka oddała nam jego pracę w zapieczętowanej kopercie z kolejną

uwagą na zmarszczonej twarzy: "Prosiłam, żebyście mu pomogli".

Ale dostała za swoje. Minał styczeń i napisałem do dyrektora szkoły długi

list, w którym wyrażałem zaniepokojenie faktem, że Adam wydawał się nieszczęśliwy i robił niewielkie postępy. Następnego dnia zadzwonił telefon.

- Dostałem pański list - obwieścił dyrektor. - Był napisany na maszynie.

- Ostatnie zdanie wypowiedział oskarżycielskim tonem. - Na przyszły wtorek

zarządziłem spotkanie Rady Pedagogicznej z kuratorem okręgowym.

Nigdy nie dowiedziałem się, dlaczego maszyna do pisania wzbudziła takie

poruszenie, ale mój list postawił na nogi całą szkołę i na spotkanie

przyszli wszyscy. Powitały nas mało przyjazne twarze ludzi nastawionych na

obronę. Przez następną godzinę musieliśmy wysłuchać litanii porażek Adama,

jego braków i oporów. Odmawiał współpracy, był krnąbrny, uparty i niedbały.

Ciągle zapominał kombinacji zamka swojej szafki, "niestosownie" dotykał innych uczniów, nagminnie spóźniał się na lekcje, zjadał lunch przed przyjazdem do szkoły, nie potrafił usiedzieć w jednym miejscu i nigdy nie prosił o wyjaśnienie, kiedy czegoś nie rozumiał. Kiedy zgodnie z naszą sugestią znaleziono mu pracę opiekuna w centrum dziennej opieki, walczył z

czterolatkami o prawo do zabawy klockami. Wszyscy nauczyciele podkreślali

jednak, że miał pewne zdolności. Po prostu w ogóle ich nie wykorzystywał.

Nie chodziło o to, że robił wszystko źle, ale o to, że pozostawał bierny w nauce, obojętny, denerwujący w swojej umysłowej stagnacji. Pracownicy administracji, doradcy, nauczyciele i pedagodzy prześcigali się w opisach swych bezowocnych wysiłków. Skarżyli się i odwoływali do naszego współczucia.

- Każdego dnia stoję na pierwszym piętrze między schodami - rozległ się głos pani od wychowania obywatelskiego. - I każdego dnia Adam wyłamuje się,

łamie schemat. Obserwuję zamieszanie. To on idzie na dół po schodach do góry i do góry po schodach na dół. To rozprasza wszystkich. Niezależnie

od

tego, ile razy go pouczam, zawsze robi na odwrót. - Głos jej drżał. Była wzburzona.

- Co pani proponuje? - Wobec takiego wybuchu byliśmy ulegli, niemal przepraszający. Przeżyliśmy te same frustracje, ale odwagę odbierał nam fakt, że teraz mówili o nich ludzie, którzy przed kilkoma miesiącami byli pewni sukcesu.

- Proszę go wysłać do psychologa - zdawali się odpowiadać zgodnym chórem.

- Raz, dwa, trzy razy w tygodniu. Oto polecana przez nas specjalistka. Młoda, pełna inwencji, z doktoratem. Rozmawialiśmy już z nią. Potrafi rozpoznać, skąd u niego ten opór.

Po tym jak Adam po raz pierwszy spotkał się z tą kobietą, poszliśmy do niej oboje z Louise. Przez dwie godziny opowiadaliśmy jej naszą wersję historii Adama, a ona robiła notatki. Była pewna, że zdoła pomóc naszemu synowi. Widziała już wiele podobnych przypadków. Wyniki jego testów były

przeciętne, miał więc wystarczające zdolności, żeby zaliczyć kursy. Co więcej - polubił ją, nawiązali kontakt podczas rozmowy, osiągnęli porozumienie. Prawdopodobnie miał niską samoocenę, być może wynikało to z

faktu, że był adoptowanym dzieckiem. Jej teoria, oparta jedynie na założeniu, jak podkreśliła, wskazywała na to, że Adamowi brak wyłącznie wsparcia, zaufania i akceptacji. Było jasne, że w takiej sytuacji winę ponosiliśmy my, ale nie zamierzaliśmy się obrażać. Jeśli to my byliśmy problemem Adama, to świetnie, zrobimy wszystko, żeby się zmienić. Pani

psycholog zarządziła prywatne długie sesje z Adamem w poniedziałki, środy i piątki po południu. Louise i ja będziemy wzywani, jeśli będzie nam miała coś konkretnego do powiedzenia. I jeszcze jedno; nie przyjmowała kart kredytowych Blue Cross.

Wróciliśmy do domu pokrzepieni. Specjalista zapewnił nas, że problemy Adama można rozwiązać. Poza tym byliśmy zadowoleni, że będzie miał nowy sposób wyładowania emocji. Potrzebował tego. Parę miesięcy temu dowiedzieliśmy się, że pani Alexion, trzydziestoletnia wówczas kobieta, ma ostatnie stadium raka. Pomimo cierpienia i licznych operacji nadal utrzymywała kontakt z Adamem. Obserwowała jego dalszą naukę i służyła radą do chwili, w której odeszła, pozostawiając w smutku i żałobie wszystkich, którzy ją znali. Był to smutny okres dla wszystkich, ale szczególnie dla Adama. Panna Alexion była jego nauczycielką, bodźcem, wsparciem i punktem odniesienia przez osiem lat. Bardziej niż ktokolwiek inny przyczyniła się do jego szkolnych postępów.

Mijały miesiące, a jedyne wiadomości od pani psycholog stanowiły przysyłane przez nią rachunki. Nie zauważyliśmy żadnej poprawy w nauce u Adama, ale przecież nie znaleźliśmy się. Przełom może nastąpić w każdej chwili, nie powinniśmy ryzykować negatywnej reakcji poprzez zbyt dużą natarczywość. Nareszcie w maju, pod koniec wiosennego semestru

okazało się,

że nasz syn zaliczył wyłącznie kursy podstawowe. Wtedy sami

poprosiliśmy o

kolejne spotkanie.

- Cieszę się, że państwo przyszli - zaczęła pani psycholog. - Obawiam się, że nie mogę nic zrobić dla Adama, choć myślę, że polubił nasze pogawędki.

Czekaliśmy, spodziewając się usłyszeć coś więcej, ale cisza w gabinecie przedłużała się.

- To wszystko? - spytałem. - Pewnie ma pani dla nas jakieś wskazówki, na

przykład co do uświadomienia seksualnego. Jak mamy poruszyć ten temat z

Adamem? Wchodzi już w okres dojrzewania.

- To istotna kwestia - zgodziła się.

- Czy powinien zostać w Liceum Stevensa? Widzi pani jakieś postępy?

Potrząsnęła głową i przymknęła oczy w zastanowieniu. - Trudno to ocenić.

Powinien pracować lepiej, ale...

- Chodzi o nas? - spytała Louise. - Postępujemy niewłaściwie?

- Adam jest do państwa bardzo przywiązany - odparła. - Nawet za bardzo, czuje się zbyt bezpiecznie. Sądzi, że zawsze będziecie się nim zajmować.

Może dlatego nie zależy mu na większej samodzielności.

- Sugeruje pani, że nim manipulujemy?

- Och, nie. Poza tym to słodkie dziecko. - Wstała, dając nam do zrozumienia, że nie ma nic więcej do powiedzenia.

- Przyśle nam pani pisemną ocenę? - zapytałem - Po tylu tygodniach musi pani mieć jakieś praktyczne wskazówki.

- Oczywiście - uśmiechnęła się. Chciała, żebyśmy już sobie poszli, więc wyszliśmy. Z wyjątkiem podsumowania naszej rozmowy na jednej stronie i

wyników testów Adama sięgających niezmiennie 65 punktów, nie mieliśmy już

od niej żadnych wiadomości.

W 1984 roku, kiedy Adam był w połowie dziewiątej klasy, wyszedł z sukcesem tomik poezji Louise zatytułowany "Jacklight", a tydzień później urodziła się nasza córka, Persia. W tym samym miesiącu nowojorski wydawca

przyjął pierwszą powieść Louise, "Love Medicine". Mój Przewodnik po Badaniach zyskał recenzje najlepszego podręcznika akademickiego roku.

Nasze

życie rodzinne było ekscytujące, pełne niespodzianek, w rozkwicie. Persia była szczęśliwym, wdzięcznym dzieckiem. Zasypiała przytulona do nas, kiedy

pracowaliśmy. Adam, Sava i Madeline byli kochającym, starszym rodzeństwem, delikatnym i uważnym.

Latem, po pełnym frustracji roku w Liceum Stevensa, próbowaliśmy znaleźć

pracę dla Adama, choćby dla zabicia czasu. Spędził dwa tygodnie na obozie

YMCA, ale poza tym nie miał już nic do roboty, żadnych zainteresowań

poza

układaniem drewna. Niesystematycznie wykonywał różne zajęcia przez nas

wynajdywane, aż w końcu natrafił na pracę, która całkowicie go pochłoneła.

Było to wyrywanie z korzeniami łośpianu, który potężnie rozrósł się w całej naszej posiadłości i nie dawał się usunąć za żadną cenę.

Mówiliśmy Adamowi, jak ważna jest jego praca. Podkreślaliśmy, że bez jego

pomocy nasza posiadłość zarosłaby chwastami, a on podchodził do nowego

zajęcia z nie słabnącym zapałem. Już dawniej zauważyliśmy, że kiedy skupiał

się na jakiejś czynności, pochłaniała go ona całkowicie. Zapominał o bożym

świecie, o jedzeniu i przestawał dopiero, kiedy był bliski omdlenia z wyczerpania. Umiar był drogą środka, której nie rozumiał i równie trudno

było odciągnąć go od pracy, jak do niej zachęcić. Tego lata walka z chwastami stała się jego krucjatą. Czasem wykradał się z domu nocami,

żeby

szukać małych roślinek, a czasem rozpoczynał swój patrol przed świtem,

łośpiany zaś były godnym przeciwnikiem. Niezależnie od tego, ile taczek zielska zostało wywiezionych, wciąż na ich miejsce wyrastały nowe.

Pod koniec sierpnia Louise i ja spotkaliśmy się z dyrektorką szkoły Cornish - dzielnicy wciąż "odpowiedzialnej" za Adama. zaproponowała nam,

żebyśmy przenieśli go do Szkoły Zawodowej Hartford przy węzle kolejowym

White River w Vermoncie. Wszedłby tam do niewielkiej grupy uczniów o różnym

stopniu upośledzenia. Poznaliśmy dyrektora tej szkoły, Kena Kramberga, który zaskoczył nas słuchając tego, co mamy do powiedzenia. Na początek zapytał, czy zależy nam na dyplomie ukończenia szkoły średniej przez naszego syna. Czy bylibyśmy usatysfakcjonowani, gdyby po pięciu latach nauki otrzymał zaświadczenie uczęszczania do niej i dostał pracę na pełnym etacie?

- Po zapoznaniu się z wynikami Adama i rozmowie z nim myślę, że ma realne szanse na prowadzenie w miarę niezależnego życia - powiedział Ken - ale nie zakładałbym się, że kiedykolwiek zdoła zaliczyć geometrię.

Był to głos rozsądku, więc bez zastrzeżeń przystaliśmy na proponowany program.

Szkoła Hartforda prezentowała praktycyzm, w przeciwieństwie do nauki zasad Komitetu Senackiego. Poza ogólnymi przedmiotami, Adam miał codzienne zajęcia "kursu przetrwania". Uczył się, jak kupować w sklepie spożywczym, prać ubrania w pralni automatycznej, gotować proste potrawy, wypełniać kwestionariusze, jeździć autobusem, dobierać odpowiednie ubrania i obcinać

paznokcie bez ciągłego przypominania. Po roku miał dostać pracę na pół etatu, nadzorowaną przez jego pedagogów. Miał wypróbować kilka zawodów i na koniec wyspecjalizować się w jednym z nich; zaopatrzeniu, utrzymywaniu porządku na ulicach, pracy zespołowej albo przygotowywaniu posiłków. Chodziło o znalezienie pracy łączącej jego zainteresowania i umiejętności. Następnym etapem byłaby intensywne ukierunkowana nauka. Do czasu kiedy ukończyłby dwadzieścia jeden lat, miałby regularną pensję, mieszkanie i wiódł w miarę zadowalające życie.

Jazda z Cornish do Hartford zajmowała dużo czasu - Adam musiał wychodzić

z domu piętnaście po szóstej rano, a wracał o piątej po południu - ale widzieliśmy u niego znaczną poprawę. Przede wszystkim porzucenie myśli o

dyplocie zwalniało go od odrabiania lekcji, co oszczędzało nam napięcie i frustracji. Nagle wyzwoleni ze stresów i desperacji poprzedniego roku, Louise i ja odzyskaliśmy wolne wieczory i weekendy. Mogliśmy spędzać je z

resztą dzieci i sobą nawzajem. Byliśmy pełni energii i entuzjazmu. Stałe poczucie klęski - naszej i naszego starszego syna - zastąpiły teraz umiarkowane oczekiwania, optymizm, i poczucie, że nareszcie jesteśmy na

właściwej drodze. Kiedy w kwietniu 1985 roku urodziła się nasza trzecia córka, Pallas, nasze życie miało ustalony kierunek i równowagę. My zaś w pełni to wykorzystywaliśmy.

Rozdział dziewiąty

W 1982 roku prowadziłem wykłady w Twin Cities na Uniwersytecie Minnesoty.

Zadzwoiłem do Stana Sheparda, który pracował w zarządzie Fundacji Busha,

aby złożyć mu wyrazy uszanowania. Program Wiedzy o Rdzennych Amerykanach

bezustannie poszukiwał nowych źródeł finansowania, a Bush był zainteresowany kwestią wyższej edukacji amerykańskich Indian. Nasza rozmowa

nie przysłużyła się bezpośrednio Programowi - Fundacja koncentrowała swą

filantropijną działalność głównie na środkowym Zachodzie - ale przyniosła

mi zaproszenie, które wpłynęło poważnie na moje rozumienie stanu Adama.

Stan zaproponował, żebym towarzyszył mu podczas najbliższych wizyt w

rezerwatach Dakoty Południowej. Zgodnie ze zwyczajem pracownicy Fundacji w

asystyście konsultanta przeprowadzali na miejscu wywiad z organizacją, która

zgłaszała zapotrzebowanie na dotację. Z pewnością nie byłem ekspertem od kwestii plemiennych w Dakocie Południowej, ale miałem uprawnienia akademickie i niejaki rozeznanie w sprawach Indian w ogóle.

Cieszyłem się z perspektywy wizyty na Zachodzie i przerwy w monotonnym nauczaniu. Tęskniłem do tego, żeby być pośród Indian, słuchać ich potocznej mowy, subtelnych żartów, lubiłem też długą jazdę przez wyludnione okolice. Jeśli ktoś mieszkał w społeczności plemiennej Ameryki Północnej, w każdym rezerwacie poczuje się jak w domu. Louise pisała na naszej farmie, siedząc na wysokim taborecie przy biurku zrobionym z niepotrzebnych drzwi. Wszystkie dzieci chodziły do szkoły, więc kiedy przyszło zaproszenie z Fundacji, po raz pierwszy od dziesięciu lat poczułem, że mogę przyjąć tę ciekawą ofertę i nie wracać na noc do domu bez niepokoju czy poczucia winy.

Holiday Inn w Rapid City mógł równie dobrze znajdować się piętnaście tysięcy kilometrów stąd w wiosce Sosnowa Grań w wielkim rezerwacie Siuksów o tej samej nazwie. Przy dobrej pogodzie można było jednak dojechać doń w dwie godziny. Tego wczesnowiosennego poranka wyruszyliśmy ze Stanem drogą, która była najgorętszym pasem na ziemi - mokra, czarna, magiczna

wstęga, na

której śnieg topniał szybciej niż na ziemi ciągnącej się po obu jej stronach. Dalej na południe trasa zakręca wokół Badlands, ślizga się po najeżonych arroyos i podcina strome urwiska. Podczas pory zimnej lub suszy wygląda jak prawdziwa pustynia.

A jednak wokół tętniło życie. Pieski preriowe stawały na baczność niczym wartownicy i obserwowały nasz wynajęty samochód, by zniknąć niemal w ostatniej chwili. Tylko rzut oka w tylne lusterko upewniał nas, że rzeczywiście zdażyły się schować. Pokazały się również jelenie, daleko na wzniesieniu ich ciemne sylwetki odcinały się na tle nieba. Orły i jastrzębie o czerwonych ogonach leciały poza zbliżający się i rozlewający widnokrąg, który na wysokich równinach bądź nad morzem tak idealnie oddaje krągłość ziemi. Na wydzierzawionych polach pasło się bydło. Zwierzęta opuściły nosy do ziemi, ich satynowe wargi rozciągały się w uśmiechu i pozwalały zębom skubać zamarznąłą trawę. Powiedziano nam, żebyśmy wypatrywali antylop i łosi, ale zobaczyliśmy jedynie nieruchomą wystawę grzechotników, które wyglądały jak na rysunku. Rozleniwione po długiej zimie, usypiane przez słońce drzemały na autostradzie północ-południe. Rozganiały je koła rozpędzonych pick-upów, porannych ciężarówek dostawczych, pontiaców o niskim zawieszeniu, które sunęły od jednej kropki na mapie do drugiej, znajdujących się zupełnie nie-po-drodze.

Jedyne stacje, których można było słuchać bez zakłóceń, to "country and

western" w państwowym radiu, ciekawa rywalizacja serca i umysłu dopełniających się podczas nieprzerwanego, jednostajnego upływu kilometrów.

Każda z nich miała swój czas. Niewidzialną granicę rezerwatu wyznaczał Long

Branch Saloon w Scenic, samotny zajazd przydrożny. Było to połączenie baru

i centrum handlowego, relikwium przeszłości. Jeden znak zakazywał wstępu Indianom, a drugi oferował wyroby z koralików w barze. Za budynkiem znajdowało się cmentarzysko samochodów, których kolory wyblakły na bezlitosnym wietrze.

Mieliśmy odwiedzić centrum rehabilitacji i leczenia nastolatków "chemicznie uzależnionych". Jak napisali w swoim podaniu o dofinansowanie,

byli jedyną tego rodzaju placówką na wszystkie rezerwaty Dakoty Północnej i

Południowej, Nebraski, Wyoming i Montany. Projekt Phoenix mógł pomieścić

mniej niż dwadzieścia łóżek, o wiele za mało na istniejące zapotrzebowanie.

Pensjonariusze byli tu przysyłani przez lokalne sądy; kompletnie zagubione

dziewczęta i chłopcy w wieku czternastu, piętnastu lat. Dzieci te były uzależnione nie tylko od alkoholu i konwencjonalnych narkotyków, lecz i od

popularnych w rezerwach środków odurzających. Stosowano je w

społecznościach tak biednych, że nie było je stać na nic innego.

"Wąchano"

więc opary z benzyny, kleju, lakierów do paznokci, tanich perfum, substancji alkoholowych. Trafiały tu ciężkie przypadki dzieci, które nie miały dokąd pójść i zawsze czekały w długiej kolejce, żeby się tu dostać. Wobec cięć budżetowych, które rozpoczęły się pod administracją reaganowską

i wkrótce podwoiły się i potroiły, projekt Phoenix był ostatnią deską ratunku. Można było przyjechać tu albo spać w porzuconych samochodach.

Można było przyjechać tu albo trafić do plemiennego więzienia, które pakowało do jednej celi dorosłych i młodzież niezależnie od natury wykroczenia. Można było przyjechać tu albo nigdzie.

Po drodze do Kyle przeglądaliśmy ze Stanem zatrważające statystyki zastanawiając się, czy to możliwe, że kryzys sięgnął takiego stopnia. Może była to przesadzona wizja, którą roztoczył sprytny administrator, aby wydobyć więcej pieniędzy z Fundacji St. Paula? Uważaliśmy się za pozbawionych złudzeń w ocenie ekstremalnych przypadków pozbawiania praw

Indian w Sosnowej Grani, Rzece Cheyenne, Różyczce, a przecież...
warunki

opisywane przez niego brzmiały jak wyjęte z Inferna. To była Ameryka, reaganowskie lata osiemdziesiąte, środek dekady. Sosnowa Grań miała w oczach Najwyższego Sądu Stanów Zjednoczonych status państwa i traktowana

była na równi z Waszyngtonem.

Skrećiliśmy na pełną dziur drogę do więzienia, małego nowoczesnego budynku z cegieł i fasadą ze szkła. Tuż obok, jakby dla podkreślenia tego, o czym mówiliśmy, usadowiła się grupa zdemolowanych domostw z prefabrykatów. Obok parkowało kilka pick-upów. Nad wejściem jednego z budynków, przed którym ustawiono zbitą z desek platformę z wycieraczką dla

zabłoconych butów, widniał napis Projekt Phoenix. Dyrektor, uśmiechnięty

Siuks około czterdziestki, wyszedł nam na spotkanie. Miał okulary i mnóstwo

długopisów przypiętych do plastikowej tabliczki na kieszeni koszuli, która miała zabezpieczyć materiał przed plamami z atramentu. Niepokoili się o nas, powiedział. Spodziewali się nas wcześniej.

Stan przeprosił - źle wyliczyliśmy czas przejazdu - i weszliśmy do pomieszczenia, które dyrektor nazwał wspólnym pokojem, miejscem, w którym

odbywały się spotkania grupowe, gdzie stał telewizor i stoły jadalne. Nie było tu nikogo. Pod ścianami ustawiono tanie kanapy i plastikowe krzesła.

Na stolikach do kawy stały popielniczki i porządnie ułożone czasopisma.

Podłoga wyłożona linoleum była nieskazitelnie czysta - naprawdę nas tu oczekiwano. Na wyłożonych boazerią ścianach wisiały plakaty - wiele z nich

przedstawiało postaci o rysach indiańskich - ostrzegały one przed wszelkimi

typami uzależnień.

Usłyszeliśmy za sobą hałas. Przesunąłem się, żeby zrobić przejście dla

trzech chłopców - "klientów", jak nazywał ich dyrektor. Ignorując nas całkowicie, włączyli telewizor, opadli na krzesła i kanapę i wpatrzyli się w ekran.

Przyglądałem im się. Mogli być bliźniaczym rodzeństwem Adama. Przypominali go każdym rysem twarzy, każdym gestem, całą sylwetką. Świat, w którym żyli, diametralnie różnił się od domku farmerskiego z osiemnastego wieku w sielskim New Hampshire. Ledwo udało im się przeżyć kryzys rodzinny, bicia i napastowanie, inaczej nie byłoby ich tutaj. Adam zaś, po zaburzeniach pierwszych lat swego życia był chroniony, traktowany "specjalnie" i prowadzony przez poszczególne etapy rozwoju. A jednak dostrzegałem coś znajomego w tych chłopcach, w wyrazie ich twarzy i postawie, wyborze programu telewizyjnego i niezauważaniu niczego poza kilkoma szczegółami w ich otoczeniu. Podobieństwa te wydawały się zbyt duże, by mogły być przypadkowe, sięgały znacznie głębiej. Fakt, że ci chłopcy i Adam należeli do tej samej grupy etnicznej, miał tu mniejsze znaczenie. Bardziej istotny był zespół cech wspólnych, który podciągał odrębne indywidualności pod tę samą kategorię. Istniał wspólny wyznacznik, tak jasny i oczywisty, jakby w określonej grupie ludzi kilkoro z nich miało niebieską skórę, dwa metry wzrostu i mówiło językiem, którego nikt inny nie rozumiał. Dyrektor zauważył moje zamyślenie i spojrzał na mnie pytająco.

- Mam syna - powiedziałem i sięgnąłem do portfela po jego zdjęcie.

Obejrzał je i oddał mi, kiwając głową: - ZPUP, prawda? - spytał.

W biurokratycznym światku spraw indiańskich pełno było podobnych skrótów

- BIA, HEW, JOM - ale ten brzmiał obco.

- ZPUP?

- Zespół Poalkoholowego Uszkodzenia Płodu - odparł. - Wiele naszych dzieci cierpi na ZPUP albo EPUP, Efekt Poalkoholowego Uszkodzenia Płodu.

Pochodzą z rodzin alkoholików, ich matki piły w czasie ciąży. Pańska żona również?

- Adoptowałem go - powiedziałem. - Jego matka rzeczywiście piła, ale chłopiec jest ze mną od wczesnego dzieciństwa.

- To bez znaczenia. Niewiele dzieci z ZPUP pozostaje przy naturalnych matkach, a jeśli tak się dzieje, to nic o nich nie wiemy. Szkody wyrządzone przez alkohol powstają w czasie ciąży. - Sięgnął po zdjęcie Adama, które wciąż trzymałem w ręku.

- Widzi pan jego oczy? - wskazał. - A małą głowę? Widzi pan, jaki jest chudy? Ile ma lat, trzynaście, czternaście? Gdyby pan nie wiedział, pomyślałby pan, że jest dużo młodszy.

Rozumiałem, o czym mówi. Miał rację pod każdym względem.

Spojrzałem na

chłopców rozpartych na kanapie. Mieli otwarte usta, absolutnie pochłonięci

oglądanym programem. Znałem ten widok.

- Czy chłopcy przebywający w Phoenix mają problemy z nauką? -

spytalem. -

Potrafia rozróżniać pieniądze?

Dyrektor roześmiał się. Nie był to nieprzyjemny śmiech, ale pozbawiony wesołości.

- Żartuje pan? - powiedział. - Nie potrafia określić ani czasu, ani pieniędzy. Ale najgorsze jest to, że nie uczą się na doświadczeniach. Szkolimy ich tutaj, prowadzimy do pedagogów, uczymy nowych słów, a po paru tygodniach albo trzech dniach od wyjazdu sąd przysyła nam ich z powrotem.

Wciąż ta sama historia. Ukradli coś, wachali klej, nie zgłosili się do kuratora albo włoczyli się za jakąś dziewczyną, której się to nie podobało.

- Co działa w ich przypadku? - spytałem, gotów natychmiast wprowadzić to w życie po powrocie do domu.

- Co na nich działa? - powtórzył. - Zupełnie nic.

Z kuchni wyszła kobieta, uśmiechnęła się na nasz widok i zaprosiła na posiłek, który przygotowała razem z innymi. Na połączonych trzech stołach

ustawiono tradycyjne potrawy na Święto Dziękczynienia: indyka z nadzieniem,

tłuczone ziemniaki, sos żurawinowy, galaretkę, pokrojony chleb i margarynę

w jasnożółtej tubce. Jedzenia było mnóstwo. Podano je z gościnnością charakterystyczną dla Indian, naturalną hojnością wobec gości. Były to wartości, które zadziwiały tym bardziej, że zachowywano je w miejscu o

wielkich potrzebach. Każde danie było wspaniale przyrządzone i przepyszne, ale musiałem się zmuszać do jedzenia. Wciąż zerkałem przez drzwi na zapatrzonych w telewizor chłopców. Było za mało miejsca, więc mieli zjeść później, razem z innymi klientami. Bez przerwy miałem przed oczami Adama.

Nie wiedziałem o ZPUP więcej, niż powiedział mi dyrektor, ale uchwyciłem się tych czterech liter niczym klucza. Kiedy wrócić do Dartmouth, myślałem, rozwikłałam ten szyfr.

Przez następne trzy lata odwiedzałem z ramienia Fundacji Busha wiele rezerwatów Dakoty - Sosnową Grań, Różyczkę, Stożącą Skalę, Żółwią Górę, Diabelskie Jezioro i Wronią Zatokę. Coraz trudniej było mi pogodzić straszne warunki zaobserwowane na Zachodzie z wypiełgnowaną akademicką obojętnością. Intelktualny obiektywizm niesie ze sobą pewien luksus, ale i arogancję. Dążenie do obiektywizmu, które pozwalało studenckiemu komitetowi etycznemu na poruszanie "najważniejszych" spraw, stanowiło również wygodną barierę dla wszelkich niewygodnych kwestii mogących zakłócić przepływ beznamiętnych myśli. Uczoność powinna opierać się fali codziennych

zdarzeń,

nadawać szersze spojrzenie. Nie ma tu miejsca dla wściekłości, rozpacz i hysterii.

Życie umysłowe chrakteryzuje niezmaconą pogodę, więc kiedy wszedłem do

klasy po powrocie z kraju nędzy, mnożących się ekonomicznych i zdrowotnych

problemów życia Indian Północnych równin, zasłoniłem się gładkimi odpowiedziami. W niczym by nie pomogło, gdybym zaczął krzyczeć na synów i

córki uprzywilejowanych, cieszących się doskonałym zdrowiem, ubranych według najnowszej mody. Problemy, z którymi zwracali się do mnie, były cudownie łatwe do rozwiązania. Jeśli chciałem, by dotarła do nich wiadomość

o innej rzeczywistości, musiałem podawać ją za pomocą niejasnych sugestii,

w złagodzonej języku.

Oczywiście łatwo było wywołać w nich poczucie winy, choć równie szybko

zapominali o nim podczas następnego wykładu, zajęć aerobiku czy posiłku w

szkolnej stołówce. Ci młodzi mężczyźni i kobiety żywili dobre intencje i w głębi duszy mieli pewność, że nieszczęścia tego świata nie są ich winą, a

w

końcu każdy nauczyciel będzie przemawiał do nich o istotności, ważności swego przedmiotu. Nauczyli się więc zachowywać ostrożność i hamować

entuzjazm.

Nawet studenckie zrzeszenie Rdzennych Amerykanów powściągliwie wypowiadało się na temat kryzysu w odległych rezerwach. Komisja rekrutacyjna udoskonaliła swoją działalność od czasu wczesnych lat siedemdziesiątych. Tak więc Indianie dopuszczani do Dartmouth pochodzili z

bogatszych środowisk i mniej różnili się od swych kolegów z campusu.

Czuli

się coraz mniej obcy, wstępowali do bractw studenckich, a ich codzienne troski oddzielały ich od gniewu, który stał się moim udziałem po każdym powrocie z Rapid City czy Pierre. Traciłem do nich cierpliwość i moją popularność znacznie zmalała po tym, jak zbyt gorliwie nawoływałem do rozsądnego wydawania pieniędzy związkowych. Chciałem, żeby przeznaczyli je

na urządzenie konferencji albo bezpośrednią dotację dla zaniedbywanych dzieci, zamiast urządzać zbyt huczne majowe święto powwow.

Wydawało się, że im bardziej angażowałem się w poznanie przyczyn występowania zespołu poalkoholowego uszkodzenia płodu wśród Indian, tym

bardziej odrywałem się od wewnętrznych tematów Ivy League. Dla wielu mieszkańców Hanoveru, New Hampshire, najważniejszą kwestią indiańską od

dziewięciu lat pozostawały nazwy nadawane niegdyś drużynom sportowym.

Każdego roku należało "pouczać" młodych ludzi, że niewłaściwe jest przedstawianie pozytywnego czy też negatywnego wizerunku ludzi

uciśnionych

wyłącznie dla zabawy. Rada Powiernicza wydała zakaz używania podobizn

indiańskich już w 1974 roku. Protestując jednak przeciw rzekomym ograniczeniom prawa do bycia niewrażliwym z wyboru, grupa studentów nadal

umieszczała rysunek indiańskiej głowy na wycieraczkach przed drzwiami, ubraniach i ogłoszeniach. Zbierali głosy, rozdawali ulotki, a nawet malowali twarze szminką, żeby zaznaczyć swoje stanowisko.

Ta świadoma ignorancja była ciężka do strawienia dla niektórych Indian i nie-Indian, ale w zestawieniu z sytuacją w Sosnowej Grani na mnie osobiście

nie robiła wrażenia. Na początku października, bezpośrednio po wyładowaniu

samolotu, pojechałem do kampusu, żeby przygotować się do zajęć. Nie widziałem się z nikim od czasu opuszczenia wioski Porcupine, gdzie pewien

mnich z kościoła rzymsko-katolickiego poświęcił się leczeniu chłopców napastowanych przez pijanych dorosłych. Miał on wkrótce zostać przeniesiony

przez swoich zwierzchników z powodów niezrozumiałych dla nikogo.

Chociaż

potrzeby wioski wciąż rosły, schronienie dla dzieci miało zostać zamknięte z braku funduszy. Przeglądałem notatki, próbując skomponować dwugodzinne

wyjaśnienie politycznych przyczyn zawiązania Konfederacji Irokezów,

kiedy

usłyszałem pukanie. W drzwiach stało trzech starszych mężczyzn o pomarszczonych, ale wciąż żywych twarzach. Pomny etykiety panującej w rezerwatach, natychmiast odłożyłem swoją pracę, zaprosiłem do środka i ofiarowałem pomoc, ale nie poruszyli się.

- Profesor Dorris? - zapytał środkowy.

- Tak - uśmiechnąłem się.

- No - zerknął na swoich towarzyszy. W tej samej chwili cała trójka rozwarła płaszcze, ukazując podkoszulki z rysunkiem Indianina i zgodnie wykrzyknęła: "Wah Hoo Wah". Był to okrzyk dopingujący dawną drużynę futbolową "Indian" z Dartmouth.

Patrzyliśmy na siebie stojąc twarzą w twarz, ludzie, którzy pochodzili z różnych światów. Byli z siebie bardzo zadowoleni. Wstali wcześnie, ubrali się obraźliwie dla przeciwnika i dopadli go w jego norze. Wypełnili swoją misję i czekali, jak na to zareaguje. Widziałem to w ich oczach.

Cofnąłem się o krok i zamknąłem drzwi. Niedawno przysłano mi formularz z

Fundacji Rockefellera na roczne niezależne stypendium. Wypełniłem go tego

samego dnia prosząc o wsparcie moich badań nad Zespołem

Poalkoholowego

Uszkodzenia Płodu i jego wpływie na niektóre społeczności rezerwatów, które

odwiedziłem. Zadzwoiłem do Louise, zapytałem ją o zgodę, a potem oficjalnie poprosiłem dziekana o urlop.

Tej zimy zostałem awansowany na profesora, "Love Medicine" dostała

pierwszą Nagrodę Krytyków Narodowej Książnicy w dziedzinie literatury pięknej, projekt drugiej książki Louise, "The Beet Queen" został ukończony, a moje stypendium Rockefellera zatwierdzone. Otrzymywałem jeszcze dodatkowe wynagrodzenie za prowadzenie pięćdziesięciosobowej grupy aerobiku trzy razy w tygodniu, no i zacząłem pisać własną powieść, pod tytułem "Żółta Tratwa na Błękitnej Wodzie".

Louise i ja coraz bardziej wciągaliśmy się we wspólne pisanie, od koncepcji fikcyjnych postaci po wydawanie rękopisu. Nadal jednak samotnie zasiadaliśmy przed pustą kartką czy monitorem komputera. W takich razach zapominaliśmy o wzajemnym posłuszeństwie i przeprowadzaliśmy płomienne spory literackie, ale na koniec osiągnęliśmy porozumienie co do każdego słowa. W rezultacie oboje czuliśmy się w obowiązku walczyć o każdą książkę, artykuł, wiersz, recenzję czy opowiadanie, niezależnie od tego, które z nas widniało na okładce. Znaliśmy na pamięć każdy paragraf, tak często je zmienialiśmy i przepisywaliśmy.

Pewnego kwietniowego wieczoru, po kolacji, rozłożyliśmy z Louise mapę Środkowego Zachodu, szukając nowego lokum na czas mego rocznego

stypendium,

które rozpoczynałem w sierpniu. Chcieliśmy znaleźć miejsce w pobliżu jej rodziny i rezerwatów, które musiałem odwiedzić. Miejsce, w którym mielibyśmy bibliotekę akademicką, dostęp do lotniska, dobre centrum dziennej opieki dla Persii i Pallas. Poza tym musiałyby tam być dobra szkoła dla Savy i Madeline z dodatkowym programem specjalnym dla Adama,

podobnym do tego, który rozpoczął w Hartford. Wszystko wskazywało na jakieś

miasteczko uniwersyteckie. Zaznaczyliśmy kółkami Missouli w Montanie, Winnipeg w Manitobie, St. Paul, Bennidy i Northfield w Minnessocie, Fargo i

Grand Forks w Dakocie Północnej i Rapid City w Południowej. Następnie skontaktowaliśmy się z przyjaciółmi i znajomymi w tych miastach prosząc o

o pomoc w znalezieniu dużego, umeblowanego mieszkania do wynajęcia.

Ostatecznie Stan Shepard natrafił na najlepszy ślad. Był nim Bill Woehrlin, profesor historii w Carlton College w Northfield, godzinę drogi na południe od Twin Cities. Bill wielokrotnie współpracował z Fundacją Busha. Telefon odebrała jego żona, Holly, i w ciągu paru dni skontaktowała

nas z agentem nieruchomości, który przysłał nam zdjęcie idealnego domu.

Był

to wiktoriański budynek w pobliżu kampusu, z sześcioma sypialniami i czynszem, na który było nas stać. W dodatku był do wynajęcia w czasie, w którym mieliśmy się wprowadzić. Dyrektorka szkoły specjalnej w

Northfield

zapewniła mnie, że Adam będzie mógł kontynuować rozpoczęty program.

Carleton College wspaniałomyślnie pozwolił nam korzystać z biblioteki.

Nigdy dotąd nie przebywaliśmy dłużej w Minnesocie Południowej, ale od razu

podpisaliśmy roczną umowę wynajmu. Wynajęliśmy samochód z przyczepą -

dodge'a, który miał przewieźć całą naszą siódmkę, i kiedy tylko skończył się letni sezon w Dartmouth, spakowaliśmy się i wyruszyliśmy na Zachód.

W niecały miesiąc później jechałem z powrotem do Sosnowej Grani.

Miałem

ze sobą nieliczne teksty naukowe z ostatnich trzech lat, które traktowały o upośledzeniu, o którym dowiedziałem się w Phoenix. Ponownie rozważyłem też

i zanalizowałem notatki z medycznych i psychologicznych testów Adama i z

jak największym obiektywizmem zreferowałem moje wiadomości z jego doświadczeń życiowych. Przeprowadziłem rozmowy telefoniczne z najślawniejszymi naukowcami, którzy jako pierwsi zajmowali się problemem

teratogenów i genetyki i byłem na wielu wykładach na temat zaburzeń porodowych. Dzięki temu wiedziałem nareszcie, o co pytać i mogłem słuchać

bezpośrednio ludzi mających do czynienia z ofiarami i sprawcami zespołu poalkoholowego uszkodzenia płodu.

W 1968, roku urodzenia Adama, czterech uczonych francuskich

opublikowało

skromny biuletyn naukowy ("Les enfants de parents alcooliques.

Anomalies

observees"). Zanotowali oni pewne współcześnie występujące defekty pourodzeniowe u 127 dzieci rodziców alkoholików. Dopiero w 1973 roku, kiedy

Adam miał pięć lat i otrzymał imię Lakota, inna grupa ekspertów z Uniwersytetu Waszyngtona w Seattle posunęła ich obserwacje o krok naprzód.

Grupa ta, kierowana przez doktora Davida W. Smitha z Wydziału Pediatrii, zaobserwowała opóźnienie w rozwoju u dziewięciorga z dwunastu noworodków

matek alcoholiczek. Ostatecznie udało im się wyodrębnić wzorzec fizjologicznych deformacji u tych dzieci, który nazwali Zespołem Poalkoholowego Uszkodzenia Płodu (ZPUP). Świat naukowy nie od razu uznał to

odkrycie za przełom. W tym samym roku ukazały się ledwie trzy sprawozdania

z tego tematu. Z czasem zmieniło się to jednak. Po zachodniemieckich publikacjach z 1975 i 1976 roku przyszły szwedzkie badania z 1975 i 1977, a

do 1979 roku wydano już ponad dwieście artykułów dotyczących ZPUP.

W 1985

roku, kiedy Adam dostał swoją pierwszą pracę na pół etatu - dosypywanie soli i pieprzu do pojemników - fachowa dokumentacja na temat ZPUP dochodziła do dwóch tysięcy artykułów rocznie.

Przekonanie, że picie matki jest szkodliwe dla zdrowia dziecka, nie jest oczywiście niczym nowym. Stary Testament Biblii hebrajskiej formułuje wyraźny zakaz w Księdze Sędziów, wers 13Ď: "Tedy był mąż niektóry z Sarą, z pokolenia Dan, imieniem Manue, a żona jego była niepłodna i nie rodziła. I ukazał się Anioł Pański onej niewieście, a rzekł do niej: Otoś teraz niepłodna, aniś rodziła, ale poczniesz i porodzisz syna. Przetoż się teraz strzeż, abyś nie piła wina i napoju mocnego, i abyś nie jadła nic nieczystego; Bo oto poczniesz i porodzisz syna, a brzytwa nie postoi na głowie jego, bo Nazarejczykiem Bożym będzie to dziecię zaraz z żywota; a on pocznie wybawiać Izraela z ręki Filistynów. Tedy przyszła niewiasta, i powiedziała to mężowi swemu, mówiąc: Mąż Boży przyszedł do mnie, którego oblicze było jako oblicze Anioła Bożego, bardzo straszne, i nie pytałam go, skąd był, ani imienia swego oznajmił. Tylko mi rzekł: Oto poczniesz i porodzisz syna; przetoż teraz nie pij wina, ani napoju mocnego, ani jedz co nieczystego; bo Nazarejczykiem Bożym będzie to dziecię zaraz z żywota aż do dnia śmierci swojej. (2-7Ď) (Doktor Ernest Abel, w swojej świętej i mądrej książce "Zespół Poalkoholowego Uszkodzenia Płodu i Efekt Poalkoholowego Uszkodzenia Płodu", Nowy Jork; Plenum Press, 1984-87, argumentuje

(s.2-25Ď), że późniejsze zakazy picia przytaczane często jako dowód na to, że starożytne społeczeństwa znały niebezpieczeństwa picia przez matki, mogą wprowadzać w błąd. Podkreśla istotny fakt, że głębsze powody ustanawiania tych zakazów powinny być rozumiane w kontekście historycznym i kulturalnym, w którym powstawały. Mimo że ich wyjaśnienie może być inne i nienaukowe, ich wpływ na społeczeństwo miał charakter terapeutyczny. Zanim Żydzi rozpoznali biologiczny koncept włośnicy, zakazali jedzenia wieprzowiny z powodów religijnych. Rezultat był taki sam: zapobiegał zatruciom pokarmowym. Niezależnie od powodów, dla których zakazywano kobietom w ciąży picia alkoholu, była to rzecz rozsądna.)

Już w 322 roku n.e. Arystoteles w swoich "Problemata" zauważał że "głupie, pijane czy lekkomyślne kobiety zazwyczaj wychowują dzieci podobne do siebie, trudne i apatyczne". Platon sugerował, że alkohol powinien być zabroniony "dla wszystkich mężczyzn i kobiet, którzy zamierzali płodzić dzieci... Dzieci nie mogą być płodzone w ciałach przesiąkniętych pijaństwem". Plutarch (A.D.120Ď) zaobserwował, że "jeden pijak wciąga drugiego", a babiloński Talmud (200-500 A.D., kehuboth 326Ď) ostrzegał ciężarne kobiety: "Ta, która pije trujący trunek, będzie mieć niesprawne dzieci". W starożytnej Kartaginie funkcjonował zakaz spożywania

alkoholu w

noc poślubną z obawy przed poczęciem upośledzonego dziecka.

Podczas tak zwanej epidemii dżinu w Anglii w latach 1720-1750, kiedy alkohol był tani i szeroko dostępny, Brytyjski College Medyczny ostrzegał Parlament przed piciem rodziców. Miało być ono "przyczyną osłabienia, niedorozwoju i chorób dzieci". Sto lat później inny komitet naukowy objaśniał Izbie Gmin, że dzieci matek alkoholiczek "miały zagłodzony, zasuszony i niezdrowy wygląd". Według Williama Sullivana, więziennego lekarza z Liverpoolu, było jeszcze gorzej. W 1988 roku opublikował on, że kobietom alkoholiczkom zdarzało się 56 procent poronień i porodów martwych dzieci, więcej niż połowa przypadków w porównaniu z niepijącymi kobietami.

(1D).

W 1973 roku naukowcy z Seattle zaprezentowali swoje odkrycie w brytyjskim czasopiśmie Lancet. Zidentyfikowali oni pewną liczbę wspólnych cech noworodków matek alkoholiczek. Były pośród nich prenatalne i pourodzeniowe zaburzenia w rozwoju, szczególnie rodzaj deformacji twarzy - mały obwód głowy, spłaszczona środkowa część twarzy, zapadnięty mostek nosowy i wygładzony i wydłużone philtrum (rowek pomiędzy nosem i górną wargą), dysfunkcje centralnego układu nerwowego, deformacje systemu organicznego różnego stopnia. (2D) Innymi słowy, niektóre dzieci kobiet pijących duże

ilości alkoholu w czasie ciąży były mniejsze, rozwijały się wolniej i różniły się od dzieci matek niepijących, miały również inne kłopoty zdrowotne, które pod względem klinicznym odróżniały je od reszty noworodków.

Wciąż jeszcze pokutowało poruszające i karygodne przeświadczenie wśród lekarzy, którzy od dawien dawna przepisywali swoim ciężarnym pacjentkom szklaneczkę uspokajającego wina czy piwa. Były nawet przypadki, kiedy za pomocą dożylniej dawki roztworu opartego na alkoholu zapobiegano przedwczesnym porodom.

Jeszcze w 1974 roku, standardowy podręcznik medyczny, "Farmakologiczne podstawy terapii" Louisa Goodmana i Alfreda Gilmana utrzymywał, że "alkohol swobodnie przedostaje się do układu krążenia płodu, ale nie wydaje się czynić żadnych szkód". (3Ď) Chociaż te błędne informacje zostały skorygowane w 1980 roku i w następnych wydaniach tej książki, studenci z poprzednich lat, a dziś praktykujący lekarze, wciąż je podtrzymują i przekazują swym pacjentkom. Picie w towarzystwie stało się przecież częścią amerykańskiej kultury, podstawową zasadą, jak palenie czy posiadanie broni.

W latach dwudziestych społeczeństwo masowo łamało prawo w

odpowiedzi na

zakaz sprzedaży alkoholu, a współcześnie, w wielu stanach produkcja wina

czy spirytusu jest największym przemysłem i źródłem pracy.

- Nasze matki piły - protestowało wielu urażonych dysydentów w

odpowiedzi

na ostrzeżenia przed ZPUP - i spójrzcie na nas.

Taki stan rzeczy może mieć wiele źródeł. Możliwe na przykład, że ich matki nie piły tak dużo jak kobiety w latach osiemdziesiątych. Według statystyk, w dzisiejszej Ameryce Północnej pije okazjnie dziewięć na dziesięć kobiet w wieku produkcyjnym. Wiarygodne obliczenia wskazują, że

siedem z tych dziesięciu kobiet pije regularnie, przeciętnie jednego drinka dziennie. 5 do 10 procent kobiet w tej grupie wiekowej zostałyby zakwalifikowane jako alkoholiczki. Dramatycznie wzrosła też ogólna liczba

wszystkich kobiet spożywających alkohol w jakiegokolwiek formie. W ostatnich

latach stosunek pijących kobiet do mężczyzn wzrósł o dwa do jednego. Na przykład wśród studentów college'u liczba pijących mężczyzn wzrosła szacunkowo o 3 procent pomiędzy 1953 a 1974 rokiem. W tym samym okresie

liczba kobiet wzrosła aż o 12 procent. Ta niepokojąca tendencja (podobna do

problemu palenia wśród kobiet) może wynikać z wielu różnych przyczyn, ale z

pewnością idzie w parze z szerokimi pozytywnymi zmianami społecznymi w tym okresie. Dzięki zjednoczeniu wysiłków politycznych, kobiety zyskały równe mężczyznom prawa do wynagrodzenia i wykształcenia i zdobyły pozycje kierownicze w biznesie i w rządzie. Proces eliminacji krzywdzących stereotypów nie był jednakże pod każdym względem korzystny. Uwolnionym od zewnętrznych ograniczeń kobietom wolno teraz brać udział w dziedzinach uważanych dotąd wyłącznie za męskie. Jako przykład może posłużyć szkodzenie własnemu zdrowiu przez zażywanie narkotyków i środków chemicznych. Istnieje jednak kluczowa biologiczna różnica. Pijący przyszli ojcowie mogą przynajmniej z tego, co nam dziś wiadomo, zaszkodzić wyłącznie sobie i tym nieszczęśnikom, którzy wejdą im w drogę. Natomiast picie przyszłych matek może spowodować poważne i trwałe szkody w organizmie ich nie narodzonych dzieci.

W ciągu ostatnich dwudziestu lat stwierdzono niezbicie, że alkohol jest teratogenem (słowo pochodzenia greckiego, terrato i genes, dosłownie oznacza to "robienie potworów"). Jest to naukowe określenie chemicznego składnika, który w pewnych ilościach może spowodować defekt urodzeniowy.

Liczne artykuły w szanowanych ogólnie czasopismach naukowych, takich jak

Amerykański Magazyn Ginekologii Położniczej, alarmują, że alkohol swobodnie

przenika ścianki łożyska u niektórych zwierząt, na przykład reżusów.

Poważna intoksykacja embriona została zauważona u owiec i istot ludzkich.

Ludzki płód ma zredukowaną zdolność eliminacji alkoholu i dlatego koncentruje się on dłużej w macicy niż w reszcie organizmu. Po każdym łyku

likieru, wina czy piwa płód jest pijany dłużej niż matka. Do czasu, kiedy matka poczuje się pijana pod względem społecznym i fizycznym i zacznie odmawiać dolewki, dziecko może już dawno stracić przytomność. Jak napisał w

1980 roku doktor Cortez F.Enloe w "Dzisiejszym Odżywianiu", "kac może trwać

dla płodu całe życie". (4Ď)

Nie znamy dokładnie fizjologicznego procesu, w którym dochodzi do uszkodzenia płodu, ale generalnie jest on bardzo prosty. Kiedy ktoś spożywa

więcej alkoholu, niż może pomieścić jego wątroba, nadmiar przedostaje się

do krwi i krąży do czasu neutralizacji. Po uformowaniu się łożyska kobiety w ciąży, każdy procent etanolu w jej ciele dociera do płodu i jest rozprowadzany do jego wątroby, trzustki, nerek, grasicy, serca, ale głównie koncentruje się w mózgu rozwijającego się dziecka.

Może to zakłócać metabolizm cynku, równowagę hormonalną, zdolność łożyska do przenoszenia tlenu albo doprowadzić do uszkodzenia mózgu, szczególnie między pierwszym a trzecim miesiącem ciąży. Alkohol wpływa odwadniająco na organizm i obciera ścianki tkanek. Być może dlatego właśnie mózg niemowlęcia, którego matka piła wydaje się wysuszony, mniejszy niż powinien. Woda zostaje wyszana z rozwijających się komórek, zabijając je od razu bądź trwale uszkadzając ich działanie (zdolność płodu do eliminacji alkoholu jest o połowę mniejsza niż dorosłego osobnika; oznacza to, że ta sama ilość jest obecna w organizmie płodu dwa razy dłużej). Płyn rdzeniowy staje się rezerwuarem alkoholowym i, jak zaobserwował doktor Enloe, "umysłowy komputer skąpany w etanolu wkrótce przyzwyczaja się do tego środowiska. Dochodzi do spięć, których nie zdołają później usunąć żadne ćwiczenia." (5D)

Pomimo niezaprzeczalnej logiki tej argumentacji, grono naukowców było jak zwykle ostrożne w formułowaniu wniosków wobec tych obserwacji. "Zespół" to nazwa szeregu symptomów występujących regularnie, które rzadko można określić za pomocą prostej diagnozy wobec braku stosownych biochemicznych,

chromosomowych czy patologicznych testów. Dla stwierdzenia "pełnego" ZPUP

kandydat musiał spełniać szereg skomplikowanych warunków:

- 1) znaczne opóźnienie w rozwoju przed i po urodzeniu;
- 2) określone wady umysłowe;
- 3) zniekształcone rysy twarzy;
- 4) inne zmiany fizyczne;
- 5) udokumentowany alkoholizm matki.

Wiele z tych punktów jest oczywiście trudnych bądź niemożliwych do oceny.

Jaki jest na przykład "normalny" wzrost albo wielkość dla rodzaju ludzkiego? Jak genetycznie uwarunkowane cechy, takie jak kształt nosa albo

powiek, mogą być porównywalne między przedstawicielami różnych ras?

Jaka

jest definicja alkoholizmu? Inne cechy trudno było scharakteryzować jako wywołane wyłącznie przez alkohol.

Wiele czynników, takich jak palenie tytoniu, zanieczyszczenie środowiska,

niedożywienie, zażywanie określonych leków, miało wpływ na płód. Za niektóre skutki uboczne mogą być również odpowiedzialne pewne cechy genetyczne (wada serca w wyniku przegród w arteriach czy żyłach, aberracje

linii na dłoniach, deformacja stawów, konwulsje, wodogłowie, zmiany w aktywności EEG, małe zęby z wadliwym szkliwem, skrzywienie kręgosłupa,

problemy ze słuchem, zajęcza warg, rozszczep podniebienia,
zniekształcenie
stóp, zwiększone ryzyko śmierci płodu, epilepsja). Większość tych
schorzeń
często kojarzona jest z ZPUP. Co więcej, różne praktyki zagrażające
zdrowiu
płodu, a szczególnie palenie, złe odżywianie i zażywanie narkotyków
często
występują przy okazji nadużywania alkoholu. Pewne studium ukazało, że
65
procent ludzi pijących intensywnie paliło również paczkę papierosów
dziennie, co bez wątplenia wzmacniało poziom zatrucia alkoholowego.
Czy
więc spożywanie alkoholu może być traktowane oddzielnie jako
przyczyna
złożonego problemu?

Odpowiedź jest niedwuznaczna: biała samica szczura w ciąży, która nie
pali tytoniu ani marihuany, nie bierze pigułek, nie pije kawy z kofeiną i
ma zrównoważoną dietę, i tak rodzi zdeformowane dziecko, jeśli w
ramach
eksperymentu przyjmuje określoną dawkę alkoholu etylowego.

Dodatkowe złe
nawyki zdecydowanie pogarszają sytuację, picie ją wywołuje.

W przypadku istot ludzkich coraz większa grupa badaczy twierdzi, że
nieprzypadkowo pełen zakres symptomów ZPUP występuje u dzieci
matek

alkoholiczek.

Opracowano ex post facto testy diagnostyczne ze zdjęciami dzieci różnych grup etnicznych. Niektóre z nich podejrzewane były o zespół poalkoholowego uszkodzenia płodu, inne prawdopodobnie całkowicie zdrowe. Zdjęcia te zostały wysłane bez podpisu do wielu naukowców i lekarzy z prośbą o stwierdzenie, które z tych dzieci mogą być upośledzone. Ankietowani, kierując się jedynie własnym klinicznym doświadczeniem, bezbłędnie wskazywali na dzieci zagrożone ZPUP. Wyniki tych badań wyłoniły typ "twarzy ZPUP", rozpoznawalny dla wszystkich - lekarzy, doradców, nauczycieli, pracowników socjalnych, rodziców - mających do czynienia z ofiarami pijących matek.

Ja sam rozpoznałem je bez trudu, kiedy w 1979 roku pokazano mi takie zdjęcie. Mogło równie dobrze przedstawiać Adama.

Alkohol wyrządza znaczne szkody w okresie płodowym, które mogą objawiać się na różne sposoby.

Ale najcięższym aspektem ZPUP dla dzieci, którym udaje się przeżyć, są upośledzenia umysłowe różnego stopnia. Liczne badania stwierdzają, że iloraz inteligencji tych dzieci nie przekracza zazwyczaj 65-80 punktów. Według terminologii psychologicznych testów zawierają się one w kategoriach od "lekkopóźnionych" poprzez "linię graniczną" po "tępotę". Mimo to wciąż pozytywnie diagnozuje się jednostki o ilorazie inteligencji tak

niskim jak 15 punktów i tak wysokim jak 105. Dzieci z ZPUP różnią się od swych rówieśników w każdym wieku i na każdym etapie rozwoju, poczynając od zdolności posługiwania się językiem, po znajomość wyższej arytmetyki. Problemy z nauką często ujawniają się dopiero po jakimś czasie, i to niezależnie od środowiska, w którym dziecko przebywa.

Upośledzenia występują zarówno u dzieci pozostających w pełnych zamieszania domach swych biologicznych matek alkoholiczek, jak i u tych przebywających pod troskliwą opieką trzeźwych, kochających, stabilnych domach naturalnych czy adopcyjnych. Od dawien dawna prowadzona jest debata nad tym, czy na strukturę ludzkiej osobowości mają większy wpływ cechy dziedziczne, czy może środowisko. Trwałe ograniczenia spowodowane przez alkohol zdają się powstawać już w macicy i ulegać tylko niewielkim zmianom w okresie pourodzeniowym. Nie można usunąć problemów związanych z budową komórek mózgowych, pewnych organów, deformacją stawów i rozmiarami ciała. Poważne upośledzenia towarzyszą dziecku przez całe życie. Ewentualne braki mogą ujawnić się dopiero po dziesięciu czy piętnastu latach. Podobnie jak prezenty urodzinowe na wyrost, które można otworzyć w określonym wieku.

Piękne opakowanie może ujawnić wewnątrz pustkę albo niepełną zawartość.

Byłoby wystarczająco źle, gdyby dotyczyło to tylko dzieci z "pełnym" ZPUP, ale grupa ta reprezentuje zaledwie koniuszek góry lodowej. Zespół ten można rozpoznać po urodzeniu tylko w najostrzejszych przypadkach, zazwyczaj wyłącznie u dzieci prawdziwych alkoholiczek, to znaczy takich, które w okresie całej ciąży wypijały więcej niż 100 gramów etanolu dziennie. W przybliżeniu stanowi to równowartość ośmiu piw, mniej niż pół kwarty whisky, i trochę więcej niż butelka wina. Najnowsze badania (6Ď) brytyjskie dowiodły jednak, że w pierwszych trzech miesiącach ciąży, zaledwie 100 gram etanolu tygodniowo podwaja ryzyko, że dziecko będzie miało wagę niższą o jedną dziesiątą od wagi dzieci matek niepijących.

ZPUP jest schorzeniem występującym w przeróżnych przypadkach. Jego ofiary pochodzą od matek w wieku od piętnastu lat w górę, różnych narodowości i statusów, pijących wszystkie rodzaje alkoholu i tych niepalących i nie biorących narkotyków w czasie ciąży. Pierwsze dziecko rzadko wykazuje "pełny" zestaw ZPUP. Statystycznie przeciętna wieku matek dzieci z ZPUP wynosi trzydzieści lat w momencie ich urodzenia. Często urodziły one już

dwoje do pięciorga dzieci. Zazwyczaj kobiety te nie szukają opieki medycznej w czasie ciąży, choć same mają poważne problemy zdrowotne.

Są to

między innymi ciężkie schorzenia trzustki, nerek, przypadki marskości wątroby, anemii z powodu braku żelaza. chorób wenerycznych i ogólnie niedożywienia. Charakterystyczne jest to, że wiele przyszłych matek z tej kategorii traci na wadze w czasie ciąży. Dzieje się tak dlatego, że większość kalorii pobierały z alkoholu, co nie służy ani im, ani dzieciom, które noszą. Kobiety z nadwagą, które piją nałogowo, mają wyższy odsetek

alkoholu we krwi. Brak protein w organizmie może być spowodowany niedostatecznym metabolizmem i spowolnionym procesem eliminacji alkoholu.

Jest to błędne koło przyczyn i skutków.

Poza tym w centralnych systemach nerwowych (CNS) tych kobiet często występują choroby, łącznie z delirium tremens. Pierwsze badania nad ZPUP w

Seattle wykazały na przykład, że matki tych dzieci były poważnie zagrożone.

Ledwie połowa przeżyła dłużej niż dwa lata od porodu. Na określenie reakcji

danej osoby na konkretną dawkę alkoholu wpływa wiele czynników: wiek, poprzednie ciąży, okres picia, odżywianie, czas (to znaczy etap ciąży, w którym spożyła określoną ilość alkoholu), indywidualny metabolizm czy też

uwarunkowane genetycznie skłonności związane z piciem i zachowaniem

rodziców. Reakcja kobiet na alkohol jest ściśle indywidualna, ta sama ilość może wywołać wiele różnych skutków albo odwrotnie, w zależności od przypadku.

Dla kobiety pijącej umiarkowanie (koktajl albo kilka kieliszków białego wina parę razy w tygodniu) lub jeszcze rzadziej (abstynencja spowodowana

porannymi nudnościami w pierwszych trzech miesiącach, potem okazjonalne piwo i

jednorazowe upicie się w ostatnim trymestrze, kiedy rozwija się mózg płodu,

kiedy wypije pięć lub sześć drinków w przeciągu kilku godzin), szkody wyrządzone noworodkowi mogą być niedostrzegalne gołym okiem, a mimo to

dewastujące. Doktor Ronald Forbes pisujący do szanowanego londyńskiego

czasopisma Public Health (1984) stwierdza, że picie "przed zajściem w ciążę albo przed jej rozpoznaniem łączy się z różnymi problemami neonatalnymi nawet przy przeciętnie dwóch drinkach dziennie. Nie zależy to

od tego, czy picie jest regularne, czy też nie. Pięćdziesiąt gram czystego alkoholu (przeciętny drink w restauracji zawiera około 75 gram alkoholu, a

w klubach około 100 gram) dziennie przed zajściem w ciążę powoduje spadek

wagi noworodka o jakieś 100 gram." (7)

Efekt Poalkoholowego Uszkodzenia Płodu (EPUP) to nazwa nadawana

wszelkim
upośledzeniom rozwojowym wywołanym przez alkohol w czasie ciąży,
które nie
stanowią pełnego zestawu ZPUP. Jest on trudniejszy do zdiagnozowania,
bardziej subtelny, ale pod wieloma względami równie groźny jak pełen
zespół
i znacznie bardziej rozpowszechniony. Doktor Frank L. Iber stwierdza w
swoim artykule (8Ď), że ostatnie ekscytujące dane ujawniają nowe,
niepokojące informacje o zdolnościach do nauki szczurów i myszy,
których
matki przyjmowały niewielkie dawki alkoholu. Pod względem
anatomicznym nie
zauważono u nich żadnej różnicy. Testy przeprowadzane na różnych
etapach
ich rozwoju wykazały jednak, że ich zdolność do nauki jest poważnie
ograniczona... Podczas takich standardowych testów jak bieg w labiryncie,
mający na celu unikanie szoku i kompleksowe badania zdolności
adaptacyjnych, stwierdzono różny stopień upośledzenia szczurów od
lekkiego
do bardzo poważnych. W 1983 roku na Konferencji Pediatrycznej w
Kanadzie,
profesor v. Cernick ogłosił, że tylko 34 procent dzieci z ZPUP, które
badał, miało fizyczne deformacje określane jako typowe dla zespołu.
Według doktor Ann Streissguth i Robina A. LeDue (9Ď), noworodki z
ZPUP
mogą być roztrzęsione, podenerwowane, mieć kłopoty z karmieniem i

przesadnie reagować na dźwięki. Zazwyczaj mają problemy z przełykaniem i słabą zdolność ssania. EPUP może ujawnić się wyłącznie w wadzie serca bądź deformacji stawów, może też wywołać porażenie mózgowe. U dorastających dzieci efekt picia matki może wystąpić w marginesowym opóźnieniu umysłowym, zaburzeniach percepcji, słabej pamięci, rozkojarzeniu, zaburzeniach snu i braku stabilności emocjonalnej. W późniejszym życiu dzieci te mogą być nadmiernie aktywne, nieuważne, impulsywne, pozbawione lęku, nieostrożne w doborze przyjaciół i stosunku do obcych. Mogą także wykazywać zaburzenia ruchowe i mentalne.

W stosunkowo łagodnych przypadkach EPUP można zauważyć przy niemożności opanowania tabliczki mnożenia, kłopotach z określaniem czasu lub w adaptacji do społecznych wzorców zachowań, co zakłada rozumienie konsekwencji i przyjęcie pewnych norm moralnych. EPUP objawia się również przez ciągłe kiwanie głową lub całym ciałem, niezgrabność, trudności w kontaktach z otoczeniem lub w kierowaniu własnym życiem. Doktor Forbes stwierdza, że dzieci z ZPUP "nie potrafią ocenić sytuacji i często powtarzają zachowania, które miały złe skutki w przeszłości. Niektóre z

tych dzieci używają wielu słów, których znaczenia nie rozumieją. W rezultacie mogą się początkowo wydawać zdolniejsze, niż są w rzeczywistości" (10Ď). Innymi słowy, nie uczą się na własnych błędach i nie wiedzą, co mówią.

Z pewnością rozważane osobno, różne typy tych zachowań mogą być wyłącznie etapami rozwoju normalnego dziecka. Z pewnością też zestawienie trzech lub czterech podobnych objawów może być wywołane czym innym lub czymś poza tylko pić alkoholem przez matkę. Ale kiedy występują one razem, kiedy fizyczne i psychiczne anomalie składają się na jeden zespół działań czy objawów, są to alarmujące oznaki. Rozpoznanie zespołu poalkoholowego uszkodzenia płodu czy efektu poalkoholowego uszkodzenia płodu jest w takich wypadkach niemiłą koniecznością wobec przeważającej liczby dowodów.

Rozdział dziesiąty

Wczesnym rankiem we wrześniu 1985 roku wyjechałem z lotniska w Rapid City wynajętym brązowym wozem. Było chłodno, dżdżysto i mgliście. Ostatnie deszcze sprawiły, że przy drogach bujnie wyrosła bylica. Tu i ówdzie, w

wypełnionych wodą dziurach na drodze połyskiwały promienie słońca.

Wszystko

wokół wydawało się nie zakończone niczym opustoszały plac budowy.

Zebrane

słoneczniki leżały w wielkich balach, czekając na wyschnięcie na wietrze.

Po zboczach wąwozu wałęsały się dwa stadka indyków, około tuzina w

każdym z

nich. Obserwowała je z góry gromada antylop o białych, prostych

ogonach.

Jechałem wzdłuż procesji słupów telefonicznych łączących Sosnową Grań

ze

światem. Włączyłem KILI-FM, indiańskie radio, i wysłuchałem

tradycyjnych

pieśni o honorze, przemieszanych z melodiami Elvisa Presleya, dla

dwudziestolatka, wczorajszego samobójcy.

Nie było żadnego znaku wytyczającego granice rezerwatu, ale droga

nagle

zrobiła się gładka, kiedy wjechałem na ziemie Badlands będące

Pomnikiem

Narodowym. Ziemia po obu stronach szosy miała neutralny kolor śniegu

albo

piasku. O jedenastej miałem spotkanie z Jeaneen Grey Eagle, dyrektorką

Projektu Poprawy, programu rehabilitacji alkoholików i narkomanów,

oficjalnie nadzorowanego przez radę plemienną. Odnalazłem jej biuro w

wiosce Sosnowa Grań, na ulicy, przy której stały budynki rządowe, na

północ

od skrzyżowania w centrum.

Jeaneen była młoda, atrakcyjna, udęczona i gniewna. Ukryte za szkłem okularów oczy patrzyły inteligentnie i oceniająco, jakby zastanawiała się, czy warto okazać cierpliwość wobec moich pytań. Długie ciemne włosy spięła spinką z koralików. Miała turkusowy naszyjnik Nawaho, sandały i kostium w kolorze elektryzującego błękitu. Wychowała się w rezerwacie, wyjechała stąd na czas studiów i wróciła, żeby wziąć ślub z Robertem Grey Eagle. Skończył on prawo na Uniwersytecie w Nowym Meksyku i był teraz głównym sędzią sądu plemiennego. Oboje prezentowali ciekawą mieszaninę tradycji i nowoczesności: chodzili do łaźni parowych dla duchowej odnowy, a Robert brał nawet udział w tańcu słońca; jednocześnie, kiedy Jeaneen pojechała na zjazd do Dakoty Południowej, nagle znalazła się w zasypanym śniegiem Holiday Inn w Rapid City razem z grupą rockową "Cichy Bunt" i świetnie się tam bawiła.

Wychwalali ją wszyscy, z którymi rozmawiałem na temat zespołu poalkoholowego uszkodzenia płodu.

- Ona zna rzeczywiste fakty - często słyszałem od socjologów, psychologów

i lekarzy. - Jest na pierwszej linii, w centrum oddziaływania problemu. Jest bystra, nieustępliwa i prawdomówna.

Teraz dopiero zrozumiałem, co mieli na myśli. Jeaneen tkwiła pośrodku wielkiego kryzysu. Włączyłem magnetofon i zadałem pierwsze pytanie, a ona przejęła prowadzenie rozmowy na następne trzy godziny.

W opisie Jeaneen zespół poalkoholowego uszkodzenia płodu utracił całą swoją neutralność akademickiego żargonu, cały chłodny dystans. Był śmiercionośny, rozszerzający się, tym bardziej niebezpieczny, że powszechny i możliwy do uniknięcia. Jeaneen nie przedstawiła mi analizy opartej na stałych wyróżnikach, rozsądnej skali. Był to raczej prawdziwy obraz, rozpoznanie dokonane na miejscu wypadku, gdzie szybkie działanie jest jedyną nadzieją na uratowanie życia. Była innym rodzajem eksperta od tych, na których natknąłem się w publikacjach i na wykładach o ZPUP. W kwestii picia alkoholu przez matki była zelotą, zmęczona zmaganiem i jednocześnie niecierpliwa. Nie była pozbawiona współczucia dla uzależnionych kobiet, ale swój żal zachowywała dla ich ofiar.

Słuchałem jej z ulgą, z którą wita się sprzymierzeńca w osamotnieniu. W ten sposób reagowałaby Kasandra, gdyby ktoś jeszcze oprócz niej przepowiedział upadek Troi. Jej widzenie ZPUP nie było łagodniejsze czy mniej skrajne od mojego. Była lepiej poinformowana, a przez to

potwierdzała

i odzwierciedlała moje najgorsze obawy. Od razu jednak rozpoznałem w niej

silnego sojusznika, który chciał poznać prawdę. Jeaneen musiała poczuć to samo, bo wywiad wkrótce przekształcił się w rozmowę, a rozmowa stworzyła

podstawy braterstwa.

- Ludzie myślą, że wpadam w panikę, kiedy mówię, że niebo się wali - powiedziała. - Nie rozumieją konsekwencji tego, co się dzieje.

Przyzwyczajili się żyć z dnia na dzień. Być może jest to wynik problemów finansowych. Chciałabym znaleźć sposób wytłumaczenia ludziom długoterminowych skutków tej sytuacji. Wychowujemy sobie społeczeństwo

ludzi niezdolnych do życia nawet w tym świecie, a co dopiero w tamtym, poza granicami rezerwatu.

- Nie sądzę, że panikujesz - odparłem. - ZPUP jest dla Indian równie groźną chorobą, jaką była zaraza w Europie pięćset lat temu.

Jeaneen zgadzała się ze mną, żałując, że nie ma funduszy na wprowadzenie

bardziej konstruktywnego programu działania.

- Otworzyłabym centrum dla kobiet - mówiła z energią. - Przyjmowano by

tam kobiety w ciąży i zapewniano im opiekę. Byłoby też centrum ZPUP dla

dzieci. Potrzebujemy kliniki wyłącznie dla dzieci, gdzie pracowałiby z

nimi

lekarze specjaliści, psychologzy i pedagodzy. Dzieci z ZPUP nie potrafią żyć w społeczeństwie. Te, które widziałam, są nadmiernie aktywne, obijają się o ściany, rozbijają je.

Bardzo często kończą jako ofiary napaści. Mój mąż będąc sędzią, wiele z nich oddaje pod zastępczą kuratelę. W zeszłym tygodniu przewodniczył sprawie dziewięciomiesięcznego dziecka. Tak bardzo chciałam je wziąć. Musiałam się powstrzymać, żeby tego nie zrobić.

Podczas naszej rozmowy ośmiomiesięczny synek Jeaneen, Jesse, spał w kołysce przy biurku. Często spoglądała na niego i gładziła po głowie, jakby przypominając sobie o realnych sprawach.

- Problem osiągnął już rozmiary epidemii. Na dziesięcioro dzieci, pięcioro czy sześcioro ma ZPUP albo EPUP. Wciąż nie potrafię zrozumieć, jak oni mogą tak postępować. Panuje tu powszechne przekonanie "mnie to się nie przydarzy". Widzisz kobiety, które codziennie chodzą pijane. Pytasz o nie lekarzy i pielęgniarki w szpitalu. Rodzą dzieci, których skóra, całe ciało przesiąknięte jest winem. Jakby zostały zamarynowane. Płyn rdzeniowy jest nasączony alkoholem. W wielu przypadkach EPUP nie jest jednak widoczne od razu. Nie widać go z rysów twarzy, a problemy, takie jak epilepsja, pojawiają się o wiele później. Wiesz, jak to jest.

Wiedziałem.

- Chore noworodki są zazwyczaj mniejsze.

Po wielu latach starań otrzymałem wreszcie raporty o stanie zdrowia Adama z Departamentu do Spraw Dzieci w Dakocie Południowej. Czytałem je tak często, że znam je już na pamięć. Urodzony jako wcześniak, ważył niecałe dwa kilogramy.

"Jest opóźniony w rozwoju" - głosił raport z 1969 roku. - "Wymaga opieki medycznej. Ma zdeformowane stopy, wzrost poniżej przeciętnej, w wieku siedemnastu miesięcy nie potrafi jeszcze chodzić". Podciągał się chwytając mebli i stał przytrzymując się krzesła. Raczkował i gaworzył, ale nie mówił, nie znał w ogóle słów. Miewał napady konwulsji - pierwszy w okresie rekonwalescencji po poważnym odwodnieniu organizmu i "enteritis" (zapaleniu jelit) w wieku sześciu miesięcy, a drugi dwa miesiące przedtem. Przeszedł zapalenie płuc w pierwszym roku życia. Miewał częste infekcje ucha. "Przyczyny jego fizycznego i umysłowego opóźnienia" - pisał anonimowy lekarz w wiekach ciemności, zanim ktokolwiek w Ameryce usłyszał o zespole poalkoholowego uszkodzenia płodu, a podręczniki medyczne z przekonaniem stwierdzały, że etanol nie szkodzi zdrowiu płodu - "przyczyny te są nieznane" (podkreślenie moje).

Wróciłem do Jeaneen, która mówiła dalej nieświadoma efektu swych

słów na

mnie jako rodzica w opozycji do gorliwego badacza.

- ...wzrost jest spowolniony i zaczynają się problemy fizyczne, ale te kobiety tego nie widzą. Dlaczego nie wiedzą, co się dzieje? Dlaczego ich to

nie obchodzi? Ludzie pytają, ile dzieci z ZPUP tu się rodzi. Odpowiadam im,

że nie wiem, bo indiańska Służba Zdrowia nie potrafi ich rozpoznać, zanim

nie staną się oczywiste. W 1977 roku przyszła do nas kobieta, której dziecko miało konwulsje, zaraz po urodzeniu cierpiało na delirium tremens.

Nie mogłam uwierzyć, że dziecko ma delirium, nie chciałam tego przyjąć do

wiadomości. Wszyscy mamy magiczne granice, które nie dopuszczają do naszej

świadomości najstraszniejszych rzeczy. A jednak to dziecko miało konwulsje,

było nadmiernie aktywne i nie potrafiło mówić.

New York Times nazwał nas kolonią. Nasz przeciętny dochód wynosi trzy

tysiące dolarów. Średnia śmiertelności dzieci jest tu trzykrotnie wyższa niż pośród Białych w Dakocie Południowej. Tak to jest, a ludzie rodzą dzieci, żeby dostawać wyższe czeki z opieki społecznej. To podstawy

ekonomii. Nie sądzę, aby prezydent Reagan słyszał o tej gałęzi ekonomii, ale znam kobiety, które zachodziły w ciążę, żeby dostać większy czek. Nie

zastanowiły się, że dziecko będzie je kosztować x setek dolarów na jedzenie, ubranie i mieszkanie, a opieka społeczna nie pokryje całej sumy. Najważniejsze, że w dolarach i czekach oznaczało to podwyżkę. Koszt życia wzrasta o 4 procent, więc odczekują dziewięć miesięcy i dostają podwyżkę na dziecko. Potem zaś wydają miesięczny przydział w pierwszym tygodniu. Mamy tu niezwykle wysoki przyrost naturalny, tak jak i wysoką śmiertelność niemowląt i wiele przypadków dzieci z upośledzeniami. Pewnie o to tu chodzi: ludzie rozmnażają się, żeby dostawać więcej kartek żywnościowych, a opieka społeczna na tym korzysta.

Od razu porwała mnie bezceremonialność Jeaneen. Mówiła nie zważając na słowa. Była zbyt świadoma problemu, żeby szukać eufemizmów. Zerknąłem na magnetofon - nawijał nasze myśli jak nadzienie w rolmopsie. Jeaneen poszła za moim wzrokiem. Położyłem palec na guziczku stop i spojrzałem na nią pytająco. Czy miałem to skasować? Potrząsnęła głową. Narodziło się pomiędzy nami zaufanie i nadeszła moja kolej na ryzyko.

Zastanawiałem się, czy niektóre matki, z którymi rozmawiała Jeaneen, były tylko produktami ekonomicznej nierówności i historycznego wyzysku, czy

może

również ofiarami efektu poalkoholowego uszkodzenia płodu. Byłoby im wówczas ciężko, o ile w ogóle możliwe, radzić sobie z zarządzaniem pieniędzmi i planowaniem.

W swoje siedemnaste urodziny Adam dostał od babci dziesięć dolarów. Pozwoliłem mu je wziąć do szkoły.

- Gdzie masz pieniądze? - zapytałem, kiedy wrócił. Kupił za nie paczka. Dał komuś dziesięć dolarów, wziął paczka i nie poprosił o resztę. To wszystko. Przyszło mi do głowy, że wielu dorosłych i młodzieży z nie rozpoznany ZPUP albo EPUP siedziało teraz może w więzieniu za drobne

przestępstwa, takie jak kradzież w sklepie. Wydawały im się one dobrym pomysłem, ponieważ nie rozumieli ich konsekwencji. Będą więc aresztowani

bez końca, ponieważ nie byli sprytnymi złodziejaskami.

Jeaneen od razu zrozumiała moją sugestię.

- W ciągu jednego roku aresztuje się 65 procent społeczności tego rezerwatu - powiedziała. - Nie znaczy to, że 65 procent ludzi to przestępcy, ale że niektórzy siedzą wielokrotnie. - Wyjrzała przez okno, a potem odebrała telefon, pokazując mi gestem, że nie muszę wychodzić z biura. Zająłem się przeglądaniem papierów, które przywiozłem ze sobą.

Miałem tam wycinki gazet, porównania stosunku picia Indian w rezerwatach do

tych mieszkających w miastach. Założeniem antropologii jest połączenie perspektywy z zewnątrz i punktu widzenia członka grupy - równowaga rzadko

osiągana. Uczono mnie, że badacz powinien iść grzbietem tamy. Po jednej stronie czując ograniczenia bycia kimś obcym, a po drugiej to, co swojskie.

Fałszywy krok w którąkolwiek stronę grozi niebezpieczeństwem. Moje przeszkolenie opierało się bliskości wspólnego doświadczenia, którą oferowała otwartość Jeaneen, więc kiedy skończyła, odchrząknąłem i przeszedłem do następnego pytania na mojej liście.

Czy w jakimś szczególnym wieku kobiety były bardziej podatne na urodzenie dziecka z ZPUP?

- To zależy od tego, kiedy zaczęły pić - odparła Jeaneen. - Widziałam dzieci z ZPUP urodzone przez bardzo młode kobiety, ale one właśnie wcześniej zaczynały pić. Kolejnym czynnikiem jest odżywianie. Jeśli kobieta nie otrzymuje właściwego pożywienia w czasie ciąży, zwiększa efekty alkoholu.

Spytałem Jeaneen, czy mieszkając przez całe życie w rezerwacie zauważyła, żeby kobiety piły więcej albo mniej niż przedtem.

- W latach siedemdziesiątych zajmowałam się zestawianiem danych - odrzekła. - Wtedy średnia ilość pijących kobiet sięgała 49 procent, przy 65 do 80 procent pijących mężczyzn. Teraz kobiety stanowią większość - około 60 do 65 procent. Średnia ich wieku wynosi około 25 lat, dokładnie w środku

wieku produkcyjnego. Piją bardzo intensywnie.

- A co piją? - spytałem. - Na Alasce znałem ludzi, którzy pędzili bimber z ziemniaków, drożdży i cukru. Zamykali to potem w plastikowym pojemniku na

tydzień. Najmocniejsze dawki były z samego dna.

- Przeważnie piwo i wino. Mniej ciężkich alkoholi, ponieważ nie ma do nich bezpośredniego dostępu. Jesteśmy "wyschłym" rezerwatem, ale mamy

swoich przemytników alkoholu. Trzy kilometry za granicą działa pięć czy sześć melin piwnych, które robią kokosy, zajmując drugie miejsce po Omaha w

sprzedaży alkoholu w Nebrasce. Przepływają tędy miliony dolarów. Na tej drodze ginie co roku tak wielu ludzi, że nazywają ją "zabójczą autostradą". Za jednym razem zginęło siedmioro ludzi, kiedy indziej troje. Niedawno ogłoszono konkurs na plakat ostrzegawczy, a jeden facet narysował czaszkę,

bardzo sugestywną - przestraszyła mnie śmiertelnie. Był tam napis, "Zwolnij, przed tobą śmierć". Czaszka miała na sobie wojskowy beret.

- Jakie piwo tam mają?

- Zdaje się, że Budweiser Anlenser-Bush powinien chętnie dać pieniądze na projekt zapobiegania ZPUP.

Zabrzmiało to realnie, więc zapytałem, czy próbowała poprosić o fundusze zarząd tego przedsiębiorstwa w St.Louis.

- Ktoś próbował w latach siedemdziesiątych - przypomniła sobie

Jeaneen.

- Potrzebowali pieniędzy na materiały prewencyjne, ale nic z tego nie wyszło. Tutejsze wino nazywa się Muscatel. Sprzedają je w zielonych butelkach, dlatego wszędzie pełno zielonego szkła. Jest naprawdę tanie. Kosztuje 75 centów, a przemytnicy sprzedają je po dwa dolary dwadzieścia

pięć centów. Przerazające jest to, że ludzie zaczynają już pić lizol.

Nazywają to dżinem Montana. Parę miesięcy temu zapytałam lekarza, czy wie

coś na temat efektów lizolu, ponieważ piją go kobiety w ciąży i bezdomni. Muszą wiedzieć, jaki to będzie miało skutek u dzieci.

Opowiedziałem jej o najnowszej modzie, o której usłyszałem od mego studenta z rezerwatu Różyczka. Dzieci nakłuwają pojemnik z lizolem w aerozolu i wyciskają go na chleb. Nazywają to kanapką z lizolem. Nie trzeba

tego dużo zjeść, żeby usmażyć mózg.

Jeaneen potrząsnęła głową.

- Znam człowieka, który był absolutnie normalny, miał doskonały wzrok, potrafił dostrzec dolara turlającego się po ulicy, a teraz jest prawie ślepy i obłąkany. To żałosne, wygląda tak jakby miał chorobę Alzheimera. Pije lizol.

Ale dlaczego, pytałem. Po co trucizna, jeśli wino jest tak tanie?

- Dla odlotów. Poza tym można ją ukraść w sklepie i ma znacznie większe efekty niż muscatel.

Nie miałem pojęcia, czego doświadcza się po lizolu.

- Mówią, że to coś pomiędzy wachaniem benzyny a piciem alkoholu - wyjaśniła Jeaneen. - Dzwoni ci w uszach i czujesz się pijany, jakbyś wdychał benzynę.

Przed laty, kiedy mieszkałem w rezerwacie we wschodniej Montanie znałem

ludzi, którzy popijali perfumy w małych flakonikach, kupowane u Woolwortha. Czy nadal to pito?

- Tak, nic się nie zmieniło.

Ale współczesność zawitała i na ziemię Indian.

- Wielu młodych ludzi zażywa kokainę, marihuanę i kwas. - Jeaneen wyliczała na palcach. - Chcieli, żebym opowiadała w szkole średniej o ciąży

u nastolatków. Pierwsze dziecko urodziłam w wieku siedemnastu lat, więc czuję się upoważniona, by o tym mówić. Wykorzystałam pewną grę.

Dałam

każdemu uczniowi jajko ugotowane na twardo, a oni mieli się nim zająć jakby

to było tygodniowe dziecko. Musieli potem stwierdzić, kiedy zajmowali się

jajkami, a kiedy je zaniechali.

Słyszałem już wcześniej o tej technice, ale Jeaneen nadała jej dodatkowy aspekt, przystosowując do realiów Sosnowej Grani. Każda dziewczyna mogła

wybrać sobie na papierze fikcyjną tożsamość. Mogła być

trzydziestoletnią gospodynią domową, kimś, kto zaczyna dzień od butelki piwa, albo zdeklarowaną alkoholiczką. Na następnej kartce

niektóre

uczennice były już w ciąży z drugim dzieckiem. Niektóre z nich piły dalej, łykały aspirynę albo brały kwas.

Niektóre miały dzieci z ZPUP lub EPUP, a Jeaneen kazała im napisać, jak się czuły wiedząc, że zawiniły.

- Chyba zaprzepaściłam całe pokolenie - roześmiała się. - Te dziewczyny już nie chcą zachodzić w ciążę.

Chciałem wiedzieć, co działo się z dzieckiem z ZPUP albo EPUP w tym rezerwacie. Co stałoby się z Adamem?

- W szkole społecznej Oglala pracuje się z dziećmi upośledzonymi. Ale kiedy idą do szkoły średniej, nie mają już pod sobą tej siatki bezpieczeństwa i bardzo często odpadają. Zajrzyj do jakiegokolwiek ośrodka

dla upośledzonych w rezerwacie. Większość dzieci ma ZPUP.

Jeaneen weszła na bliski mi teren. Przyszłość Adama po skończeniu szkoły

pozostawała dla mnie zagadką. Czy zamieszka poza domem? Będzie miał dziewczynę albo żonę? Jego życie było wyspą, której kontury dały się odróżnić, ale od teraźniejszości dzieliła ją głęboka woda. Jaki będzie koniec tej podróży?

- Co dzieje się z tymi, którzy odpadają? - spytałem.

- Zazwyczaj żenią się i mają dzieci. Potem biorą rozwód, a kobiety dostają PDU (Pomoc dla Dzieci Uzależnionych). Potem rodzą kolejne dzieci, i

tak dalej. Mamy drugie pokolenie. Wiesz, jak często ludzie z ZPUP potrzebują okularów, szelek, wózków inwalidzkich, kul, ale tutaj stanowią

cały segment społeczeństwa, o którym zapomniano albo wepchnięto pod stół.

Nie potrafimy określić, ilu ich jest - to największy problem.

Jeaneen nie chciała podać własnych obliczeń. Różne publikacje podawały stosunkowo niewielką liczbę przypadków ZPUP - pięcioro lub sześcioro dzieci

na tyśiąc - wiedziałem jednak, że Jeaneen nie ufa tym danym. Ja też im nie ufałem, choć rozumiałem, skąd się brały. Konkretnie diagnozy stawiano jedynie w pewnych przypadkach, w których występowały wszystkie znane objawy. Naukowcy odnotowywali minimalną liczbę przypadków, przeciwstawiając

się nierealistycznemu przypisywaniu ZPUP wszystkim niemowlętom wykazującym

jeden lub dwa objawy. Prawda z pewnością leżała pośrodku.

Jeaneen protestowała, że nie ma dowodów, brak dokumentacji dla potwierdzenia jej subiektywnych domysłów. Nalegałem jednak, by choć intuicyjnie podała mi procent ofiar zespołu poalkoholowego uszkodzenia płodu w tym rezerwacie. Sądząc po długości wykonywania swej pracy, była jak

najbardziej upoważniona do takich domysłów. Może nie miała danych statystycznych, ale była znana i szanowana w tej społeczności. Socjolog, który zatrzymałby się w rezerwacie na parę dni próbując wybadać powściągliwą w ujawnianiu swych sekretów i nauczoną wrogości wobec obcych

ludność, nie zdobyłby wiarygodnych odpowiedzi. Poza tym Jeaneen robiła

wrażenie osoby obdarzonej intuicją i nie popadającej w przesadę. Nie mogła

nic ode mnie zyskać poprzez zawyżenie czy też zaniżenie liczb.

Ponowiłem

więc pytanie.

- Ile dzieci Siuksów urodzonych w Sosnowej Grani mogło jej zdaniem cierpieć z powodu picia swych matek w czasie ciąży?

- Powiedziałabym, że w naszym rezerwacie jest to 25 procent dzieci.

Jest ich zapewne więcej, ale 25 procent to podstawa.

- Jedna czwarta całej społeczności! - pomyślałem na głos, myśląc o tej niewiarygodnej liczbie w połączeniu z wzorcami zachowań ZPUP, które moje

pisane źródła kojarzyły z dorosłymi. Jeśli to była prawda, jak wskazywałyaby

logika, dzieci z ZPUP rodziły z czasem więcej dzieci. Piły też pomiędzy okresami ciąży i oznaczało to, że coraz więcej i więcej dzieci upośledzonych będzie rodzić się w tych społecznościach.

Ile procent kobiet w ciąży piło w stopniu niebezpiecznym?

Jeaneen popatrzyła na mnie niemal wyzywająco, jakby chciała sprawdzić,

czy uwierzę w to, co miała do powiedzenia, czy też dołączę do grona tych, którzy posądzali ją o panikowanie. Zdecydowała się i przygryzła dolną wargę.

- Około 50 procent - powiedziała beznamiętnie. - 50 procent pije podczas każdego weekendu. To znów zaniżona liczba. Kiedy byłam w klinice położniczej, obserwowałam moje towarzyszki. Myślę, że 80 procent z nich

piło będąc w ciąży, pomimo że wszystkie słyszały o ZPUP.

Wymieniliśmy spojrzenia. Nawet jeśli się pomyliła, jeśli było tego o połowę mniej, w co wątpię, liczby i tak były przerażające.

- Co można zrobić? - spytałem w końcu.

- Najtrudniej jest nam dotrzeć do całej społeczności, do ludzi, którzy są najbardziej podatni na alkohol. Musimy zaprowadzić tu prawa. Nieważne, co

kto powie, musimy zacząć wsadzać niektóre z tych kobiet do więzienia...

Tego nam trzeba - naprawdę surowych i ostrych metod, bo rujnowanie życia

małego dziecka...

Adam był kiedyś takim małym dzieckiem. Gdyby zamknięto jego matkę, zapobiegając choć jednej nocy picia, o ile większą świadomość, ile możliwości mógłby dziś mieć? Gdyby zaatakowała go kijem baseballowym tuż po

urodzeniu, gdyby uderzyła go w czaszkę i spowodowała uszkodzenie mózgu,

może powstrzymano by ją od robienia tego bezustannie? Czy miała prawo moralne pozbawiać go szansy na pełne życie? Bez wątplenia istniały powody

jej słabości, błędów, ale nie tłumaczyły one takiego postępowania.

- Czy istniała możliwość, by wydano takie prawa? Czy wolności obywatelskie zezwalały na udrukę dziecka?

- Mówimy o najlepszym rozwiązaniu - powiedziała Jeanen. - Takie prawo

musiałaby wydać lokalna Rada, a do tego potrzeba najpierw edukacji.

- A prawo? - nie ustępowałem. - Co może dać prawo?

Pomyślałem o Salomonowym sędzie: aby pogodzić dwoje rywalizujących

rodziców, proponowano poświęcenie dziecka. Czy w przypadku ZPUP prawo

rodzicielskie będzie ograniczone przez państwo, aby ocalić dziecko?

- Jeżeli kobieta jest w ciąży i zamierza nadal pić alkohol, powinna zostać uwięziona. Nie możemy.. - Jeaneen dobierała słowa z rozmysłem i ubolewaniem, biorąc pod uwagę obie strony. - Nie ma tu centrum terapii, które przyjąłoby kobietę w ciąży. Nie ma jej dokąd wysłać. A zresztą jak można je kontrolować, sprawdzać przez cały dzień? Te kobiety mówią, że picie jest kwestią ich wyboru. Ale jeśli chcą mieć dzieci, będą musiały się nimi zajmować, a pijąc nie zdołają tego robić. Większość dzieci łąduje w rodzinach zastępczych. Często też są prześladowane z powodu ZPUP czy EPUP.

- Nieświadomie zwinęła rękę w pięść i przemawiała ostro.

- Trzeba wsadzać do więzienia kobiety pijące w czasie ciąży. To prawdopodobnie jedyne wyjście, bo jeśli tak postanowiły, to nic innego nie odwiedzie ich od picia.

Matka Adama tak postanowiła. W raporcie, który otrzymałem przyczyną jej

śmierci było po prostu "zatrucie zdenaturyzowanym alkoholem". Pobyt w więzieniu mógł być początkiem leczenia. Mógł uratować jej życie.

Czy było dosyć miejsca w więzieniach?

- Każde nowe rozwiązanie stanowi problem samo w sobie - westchnęła Jeaneen. - Więzienie to nie miejsce dla nich, choć jest najlepszą

alternatywą dla kobiet, które piłyby w czasie ciąży. Znam jeden szczególny

przypadek, kiedy aresztowano ciężarną kobietę i przetrzymywano ją przez tydzień, a potem przyszła rozgniewana rodzina. Powiedziano jej - powiedziano rodzinie - że musieli utrzymać ją w trzeźwości. Wyjaśniono, co

stałoby się z dzieckiem, gdyby piła nadal. Ostrzeżono rodzinę, że jeśli nie będzie zachowywała trzeźwości, to znowu ją aresztują. I udało się.

Rodzina

przetrzymywała ją w domu i śledziła każdy jej krok. Ci ludzie zrozumieli, kiedy powiedziano im, że aresztowano ich córkę ze względu na dziecko.

- Czy zdarza ci się wściekać na widok kobiet w ciąży, które piją?

- Było to intuicyjne, nie przemyślane pytanie, natrętne i osobiste, nie mój interes. Już chciałem je wycofać, kiedy Jeaneen skinęła głową.

- Znam przypadek kobiety, która ma pięć córek z ZPUP - powiedziała. - Wszystkie znajdują się pod opieką zastępczą. Zawsze, kiedy widzę ją w ciąży

zastanawiam się, jak to możliwe, że może mieć więcej dzieci. Pytałam nawet

- choć kwestionowanie woli Boga jest moralnie złe - dlaczego wciąż rodzi dzieci, których nie chce, i które mają ZPUP? Powinien istnieć jakiś sposób,

żeby ją powstrzymać. Nawet nie zajmuje się tymi dziećmi. Rozmawiałam o tym

z mężem i chyba jest mu mnie żal, bo coraz częściej myślę o przymusowej sterylizacji tych kobiet. Nie sądzę, by było to wykluczone, w przyszłości

okaże się pewnie możliwe. Ale to nie ja będę wtedy wyrokować: "Nie możesz

mieć więcej dzieci". Potrzeba rady ludzi, organizacji, która zadecydowałaby

o tym kto może, a kto nie. Brzmi to trochę jak z "1984"̈.

To, co mówiła, było szokujące, sprzeczne z wszelkimi liberalnymi przekonaniami, którym hołdowałem, a jednak kiedy automatycznie zaprzeczyłem, poczułem nieoczekiwane przyzwolenie. To dlatego, że mówiliśmy

o niemowlętach, dzieciach, którym narzucano warunki. Jeaneen i wszyscy, z

którymi rozmawiałem stwierdzali, że aborcja nie funkcjonowała w rezerwatach

z powodów zarówno religijnych, uznających świętość życia, jak i finansowych. Podobne zabiegi medyczne były zbyt kosztowne i niedostępne.

Pomyślałem o moim synu i rzeczach, których nigdy nie doświadczy ani nie

uświadomi sobie ich istnienia. Co by się z nim stało, gdybyśmy umarli z Louise? Został pozbawiony cudu transcendentalnej wyobraźni, łaski, która była kwintesencją człowieczeństwa.

Smutek może cię pociągnąć w nieznane miejsca.

Jeaneen mówiła dalej, odbijając moje pomieszenie. - Wracasz do kwestii moralnej. Nikt nie ma prawa niszczenia czyjegoś życia u zarania. Dziecko jest niewinne i nie prosiło się o życie ani o napastowanie. Jeśli kobieta chce zniszczyć swoje dziecko, zanim jeszcze pojawiło się na tej ziemi, to

prawdopodobnie nie zasługuje na następne dziecko, ale kto ma o tym zdecydować?

- Wiem - wtrąciłem. - Nawet mówienie o zakazie alkoholu budzi dyskusje,

czy ktoś może decydować o tym, co jest dobre, a co złe dla innych.

- Ta kobieta przychodzi tutaj, a ja nie mogę się zmusić do tego, żeby na nią spojrzeć. Rzadko odczuwam nienawiść. Próbuję raczej akceptować, ponieważ nienawiść pochłania zbyt wiele energii. Ale nienawidzę jej.

Nienawidzę za to, co zrobiła swoim dzieciom. Czuję te dzieci. Nigdy nie będą... nigdy nie będą ludźmi. Sądząc według tego, co wiemy o ludziach, zostały pozbawione tej szansy. Nigdy nikogo nie pokochają, bo nie znają tego pojęcia. Jedna mała dziewczynka jest tak poważnie upośledzona, że nigdy nie zostanie przyjęta do społeczeństwa. Będą się jej przyglądać, będę

się na nią gapić. Co zrobilibyśmy komuś, kto tak zachowałby się w stosunku

do naszych dzieci? Pewnie powiesilibyśmy go na rogu ulicy. Ale ponieważ alkohol jest społecznie akceptowany, staliśmy się obojętni wobec problemu

dzieci z ZPUP.

Jeaneen podniosła w gniewie głos i obudziło to małego Jessego, który zaczął płakać. Wzięła go z kołyski i pozwoliła mu włożyć palce do swojej filiżanki i zamieszać zimną kawę. Parę kropel prysnęło na jej kostium w stylu kimona, ale nie zwróciła na to uwagi.

- Ma osiem miesięcy i w pewnym sensie coś rozumie. Spędza tu dużo czasu.

Poza tym wyczuł pewnie, że jesteś obcy - wyjaśniła. - Do tego wyrzynają mu się zębki. Urodził się w dniu urodzin Jessiego Jamesa. Ktoś się kiedyś pomylił i nazwał go Billy Jack.

Ciekawe, co zrobiłby Billy Jack z ZPUP? Tego problemu nie mógłby rozwiązać stereotypowy, filmowy Indianin o posępnej twarzy. Nie odprawiłby ceremonii węża (holey) ani nie uderzył przeciwnika siekierą, bo kogo tu uznać za przeciwnika? A jednak odpowiedź przyszła szybko: przemytników, rzecz jasna. Tych plugawych białych, mieszkających w brudnej, zadymionej chacie. Billy rozwaliłby drzwi kilkoma dobrze wymierzonymi kopniakami.

Byłby wściekły, żądny zemsty, gotowy zmierzyć się z pistoletami, nożami i pięściami owiniętymi łańcuchem. Ale co by było, gdyby znalazł w środku grupę nastolatków w ciąży, o delikatnych głosach, pięknych, uśmiechniętych i pijanych muscatelem. Co by było, gdyby natrafił na trzydziestoletnią matkę z dzieckiem na jednym ręku, a butelką w drugim?

Zrobiliśmy przerwę na lunch. Jeaneen poszła po kurczaki z frytkami zamówione w wiejskim sklepie spożywczym. Wstałem i przeciągnąłem się. Przez otwarte okno dochodziły odgłosy małego miasteczka w porze

południowej:

krzyki dzieci na wakacjach, od czasu do czasu głuchy warkot samolotów przelatujących z jednego wybrzeża na drugie, trzask zamykanych drzwiczek

samochodów na parkingu przed Radą Miejską. Daleko na drodze rozciągał się

płaski i pusty krajobraz. Niebo zawisło tak nisko, że zdawało się zagłębiać pod horyzont, okrążyć odległą linię tak, że zdawało się, iż jestem na szczycie świata. Wiał wiatr, pola okryły się barwą karmelu zmieszaną z zielenią wczorajszego nocnego deszczu. Nie był to jeden z tych jasnych dni,

kiedy połyskujące fioletowo chmury tworzą wyraźne odbicie na ziemi.

Teraz

rzucały raczej delikatne cienie. Białe wzgórza na północy były tak gładkie i zbliżone do siebie szczytami, że wydawały się pokryte papą, świecące wysepki pośród falujących traw. Krajobraz ten najlepiej można było określić

słowem otwarty w przeciwieństwie do zamkniętej, rozmazanej

krótkowzroczności, która była dziedzictwem Adama. Pochodził z kraju, który

pozwalał daleko sięgać wzrokiem, ale on pozostał na zawsze w studni w kształcie butelki.

Skrajem autostrady szły dwie postaci. Nawet z daleka widać było, że podpierają się nawzajem. Były to kobiety w ciemnych strojach i chustkach na

głowach. Młodsza z nich miała na sobie pikowane lawendowe botki, a

starsza

rozsnurowane męskie buty i cienkie białe skarpetki jak dla małej dziewczynki. Jej nagie golenie i rąbek sukienki oblepione były grudkami błota. Dostrzegłem, że nie zauważyła nawet, jak wchodzi w wielką kałużę. Kiedy się zbliżyły, dotarły do mnie strzępki ich rozmowy. Kłóciły się głośno w niezrozumiałym dla mnie języku.

Kobieta w męskich butach na przemian krzyczała na tę w kozakach i prosiła

ją o coś śpiewnym głosem, jakby nucila kołysankę. Ta w kozakach kręciła głową. Absolutnie odmawiała. Stara kobieta zaczęła płakać, z jej ust posypały się gwałtowne, gniewne słowa. Odepchnęła rękę towarzyszki, zatrzymała się i padła na kolana przejmującym ruchem. Kiedy w końcu młodszą

pomogła jej wstać, uspokoiła się nieco i powiedziała widać coś śmiesznego,

bo obie wybuchnęły śmiechem i chwyciły się, żeby zachować równowagę. Samochody przemykały obok nich, nie zatrzymując się. W końcu obie przeszły

o metr od mojego wozu. Były podobne do siebie. Wyglądały na matkę i córkę.

Skończyliśmy jeść, a ja spojrzałem na zegarek. Dochodziła trzecia, a miałem jeszcze przed sobą długą drogę do Rapid City. Zaproponowałem, byśmy

porozmawiali pół godziny, a potem wróciłbym za miesiąc, żeby dokończyć wywiad.

- W porządku - Jeaneen trzymała Jessego w ramionach. Huśtała się przy

tym

rytmicznie na krześle w tył i w przód, aby ukołysać go do snu.

Włączyłem magnetofon i wyregulowałem potencjometr, a Jeaneen podjęła

swoją opowieść.

- Rozmawiałam kiedyś z mężem, stojąc w kolejce w sklepie - powiedziała. -

Nauczyłam go dużo o rozpoznawaniu ZPUP. Twierdzi, że spotyka wielu dorosłych z ZPUP w sądzie. Można to ocenić na podstawie ich wyglądu, rąk,

rysów, zdradzają ich różne rzeczy. Według mego męża ci ludzie nie radzą sobie z planowaniem. Żyją z chwili na chwilę. Nie zastanawiają się nad tym,

że nie powinni wydawać całej wypłaty od razu, bo nie będą mieli co jeść w

przyszłym tygodniu. Potem więc idą do obcych domów i kradną. Jest tym sfrustrowany. Wierzył, że każdy potrafi myśleć tak samo jak on, że może wyobrazić sobie, co będzie za tydzień albo za rok. Teraz musi zmienić podejście. Kiedy widzi kogoś z wyraźnymi objawami ZPUP, traktuje go z większą wyrozumiałością, ponieważ ci ludzie nie rozumują w równie szybki

sposób. Rozumują inaczej. Pytałam go, czy często spotyka takich ludzi.

Mówi, że więcej niż można się spodziewać.

Ciemniało, kiedy pozbierałem materiały, które dostałem od Jeaneen.

Spakowałem magnetofon i pożegnałem się. Jechałem z nadmierną szybkością,

mijając Badlands, Scenic i opuszczone forty. Z początku włączyłem taśmę, słuchając miękkiego głosu Jeaneen, kiedy nie chciała obudzić dziecka. Notowałem w myślach punkty, które wymagały rozwinięcia, statystyki do porównania, teorie, które wymagały sprawdzenia u innych ekspertów. Koncentrowałem się na szczegółach, żeby nie myśleć o szerszej wizji i próbowałem potraktować dzisiejszą rozmowę jako produktywny zbiór materiału, nic więcej. Ale nie udawało mi się. Jechałem przez zachodnie ziemie dawnego Wielkiego Narodu Siuksów, przez ojczyznę Adama i zanim słońce zniknęło ostatecznie, pozwoliłem, aby opadła mnie nieuchronna refleksja. Gdziekolwiek jestem, napotykam te dwie kobiety sunące drogą do Sosnowej Grani, mego najstarszego syna, nas wszystkich, w nieustannym czuwaniu.

Rozdział jedenasty

Z nadejściem października mieliśmy już ustalony porządek życia w Northfield. Persia i Pallas trafiły do centrum dziennej opieki w Oddfellows, Domu Starców naprzeciwko fabryki.

Malt-O-Meal. Każdego ranka, kiedy je tam odwoziłem, powietrze było przesycone zapachem gotującego się ziarna. Sava i Madeline byli pochłonięci

odkrywaniem miejskiego życia - wygod związanych z możliwością pójścia na piechotę do sklepu czy wypożyczalni kaset video albo z przyjściem gości. Louise i ja zaprzyjaźniliśmy się z najbliższymi sąsiadami, odkryliśmy ulubione ścieżki przez alejki Carleton College i ustanowiliśmy zwyczaj wieczornych godzinnych spacerów za rogatki miasta, wzdłuż granicy prerii.

Od południowej strony Northfield graniczyło z lotniskiem Minneapolis - St.Paul, więc w czasie naszych wypraw liczyliśmy samoloty połyskujące czerwono i białą pośród jesiennej konstelacji gwiazd.

Pod nadzorem szkoły Adam rozpoczął pracę na pół etatu w lokalnej Pizza Hut. Do jego obowiązków należało pilnowanie, żeby na parkingu nie było śmieci, uzupełnianie soli i pieprzu na każdym stoliku i upewnianie się, że nie brakuje papierowych serwetek. Pod wieloma względami była to idealna dla

niego praca. Dostał srebrny, satynowy fartuch ze swoim imieniem i miał prawo do darmowej pizzy na lunch. Oczywiście były pewne komplikacje. Pracujący z nim młodzi ludzie szybko zorientowali się, że Adam jest łatwym

celem. Przystawał na wszystkie ich propozycje, łącznie z powtarzaniem szefowi wulgarnych słów, których znaczenia nie rozumiał. Co więcej, wymagał

częstego, jeśli nie stałego nadzorowania, bo jego uwaga natychmiast umykała

od wykonywanych zadań. Podobnie jak w szkole, był najlepszy w nakrywaniu

dla dwóch osób, a nie w barze szybkiej obsługi.

Kiedy wprowadziliśmy się do nowego domu, Adam wybrał sypialnię na trzecim piętrze pod okapem. Zazwyczaj szedł tam od razu po szkole i zostawał do kolacji, a potem wczesnie kładł się spać. W tym sanktuarium stworzył sobie osobny świat. Okna były otwarte na ościerz niezależnie od pogody, dopóki ich nie zamknęliśmy. Radio grało do późnej nocy. Kiedy muzyka docierała do naszego pokoju na pierwszym piętrze, któreś z nas wstawało i szło wyłączyć radio. Adam posiadał kolekcję komiksów z Garfieldem starannie wycinanych z niedzielnych wydań gazety Minneapolis. Każdego wieczoru kiedy go budziliśmy, żeby się umył i włożył piżamę, znajdowaliśmy te wycinanki przed lampką na biurku. Żadne pochlebstwa nie nakłoniłyby Adama do zbliżenia się do tutejszej społeczności. Jeśli nie zorganizowaliśmy zajęcia specjalnie dla niego, nasz syn trzymał się na uboczu.

Pod koniec października zostałem, razem z Beą i innymi, wyznaczony na przedstawiciela Stanów Zjednoczonych na Kongresie Amerykańskich Indian w Santa Fe. Na trzydniowym zjeździe spotkali się delegaci z całej półkuli. Północni i Południowi Rdzenni Amerykanie mieli tu wymienić się doświadczeniami, programami i troskami, ale atmosfera była wyraźnie

polityczna. Pewne narodowości z niezmiennie represyjnym nastawieniem do rdzennej ludności, wysyłały swych ambasadorów, którzy najłagodniej rzecz ujmując, byli pozbawieni krytycyzmu wobec swoich rządów. Nawet w grupie przedstawicieli Stanów Zjednoczonych trwała bezustanna walka pomiędzy zwolennikami i przeciwnikami obecnej administracji prezydenckiej. Ewentualny wpływ mego krótkiego wystąpienia na temat suwerenności plemiennej został zaciemniony zakulisowymi machinacjami i intrygami stale rozgrywającymi się w korytarzach i salach konferencyjnych nowoczesnego centrum zebrań. Jeden z członków mojej delegacji, skądinąd rozważny człowiek, którego znałem od wielu lat, popadł w prawdziwą obsesję. Stwierdził, że w naszym pokoju hotelowym znajduje się podsłuch i strawił godzinę na zaglądaniu za obrazy z południowo-zachodnimi motywami i pod słoneczną pościel. Nie pomagały tłumaczenia, że żaden z nas nie ma do przekazania najmniejszej choćby tajemnicy.

W drodze powrotnej ze zjazdu zatrzymałem się w Albuequerque, aby przeprowadzić wywiad z doktorem Philipem Mayem. Był to socjolog z Uniwersytetu w Nowym Meksyku, który od lat kierował poważnym projektem zapobiegania ZPUP pośród Indian, fundowanym przez rząd. Czytałem jego

publikacje, wyczerpujące raporty porównujące stopień spożycia alkoholu w

wielu społecznościach indiańskich. Poza tym gorąco polecała go Jeaneen Grey

Eagle, która była uczestniczką jednej z jego sesji treningowych.

Phil odebrał mnie z przystanku autobusowego i zawiózł do swego kwadratowego domu w stylu neo-pueblo, stojącego w cichej okolicy. Był wysokim, jasnowłosym, brodatym mężczyzną, poważnym i oddanym swej pracy. Za

parę dni miał zakończyć się jego drugi, dwuletni projekt, co sprawiało, że był rozdrażniony i sfrustrowany. Jego żona i nastoletnia córka wybrały się właśnie kupić sukienkę na promocję. W czasie naszej rozmowy Phil zebrał i

ułożył stos cedrowych gałęzi, przygotowując się do gotowania na dworze. Dzień był tak ciepły, że siedzieliśmy na zewnątrz, nad dzbankiem lemoniady.

Phil opowiadał, że jego zaangażowanie w badania nad ZPUP miało swój początek w końcu lat siedemdziesiątych, kiedy z okazji

Międzynarodowego

Roku Dziecka Indiańska Służba Zdrowia przeznaczyła 120 000 dolarów, by

zbadać wpływ alkoholu na dzieci w społecznościach plemiennych.

Troje spośród czworga ludzi poproszonych o zaplanowanie tego projektu uznało to za interesujący pomysł.

- Widzieli zasięg tego zjawiska - przypominał sobie Phil. - Najbardziej zaangażowaną osobą była pewna lekarka, która pojechała do Tuba City w

rezerwacie Nawaho tuż po skończeniu studiów medycznych w roku pięćdziesiątym szóstym, i już tam została. Odeszła na emeryturę w siedemdziesiątym dziewiątym. W tym okresie odkryto ZPUP. Szczególnie w ostatnim pięcioleciu widywała więcej kobiet w ciąży pod wpływem alkoholu.

Sama odbierała również dzieci z ZPUP. Ja zostałem szefem zespołu, ponieważ oferowałem swoje usługi w najszerszym zakresie.

Pierwotnym celem badań było zebranie faktycznych danych, które pozwoliłyby na określenie zasięgu problemu. Ich sukces zależał od dobrej woli pracowników Indiańskiej Służby Zdrowia na różnych terenach. Mieli oni zgłaszać różne przypadki, a pracownicy uniwersyteccy rozpoznawaliby zespół poalkoholowego uszkodzenia płodu. Chodziło o oddzielenie symptomów ZPUP lub EPUP od tych wywołanych innymi przyczynami.

- W tym systemie przewinęło się u nas wiele dziwnie wyglądających dzieci, wyraźnie opóźnionych w rozwoju - mówił Phil. Podczas rozmowy trzymał w ręku pióro kulkowe i zaznaczał na liście punkty ważne i nieważne dla sprawy. Zachowywał się jak profesjonalny badacz, gotów eliminować wszelkie błędne informacje.

Dla każdego dziecka opracowywano specyficzną terapię i program rehabilitacji. Z zakończeniem projektu w 1982 roku, większość potencjalnych ofiar ZPUP w siedmiu z dwudziestu dwóch okręgów została wyłoniona.

- Temat ZPUP trafił do lokalnych społeczności - powiedział Phil, podkreślając niezwykłą chęć współpracy, którą zyskiwał projekt. -

Panowała

w nich ogólna frustracja wobec zachowania dorosłych po alkoholu, którego

nie udało się racjonalnie wytłumaczyć. Aż tu nagle pojawił się ZPUP, problem, któremu można było zapobiec, który w dodatku dotyczył niewinnych

ludzi. Zyskiwał sobie coraz większy rozgłos. Gdybyśmy go teraz uchwycili,

moglibyśmy wrócić do sytuacji sprzed piętnastu lat, kiedy problem nie miał

aż takiego zasięgu.

Weszliśmy do chłodnego gabinetu Phila. Kiedy zasiedliśmy w wygodnych

fotelach, mój magnetofon wciąż nagrywał. Na biurku piętrzyły się teczki zawierające przedruki naukowych artykułów, kopie federalnych dokumentacji,

sterty żółtych kartek rękopisów. Procedury obowiązujące w Biurze do Spraw

Indian są rozwlekłe i zniechęcające. Mają tam równie pogmatwane przepisy i

zasady jak we wszystkich innych klaustrofobicznych związkach zawodowych.

Zgłębienie ich wymaga mistrzowskiego opanowania języka, składającego się wyłącznie z wielkich liter, myślników i cyfr. Jest to system niezrozumiały dla nikogo z zewnątrz, ale stanowiący podstawę komunikacji wewnątrz aparatury. Laik, który zabłąkałby się na spotkanie za zamkniętymi drzwiami, miałby wrażenie, że słucha szyfru komputerowego. Operatorzy i manipulanci tego biurokratycznego monstrum byli zazwyczaj karierowiczami, urzędnikami państwowymi, którzy po latach przekładania papierków nabrali pogardy dla naiwności tych, którzy nie znali ich norm. Przeciążony i rozregulowany system wciąż opierał się wszelkim innowacjom i stanowił jak dotąd problem nie do rozwiązania.

Phil opowiadał o przeszkodach, przez które musieli przebrnąć, by móc kontynuować swój projekt. Ich propozycje odnowy były miażdżone i odrzucane na każdym kroku przez obmowy, zazdrość, kliki, cynizm i apatię. Nie zaskoczyło mnie to. Wszelkie zmiany groziły ujawnieniem zjawiska o ogromnej skali, kosztownego i niemiłego do uświadomienia sobie. Dotyczyły też domeny

umysłu, która była najbardziej irytująca dla tych, którzy wykonują ściśle podane im instrukcje - etycznej odpowiedzialności. Tak więc Phil May - doktor, Anglik, szczery, dokładny, choć tymczasowy i bez uprawnień federalnych - stał się naturalnym przeciwnikiem. Pomimo sukcesu jego pierwszego studium i bezustannych wysiłków Narodowej Rady Indiańskiej

Służby Zdrowia, Narodowego Stowarzyszenia Przewodniczących Plemienia i

Narodowego Komitetu Amerykańskich Indian, wspierających jego projekt, minęły całe miesiące, zanim ten wszedł w życie.

- W końcu złapali kongresmena Yatesa z Illinois i innych zainteresowanych

- powiedział Phil - a to oznaczało trzysta tysięcy dolarów dla budżetu ISZ, które miały zostać przeznaczone na ZPUP.

Przez następne trzy lata mogliśmy więc ciągnąć to, co rozpoczęliśmy. Wtedy to zaczął się polityczny futbol.

Ci z Waszyngtonu nie grali na aucie. Słyszałem pogłoski w Sosnowej Grani,

że Indiańska Służba Zdrowia miała stracić milion dolarów swego budżetu na

rzecz badań nad AIDS. Pomyślałem o Jeaneen Grey Eagle, która walczyła o

zaprowadzenie programu zapobiegawczego na terenie wielkości małego stanu,

mając tysiąc pięćset dolarów rocznej dotacji.

Wspomniałem Philowi, że wszystko, co przeczytałem i każdy, z kim

rozmawiałem, zdawał się potwierdzać spostrzeżenia lekarki z Tuba City o rozprzestrzenianiu się ZPUP.

- Podczas ostatniej dekady alkohol stał się jeszcze bardziej dostępny - stwierdził. - Ale nie tylko o to chodzi. Jest wiele innych czynników, szczególnie droga adaptacyjna różnych kultur i normy, które w związku z tym zaczęły obowiązywać... Na przykład kwestia tradycyjnej roli kobiety. Picie jest o wiele bardziej akceptowane u kobiet z Równin, trochę mniej akceptowane pośród kobiet Nawaho i najmniej w Pueblo.

Istnieją jeszcze większe komplikacje. - Surowość norm wobec picia kobiet w Pueblo jest tak silna - wyjaśniał Phil - że po okresie eksperymentów dojrzewania kobieta musi dokonać wyboru. Albo przestaje pić, co czyni większość z nich, albo musi odciąć się od życia społecznego Pueblo i włączyć się z grupą alkoholików w oderwaniu od tradycyjnego środowiska.

Wygrywa tu ostracyzm, a te kobiety rodzą potem dzieci z ZPUP. Mogą ich mieć dwoje, troje, a nawet czworo. Mieliśmy przypadki dwóch matek z Pueblo, które urodziły po pięcioro dzieci z ZPUP lub EPUP, zanim umarły. W tym sensie wykluczenie kogoś ze społeczności szkodzi samemu Pueblo.

Phil zarzucił mnie statystykami. Zakładając, że jego obliczenia są niedokładne, stwierdził, że jedno na 55 dzieci rodzących się w plemionach z Równin jest dotknięte ZPUP albo EPUP, liczba znacznie większa niż u badanych grup Pueblo czy Nawaho. Choć i te obliczenia były niedokładne.

Fakt, że jedna kobieta rodziła czasem kilkoro dzieci z ZPUP, sprawiał, że wypadków tych wydawało się więcej niż w rzeczywistości. Była to więc raczej

kwestia koncentracji.

- Aby rozwiązać problem, trzeba wpłynąć na ograniczoną liczbę osób - stwierdził z przekonaniem Phil. - Uznaliśmy to za zachęcający fakt i przeprowadziliśmy wykłady dla jedenastu tysięcy Indian. W środę nasz projekt zostanie zakończony. Do tej chwili wykształciliśmy tysiąc osiemset trenerów w Stanach Zjednoczonych. Większość z nich to Indianie, którzy mają wprowadzić programy prewencyjne we własnych społecznościach. Nie wiem, jaki procent zajmie się tym w praktyce. Przekazano im jednak wiedzę i mogą zdecydować, co z nią robić dalej.

Ta rozmowa o strategii przypomniała mi ekstremalną liczbę przypadków ZPUP w Sosnowej Grani, o których wspominała Jeaneen. Zapytałem Phila, czy w miejscach, które badał, była mowa o uwięzieniu pijących kobiet w ciąży, które urodziły już dzieci z ZPUP.

- Doszło do tego w jednym rezerwacie - wyznał, choć wolał nie ujawniać, w którym. - Inne plemiona również rozważały taką możliwość. Nawaho próbowali zakwalifikować picie matek w czasie ciąży do nadużyć wobec dzieci. Większość plemiennych praw dotyczących napastowania dzieci pozwala

omijać

niektóre prawa obywatelskie. Indiański rząd może w rezultacie robić, co chce.

Miał rację. Wiele wyroków Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych - najbardziej wymowny był tu przykład Pueblo Santa Clara przeciw Martinezowi

(1978)- potwierdziło, że Karta Praw nie zawsze obowiązuje w suwerennych

granicach rezerwatów. Na mocy traktatu społeczności indiańskie miały prawo

do własnych wzorców postępowania stosownych dla ich członków. Prawa te

stanowiły precedens w amerykańskim systemie sprawiedliwości, nawet jeśli

tym, którzy nie zgadzali się z wartościami plemienia, wydawały się one dyskryminujące i niezgodne z konstytucją.

Wkrótce usłyszę i przeczytam więcej o koncepcji "praw płodu", kiedy kilka

większych spraw wpłynie do sądów Kalifornii i Nowego Jorku po rozpoznaniu

szkód, które kobieta może wyrządzić swemu nie narodzonemu dziecku, zażywając kokainę lub odmawiając stosowania przepisanej diety. Nie było jasnych dowodów na to, że takie środki prawne są skuteczne. Niektórzy twierdzili nawet, że mają one odwrotny skutek, bo sprawiają, że kobiety rezygnują z szukania opieki w czasie ciąży, w obawie przed oskarżeniem.

Rozwiązania takie wynikały jednak z tej samej przyczyny - zapobiegały

nieodwracalnym szkodom, aby nie czekać na nie biernie. Zwolennicy twierdzili, że jest to wybór mniejszego zła. Kobieta, której narzucono podobne ograniczenia, cierpiała - o ile to było właściwe określenie - przez niecały rok. Za to istota ludzka, którą zdecydowała się urodzić - i to było najistotniejsze - nie była upośledzona i nie stawała się ciężarem dla społeczeństwa do końca swego życia.

Jedyny aspekt badań Phila, który mnie zaniepokoił, to rozbieżność pomiędzy jego danymi o przypadkach ZPUP a wyższymi liczbami sugerowanymi

przez innych. Jeanen była pewna, że 25 procent dzieci urodzonych w Sosnowej Grani w różnym stopniu cierpiało na uszkodzenia wynikające z tego,

że ich matki piły. Jej obliczenia, choć nie była praktykującym klinicystą, nie różniły się tak bardzo od tych podanych przez Evę Smith. Eva była sławną lekarką w szpitalu rezerwatu Apaczów White River w Arizonie i wiodącym badaczem społecznego projektu edukacyjnego zapobiegania ZPUP. Do

Dartmouth przeniosła się jako studentka w 1972 roku i zaprzyjaźniła się bardzo ze mną i z Louise. Po skończeniu college'u otrzymała dyplom lekarski

w Georgetown, a po dwóch latach Amerykańskie Towarzystwo Medyczne nazwało

ją niezwykle obywatelką Stanów Zjednoczonych, współpracującą z rodzinami.

Ostatni raz spotkałem Evę na zjeździe Towarzystwa Badań nad Alkoholizmem

w San Francisco i zadałem jej swoje sakramentalne pytania: Jak poważny jest problem Zespołu Poalkoholowego Uszkodzenia Płodu? Jaki odsetek dzieci urodzonych w White River może być sklasyfikowany jako ZPUP lub EPUP?

- Przynajmniej 10 procent z ZPUP, choć pewnie jest ich więcej - odparła.
- Jeśli chodzi o EPUP, to niektóre symptomy mogą wystąpić po latach, kiedy dzieci opuszczą swoją społeczność. Myślę, że jest ich jakieś 20 do 30 procent. Eva nigdy nie przesadzała. Szanowano ją jako sprawiedliwą, zrównoważoną profesjonalistkę. Niedługo po naszej rozmowie przeniosła się do Waszyngtonu, by kierować programem zapobiegania alkoholizmowi Indian na skalę narodową. Dlaczego więc jej oceny były dziesięciokrotnie wyższe niż Phila?

- Pracowaliśmy z dziećmi od wieku niemowlęcego do piętnastu lat - wyjaśniał Phil. - A właściwie nawet z dwudziestolatkami. Znaleźliśmy też dwoje dorosłych ludzi w wieku dwudziestu paru i trzydziestu paru lat i dołączyliśmy do naszych badań. Ale... wiele tych dzieci diagnozowaliśmy jako normalne, jeśli pojawiła się choć najmniejsza wątpliwość. Bardzo tego przestrzegaliśmy. Znacznie zawyżylibyśmy statystyki, dołączając przypadki graniczne.

Czy wobec tego nie ufał liczbom podanym przez Evę i Jeaneen?

- To zależy, pod jakim kątem dokonywały obliczeń - odparł Phil. -

Według

tych ocen połowa dzieci jest dotknięta przez alkohol. My

diagnozowaliśmy

według trzydziestopięciopunktowej listy zawierającej poważne wyróżniki.

Poza kliniczną diagnozą każde dziecko miało określoną punktację. Dzieci,

które uznaliśmy za dotknięte EPUP, miały bardzo wiele punktów w tej

skali,

a kształt brwi, rozmiar głowy, iloraz inteligencji albo wysokość i waga w

danym wieku miały najniższy odsetek. Nie mówimy więc o dzieciach

jedynie

dotkniętych przez alkohol. Wiele dzieci zdiagnozowaliśmy jako normalne,

mimo że ich matki piły, i to dość intensywnie. Nie sądzę byśmy rozpoznali

EPUP u dziecka, które miało iloraz inteligencji powyżej 85 punktów. Ich

braki uznawaliśmy za standardowe odchylenia od normy - byliśmy aż tak

ostrożni.

Ostrożność nie była tu właściwym słowem. Jak stwierdzało pierwsze

studium

Uniwersytetu w Waszyngtonie, badania nad ZPUP na całym świecie

obejmowały

jednostki o ilorazie inteligencji powyżej 100 punktów. Wysokie

wymagania,

które stawiał Phil, pozwalały uniknąć zakwalifikowania do ZPUP osób o

podobnych tylko schorzeniach, ale często pomijały również rzeczywiste

przypadki zespołu poalkoholowego uszkodzenia płodu. Podczas gdy Phil

mówił,

uświadomiłem sobie, że może istnieć inny powód, dla którego zasięg wyselekcjonowanej przez niego grupy jest tak wąski. Trudno mu było uwierzyć, wyobrazić sobie, że najgorszy scenariusz mógł okazać się prawdziwy.

- Mamy ocenę zakresu zjawiska z Montany - ciągnął z niedowierzaniem.

-

Znany dysmorfolog (specjalista studiujący niezwykle struktury lub formy ciała) twierdzi, że jedno na czworo dzieci w tamtejszym rezerwacie zostało

zaatakowane przez alkohol.

- To samo potwierdza Jeaneen z Sosnowej Grani - wtrąciłem.

Phil przyjął to do wiadomości, ale mówił dalej.

- Mam z tym kłopot, ponieważ nie sądzę, aby te plemiona miały większe problemy z piciem niż rezerwaty na Równinach. I niech mnie gęś kopnie, jeśli co czwarte, a nawet co dziesiąte dziecko jest zaatakowane. -

Potrząsnął żywo głową, uznając tę możliwość za niewiarygodną. - Nie wyobrażam sobie kultury czy grupy z tak silnym problemem. Nie przetrwałyby

w żaden sposób.

To było niewiarygodne, choć nie znaczyło to, że nieprawdziwe. I dotyczyło

kwestii przetrwania. Odkryłem również, że irytuje mnie asekuranckie unikanie przewidywań pod pozorem, że przyszłości nie sposób przewidzieć.

Bliższa była mi teoria profesor Ann Streissguth, znakomitej badaczki z

Uniwersytetu w Waszyngtonie. Twierdzi ona, że błędna ocena sytuacji należy do najsubtelniejszych, najtrudniejszych, ale też najczęściej mówiących symptomów ZPUP lub EPUP. Według niej ten stan nie wynika bezpośrednio ze stopnia inteligencji, a raczej ze zdolności do oceny konsekwencji własnych działań. Wyniki jej obserwacji brzmiały dla mnie przekonująco. Adam miał niezmiennie kłopoty z pewnymi abstraktami. Większy niż -8|, mniejszy niż, planowanie, oszczędzanie. Posuwając to rozumowanie o krok dalej zauważamy, że ktoś taki jak on, jakaś kobieta, nie rozumie ostrzeżenia, że "jeśli wypije teraz, to za dziewięć miesięcy od tej chwili coś złego przydarzy się jej dziecku". Takiego postępowania nie zrozumiałby żaden doradca ani położnik. Nic też nie powstrzymałoby tych kobiet od picia w czasie ciąży. Wciąż powracałem do oczywistego wniosku, że ofiary zespołu poalkoholowego uszkodzenia płodu miały największe szanse rodzić ofiary zespołu poalkoholowego uszkodzenia płodu. Logiczna argumentacja nie przemawiała do nich.

- Bez wątplenia istnieje realne zagrożenie - Phil rozumiał, dokąd zmierzam i podał własny przykład. - Te dzieci nie są tak naprawdę świadome konsekwencji. Kiedy jedziesz do rezerwatu Nawaho i wyglądasz tak jak ja, małe dzieci, które napotykasz, będą utożsamiać cię z karą i -8| albo naganą.

Żadne z nich nie będzie dla ciebie miłe. Ale nie dzieci z ZPUP. Małe dziecko Nawaho z ZPUP podejdzie, złapie cię za nogę i powie: "Cześć, jak się masz? Bardzo cię lubię". Jego słowa przypomniały mi o czymś. "To takie uczuciowe dziecko" - mówili ludzie o Adamie, kiedy był mały. Podchodził do obcych ludzi w miejscach publicznych - na lotnisku, w sklepie spożywczym czy na korytarzu w kinie - i bez słowa ich obejmował. Nie okazywał przy tym większego wahania niż wobec mnie, kiedy podczas naszego pierwszego spotkania podniósł wzrok znad samochodzików i powiedział: "Cześć, tato".

Wszyscy byli mu równie bliscy. Persia ma teraz tyle lat, co Adam w tamtym okresie. Znalazłszy się w nieznanym otoczeniu, od razu przypada do moich nóg na jakieś pięć minut, żeby z bezpiecznego miejsca rozeznaczyć się w sytuacji. Adam jednak, zanim wycofał się do wewnątrz w okresie dojrzewania, podchodził do świata niczym niewidomy wędrujący po bezkresnej letniej łące.

Jakby nie istniało niebezpieczeństwo fałszywego kroku, możliwych przeszkód, ukrytych dziur.

Podziwiałem, uwielbiałem i zachwyciałem się tą jego pozbawioną lęku

ufnością.

- Nigdy nie spotkał osoby, która byłaby mu niemiła - głosiłem wszem i wobec, ale to było żałosne. Nim ukończył dwa lata, był maltretowany, głodzony i w końcu został porzucony. Miał powody, by być nieśmiałym.

Mimo

to trzeba było wielu lat ciągłego odrzucania go i szyderstw, by nauczył się czekać na znak przyzwolenia, zanim dotknął drugiej ludzkiej istoty.

Rozejrzałem się po gabinecie Phila. Książki wypełniały półki, leżały na podłodze razem z broszurami i specjalistycznymi czasopismami, notes pękał

od numerów telefonów i adresów. Ten pokój był skrzyżowaniem dróg badawczych: socjologii z biochemią, empirycznego osobistego doświadczenia z

teorią. To stąd powinny płynąć odpowiedzi, a przynajmniej wskazania.

Wyciągnąłem więc jeden z moich najstraszniejszych wniosków: jeśli edukacja

i poradnictwo były głównymi filarami działań prewencyjnych, a argumentacja

logiczna nie docierała do kobiet będących ofiarami ZPUP i EPUP, i jeśli kobiety te miały więcej dzieci, zaczynały rodzić je w bardzo wczesnym wieku

i jeśli te kobiety, które rozumiały argumenty kampanii zapobiegawczej, przestawały pić, a te, które ich nie rozumiały, piły dalej, to czy liczba ofiar ZPUP nie będzie wzrastać? Czy nie tak właśnie się stanie? Czy liczby nie będą się podwajać w coraz krótszych okresach?

Phil wybrał okreśną drogę, żeby odpowiedzieć mi na to pytanie. Miał

problemy z oceną ogólną co do tego, kto rodził dzieci z ZPUP czy EPUP.

- Nie badaliśmy zbyt wielu matek, bo większość z nich zaginęła albo umarła - powiedział.

Wróciłem do tematu rozpoczętego w Sosnowej Grani - średniej wieku kobiet,

których dzieci mogły najbardziej ucierpieć z powodu picia. Phil potwierdził

obserwacje Jeaneen.

- Pełnoobjawowy ZPUP jest najczęściej spotykany u dzieci kobiet powyżej

25 roku życia. Organizm tym łatwiej eliminuje alkohol, im jest młodszy.

Poza tym standardowy okres picia indiańskich kobiet jest skumulowany.

Najczęściej z czasem coraz głębiej wnikają do grup intensywnie pijących, których jedynym zajęciem jest odpoczywanie w przerwach między piciem.

Alkohol wypełnia całe ich życie. Trochę to oczywiście trwa, zanim organizm

pozbędzie się wszystkich minerałów i alkohol zacznie szkodzić wątrobie.

Wie

pan - dodał - kobiety są o wiele bardziej podatne na marskość wątroby z powodu zawartości tłuszczu w ciele i poziomu hormonów.

- Tak więc kobiety indiańskie, które piją nadal w myśl zasady wszystko albo nic, zaczynają poważnie szkodzić swym organizmom w wieku

dwudziestu

paru lat. Zbadaliśmy 130 dzieci z ZPUP. Na 85 z tych, którym przyglądaliśmy

się w siedmiu rezerwatach, tylko siedmioro urodziły matki poniżej 25 roku

życia - przerwał, zastanawiając się nad wnioskami. - Kobieta musiałaby więc

wyniszczać swoje ciało przez dłuższy czas. Widzieliśmy przypadki zatruwania

się przez cały okres ciąży, ale jeśli kobiety te były dość młode, ich dzieci nie wyglądały ani nie zachowywały się jak chore, przynajmniej w pierwszych latach życia. Możliwe, że choroba ujawni się później, trudno to ocenić.

Przypomniałem sobie, że czytałem gdzieś o tym, jaką szkodę wyrządza dziecku alkohol w określonym momencie ciąży. Zapytałem Phila, ile wiadomo na temat tej zależności.

- To tylko kwestia czasu - potarł rękę, a jego twarz przybrała niemal rzewny wyraz naukowca, który wie, że konkretna odpowiedź w końcu się pojawi. - Za dziesięć, piętnaście lat będzie można powiedzieć, że taka i taka dawka w tym i tym tygodniu powoduje to i to. Jeśli matka pije intensywnie w pierwszych trzech miesiącach ciąży, dziecko będzie miało defekt w budowie ciała. W drugim trymestrze najbardziej zagrożony jest wzrost i inteligencja. Istnieje również niebezpieczeństwo poronienia. W trzecim trymestrze najmocniej ucierpi inteligencja.

Jak zawsze, kiedy myślałem lub mówiłem na ten temat, osobiste doświadczenia mieszały się z podejściem zawodowym. Słuchając wyliczania

Phila, próbowałem dopasować je do postępowania zmarłej matki Adama. Sądząc

po jego objawach, musiała pić przez całe dziewięć miesięcy, coraz więcej, im bliżej rozwiązania. W takich chwilach ogarnia nas rozżalenie, że wszystko nie potoczyło się inaczej. Chciałem cofnąć się w czasie i być przy

tej nieznannej mi kobiecie, której los tak głęboko mnie poruszył ze względu na Adama. Chciałem ją spotkać, kiedy była w ciąży, aby - jeśli okazałoby się to konieczne - odebrać jej alkohol, wytłumaczyć, że powinna bronić jakości życia naszego syna. Ile szklanek wina, bimbrowa czy piwa musiałaby odmówić? Która z nich przeważała?

- Jeśli kobieta piła tylko przez tydzień - powiedział Phil - dziecko z pewnością nie będzie miało pełnego ZPUP. Chyba że byłby to krytyczny tydzień, na przykład trzeci albo dziesiąty. Większość badanych kobiet pije dość intensywnie albo wręcz jest alkoholiczkami. Nie chodzi tu o wielkość dawki, lecz o sam fakt picia, czas i wiek kobiety.

Phil, podobnie jak wszyscy zajmujący się tą dziedziną, stale napotykał kobiety pokroju matki Adama. Spytałem, jak według niego należy do nich podchodzić. Jak przekonywał alkoholiczkę, która miała problemy z przyswajaniem wiedzy, żeby powstrzymała się od pojedynczego drinka albo przyjęcia w czasie ciąży?

- Używamy od razu najsilniejszych argumentów - odparł. - Mamy około setki slajdów, ale najskuteczniejszym z nich jest zdjęcie poważnie uszkodzonego mózgu dziecka z ZPUP obok mózgu dziecka zdrowego. Mówimy o ważności czasu i

dawek alkoholu. Zawsze podkreślamy, że są dzieci - natrafiliśmy na takie w

Seattle - które wyglądają i zachowują się normalnie. Są tylko bardziej powolne, mniej bystre i mniejsze. Po śmierci tych dzieci, kiedy zrobiono im

autopsję, okazało się, że kilkoro z nich miało heterotopię, rozrzucone warstwy komórek mózgowych. Matki tych dzieci przyznały, że piły umiarkowanie, jak na umiarkowane alkoholiczki.

Widziałem klasyczne zdjęcia, wiele zdjęć, na których mózgi trzeźwych myszy doświadczalnych porównywano z mózgami myszy, którym podawano etanol.

Nawet dla kogoś takiego jak ja, kto nie miał żadnej wiedzy na temat funkcjonowania mózgu, kontrast był uderzający. Alkohol powodował kurczenie

się mózgu w czaszce. Normalny mózg wygląda jak ściśnięty w małej przestrzeni, upchnięty tak ciasno, że marszczy się i nakłada fałdami na siebie. Mózg uszkodzony przez alkohol ma powierzchnię gładką jak kamień

rzeczny, spoczywa swobodnie w wysoko sklepionym pomieszczeniu i jest za

mały, by kierować całym ciałem. Phil twierdził jednak, że ofiara ZPUP nie zawsze miała fizyczną ułomność wskazującą na to, że mózg jej nie osiągnął stadium pełnego rozwoju.

Znów zapytałem, ile potrzeba alkoholu, by spowodować uszkodzenie.

Czy

istnieje "bezpieczna" dawka, która nie stanowi zagrożenia dla dziecka?

- Nalegamy na całkowitą abstynencję - podkreślił Phil, uderzając otwartą dłonią w plik papierów. - To jedyna gwarancja. Mówimy o niższej ilości punktów za inteligencję. Jeśli nie pijesz, być może nosisz w sobie geniusza. Ale pijąc od czasu do czasu, nawet w niewielkich ilościach, być może ujmujesz swemu dziecku jeden, dwa, dziesięć, piętnaście, dwadzieścia, trzydzieści punktów za inteligencję. Jeśli będziemy mieli więcej pijących matek, to pewnego dnia okaże się, że spadł iloraz inteligencji całego społeczeństwa. Na prawdę w to wierzę, choć dla niektórych jest to zbyt daleko idący wniosek.

Pozwoliliśmy, by słowa te zapadły w milczeniu. Znow dotknęliśmy najbardziej podstawowej kwestii - przetrwania. Pomyślałem o "Nowym wspaniałym świecie" Aldousa Huxleya. Przynależność do klasy społecznej była

określana przed narodzeniem, przez manipulację umysłem płodu.

Pomyślałem o

tych, którzy oskarżali Jeaneen o panikowanie. Byli to ci sami ludzie, dla których wyciągaliśmy "zbyt daleko idące wnioski". Myślałem o całych pokoleniach Indian, o naszych przodkach, którym udało się przetrwać do dwudziestego wieku pomimo licznych inwazji i polityki rządowej ukierunkowanej na kulturowe ludobójstwo. Czy nasze dzieje mają zakończyć

się z powodu alkoholu, cieczy tak zwodniczo ulotnej, że może wyparować w

zwykłym powietrzu?

Całkowita abstynencja w czasie ciąży wydała mi się z początku przesadzona, ale kiedy dowiedziałem się, że takie zalecenie wydał Naczelny Lekarz Stanów Zjednoczonych, Królewskie Towarzystwo Lekarzy w Anglii, Amerykańskie Towarzystwo Medyczne, i inne organizacje służące dobru publicznemu, a nawet Jane Brody w swej popularnej, humorystycznej kolumnie New York Timesa, dotyczącej zdrowia, zabrzmiało to już mniej radykalnie.

Bardziej zdroworozsądkowo.

Na podjazd wjechał samochód. Trzasnęły drzwiczki i usłyszeliśmy kobiece głosy. Wróciła rodzina Phila. Do pokoju weszła jego żona, Doreen, atrakcyjna, uśmiechnięta kobieta z Pueblo, z dużą białą torbą reklamową, a za nią jej nastoletnia córka.

- Sukces! - wykrzyknęła Doreen i odczekała, aż nas sobie przedstawiono.

- Zobaczmy - odpowiedział jej mąż z rezygnacją.

- Lepiej poszukaj dodatkowej pracy - zażartowała Doreen, zdejmując wieczko prostokątnego pudełka. Rozległ się szelest papieru pakowego i po chwili zobaczyliśmy szykowną suknię ze sztywnej granatowej tafty. Była to gustowna, wykwintna, dorosła suknia. Phil próbował powstrzymać uśmiech, ale był wyraźnie zadowolony i dumny, patrząc na rozjaśnione oczy córki.

Właściwie skończyliśmy rozmowę, ale przed wyjazdem chciałem jeszcze

wrócić do symptomu, który najmniej wskazywał na konieczność leczenia - błędnej oceny sytuacji. Symptom ten nosił cechy dwuznaczności.

Postępowanie

piętnowane w jednym społeczeństwie mogło być całkowicie aprobowane w

drugim. Ale przy zignorowaniu kategorii oceny sytuacji jako wyznacznika PZA, rzeczywista liczba ofiar pijących matek mogła być znacznie zaniżona.

Czy istnieją jakieś pewne wyznaczniki, niezależne od kultury, w której występują?

- Z pewnością istnieją cechy uniwersalne - Phil kołysał się na tylnych nogach krzesła, zastanawiając się nad przykładami. - Autodestrukcja, zachowanie, które nie służy zabezpieczeniu zdrowia ani przyszłości.

Wspomniałem o "kanapkach z lizolem", o których słyszałem w Sosnowej Grani

i Różyczce.

- Sądziłem, że rozpuszczają go w wodzie. Lakier do włosów...- powiedział

Phil, który znał podobne nałogi. - Oni nawet ozdabiają koralikami narzędzia, którymi przekłuwają pojemniki z aerozolem. Biorą kawałek drzewa

wierzbowego czy innego, wbijają w niego gwóźdź i ostrzą, a potem przyozdabiają koralikami i noszą przy pasku. "Zjadacz lizolu".

Powtórzyłem opowieść Ewy o problemach zdrowotnych w znanym jej rezerwacie, w którym dzieci narkotyzowały się płynem korekcyjnym do maszyny

do pisania, kradzionym z biurka nauczycielki. Smarowały nim koniuszki palców i wdychając, upajały się nim podczas lekcji. Jeśli zaraz potem miały

lekcję w f albo wracały do domu na rowerach, ich płuca tężały, co mogło prowadzić do uduszenia.

- W niektórych społecznościach, szczególnie na Równinach, podejmowanie

ryzyka jest wysoko cenione - wyjaśnił Phil. - Uwielbiam mieszkańców Sosnowej Grani. Po prostu kocham ich. Ale przed piętnastu laty, kiedy mieszkaliśmy tam z żoną, tak wielu z nich wciąż wynajdowało nowe sposoby,

żeby się zabić. Może to również efekt alkoholu.

Pewne optyczne iluzje mylą oko. Patrzysz na obrazek pod jednym kątem i

widzisz puchar, przyjmujesz inną perspektywę, a obraz przemienia się w dwoje ludzi patrzących na siebie. Tak było ze mną, kiedy wchłaniałem informacje i teorie socjologiczne na temat zespołu poalkoholowego uszkodzenia płodu. Ceniona wartość "podejmowania ryzyka" albo inny podobny

eufemizm nagle zmienia się w rzeczywistość życia Adama, zamknięte drzwi do

jego przyszłości. Zachowanie spokoju nie było żadnym wyjściem. Jako oburzony ojciec będę atakował swobody obywatelskie, spaczoną politykę. Przywrócę prohibicję więzienia dla przestępców, narzucę zabezpieczające przepisy. Po chwili jednak obraz ulega zmianie. Znow przyjmuję profesorską

postać liberalnego, tolerancyjnego zwolennika indywidualnego podejścia do każdego, jestem gotów nagradzać każdy przejaw indywidualizmu, walczyć o zachowanie prawa do własnego wyboru.

Jak udało mi się pogodzić to szlachetne stanowisko z ceną płaconą w walucie setek lub tysięcy Adamów? Czy byłem swój, czy obcy w tej kwestii?

Czy miałem prawo do głosu? Czy moje subiektywne spojrzenie rozjaśniało

ciemne kąty, do których nikt nie chciał zajrzeć? Czy było to rażące pogwałcenie etnograficznej procedury, naginającej moje badania do punktu, w

którym zaczynały służyć własnym celom?

Postawiłem pytanie z wielkiej debaty w całym indiańskim kraju: Czy sprzedaż alkoholu powinna być zalegalizowana w rezerwach? Czy to w czymkolwiek pomoże?

- To zależy - odparł Phil z namysłem. - W pewnym rezerwacie jest miejsce

nazywane Płomieniem. Wewnątrz nie dzieje się nic, ale wokół, pod drzewami

wystają ludzie i piją. To szaleństwo. A jednak legalne miejsce do picia może wyeliminować niektóre poważne problemy - zgony i aresztowania.

Tyle

różnych rzeczy się dzieje. "Społeczność Rezerwatu Równin", nazywana tak w

publikowanych badaniach z 78 i 79 roku, miała ogromny problem z ZPUP. Wyszukaliśmy całą grupę dzieci z ZPUP i EPUP. Potem wstrzymano dotacje rządowe. Zbadaliśmy tylko jedno dziecko z ZPUP, urodzone pomiędzy 78 a 82 rokiem. Jedno. Mogło być więcej przypadków EPUP albo dzieci upośledzonych w mniejszym stopniu, ale pełen ZPUP już się nie powtórzył. Od zeszłego roku mieliśmy znów dostawać dotacje, więc nie wiem, co będzie teraz. To zmienna, która może okazać się całkowicie przypadkowa, i zdaje się wpływać na średnią.

Oczywisty wniosek płynący z wypowiedzi Phila był dla mnie równie szokujący jak pierwsza wzmianka Jeaneen o przymusowym uwięzieniu pijących kobiet w ciąży. Nie mogłem jednak zanegować odkryć Bei w Stojącej Skale.

Otóż niektóre uczestniczki przyjęć i alcoholiczki piły dopóki miały pieniądze. Czy wobec tego odpowiedzią na ZPUP było trzymanie ludzi w nędzy?

- W tym szczególnym przypadku tak - powiedział Phil, a potem potrząsnął głową, jakby zaprzeczając własnym słowom. - A przynajmniej można zadbać o to, by dostawali wypłaty w innej formie.

Przymusowa sterylizacja, patriarchalne programy rządowe, mężczyźni decydujący o ciałach kobiet - od ponad stu lat taka była rządowa polityka wobec Indian. Nie rozwiązywała niczego, powodowała tylko kolejne problemy.

Nadeszła moja kolej na wycofanie się przed "daleko idącymi wnioskami".

- Mogą dawać przydziały na głowę i wprowadzić grupowe programy pracy -

ciągnął Phil, zataczając pełne koło od oczekiwań, z którymi zaczynaliśmy tę

rozmowę, do optymistycznej nadziei na to, że lata jego ciężkiej pracy przyniosą pozytywne wyniki teraz, kiedy fundusz się wyczerpał. - To

interesujący rezerwat. Wypruwaliśmy sobie żyły, żeby, stworzyć tu lokalną bazę wiedzy, która za dziesięć, piętnaście lat tak rozpropaguje informacje o ZPUP, że wszyscy się o nim dowiedzą. A czy za tą wiedzą pójdzie pozytywne

postępowanie, tego nie wiem.

Phil nie umiał sobie tego wytłumaczyć, nie potrafił się uspokoić.

- Możemy tylko założyć, że będzie gorzej - wyznał nieszczęśliwy. - Bezpieczniej jest przyjąć, że jeśli czegoś nie zrobimy teraz, to później będzie gorzej.

Dlaczego więc edukacyjny program prewencyjny Phila został wstrzymany

przez Indiańską Służbę Zdrowia w chwili, kiedy pracował na pełnych obrotach? Czy ktoś w Waszyngtonie myślał, że ZPUP przejdzie samo, że nie

jest to poważny problem, tylko konik na Międzynarodowy Dzień Dziecka?

Phil wydawał się załamany ich tłumaczeniem.

- Mówią, że nie pozbawiają nas funduszy, ale że program po prostu się skończył. Za cztery, pięć miesięcy odezwą się obrońcy ZPUP, którzy wykorzystają nasze materiały - powiedział z wyraźną goryczą. -

Przejmując

ZPUP, dostają do rąk klejnot dotąd ukrywany, ponieważ jest to magiczny temat. Sądzę, że zrobiliśmy na nich wrażenie, więc zabierają go nam.

Phil otworzył szufladę biurka, jakby chciał znaleźć jeszcze jeden dokument, dodatkowy eksponat w tej sprawie, a potem zamknął ją, nawet nie

zaglądając do środka.

- Praca nad ZPUP była absolutnie czysta - powiedział niemal z rozrzewnieniem. - Reakcja była całkowicie pozytywna i produktywna, przynajmniej w fazie dyskusji. Taki odbiór dał nam rozgłos i faceci z Waszyngtonu coraz bardziej nam zazdrościli.

Całkowicie pozytywny odbiór? A co z setkami Indian, do których mówił?

Jak

oni przyjęli złe wiadomości o ZPUP?

- Wielu ludzi, którzy oglądają te slajdy - głównie starszych, nie przywykłych do czytania publikacji o zdrowiu - kręci głowami, a potem zaczyna opowiadać o swoich znajomych. "To siostrzenica tego i tego" albo "To moja wnuczka" albo "To dlatego Juanita robi to i to". Naprawdę to do nich dociera.

Czułem to samo. Wszystko, czego dowiadywałem się o zespole poalkoholowego

uszkodzenia płodu miało dla mnie wydźwięk osobisty. Potwierdzało

informacje

o Adamie, które już zauważyłem, albo uświadamiało mi dziwność

niektórych

zachowań, które początkowo uważałem za normalne. Tej wzrastającej świadomości towarzyszyło jakieś perwersyjne podniecenie, mieszanina ulgi,

smutku, i gniewu, której doświadczyliśmy z Louise po każdym moim powrocie

do Minnesoty, kiedy opowiadałem jej o postępach w naszym dochodzeniu. Sądzę, że właściwym określeniem była tu "wiedza". A jeśli wiedza w tym wypadku nie oznaczała mocy, była przynajmniej lepsza od ignorancji.

Otuchy

dodawało nam odkrycie, że Adam nie jest sam, że jego zespół upośledzeń ma

nazwę, wyjaśnienie, krąg zainteresowanych badaczy. Wszelkie nowe informacje

przyjmowaliśmy ze zrozumieniem. Kiedy poszczególne, dziwacznie uformowane

fragmenty były dopasowywane do układanki, więcej definicji nabierało kształtu. Mieliśmy coraz jaśniejszy pogląd na to, co przyszło nam oglądać.

Ale proste zebranie faktów i podobnych przypadków dawało tylko złudzenie

wsparcia. Nie prowadziło do uwolnienia czy uzdrowienia, a do głębszych i trudniejszych wniosków. Poznawaliśmy innych - rodziców, nauczycieli, naukowców - którzy mieli do czynienia z ofiarami picia matek pod względem

emocjonalnym czy zawodowym. Machaliśmy do nich, wymienialiśmy anegdoty i szczegółowe opisy, zbieraliśmy fakty i liczby, ale pod koniec rozmowy nieodmiennie pojawiał się żal zamiast oświecenia.

Moja kolejna dłuższa wizyta w Dakocie Południowej - tym razem było to pod koniec grudnia, w Pierre - nie zaczęła się najlepiej. Kwadrans po wystartowaniu z lotniska Sioux Falls, na wysokości trzech i pół tysiąca metrów, pośród szalejącej zamieci mały samolot pasażerski zatrzęsł się gwałtownie i począł obniżać lot. Absolutnie spokojna jasnowłosa stewardesa przeszła do przodu, chwytając się siedzeń z obawy przed upadkiem, i zniknęła w kokpicie. Ziemia za oknem zbliżała się w alarmującym tempie. Jakaś kobieta dwa rzędy ode mnie zaczęła głośno recytować Psalm 23. Zamarznięty krajobraz pod nami był tak odległy od zielonych pastwisk, jak tylko można sobie wyobrazić, a mimo to przemówił do mnie ten Psalm, szczególnie fragment o zejściu. W chwilę później stewardesa wyszła z kabiny pilota. Straciła nieco swe opanowanie, a ja pochyliłem się, by odczytać jej imię pomiędzy dwoma srebrnymi skrzydłami na piersi. Chciałem poznać osobę, która miała obwieścić mój koniec. Miała na imię Cindy.

- Nie dzieje się nic strasznego - zaszcebiotała w mikrofon Cindy, zachowując wyszkoloną swobodę. - To tylko szyba ochronna spadła na Jima -

pilota? - ale Bob odstawi nas bezpiecznie na lotnisko. Będziemy lecieli naprawdę nisko, więc proszę zapiąć pasy i zgasić papierosy.

Do kieszeni siedzenia pod moim stoliczkiem włożono egzemplarz czasopisma

Redbook. Otworzyłem go i zacząłem czytać opowiadanie z taką uwagą, że do

dziś pamiętam całe zdania. Z każdym przechyłem powracały najświeższe wspomnienia. Nasze życie tego roku było pełne wydarzeń. Oboje z Louise wydawaliśmy ponownie The Beet Queen, posuwaliśmy się z rękopisem Yellow

Raft i zmagaliśmy się z górą artykułów naukowych o zespole poalkoholowego

uszkodzenia płodu. Któryś weekend spędziliśmy w Chicago, dokąd pojechaliśmy

na bankiet z okazji przyznania nagród w dziedzinie Indiańskich Osiągnięć. Tydzień później ukrywaliśmy się w luksusowym hotelu japońskim Little Tokyo,

po tym jak Louise otrzymała nagrodę literacką Los Angeles Timesa. Po miesiącu zaś, powstrzymani chorobą gardła przed wizytą u moich teściów w

Dakocie Północnej, cała rodzina zasiadła przy stole jedynej w Northfield restauracji otwartej w Święto Dziękczynienia.

Posiłek składał się z tradycyjnych potraw, choć podawanych w dowolny sposób: pokrojony indyk, koktajl z owoców z puszki, które zostały podgrzane

jako nadzienie placka cytrynowego, zimny groszek i sos żurawinowy z

puszki.

Sala, w której posadzono nas z innymi gośćmi z małymi dziećmi, była urządzona na kształt wbudowanej w nią chaty. Do ścian przybito framugi okien, a zamiast szyb w przegródkach wstawiono kwadratowe lustra.

Dawało to

surrealistyczny efekt - zewnątrz było wewnątrz było zewnątrz -

spotęgowany

przez nagranie Lizy Minnelli, która z żalem zawodziła nad "smutkiem małych

miasteczek". To wspomnienie zlewało się w moim umyśle z

wyobrażeniem

drugiego pilota, Boba, o zaciśniętej do bólu kwadratowej szczęce, który usiłował sterować spadającą maszyną.

Wylądowaliśmy bezpiecznie, zrobiono nam zdjęcia do gazet i ofiarowano darmowe pokoje u Howarda Johnsona. Następnego ranka wystartowaliśmy ponownie i bez przeszkód dotarliśmy do celu. Lotnisko w Pierre niewiele się

zmieniło od czasu moich wypraw po nasze starsze dzieci, ale drogi stolicy stanu były obludzone. Nie przejąłem się tym jednak. Spodzielając się niepogody, wynająłem sobie monstrum o napędzie kołowym, które agent uparł

się nazywać "pojazdem". Pojazd był wielki, czerwony i niezgrabny, ale roztaczał aurę niezwyciężonego czołgu albo bunkra. Miał też radio, które od

razu włączyłem.

- Fantastyczny Narjini prezentuje magię sułtanów w centrum Dakoty

Południowej - obwieścił entuzjastyczny głos. - Trzy pokazy
dwudziestominutowego tańca brzucha w Silver Dollar w Fort Pierre.

Śnieg padał gęstym, nieprzerwanym ciągiem na autostradę 838. Wiatr
zмагаł

się z rzadkimi na tej trasie ciężarówkami, z których sypała się warstwa
kurzu. Gdyby było ich więcej, brud pokryłby całą drogę, nadając jej tę
samą

barwę, którą miało ponure niebo. Na tle łagodnej linii krajobrazu odcinały
się ostro jedynie olbrzymie metalowe słupy wysokiego napięcia, nieugięte
i

drapieżne, niczym zabawki Władców Wszechświata, przez które
przepląwał prąd

elektryczny. W radio podawano wiadomość o zgonie mieszkańca tego
miasta,

który zginął w katastrofie lotniczej nad Nową Funlandią. Jako chłopiec
ustanowił rekord skoku w dal w Liceum Hoovera.

Tym razem zostałem skierowany do drugiego największego rezerwatu
Siuksów

po Sosnowej Grani, podobnie jak on pogrążonego w nędzy. Różyczka to
ironiczna nazwa, sugerująca świeżość wiosny, podczas gdy Biuro
Ewidencji

Ludności określa je jako najbiedniejszy region Stanów Zjednoczonych, tuż
po

Sosnowej Grani. Pośród panującej tu nędzy bezrobocie regularnie sięga 80
procent, a średnia życia Indianina jest mniejsza niż 60 lat. Miałem się tu
spotkać z Brendą Demery, pielęgniarką Indiańskiej Służby Zdrowia,

kolejną

kursantką Phila Maya. Jej stanowisko i zakres obowiązków były zbliżone do

pracy Jeaneen, choć obejmowały nieco szerszą dziedzinę.

Wioska Różyczka usadowiła się tak nisko w dolinie, jak tylko pozwalają na

to północne równiny. Domy przysiadły na różnych wysokościach wyznaczanych

przez łagodne wzniesienia. Jak na Dakotę Południową jest to stara miejscowość. Podczas srogiej zimy pozamykane drzwi i dymiące kominy tutejszych domów sprawiały równie tajemnicze wrażenie jak inna "Różyczka" -

enigmatyczne hasło z "Obywatela Kane'a". Biuro Brendy mieściło się za szpitalem, w niskim budynku z cegły. Wnętrze oświetlały jasno górne lampy,

ściany zaś obwieszane były znanymi mi już plakatami, które ostrzegały przed

zażywaniem niebezpiecznych substancji.

Brenda była przesadzistą Lakotką w typie kobiety interesu. Uścisk jej dłoni był ostrożny, oficjalny i bezosobowy. Wspomniała, że pochodzi z Fort

Yates w rezerwacie Stojąca Skala, w którym obaj z Adamem otrzymaliśmy nasze

imiona Lakotów. Pracowała również w rezerwacie Żółwia Góra w Dakocie Północnej, gdzie mieszkał dziadek Louise - dawniej wódz plemienia - i jej babcia. Od kilku lat Brenda przebywała w Różyczce, a niedawno

adoptowała

dwójkę dzieci pochodzących z rodzin alkoholików. Dzieci miały wiele fizycznych i rozwojowych problemów, ale nie ZPUP. Nie były aż tak poważnie upośledzone.

- Przed kilku laty Indiańska Służba Zdrowia uświadomiła sobie, jak poważnym problemem jest ZPUP - powiedziała, kiedy usiedliśmy przy włączonym

magnetofonie. - Od tego czasu obserwujemy coraz więcej przypadków.

Gubernator Dakoty Południowej wyznaczył specjalną ekipę do tego zadania.

Działa ona już od roku, ale niestety wciąż nie znamy pewnych sposobów rozpoznawania dzieci z ZPUP. W naszym stanie stwierdziliśmy tylko trzydzieści trzy przypadki, z czego trzydzieści jeden to dzieci indiańskie.

Uważamy, że jest ich zdecydowanie więcej. Większość naszych lekarzy to ludzie starsi, wyrośli w społecznościach, w których pracują, a trudno jest przeprowadzać takie badania w miejscu swego zamieszkania. Ktoś z zewnątrz

mógłby zostać obwiniony o rozpoznanie dziecka z ZPUP. Poza tym w okręgu

Aberdeen nie ma stałej opieki medycznej. Tylko raz zdarzyło się nam mieć w

szpitalu ponad stu dwudziestu lekarzy. Pozostają tu po dwa, trzy, cztery tygodnie i oczywiście, kiedy rodzi się dziecko z ZPUP, nie kwapią się z diagnozą.

Musiałem wyglądać na zaskoczonego jej oświadczeniem, bo

odpowiedziała na

moje pytanie, zanim je zadałem.

- Nie byłoby ich w pobliżu, żeby zajmować się tymi przypadkami, albo nie

chcą martwić rodziców. Poza tym nie potrafią rozpoznać ZPUP, jeśli dziecko

nie ma poważnych uszkodzeń fizycznych. Wiele lekarzy, którzy ukończyli studia jakiś czas temu, słyszeli o tej chorobie, ale mało o niej wiedzą.

Potrzeba pediatry dysmorfologa, lekarza, który specjalizuje się w genetycznych schorzeniach dziecięcych, żeby postawić taką diagnozę, a w tym

stanie nie ma takich specjalistów. Niedawno dowiedziałam się jednak, że jeden właśnie przeniósł się do Sioux Falls i będę próbowała nawiązać z nim

kontakt. Jeśli znajdziemy chore dzieci, znajdą się i środki zaradcze.

Zawsze otwarty na wszelkie nowe możliwości pomocy Adamowi, spytałem, co ma na myśli.

- Dziecko z ZPUP ma prawo do DD, dodatkowej dotacji. Liczne ułomności

fizyczne, z którymi się borykają, kwalifikują je pod grupę inwalidzką. Co pół roku bywa u nich kardiolog, a co trzy miesiące neurolog.

Pomyślałem o środkach zaradczych dostępnych dla Adama, specjaliści szkoleni na Harvardzie, w uniwersyteckim centrum medycznym -jak niewielki

wpływ mieli na jego życie po wielu latach połączonych wysiłków. Pod

wieloma

względami Adam wciąż nie różnił się od chłopców z Projektu Phoenix.

Czy

rzeczywiście jego prognozy na przyszłość byłyby inne, gdyby urodził się i wychował w Różyczce? Gdybyśmy nie pojawili się przy nim razem z Louise?

- W większości przypadków ZPUP, w 80 do 90 procentach, dzieci są zabierane z domów z powodu picia rodziców.

Tak jak w przypadku Adama, choć niewiele to dało. Kiedy się urodził, był

już upośledzony. Pohamowałem się w myślach. Przekroczyłem barierę, która

miała oddzielać mnie jako rodzica od beznamiętnego badacza, kogoś kto bezinteresownie szuka prawdy. Z im większą ilością ludzi rozmawiałem - podczas tego roku rozmów - tym szybciej na każdym spotkaniu dochodziłem do

tego przekroczenia. Aby wrócić na właściwą drogę, zadałem jedno z moich

stałych pytań. Każdy fakt musiał być potwierdzony przynajmniej dwukrotnie,

żebym mógł go przyjąć bez zastrzeżeń.

- Czy matki tych dzieci są starsze?

- Niewiele z nich ma poniżej dwudziestu czterech lat. Dużo zależy od tego, jak długo piją i co - powiedziała Brenda, potwierdzając wnioski Jeaneen i Phila. Teraz ta odpowiedź trafi do teczki z napisem "Prawdziwe".

Przeszedłem do niepewnej kwestii rozpoznawania zespołu
poalkoholowego

uszkodzenia płodu. Brenda wzięła głęboki oddech, zabębniła palcami po biurku i rozejrzała się po pokoju jakby szukając lepszej odpowiedzi od tej, która jej się nasunęła. Miałem wrażenie, że ona również stara się kontrolować swoje emocjonalne reakcje, które ten temat zdawał się wywoływać.

- Trudno to określić. Są różne rodzaje defektów urodzeniowych powodujących opóźnienie w rozwoju bądź problemy w nauce, które nie zostały wywołane przez alkohol. Generalnie należy rozpocząć od historii matki i reszty rodziny. Świadomość ludzi wzrasta. ZPUP ich interesuje, ponieważ dotyczy dzieci. Najtrudniejszą rzeczą jest uświadomić kobietom, że kiedy piją, alkohol przedostaje się do łóżyska i dziecko pije również. Często słyszymy uwagi w stylu: "Ja piję, ale moje dziecko nie. To niemożliwe, żeby moje dziecko piło dlatego, że ja to robię".

Była to znana historia, opowiedziałem jej o przypadkach zasłyszanych w innych miejscach. Gdziekolwiek byłem, napotykałem tę samą reakcję łańcuchową: rodzice, którzy nadużywali alkoholu, płodzili dzieci, które nadużywały alkoholu. Gdzie był tego koniec? Co napędzało to koło: uwarunkowania kulturowe, natura, efekty zespołu poalkoholowego uszkodzenia płodu? Jeśli przyczyną było to ostatnie, jak zaczynałem podejrzewać, niemożliwością było przerwać je za pomocą zwykłych środków.

Brenda wydawała się nie usatysfakcjonowana, jakby chodziło o coś

więcej,

niż chcieliśmy przyznać. Skrzywiła się.

- Musi pan pamiętać, że te dzieci znają i widzą tylko jeden model życia - powiedziała. - Ten, w którym wyrosli. Są jak ich rodzice. Trudno to zrozumieć, ale to jest ich mama i tata, i kochają ich. I pomimo że równie trudno to zrozumieć, mamy i tatusiowie kochają też swoje dzieci. Nie można

stwierdzić, że im na nich nie zależy. Tak, trudno jest pracować z takimi dziećmi. Tłumaczy się im, że ich rodzice byli chorzy. To ważna rzecz w tym

rezerwacie: alkohol nie jest traktowany jak narkotyk, od którego ludzie się uzależniają nie tylko fizycznie, lecz mentalnie i emocjonalnie. Trudno to zmienić nawet lekarzom, którzy pracują tu od dawna.

- 80 procent ludzi, którzy tu przychodzą, jest pijanych - Brenda wskazała sąsiadujący szpital. - Trafiają tu jako ofiary wypadku, zatrucia i tak dalej. To denerwujące. Niełatwo jest wczuć się w ich położenie, ale trzeba zachować neutralność.

Słowa Brendy, beznamiętne, obnażające, absolutnie trafne ukazywały tło tej rzeczywistości, w której mieliśmy do czynienia z ofiarami ofiar. Był to nieskończony łańcuch wywodzący się z historii, rasizmu, ekonomii, czy zwykłego pecha. Tak wiele w tym wszystkim oburzenia i współczucia, tak wiele ludzi, których nie można winić. Nie mogłem się jednak zdobyć na współczucie, którego ode mnie oczekiwano. Osoba żyjąca w świecie, niezależnie od społecznego czy psychologicznego kontekstu, ponosi jednak

większą odpowiedzialność niż nie narodzone dziecko. Do pewnego

stopnia

wybór, niezależnie od tego jak uwarunkowany, został dokonany tylko przez

jedną ze stron w tym smutnym układzie. Myślałem o osobie, którą Adam nie

mógł zostać, o dziecku noszonym przez kobietę, która nie przestała czy nie mogła przestać pić przez dziewięć najważniejszych miesięcy.

Ale nie powiedziałem tego głośno. Moim zadaniem było słuchać, nie angażując się w debatę, w której nie było właściwego stanowiska, nie było jednej odpowiedzi. Nie sądziłem nawet, że mogliśmy się nie zgadzać z Brendą

w najistotniejszych punktach; niezależnie od siły naszych reakcji na szczególny wypadek czy człowieka, gniew zawsze mógł przenieść się tylko z

jednego zrujnowanego życia na drugie. Przeszedłem więc do następnego pytania, które miałem zapisane w notesie. Co robiono w Różyczce, żeby uporać się z problemem?

- Trzeba zaczynać od młodych, im są młodszy, tym lepiej - odparła Brenda.

- Najlepiej, kiedy mają po trzy, cztery lata. Kiedy są w wieku licealnym, jest znacznie trudniej, ponieważ mają już za sobą doświadczenia, ustalony sposób myślenia. Gdybym miała być zupełnie szczerą... - przerwała, wążąc

słowa, po czym podjęła wątek - ISZ stwierdza, że ZPUP stanowi poważny problem. Ale jeśli ktoś w ogóle coś z tym robi, wyklada czy wprowadza inne

formy nauczania, to jest to kropla w morzu. Phil May przyjechał tu ponad

rok temu i zorganizował w rezerwacie sesje treningowe dla dziesięcio-,
trzydziestoosobowych grup. Przesłał nam materiały, ulotki, slajdy,
wszystko, z czym mogliśmy wyjść do naszych ludzi. Po każdej
przeprowadzonej

sesji mieliśmy wysyłać do Albuquerque oceny, które ludzie nam
wystawiali. O

ile wiem, robiłam to tylko ja i Jeaneen. Ludzie wiedzą, że to jest problem,
ludzie mówią, że to jest problem, ale kiedy dochodzi do wyłożenia
pieniędzy

na program albo włożenie wysiłku w dokonanie czegoś, pozostają
jednostki.

Staramy się zrobić wszystko, ale kiedy zostaje się w pojedynkę na
przestrzeni 200 kilometrów... - przerwała i poprawiła kalendarz na biurku.

Wyglądała na przytłoczoną. - Mamy też wiele innych obowiązków. W
samej

tylko Różyczce są dwadzieścia cztery społeczności.

Znów wydawało się, że usłyszała własne słowa i wycofała się ze
wszystkiego, co brzmiało zbyt oskarżycielsko. Nie była to prosta kwestia
złej organizacji czy braku dobrej woli.

We wszystkich rezerwatach ludzie będą mówić, że zdrowie jest bardzo
ważne, że to problem numer jeden. Ale kiedy przyjrzeć się głównym
wysiłkom

plemienia, to całą swoją energię kierują na rozwój ekonomiczny, prawa do
wody, do ziemi, ponieważ są to najbliższe im i najbardziej widoczne
boliączki. Potrzebujemy jedzenia, środków do życia, wypłaty. Trudno jest
tym

Indianom, którzy martwią się o kolejny posiłek czy o paliwo na zimę... trudno im myśleć o tym, co będzie za dwadzieścia lat. Co stanie się z ich dziećmi. Nie widzą dolnej granicy, nie widzą odległych skutków. Widzą tylko

to, co jest teraz. Muszą przetrwać.

Jej słowa rozbrzmiewały w popołudniowej ciszy biura będącego okiem cyklonu.

- Są ludzie, którzy potrafią przewidywać. Przejęci nauczyciele, pracownicy służby zdrowia. Ale w większości ludzie ci pochodzą z zewnątrz.

Nie mieszkali tu przez całe życie, często nie byli przedtem w żadnym rezerwacie. Ich widzenie świata różni się od naszego. Naprawdę istnieje różnica pomiędzy Indianami i ludźmi innych ras, choć oni nie potrafią tego zrozumieć. Rodzina jest ważna, nawet jeśli się w niej pije. Rodzina jest na pierwszym miejscu. Ludzie myślą, że im pomagasz, jeśli nie powiesz glinom,

że piją. Nie chcesz, żeby wpakowali się w kłopoty, więc ich kryjesz. Są przecież rodziną. Tak się robi w rodzinie. I trudno jest im wytłumaczyć, że w rzeczywistości wyrządzają im krzywdę. Że należy pomóc pijącej osobie, nawet jeśli ona sobie tego nie życzy. Trudno jest zmienić prawa społeczności. Dlatego tak wiele jest nadużyć. Głównie wobec kobiet, ale i wobec mężczyzn. To się akceptuje. Akceptowana część życia społecznego. Trudno jest zmienić nastawienie ludzi. Trzeba iść krok po kroku.

Brenda - adopcyjna matka dziecka skrzywdzonego przez alkohol i profesjonalistka zajmująca się na co dzień poradami, zapobieganiem i nauczaniem - była pozbawiona złudzeń. Dała się jednak wplątać, podobnie

jak

wiele ludzi zmagających się z tym problemem, w konflikt lojalności wobec

wyznawanych zasad i przekonań a nieprzyjemną praktyką.

- Wszyscy Indianie są dotknięci przez alkohol do pewnego stopnia - dodała. - Każdy z nas ma jakichś krewnych alkoholików. W niektórych rodzinach idzie się w ich ślady albo pozostaje obojętnym. Trudno jest znaleźć drogę pośrodku.

Rozdział dwunasty

Zimą i wiosną 1986 roku rozmawiałem z lekarzami, prawnikami, rodzicami, przywódcami plemion, nauczycielami, pracownikami socjalnymi, psychologami, doradcami do spraw chemicznego uzależnienia i policją. Z Projektu Cork, bazy informacji komputerowych do spraw alkoholizmu Izby

Rozrachunkowej w

Dartmouth otrzymałem wiele uczonych artykułów, studiów z dziedziny biochemii i badań statystycznych. Przy mojej ograniczonej wiedzy naukowej,

próbowałem nieco rozjaśnić sobie drogę przez nie za pomocą żółtego flamastra. Jeździłem na coroczne zjazdy ekspertów od chemicznych uzależnień, korespondowałem z Ann Sterissguth, psycholog z

Uniwersytetu w

Waszyngtonie, którą powszechnie uważano za specjalistkę z najdłuższym stażem w kwestii ZPUP. Zappełniłem notatkami wiele teczek z tekturowymi okładkami.

Czasem wydawało się, że rzucam strzałkami w pustą ścianę, a gdziekolwiek

trafiam, znajduje się środek tarczy. Nie dostawałem błędnych informacji, ale też żadna z nich nie dawała pełnego obrazu. Bywały całe tygodnie, miesiące, w których traciłem pewność, czy szukam odpowiedzi na pytania o

Adama, alkohol, Indian, kobiety, dezintegrację kulturową, etykę czy ekonomię. Książka, którą zamierzałem napisać - studium narodowych implikacji do zespołu poalkoholowego uszkodzenia płodu - przekształcała się

coraz bardziej w kronikę osobistego poszukiwania zrozumienia.

W miarę jak gromadziłem boleśnie szczere, nie upiększone zeznania innych,

zacząłem się obawiać, że wydrukowanie historii naszej rodziny ukaże hipokryzję mojego nastawienia i motywacji. A przecież nie o to mi chodziło,

nie tego pragnąłem. Nigdy nie zamierzałem pisać autobiografii, nie chciałem

wychylać się spoza tarczy niewidzialnego autorstwa. Niektórzy pisarze tworzą swe postaci na podstawie wizerunków prawdziwych ludzi. Fikcja jest w

tym wypadku ledwo przysłoniętym faktem, ale Louise i ja mamy inne

podejście. Nasze opowiadania, nasze postaci są aktem świadomej kreacji,
a
nie aktorami podstawionymi przez nas. Ta książka z konieczności miała
być
inna.

Przedyskutowałem tę kwestię z Adamem i Louise. Czy zgadzają się, żeby
nasze doświadczenie z ZPUP stało się osnową tej książki? Poświęciłem
dużo
czasu, żeby wytłumaczyć to Adamowi, czytałem mu na głos moje
pierwsze
zapiski, żeby zademonstrować ilość podanych informacji z naszego życia.
Rzadko wykazywał zainteresowanie swoją adopcją czy biologiczną
przeszłością, ale nie tałem przed nim żadnych faktów. Często
rozmawialiśmy
o jego problemach fizycznych i kłopotach w nauce. Zazwyczaj były to
moje
szczegółowe monologi w drodze do gabinetów lekarskich albo na
spotkania ze
szkolnym personelem. Był stałym bywalcem wszelkich poradni i choć nie
wiedziałem, na ile przechowywał podawane mu informacje, z pewnością
był
zaznajomiony z terminologią. Jako antropolog byłem wrażliwy na fakt
czyjejs
zgody wpływającej ze zrozumienia. Nie chciałem, żeby Adam, nie
uświadamiając sobie znaczenia publikacji, zgadzał się na ujawnienie
faktów,

które wolałby zatrzymać w tajemnicy. Jak jednak wyjaśnić komuś, kto rzadko czyta, że obcy ludzie zajrzą do naszego życia, zobaczą nasze słabości i nasze mocne strony, i być może wyciągną wnioski, których byśmy sobie nie życzyli.

Mój zawód nie stanowił specjalnie intrygującej tajemnicy dla Adama. Bardziej interesowało go "gdzie" niż "co". Kiedy więc przedstawiłem mu swoje zamierzenia, nie zrozumiał tylko, dlaczego muszę napisać tę książkę.

Nie widział żadnego sensu w tym, żeby spędzać tak dużo czasu na robieniu czegoś, czego jak powiedziałem, wcale nie chciałem robić.

- Jeśli napiszę tę książkę tak, jak zamierzam - wyjaśniłem - może to, co przydarzyło się tobie, nie przydarzy się komuś innemu.

- Jasne - odparł. Żadna wielka sprawa. Prywatność nie stanowiła dla niego priorytetu.

- Posłuchaj - zaproponowałem. - Jeśli ja opowiadam o swoim i twoim życiu, ty możesz zrobić to samo. Zapisz wszystko, co pamiętasz, dobre i złe rzeczy, i dołączymy to do książki. W ten sposób będziesz mógł opowiedzieć tę historię tak, jak ty ją widziałeś.

Po twarzy Adama przemknął błysk zainteresowania. Pomysł przemawiał do

niego.

- Jak mam to zrobić? - zapytał.

- Po prostu zacznij - poradziłem. - Historia Adama Dorrisa spisana przez Adama Dorrisa. Nie spiesz się i napisz o wszystkim, o czym chcesz.

I tak zrobił. Oglądał nasz album rodzinny w poszukiwaniu inspiracji, przeglądał swoje rzeczy i za każdym razem pisał po kilka stron, zwłaszcza od czasu, kiedy babcia i ciocia podarowały mu używaną maszynę do pisania,

na której mógł tworzyć. Louise przeczytała tekst, kiedy go skończył, ale ja nie. Musiałem zachować niezależną perspektywę, nie mogłem pozwolić, by

nasze historie oddziaływały na siebie. Myślę, że Adam odczuwał pewną satysfakcję z faktu, że obaj pracowaliśmy nad tym samym zadaniem. W naszym

domu jego sypialnia znajdowała się bezpośrednio nad moim gabinetem i czasem

kiedy siedziałem przed komputerem, słyszałem z góry uderzenia w klawisze.

"Historia Adama Dorrisa spisana przez Adama Dorrisa" była

najważniejszym

projektem, nad którym pracował. Był dumny ze swego dzieła i czekał, aż ludzie będą je czytać.

Kiedy skończyłem pisać, wymieniliśmy z Adamem rękopisy i zobaczyłem, że

nasze wspomnienia się uzupełniają. Osiągnięcie Adama stanowiło dla niego

ekwiwalent wymalowania sklepienia Kaplicy Sykstyńskiej. Była to najlepsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobił, znacznie przekraczająca granice jego możliwości, jak sądziłoby wielu.

W chwili, w której Adam podchwycił mój pomysł, straciłem ostatnią wymówkę

dla wycofania się. Właściwie to ocenił: nie chciałem tego robić, nie chciałem ponownie przeżywać bolesnych wspomnień, napisać książki, która

zostałaby zaliczona do gorszej kategorii i ku satysfakcji wielu ekspertów, odniosłaby porażkę z powodu swojej subiektywności. Kwestia zespołu poalkoholowego uszkodzenia płodu poruszała problemy etyczne, na które nie

miałem jasnych odpowiedzi. Zakładało to uwzględnienie teoretycznych i etycznych postaw, które w najlepszym wypadku były dwuznaczne, a w najgorszym przeciwstawiały się moim przekonaniom politycznym.

Grzęznąć

pośród sprzecznych dowodów, odczuwałem równie silny konflikt i poirytowanie

co Jeaneen, byłem równie strapiony jak Brenda i równie sfrustrowany jak Phil. Wszechwiedza była mitem, który dość szybko odrzuciłem. Na tej drodze

nie było znaków. Kiedy decydujesz się mieć dziecko, stajesz się zakładnikiem niepewnej przyszłości. Atrament na kontrakcie jest niewidoczny, jakby spisano go sokiem cytrynowym. Można go odczytać tylko w

jaskrawym świetle doświadczenia. Kontrola jest złudzeniem, a jedyny pewnik to retrospekcja.

Kiedy zgodziliśmy się, by historia naszej rodziny posłużyła za osnowę tej książki, zewsząd zaczęły napływać wspomnienia i analogie. Na przykład dziecko o twarzy wyraźnie wskazującej na ZPUP mogło podejść do mnie na

ulicy. Na przyjęciu w Northfield Louise zepsuła świąteczny nastrój, zakazując profesorce Carleton w ciąży picia wina do posiłku. Przez całą drogę do domu dyskutowaliśmy o tym, czy postąpiła właściwie. Tak - zdecydowaliśmy w końcu - ale takie interwencje nie przysporzą nam wielu

nowych przyjaciół. Miałem podobne zdarzenie w restauracji lotniska Minneapolis. Siedząca przy sąsiednim stoliku kobieta w drugim trymestrze ciąży zamówiła sobie martini.

- Przepraszam - wtrąciłem się. - Niebezpiecznie jest pić w czasie ciąży. Pracuję nad książką...

- Niech pan pilnuje własnych spraw - warknęła i zwracając się do koleżanki, poczęła utyskiwać, jakie to typowe dla mężczyzn myśleć, że wiedzą więcej o jej ciele niż ona sama. Kiedy podano jej drinka, podchwyciła mój wzrok i uniosła kieliszek w moją stronę.

- Na zdrowie - powiedziała biorąc pierwszego łyka.

Jakaś część mnie, chciała wyciągnąć portfel i pokazać jej zdjęcie Adama. Opowiedzieć jego historię. Aresztować ją albo błagać o komórki mózgowie jej

dziecka. Część mnie chciała zapytać ją, czy zamierza napęlić buteleczkę

jej dziecka mieszanką ginu i wermutu i podać mu zaraz po urodzeniu. W ten

sposób zrobiłaby mu mniejszą krzywdę niż teraz. Milczałem jednak.

Odwrociłem się w zakłopotaniu, mając nadzieję, że jest dość młoda, nie zestresowana i dobrze odżywiona, by maksymalnie zneutralizować dawkę trucizny, którą podawała swemu rozwijającemu się dziecku z każdym łykiem,

pełnym samozadowolenia. Nie cieszyłem się z tego, że mam rację.

Zabraliśmy Adama do St.Paul, żeby zbadać jego skrzywienie kręgosłupa. Jego plecy szybko i nieodwracalnie przekrzywiały się w lewo - publikacje naukowe dowodzą, że jest to częsty objaw szkód wyrządzonych przez alkohol.

W Pizza Hut nieustannie lekceważono go z powodu jego wyglądu i konieczności

stałego nadzorowania. Wydawało się, że osiągnął maksymalny dla siebie poziom, poza którym każdy krok naprzód będzie następował rzadziej, wolniej,

aż do zupełnego zaniku. Z wiekiem kontrasty pomiędzy nim a rówieśnikami i

nawet młodszymi od niego dziećmi zaznaczały się coraz wyraźniej.

Zauważyłem, że wycofywał się w samotność i rzadko podejmował jakiegokolwiek

ryzyko.

A przecież nie uczył się na własnych błędach, choć często przyprawiały go

o niewygodę i wściekłość. Zaakceptował ustalony porządek, odmawiając

przystosowania się do zmian zachodzących w otoczeniu. Jeśli latem udało mu

się właściwie włożyć podkoszulkę bez płaszcza, to zachęcony tym, wymykał

się z domu w tym samym stroju w styczniu, pomimo że temperatura sięgała

grubo poniżej zera. Kiedy opanowywał jakąś nową umiejętność, najczęściej

koncentrował się na jakimś jej szczególe i trzymał się go nieugięcie. Cała konstelacja działań, najistotniejsze pomieszane z przypadkowymi, stawała się nierozłączna i żaden szczegół nie mógł zostać pominięty. Nie było gradacji, przemiennych części wewnątrz wzorca, kiedy go już raz uchwycił.

Właściwe ubranie = podkoszulka. I kropka.

W telewizji panuje moda na pokazywanie dzieci upośledzonych jako niezwykle sumiennych, pragnących wszystkich zadowolić, zrobić dobre wrażenie albo wystartować w Olimpiadzie Specjalnej. Wszyscy wokół doceniają

ich pracowitość, wysiłki, czystość ich duszy. Bill, opóźniony w rozwoju bohater, grany przez Mickeya Rooneya w dwóch popularnych "filmach tygodnia"

i ostatnio Benny z "Prawników z Miasta Aniołów" to postaci, których nie sposób nie podziwiać. Równoważą swoje ułomności z godną szacunku siłą,

będąc przykładem nie zepsutego człowieczeństwa, dziećmi natury, których wewnętrzną szlachetność natychmiast rozpoznałby Rousseau.

Adam nie był taki. Choć znałem go jako słodkiego, łagodnego i wspaniałomyślnego, twarz, którą pokazywał światu, była ponura. Unikał pracy za wszelką cenę, nie zwracał uwagi na własny wygląd, brakowało mu motywacji i tylko czasem mówił prawdę. Jego nastawienie zniechęcało nawet tych, którzy z początku entuzjastycznie podchodzili do pracy z nim. Większość, nawet w tak zwanych zawodach opiekuńczych, potrzebuje jakiejś reakcji na swoją pracę, potwierdzenia postępu albo wdzięczności, ale Adam z niewiadomych przyczyn rzadko w ten sposób reagował. Brał, co mu dawano za darmo, zazwyczaj współpracował przy jakimś przedsięwzięciu, dopóki uwaga była skierowana na niego, ale kiedy nacisk ustępował, zapominał o wszystkim, czego go nauczono. Nie był specjalnie wdzięcznym materiałem i z wyjątkiem kilku rzadkich przypadków wciąż patrzyliśmy, jak ludzie tracą wiarę w jego możliwości. Słabło również ich oddanie do pracy z nim. Kiedy Adam przekraczał limit ich wyznaczonej odpowiedzialności jako nauczycieli czy pracowników socjalnych - nawet jeśli pracowali z nim codziennie od miesięcy czy lat - usuwali się z naszego życia. Niewiele więzów przetrwało dłużej, niż wymagał tego kontrakt. Nie chodziło tu o zwykły brak

współczucia. Gdyby upośledzenie Adama obejmowało dodatkowo sklerozę, ślepotę, dysleksję czy epilepsję, głuchotę albo jąkanie się, myślę, że bardziej przejmowałiby się nim przydzieleni pracownicy służby zdrowia. Oczywiście miał szereg dolegliwości fizycznych - trzy razy dziennie zażywał dwa leki kontrolujące jego ataki; miał problemy ze słuchem, wzrokiem i zachowaniem równowagi, skrzywienie kręgosłupa, zbyt duże i liczne zęby jak na jego usta i kłopoty z koordynacją ruchów.

Ale jego największym problemem, cechą, z którą najtrudniej było się pogodzić światu, był brak szczególnego typu wyobraźni. Nie umiał, nie umie, zobaczyć siebie w przyszłości: "Jeśli postąpię x, to stanie się y (dobrze lub źle)". Jego ocena konsekwencji była tak niejasna, a jego stosunek do jakiegokolwiek działania tak konserwatywny, że wydawał się zwykłym uporem.

Żył w czasie teraźniejszym, z rzadkimi odniesieniami do przeszłości.

Każde

sięgnięcie w przyszłość było skokiem w niezmierną otchłań, czasem zbyt

płytką, czasem bezdenną, więc zazwyczaj wszystkimi siłami zapierał się przed tym skokiem.

A kiedy już robił krok naprzód, ostrożnie albo "nie mając nic do stracenia", podejmował błędne decyzje, dostrzegał tylko fragment obrazu, brał wszystko zbyt dosłownie lub zupełnie lekceważył szczegóły. Jeśli

pozostawialiśmy mu przyjmowanie leków, mógł wziąć naraz całodzienną dawkę, żeby "mieć z nimi spokój", albo włożyć do szuflady, żeby "nie zabrakło". Potrafił wziąć dolara z mojego portfela, nawet jeśli miał dziesięć własnych "ponieważ chciałem zaoszczędzić swoje". Pytanie "dlaczego" nigdy nie miało dla Adama wielkiego znaczenia. Łańcuch przyczynowo-skutkowy, który ono implikuje, nie przemawiał do niego.

W kwietniu, podczas wizyty w Little Wound - szkole, w której uczyło się 750 uczniów od klasy zerowej do dwunastej w Kyle w rezerwacie Sosnowa Grań

- przeprowadziłem długi wywiad z Moną Richards, ekspertem w dziedzinie

edukacji specjalnej, Elaine Beaudreau, zastępcą prezesa Plemiennego College'u Oglala Lakota, i Sharon Cuny, nauczycielką pierwszych klas.

Mona

i Sharon adoptowały dzieci z rozpoznanymi upośledzeniami zespołu poalkoholowego uszkodzenia płodu. Od pierwszego słowa przestaliśmy kontrolować przebieg naszej rozmowy. Słuchając ich doświadczeń jako matek i

nauczycielek, miałem powracające uczucie déjà vu. Porozumiewaliśmy się hermetycznym językiem, słownikiem pozbawionym upiększeń, przeprosin czy

wykrętów. Nie musieliśmy hamować naszych wzruszeń, pokrywać niepokoju

uczuciami rodzicielskimi - które przyjmowaliśmy jako dane nam - wolno nam było mówić prawdę taką, jaką poznaliśmy. Na dwie godziny otworzyliśmy drzwi do naszych sekretnych pokoi i przemieszaliśmy osobne światy zamieszkiwane przez nasze rodziny.

Spotkaliśmy się w jasnej, pustej klasie. Pod sufitem niczym granica biegła linia alfabetu. Każda literka była przedstawiona na obrazku. Na gazetce ściennej wisały rysunki uczniów na Dzień Matki, który wypadł za parę tygodni. Słońca były żółte, niebo niebieskie, a przed domkami z dymiącymi kominami patykowate kobiety trzymały za ręce patykowate dzieci.

Mona zaprosiła mnie na lunch w kafetrii, ale zapytałem, czy moglibyśmy porozmawiać w jakimś ustronnym miejscu. Wszystkie trzy przyniosły sobie kanapki, więc nie miały nic przeciw temu. Usiedliśmy na małych drewnianych krzeselkach ustawionych w kole, jakby dla grupowego czytania. Kiedy mówiliśmy i słuchaliśmy, pochylaliśmy nasze zbyt duże tułowia do środka. Na początku, kiedy się poznaliśmy i wymieniliśmy informacje biograficzne, nasze głosy były stonowane, ostrożne, ciche jak w bibliotece. Ale już po kilku chwilach salę wypełniły nasze oświadczenia.

Przynajmniej jedna trzecia uczniów w każdej szkole w rezerwatach ma

problemy emocjonalne albo problemy z nauką. Po przyjrzeniu się ich rodzinom

i sprawdzeniu, ile się w nich pije, problemy te można przypisać ZPUP albo EPUP, oceniła Elaine. Była energiczną, konkretną kobietą Lakota, długoletnią mieszkanką Sosnowej Grani. Ukończyła college i zrobiła dyplom w

St. Scholastice w Wyoming. Bił od niej autorytet i pewność siebie. ZPUP nie

był dla niej nowością, nie pierwszy też raz otwarcie wygłaszała własne zdanie.

- Spora grupa uczniów podlega pod kategorię EPUP, i co się z nimi robi?

-

ciągnęła. - Ile czasu poświęćcie na pracę nad ich rozkojarzeniem, złym zachowaniem i brakiem koncentracji? Możemy pójść dalej: co robimy jako

społeczeństwo, to znaczy rezerwat, dla następnego pokolenia, jeśli połowę naszej ludności będą stanowili dorośli z EPUP?

Zapytałem, w jakim stopniu był to już problem ludzi dorosłych.

- Prawdopodobnie mamy dwa lub trzy pokolenia ludzi z EPUP - odparła Elaine. - Nasi dziadkowie albo ludzie już nieżyjący też mogli mieć ten problem.

- Czy matki wychowują swoje dzieci z ZPUP? - To pytanie zadawałem za każdym razem, ponieważ dotykało dwóch kluczowych kwestii - obiektywnej i

subiektywnej. Ile kosztowała społeczność, szczególnie tak biedne jak Sosnowa Grań, kobieta pijąca w czasie ciąży? I co z Adamem? Jaka była

jego

droga do naszej rodziny?

Sharon odpowiedziała bardzo emocjonalnym monologiem. Była bladą, szczupłą, młodą kobietą o jasnobrązowych włosach, ubraną w jasne odcienie

zółci i błękitu. Nie wyglądała na zażartą wojowniczkę, którą była.

- Adoptowałam mego synka w wieku pięciu lat. Jego matka porzuciła swoich

dwanaścioro dzieci. Po sześciu latach od czasu adopcji zapragnęła je odzyskać. Dostała czworo, a opieka społeczna kazała jej na tym poprzestać,

bo nie dałaby rady wychować wszystkich. Przestała pić, wróciła i powiedziała sędziemu, że chce je odzyskać. Dostała jeszcze trójkę, miała więc już siedmioro. A po miesiącu zaczęła znowu pić.

Nagle zadzwonił telefon, telefon z pogotowia, przeraziłam się, że on nie żyje, mogłam myśleć tylko o tym. "Czy on żyje? Nic mu nie jest?" - pytałam, kiedy zadzwonili.

"Tak, ale musimy go pani odesłać - odpowiedzieli. - Chce go pani?"

Była to podbramkowa sytuacja i trzeba było go natychmiast zabrać z domu.

Dwie ostatnie noce spędził u dyrektorki szkoły... Kiedy wrócił, bardzo cofnął się w rozwoju, był niemal jak niemowlę. Powrót do dawnego stanu zajął mu rok. Teraz jest lepiej, ale już nigdy nie pozwolę sądowi go zabrać.

Jako jedyny z całej dwunastki ma pełny ZPUP, reszta ma EPUP o różnym

stopniu. Ma wszystkie objawy, od porażenia mózgowego po epilepsję,
niski

wzrost, skrzywienie kręgosłupa, nie prostuje się, chodzi na palcach.

Biedny

dzieciak. Miał jednak dość szczęścia, że inteligencja pozwala mu na naukę
w

normalnej szkole. Choć w tym uśmiechnął się do niego los.

Czego mogę się spodziewać w przyszłości? Czego oczekiwać po nim?

Czy

poradzi sobie beze mnie? Jest bardzo uzależniony od innych. Wiele rzeczy
potrafi, ale nie radzi sobie z podstawowymi sprawami w życiu. To bardzo
trudne. Czy dożyje osiemnastu lat? Czy kiedykolwiek nauczy się brać
kapiel,

myć zęby i wykonywać podstawowe czynności?

- Tak - zapewniłem ją. - Mój syn potrafi. Ale któregoś dnia patrząc jak
wiąże buty, pomyślałem: "To rok mego życia".

- Przynajmniej rok - roześmiała się Sharon, a potem uśmiechnęła do
mnie.

- Myślę, że więcej.

- Prawdziwy problem stanowi motywacja - wtrąciła Elaine. - Pracują nad
tym pedagodzy, nauczyciele i pracownicy opieki społecznej. Ludzie z
EPUP są
apatyczni, nie zależy im na niczym, wydają się być pozbawieni woli i
pragnienia przetrwania. Nie mają pomysłów ani koncepcji na zrobienie
czegokolwiek poza tym, do czego są przyzwyczajeni. Wstają rano i zjadają
miseczkę płatków owsianych, ponieważ powiedziano im, że muszą to

robić w

określonym czasie, i to wszystko, co robią. Nie myślą o niczym więcej.

- Podobne kłopoty z motywacją widziałam u dorosłych z EPUP.

Przychodzą do

mojego biura i serwują mi teksty w stylu "Nie zależy mi na tym", "Nie wiem,

dlaczego zrobiłem to czy tamto". Nie rozumieją własnych uczuć, tego, co dzieje się w nich. Co więcej, wielu z tych ludzi jest, już rodzicami, więc dają przykłady takiego samego zachowania swoim małym dzieciom.

Gdzie więc

przebiega podział, rozpad? Czy to fizyczny problem versus wyuczone zachowanie? Skomplikowane.

Słuchałem Elaine myśląc, że ludzie, którzy nie słyszeli o zespole poalkoholowego uszkodzenia płodu, nie zrozumieliby tego, co mówi.

Pomyślą:

"Cóż, jasne, że wielu ludzi nie ma wystarczającej motywacji, ale nie można

tego przypisywać picciu matek". Pomyślą, że Elaine, Sharon, Jeaneen i ja zadowalaliśmy się łatwym wyjaśnieniem każdego dysfunkcyjnego zachowania,

kładąc je na karb alkoholu, który był kozłem ofiarnym, wytłumaczeniem wielu

problemów każdego społeczeństwa w każdym momencie historycznym.

Kto mógłby

udowodnić tak niejasny związek przyczynowy? A przecież, choć różniło nas

pochodzenie i doświadczenia, doszliśmy do pełnego porozumienia. Elaine mówiła o czymś ważnym i prawdziwym.

Mona, nauczycielka specjalna, była adopcyjną matką chłopca dotkniętego

piciem w czasie ciąży. Ta pełna ciepła, inteligentna Lakotka niedawno powróciła do Sosnowej Grani otrzymawszy dyplom z socjologii w stanowym

college'u Black Hills i ukończywszy kursy z dziedziny poradnictwa.

- Późno zaczęłam się rozwijać - przyznała, mówiąc o latach pracy przed pójściem na studia i zdobyciem stopnia naukowego. - Pamiętam, że na zajęciach z psychologii i socjologii mówiło się o "zatrzymaniu" w rozwoju.

Zastanawiałam się, dlaczego te dzieci nie rozwijały się normalnie.

Zainteresowałam się moimi własnymi krewnymi, którzy mieli malutkie dzieci.

Wiedziałam, że zawsze dużo pili i zastanawiałam się, czy ich dzieci też były "zatrzymane w rozwoju" i czy było to powiązane z piciem, nieprawidłowym odżywianiem czy zaniedbaniem emocjonalnym. Trudno było tego

dociec. Dlatego tak bardzo podziałało na mnie odkrycie ZPUP.

Jest greckie słowo, które określa owo "zatrzymanie" w rozwoju. W dosłownym tłumaczeniu oznacza ono marnotrawstwo albo postępujące wyniszczenie. Przypomniałem sobie pierwsze zdjęcie Adama, które widziałem.

Same kolana, łokcie i ogromne ciemne oczy.

- Mówią o nas "Damy z Z\$ń\$ń" - zażartowała Elaine, przywracając mnie

do

teraźniejszości.

- Wciąż trafiamy w próżnię - uwagi Mony wypływające z jej zawodowego i

osobistego doświadczenia były przerażająco trafne.

Na każdym nowym poziomie szczerości, który osiągnęliśmy, cała nasza czwórka przystawała dla zaczerpnięcia oddechu, upewnienia się co do aprobaty pozostałych przed kolejnym krokiem naprzód. W tym jasnym, promieniującym sztucznym świetle, pragnęliśmy być bezbronni i całkowicie

otwarcu.

- (Uczniowie z ZPUP lub EPUP) nigdy nie robią więcej niż to, czego się od

nich wymaga - mówiła Mona. - Niektórzy mają nawet problemy z opanowaniem

podstaw. Mają duże trudności z nauką pisania i czytania i z prostymi czynnościami życia codziennego. Brak im motywacji i woli. - Uniosła, a potem opuściła ramiona. - Tak wiele dzieci w tej klasie potrzebuje zaledwie

otuchy.

To słowo nas poruszyło, wskazało na nasze własne potrzeby.

- Sądzę, że nie tylko one - wypowiedziałem na głos to, co wszyscy czuliśmy.

- Mój syn ma duże trudności - ciągnęła Mona, przechodząc do spraw osobistych - Brak mu zdolności rozumowania. Sądzę, że z czasem można się

nauczyć myśleć o różnych sprawach, rozważać je. Brak mu również cierpliwości i jeśli nie dostanie czegoś natychmiast - strzeliła palcami - to nie usiądzie i nie zastanowi się nad rozsądnym wyborem. - W tej niemal konspiracyjnej atmosferze wymiany wewnętrznych przeżyć i obaw, odważyłem się na hipotezę, której nie mógłbym udowodnić.

- Co się dzieje, kiedy te dzieci zaczynają dorastać i później? - zapytałem i zaraz zaproponowałem odpowiedź na to pytanie. -

Podejrzewam, że

wiele dzieci, które popełniają samobójstwa, nie wyobraża sobie siebie jako martwych. Jest to czysto spontaniczne działanie. Wiele z nich kradnie albo zażywa groźne substancje, bo w pewnym sensie nie są w stanie tego właściwie

ocenić. - Mona kiwnęła głową.

- Parę dni temu był tu mały chłopiec, który próbował wdychać kredę. Próbuje niemal wszystkiego. - Wróciła do przykładu swego adoptowanego syna,

Kevina. - Samochód przejechał mu po stopach, bo nie przyszło mu do głowy,

żeby rozejrzeć się przed wejściem na jezdnię - powiedziała. - Mam koszmary

nocne o tym, co będzie, kiedy dorośnie i zacznie brać narkotyki. Co będzie wtedy? Nie potrafi po prostu przemyśleć sprawy i powiedzieć, że coś jest złe. Każdy może go podpuścić i kazać mu coś zrobić. Jego życie składa się z

reakcji, sam nie podejmuje żadnych decyzji. Jeśli nauczyciel jest w

dobrym

nastroju i dobrze się z nim czuje, będzie miał wspaniały dzień i dużo się nauczy. Jeśli ktoś inny coś mu zrobi, na przykład jakieś dziecko puknie go ołówkiem, jego stan ulegnie zmianie. Tak wygląda jego życie. Czy kiedykolwiek będzie w stanie poprowadzić samochód? Czy potrafi utrzymać

pracę i wziąć za siebie odpowiedzialność? W maju skończy trzynaste lat, a

jest wzrostu moich uczniów z trzeciej klasy. Jest w piątej klasie, a powinien być w siódmej. Adoptowałam go w wieku pięciu lat, a wciąż nosił

pieluszki i był wielkości niemowlęcia. Dużo jednak zmieniło się od tamtego

czasu i pomimo jego trudności, traktuję go jak normalne dziecko. Muszę pilnować, żeby ćwiczył. To konieczne dla jego ścięgien. Nie może dotknąć piętą ziemi. - Aby to zademonstrować, przycisnęła palce stóp do ziemi, a potem bezskutecznie usiłowała dociągnąć piętę. Wyraz jej twarzy był odbiciem godzin przepracowanych z synem. Była to maska bólu, wyglądała na

osobę, której nagle kazano opatrzyć jątrzącą się ranę albo nastawić złamaną kość.

- Kazano mu wykonywać to ćwiczenie przez dwadzieścia minut dziennie

-

pracowicie pchała piętę niżej i niżej. - To dla niego tortura. Płacze, chodząc na palcach po pokoju. Czuję się, jakbym skazywała go na mękę.

Wszyscy w domu pytają: "Jejku, mamo, musisz mu to robić?"

Odpowiadam im, że

tak. Ostatnio jednak próbuję go nakłonić, by sam wykonywał ćwiczenie.

Ale

on wciąż odmawia. Dałam mu program dnia i przyczepiłam do

wewnętrznej

strony drzwi szafki, żeby nie czuł się zawstydzony przed innymi. Ma tam

napisane: "Kiedy wracam do domu, przebieram się. Odrabiam lekcje,

wypełniam

obowiązki, ścielę łóżko i składam ubranie." Wszystko to wypisałam jedno

po

drugim. "Kiedy wstaję myję zęby, kąpię się, myję twarz, czeszę się,

zakładam czyste ubranie". Chodziłby przez cały tydzień w tych samych

ciuchach. Jest mu to obojętne. Zupełnie się tym nie przejmuje.

A potem jedzenie. Siada przy stole i czeka, aż nałożę mu na talerz. Nie

je, kiedy z kimś rozmawiam albo kiedy ktoś nas odwiedza. Jeśli położę coś

na jego talerzu, zjada to, a potem wstaje i odchodzi. Koniec. Nie je nic

poza tym. Próbuję go namawiać: "Weź sobie coś ze stołu i połóż na

talerzu..." Może nie jeść przez całe dni, jeśli mu nie podam. Potem

choruje. Jeśli się go dobrze nie odżywia, choruje na wszystko, od

zapalenia

ucha po grypcę. Dbam o to, żeby dostawał witaminy, upewniam się, że je,

że

się kąpie.

Słuchałem zafascynowany, myśląc o wielu listach, które sam

wypisywałem i

wieszałem Adamowi na lodówce, o tym jak zmieniałem mu pieluchy w wieku

pięciu lat, jak wciąż muszę mu przypominać, by wziął leki przeciwkonwulsyjne. Jeśli się mu nie przypomni, nie wykąpie się, nie zje ani nie zmieni ubrania. Oczywiście, że ten chłopiec z Sosnowej Grani i mój

syn w New Hampshire mogli przypadkowo mieć te same zachowania.

Przypadkowo

matki ich obu piły, a oni mają podobne fizyczne defekty. Może to również przypadek, że adopcyjna matka tego chłopca ubolewa w ten sam sposób co Louise i ja przy podobnych okazjach. Ale w tym pokoju, tego dnia, cała nasza czwórka zanegowała ostrożne pojęcie przypadkowości.

Odnaleźliśmy

wspólne wyróżniki. Mona i ja patrzyliśmy na siebie bez słów.

- Jest coś, absolutnie poza nauką, co nie pozwala mi na porozumienie z moim synem - powiedziała Mona. - Narzucam mu wiele rzeczy, które, jak sądzę, wzbogacają jego życie i których, jak sądzę, on pragnie. Potem zaś czuję się źle, bo on nie może mieć tego, czego, jak sądzę, pragnie. Kiedy jednak patrzę na to realistycznie, widzę, że jest inny niż ja. EPUP

sprawia, że nie zależy mu na tych samych rzeczach. Wspólne wyjście na obiad

z całą rodziną to dla niego przykry obowiązek. Słyszy wciąż: "Usiądź prosto, żuj z zamkniętą buzią, połóż serwetkę na kolanach, bla, bla, bla." Wolałby nigdzie nie chodzić, zostać w domu i powtarzać jakieś zadanie.

Na

jego miejscu miałabym tego dosyć, ale on patrzy na to inaczej.

Zaakceptowanie tego zajęło mi bardzo dużo czasu, ponieważ mamy skłonność do projektowania naszych osobowości na nasze dzieci. Może to jest klucz do terapii, może są różne style życia, których nie rozumieją ludzie zdrowi, a które są spełnieniem dla osoby z EPUP. Nie wiem tylko, gdzie ich szukać.

Nikt z nas nie wiedział. Patrzyliśmy na siebie, oczekując pomysłów, sugestii, propozycji, ale słowa Mony zawisły w pokoju, nie dopuszczając łatwych odpowiedzi.

- Próbujemy zmienić prawo plemienne - Elaine przełamała milczenie po długiej przerwie i zmieniła nastrój.

Nieodmiennie wracaliśmy do prawa, do zewnętrznego przymusu wobec braku samoograniczeń. Pozbawienie wolności wydawało się ostatnią deską ratunku.

Znowu ludzie, z którymi rozmawiałem, szczególnie ci, którzy na co dzień mieli do czynienia z niewinnymi ofiarami pijących matek, dochodzili do smutnego wniosku, że żadna wolność nie jest warta życia z ZPUP. "Nie rób

drugiemu, co tobie niemiłe", poucza najstarsza zasada życia społecznego. Jest to reguła, "imperatyw moralny", według Immanuela Kanta, leżący u podstawy wszystkich kultur. Niezbędny warunek przetrwania, choć być może w

swych subtelnych odmianach nie jest częścią naszego naturalnego instynktu,

może trzeba go sobie narzucić. Jeśli pierwotne instynkty nie działają w harmonii, to po to spisano prawa, których należy przestrzegać.

- Rozmawialiśmy o kwestii prawnej - Mona obracała żółty ołówek między kciukiem a palcem wskazującym prawej dłoni. - Te dzieci są napastowane jeszcze przed urodzeniem. W końcu zdobyłam dokumenty na temat nadużyć wobec płodu. Mąż Jeaneen Grey Eagle skazuje kobiety w ciąży, które nie przestają pić. Chcemy porozmawiać z nim o prawie plemiennym i sprawdzić, jaki paragraf stosuje.

- Jakie są na to reakcje? - spytałem. Te kobiety były o wiele bardziej zdecydowane działać niż ja. Zanalizowały sytuację i wyznaczyły sobie cel.

- Jesteśmy prawdziwymi pionierkami - odparła Elaine. - Przedzieramy się do przodu.

- Napotykałyśmy bardzo duży opór - wtrąciła Mona. - Prawdopodobnie z powodu powszechnego alkoholizmu. Mówi się o tym dopiero od ostatnich pięciu lat.

Odbywają się też spotkania grup AA, ale niektórzy twierdzą, że to pranie mózgow.

- Jeaneen mówiła mi, że ludzie mają już dość wiadomości na temat ZPUP

-
powiedziałem. - Jedna grupa nie przychodzi na spotkanie, ponieważ twierdzi,

że słyszała to już przedtem, a inna mówi: "Piłam w czasie ciąży, a moje dzieci są zdrowe".

- Sama mam dość wiadomości na temat ZPUP - Elaine wzięła głęboki

oddech i

dotknęła jednego z turkusowych pierścieni na palcu. - Odpowiedź jest bardzo

prosta: nie pij. Tylko dzięki abstynencji twoje dzieci nie będą miały ZPUP.

Nic nie może się równać z przebudzeniem wiosny na równinach. W arktycznej

szerokości geograficznej zimy są srogie, styczniowa ziemia zamarza pod kilkucentymetrową warstwą lodu, a ryby mogą przetrwać tylko w głębokich

jeziorach, gdzie pod lodem pozostaje jeszcze dość tlenu. Całkowity kontrast

do temperatur wskazywanych na termometrach stanowi absolutny cud roztopów w

Dakocie. Jednego marcowego dnia zamieć i zimny wiatr obniżają temperaturę

do -15 stopni, a następnego popołudnia ciepły Chinook rozwiewa wspomnienie

o mrozie. Wiosna, nawet bardziej niż żywa jesień, jest łagodną strefą pomiędzy niewiarygodnym zimnem a niezwykłym upałem. Jest przejawem

normalności na ziemi, na której temperatury w lipcu i sierpniu sięgają czterdziestu paru stopni. Podmokłe żyzne pola, wygładzone niegdyś przez olbrzymi lodowiec, zamieniły się potem w dno morza wewnątrz lądu, a teraz

jako bogata gleba gliniasta rywalizowały z każdym miejscem na świecie o

miano najbardziej gościnnych dla płodów ziemi. Wiosna nie tyle stanowi przerywnik pomiędzy wielkim przesileniem zimy i lata, co łagodną oazę, w której chronią się istoty ludzkie - nie muszą dorzucać do pieca ani włączać klimatyzacji.

Był koniec kwietnia, wróciłem do Dakoty Południowej na dłuższy czas.

Moja

wędrówka zatoczyła koło przez Aberdeen, gdzie spotkałem się z wieloma administratorami lokalnych oddziałów Biura do Spraw Indian, dalej małe rezerwy Fort Thompson, Wronią Zatokę i Różyczkę, po Sosnową Grań i Kyle,

w którym rozpoczął się dla mnie ten etap podróży, podczas spotkania z Jeaneen. W ciągu minionych dziewięciu miesięcy nie tylko zbierałem informacje, ale przenosiłem też nowiny z jednego przyczółka walki z ZPUP do

drugiego. Przewoziłem strategie, środki i wieści o pojedynczych sukcesach.

W mojej walizce znajdował się zbiór materiałów prewencyjnych i edukacyjnych

opracowanych w myśl różnych programów. Były to afisze, ulotki, zakładki,

plakaty. Niektóre miały bawić, inne przerażać, ale wszystkie ostrzegały kobiety przed niebezpieczeństwami picia w czasie ciąży. Były to drukowane z

nadzieją produkcje niskobudżetowe, przypominające wojenne apele do cywilnej

ludności zrzućane z samolotów. Trudno było sobie wyobrazić dokładny scenariusz, który potwierdziłby ich skuteczność. Niewiele typowych matek, które rodziły dzieci z pełnym ZPUP, byłoby zainteresowanych przeczytaniem którejkolwiek z nich, ale przecież mogło tak się zdarzyć. Ktoś mógł utknąć w korku za jakimś samochodem i zostać zmuszony do przeczytania ulotki przyklejonej do bagażnika.

Jechałem nocą na północ przy otwartych oknach. Chłodne, wilgotne powietrze - pozostałość po popołudniowej burzy, - obmywało mi twarz.

Droga

była tak prosta, że dobrze wyważony samochód mógł pokierować się sam.

W

panujących ciemnościach jedyne przypomnienie faktu, że jestem na ziemi, a

nie na jakiejś niezamieszkannej planecie, stanowiły odległe światła na gankach swoich domów. Zatrzymałem się dwukrotnie: żeby zadzwonić do

Louise z samotnej budki i podzielić się z nią zadziwieniem nad pogodą, a potem, żeby po prostu postać na wietrze, posłuchać ciszy w zachwycie.

Aberdeen jest małym miastem, któremu ważności przydaje siedziba władz

federalnych. Wygląda jak stolica administracyjna okręgu. Budynki z cegieł są tu zbyt duże i solidne, by mogła je zamieszkiwać wyłącznie ludność cywilna. Także zbyt duża ilość moteli i jadłodajni "domowych" ma pomieścić

strumień oficjeli i petentów, których przyciąga tu regionalna siedziba BSI. Czyste przedmieścia mówią o pewności zysków służby obywatelskiej, gwarantowanych na całe życie. W godzinach lunchu mieszkańcy wykazują ogólnie pewną ociężałość, ich kroki niezmiennie kierują się z biura do Kuchni Wiejskiej Perkinsa czy Złotego Rondla. Aberdeen zdaje się być chronione przez potrójnie splecioną czerwoną taśmę, która zaklętym kręgiem odpiera każda niepożądaną inwazję.

Nawet nazwa miasta sugeruje aurę porządku, zapobiegliwości, czystości, co

jak na ironię stanowi kontrast do wyborców, którym ma służyć. Z perspektywy

Barren Butte w Stojącej Skale albo szczytu wzgórza w Wounded Knee, gdzie w

końcu dziewiętnastego wieku Wielka Stopa i stu czterdziestu pięciu jego ludzi, mężczyzn, kobiet i dzieci, zostało zmasakrowanych przez strzelców Hotchkinsa z VII Kawalerii, rzeczywistość wygląda inaczej, bardziej brutalnie. Dla większości ludzi życie w rezerwach, na wyznaczonych "terenach" Biura do Spraw Indian, jest ostre, chaotyczne i krótkie. Pod cienką zasłoną oficjalnej polityki panuje chaos, którego nie zdoła uporządkować żadna schludna kategoria ani drukowany przewodnik federalny.

Aberdeen jest nic nie znaczącą, a przez to zwodniczą etykietką dla tragicznego dziedzictwa wymuszonej asymilacji, gwałtu, nieuczciwości i obojętności. Etykietka ta jest tak zwykła, powszednia, że zakrywa chaos, zagłusza tumult, zaciemnia głupotę pozornego zarządzania i

krótkoterminowego planowania. Aberdeen w Szkocji usadowiło się bezpiecznie na granitowej skale ponad łoskotem Morza Północnego. Na otoczonym lądem obszarze Dakoty jego aluminiowe boka graniczą z Sosnową Granią.

Spotkałem się z Sandy Karlsaard, koordynatorką programów edukacji specjalnej w połowie dotowanych przez państwo szkół w tym regionie, łącznie z Marty, Whirlwind i Wahpeton, gdzie od trzydziestu lat uczyli rodzice Louise.

- Według prawa kategoria zespołu poalkoholowego uszkodzenia płodu nie istnieje - poinformowała mnie Sandy. - Podlega on pod kategorię "inne problemy zdrowotne", w której określone medycznie czynniki wpływają na zdolność do nauki, rozumie pan? Wydawało się nam właściwe, żeby włączyć ZPUP do tej kategorii z zastrzeżeniem, że musi on zostać rozpoznany przez lekarza. Nie przez asystenta, pracownika socjalnego czy pielęgniarkę.

Potrzebna jest autentyczna diagnoza lekarska. Wydaliśmy notę mówiącą o tym,

że oficjalnie podłączamy ZPUP pod kategorię "innych problemów zdrowotnych"

i że dzieci te mają prawo nie tylko do edukacji specjalnej, lecz do

wszelkich istniejących usług, łącznie z terapią ruchową, zajęciową, terapią mowy i tak dalej. W ten sposób sobie z tym radzimy. Wiadomo poza tym, że ze względu na liczne aspekty socjologiczne i psychologiczne, nie zawsze łatwo tę diagnozę ustalić. Wiele symptomów zachowań w klasie wskazywałoby na opóźnienie umysłowe, czasem zaś przy normalnej inteligencji występują inne objawy... rozproszona uwaga, rozkojarzenie. Sugerujemy również, żeby niektóre dzieci były traktowane jako EPUP, choć nie rozpoznano u nich tego zespołu. To taki rodzaj nieoficjalnego terminu.

Sandy była doskonale ubrana. Miała na sobie niebieski kostium i złotą szpilkę w klapie zakietu. Jej włosy były precyzyjnie uczesane, a makijaż i lakier na paznokciach wyjątkowo dobrane. Robiła wrażenie kobiety, która trzyma cugle w dłoni tak, aby drużyna, którą powozi, nie wymknęła się jej spod kontroli. Wyraz jej twarzy mówił, że nie lubi "rodzaju nieoficjalnego terminu".

- Jak wiele odwołań wpływa do pani biura wobec rozpoznania zespołu poalkoholowego uszkodzenia płodu albo efektu poalkoholowego uszkodzenia płodu? - zapytałem jej językiem.

- To bez znaczenia. Wypływają one z niechęci.

Wspomniałem, że szkolna pracownica socjalna z Sosnowej Grani powiedziała

mi kilka miesięcy temu, że jej zdaniem 40 do 50 procent dzieci w jej szkole

było w różnym stopniu dotkniętych przez picie swych matek.

- Znowu mamy tu do czynienia z prywatną opinią sprzeczną z "oficjalną dokumentacją" - stwierdziła Sandy. - To oficjalna dokumentacja jest bez znaczenia, a nie opinia. Opinia... - podkreśliła to słowo, by zaznaczyć rozróżnienie. - Wiemy, że badania Indiańskiej Służby Zdrowia uważają to za

główną przyczynę opóźnienia umysłowego u dzieci. Mam wiele różnych materiałów podawanych do wiadomości publicznej, być może okażą się panu pomocne.

Chciałem dotrzeć do sedna rozdźwięku pomiędzy kryzysem, o którym słyszałem i który oglądałem przez ostatni rok, a niską oficjalną statystyką podawaną do urzędu centralnego. Czy problem narodził się z prostej ignorancji? Czy lekarze nie umieli postawić właściwej diagnozy?

- ZPUP odkryto stosunkowo niedawno. Prowadzimy coroczne prezentacje na

warsztatach dla naszych pracowników edukacji specjalnej w regionie Aberdeen. ISZ zapoznała się z nim wcześniej niż opinia publiczna. A jednak

wciąż trzeba ludzi o tym uczyć. Fakt, że można temu zapobiec w stu procentach, sprawia, że ludzie nie chcą z tym pracować. Podejmujemy zwiększone wysiłki edukacji w kwestii spożywania alkoholu w okresie ciąży.

W całym stanie Dakota Południowa ma to znacznie szerszy zasięg niż w

Biurze. Gubernator Janklow wyznaczył specjalne grupy do edukacji uczniów i dzieci. Praca zaczyna się na poziomie szkół średnich i niżej w kwestiach prewencji. Najpierw bada się stopień świadomości uczniów. Pośród tegorocznych projektów ustaw zastanawialiśmy się nad umieszczeniem ostrzeżeń w miejscach, gdzie alkohol jest dostępny, na przykład "alkohol może być groźny dla nie narodzonych dzieci". Stosujemy pewne rewolucyjne środki.

Rewolucyjne? Czy mówienie prawdy jest środkiem rewolucyjnym?

Sandy

opisywała programy edukacyjne w bursach szkolnych w całym regionie, poradnictwo, o którym słyszałem od wszystkich urzędników BSI, wszystkich chętnych do współpracy, z którymi rozmawiałem w ciągu następnych dwóch dni.

Aberdeen najwyraźniej postanowiło podchodzić do ZPUP jako do jednego z

wielu równorzędnych problemów. Biuro, jak wyjaśniali mi jeden po drugim,

było przeciążone. Wszyscy oczekiwali, że rozwiąże ono mnóstwo skomplikowanych problemów, a w rzeczywistości funkcjonowało jeszcze cudem.

Spotkałem ludzi, którzy często widywali dzieci z ZPUP i EPUP.

Współczuli

im, ale nie mogli nic zrobić, dopóki dzieci te nie zostały uznane za chore

przez licencjonowanych lekarzy. Świadczenia Jeaneen, Brendy, Bony i Elaine, a nawet statystyki Phila Maya nie liczyły się, ponieważ przed ich nazwiskami nie było słowa doktor. A przecież Zarząd Regionu Aberdeen był oficjalnym pośrednikiem pomiędzy Waszyngtonem a rezerwatami Siuksów, na mocy dziewiętnastowiecznych traktatów senackich i praw o wymianie dóbr i usług. Problem musiał więc zostać "dostrzeżony" w Aberdeen, jeśli miano go uznać za przejaw kryzysu.

Przez całą drogę wzdłuż Dakoty Południowej, nazywanej też "Słonecznym Stanem" albo "Stanem Kojotów", stada wędrownych białych ptaków wzbijały się znad autostrady niczym chmury wirującego dymu. Podróż z północno-wschodniego obszaru rolniczego na południowy zachód trwała osiem godzin, poprzez nie rozstrzygnięte między Siuksami i Stanami Zjednoczonymi Czarne Wzgórza i Sosnową Grań. Oczekiwałem ponownego spotkania z Jeaneen.

Spośród wszystkich ludzi poznanych tego roku, ona wydawała się mieć najbardziej praktyczne i najwłaściwsze podejście do ZPUP.

Znów rozmawialiśmy w małym biurze Projektu Odnowy, tym razem w

towarzystwie Charlotte Brave Heart, także pedagoga szkolnego. Jeaneen miała

świeżą trwałą ondulację, a na jej biurku leżał stos teczek, puszek z filmami i biuletynów prewencyjnych o PZA. Na podłodze stała walizka z kosmetykami Avon, które sprzedawała, by podeprzeć rodzinny budżet.

Zimny

krem był popularną pozycją każdej wiosny. Nawet młoda skóra ulega podrażnieniom, wystawiona na "Postrzygacza z Alberty", który nadciąga tu z

Kanady i pada przez całą zimę.

Nie tracąc czasu Jeaneen od razu przeszła do tematu, który interesował nas oboje. Przedstawiła mi najnowszą listę okrucieństw, ostatnie przykłady ofiar picia matek.

- W ostatni weekend znalazła się w więzieniu kobieta w dziewiątym miesiącu ciąży. Zapytaliśmy ją, czy wie, że dziecko jest prawdopodobnie równie pijane jak ona. Kiedy się dowiedziałam, że wypisano ją ze szpitala, straciłam nadzieję. Zapytałam, czy mogę wnieść na nią skargę za nadużycia

wobec dziecka, ale mój mąż, Robert, powiedział, że nie mam podstaw. Nie zostałam bezpośrednio skrzywdzona. - Jeaneen pokręciła głową, jakby to była

najdziwniejsza rzecz, jaką słyszała. - Prawo do życia - powtórzyła z sarkazmem zasłyszane zdanie. - Jak można zarządzać prawem do życia, skoro

Sąd Najwyższy nie potrafi rozpoznać tej kategorii? Można aresztować kobietę

za napad i maltretowanie. Czym jest "życie"? Trzeba sobie zadać to pytanie.

Musiałabym być tym dzieckiem, żeby móc wnieść skargę.

Zadałem moje nieuniknione pytanie: Dlaczego tak się dzieje? Dlaczego teraz?

- Zauważyłam - powiedziała - że alkohol naprawdę nas dopadł w poprzednim

pokoleniu. Ludzie będący dziś po czterdziestce są produktami ZPUP i EPUP.

Spójrz na nich, zobacz, jak żyją. Tak jakby nie było przyszłości, wszystko jest chwilowe. "Chcę to mieć teraz". Nie myślą o konsekwencjach swoich postępów. Naprawdę dziwią się, kiedy ktoś umiera z przepicia, ponieważ według nich alkohol nie czyni szkody organizmowi. Żyją ukierunkowani do

wewnątrz, to jest dzisiejszy styl. Wszyscy wiemy, że nikt nie oszczędza na jutro. Kiedy przychodzą czeki z opieki społecznej, ludzie nie pamiętają o końcu miesiąca.

- Teraz możemy się porządnie najeść, mówią i kupują łopatkę i żeberka. Całe pokolenie jest nieodpowiedzialne. Tak wiele jest matek pijących i zaniedbujących własne dzieci. Picie prowadzi do utraty przytomności? Trzeba

więc stracić przytomność, zanim inni to zrobią.

Zamknąłem oczy przypominając sobie, jak bezwzględnie, z satysfakcją i w

milczeniu odrzuciłem podobną sugestię Phila Maya. Mówił, że dostępne fundusze potęgują liczbę dzieci z ZPUP. Czy łatwiej było mi zaprzeczyć

jemu, bo nie był Indianinem, nie pochodził z rezerwatu i nie mieszkał tam teraz, gdzie piło się tak dużo? Wobec Jeaneen nie mogłem sobie pozwolić na

taką ucieczkę. Jej obserwacje mogły mi się wydawać zbyt prawicowe, mogły

zaprzeczać temu, w co chciałem wierzyć, ale były poparte faktami. Nie patrzyła na to chętniej niż ja, ale mniej się przed tym wzdragała.

Wciąż niezupełnie zgadzałem się z tym, co mówiła - bredziłem o kwalifikacjach, racjonalnych wywodach, twierdziłem w myślach, że muszą

istnieć jakieś inne wyjaśnienia i rozwiązania - ale nie mogłem czuć się lepszy w mojej bezpiecznej, politycznie właściwej fortecy. W ciężkiej walce

z zespołem poalkoholowego uszkodzenia płodu drogi dobra i zła nieustannie

się przeplatały i krzyżowały. Niewiele było wysokiego morale w okopach, a

stan liczebny usprawiedliwiał narzucenie wojennego prawa. Represyjne ustawodawstwo wywołało poważną groźbę nadużyć i wykorzystywania w złych

celach. Ale nie robić nic albo robić zbyt mało, dla pozorów, było gorsze niż robić za wiele.

- Gdybyś miała całkowitą władzę nad światem... - zacząłem. - Gdybyś mogła

zrobić wszystko, pamiętając o prawach człowieka i wolności obywatelskiej...

Jeaneen roześmiała się. - Wiedziałeś, że zamierzałam je pominąć. Ale dobrze, pamiętając o prawach człowieka i wolności obywatelskiej, wciąż myślę, że ktoś musi - nie wiem nawet kto... Nie lubię używać abstraktów, ale gdzieś muszą istnieć mechanizmy, które powstrzymają pijące kobiety od

rodzenia dzieci, jeśli nadal będą piły. Muszą dokonać wyboru. Muszę jeszcze

spotkać biologiczną matkę, która zatrzymała swoje dziecko z ZPUP.

Rzadko spotykała je Eva, rzadko Phil. Te dzieci, a przynajmniej kilkoro z nich, które miały szczęście, mieszkały teraz z Brendą, Moną albo Sharon.

Z

Louise i ze mną.

- Nie biorą odpowiedzialności za własne działanie - twierdziła Jeaneen. - Tak, istnieją prawa człowieka. Podniósł się krzyk o to, że ISZ sterylizuje kobiety, nie zgadzam się z ISZ. Nie popieram genetycznych programów poprawy rasy ludzkiej. Ale mówimy tutaj o przetrwaniu narodu indiańskiego.

Nie tak dawno temu urządziłam prezentację, a członkowie Rady popatrywali na siebie, szukając objawów i żartując. Nie wiedziałam, że jest aż tak źle. Było mi naprawdę przykro, że potraktowali to tak lekko. Więc co robić? Wprowadzić licencje dla ludzi, którzy chcą mieć dzieci? Nie mam żadnego planu. Nie chcę myśleć, że sprawy posuną się aż tak daleko, więc nic nie wymyśliłam. Kto zasiądzie w najwyższym ludzkim sądzie i powie: "Ty masz

problem i dlatego nie możesz mieć dzieci"? - W rezerwacie kobiety podtrzymują rodzinę. - Nie chciałabym tego robić, ale wygląda na to, że ktoś musi.

- Ale jeśli ty nie chcesz planować, to kto? - spytałem. - Nie sądzę, by ktokolwiek chciał, ale kiedy rozmawiam z różnymi ludźmi w całym kraju, to

wyduje mi się, że nie zbliżamy się do kryzysu, lecz jesteśmy w samym jego

środku. A on w dodatku wzrasta geometrycznie. Kiedy w końcu plemię będzie

musiało głosować, znaczący procent społeczeństwa może mieć zaburzoną zdolność do widzenia dalszej perspektywy, Co będzie wtedy?

Nie krzyczałem, ale mówiłem bardzo głośno. Przez chwilę patrzyliśmy na

siebie z Jeaneen jak wrogowie. Byłem posłańcem, którego chciałyby zastrzelić, a ona była jedyną osobą, jaką spotkałem, która mogłaby znaleźć rozwiązanie, ale nie miała go.

Charlotte przerwała ten spór pojednawczą uwagą.

- Istnieje coś takiego jak zaprzeczanie, bezpośrednio wynikające z alkoholizmu - Jej słowa przełamały napięcie. Zapędziliśmy się poza granice

umiaru i beznamiętnej relacji. Uświadomiłem sobie, że mówię więcej, niż zadaję pytań, jakby to była ostatnia szansa na wypowiedzenie siebie.

- Chyba przydałaby mi się mała dawka zaprzeczenia - powiedziałem, wywołując uśmiech obu kobiet. Tak często osiągały mój stan całkowitego pomieszania, że nie były tym zdziwione.

- Mam takie same pytania jak ty - powiedziała Jeaneen. - Nie znalazłam żadnej odpowiedzi. Zajrzałam do swojej duszy. Pytałam siebie: "Co możesz zrobić, żeby pomóc tym dzieciom?" Nie wiem. Nie znam odpowiedzi. Nie mogę tego zahamować.

- Wciąż wracam do jednej kwestii - podjąłem. - Błędnej oceny sytuacji. Siedemnaście lat w naszej rodzinie nie sprawi, że Adam będzie w stanie dostrzec całość obrazu. Nadal bierze coś, co do niego nie należy, albo za namową kolegów idzie do szefa i powtarza mu brzydkie wyrazy, których nie rozumie. Spróbujcie wyjaśnić temu człowiekowi, że "błędna ocena sytuacji" nie wynika z niskiej inteligencji ani złej woli, ale jest po prostu niezdolnością, brakiem.

- Jak można żyć bez oceny faktów? - zastanawiała się Jeaneen.

- Nikt się nad tym nie zastanawia, zanim na to nie natrafi. Wtedy docenia się wartość tej zdolności.

- Nie można tego sprawdzić od razu, podczas testów - zgodziłem się. - Mamy tylko nadzieję, że Adam nie postanowi nagle żyć niezależnie.

Chyba że

ktoś mu powie: "Hej, możesz żyć na własny rachunek, zapomnij o wszystkich

regułach..." - A jego wersja życia na własny rachunek! Kiedyś jechaliśmy samochodem, a on rozgniewał się na mnie i na Louise i powiedział: "

Może

wyprowadzę się do własnego mieszkania".

Oczy nam zabłysły, nas również rozgniewał. Powiedzieliśmy: - Adam, jak

myślisz, ile będzie cię kosztowało małe mieszkanie, zakupy w sklepie spożywczym, rachunki, ile będziesz na to wydawał miesięcznie? - Miał siedemnaście lat. Nauczyciele specjalni od dwunastu lat pracowali z nim nad

znaczeniem pieniądza. Odpowiedział, że piętnaście tysięcy dolarów miesięcznie. Nie potrafi rozmiąć dolara, nie rozumie tego pojęcia.

Gdyby

miął piętnaście tysięcy dolarów miesięcznie, wydawałby wszystko. Gdyby ktoś

powiedział: "Oto twój donat, daj mi piętnaście tysięcy", zrobiłby to.

W naszym śmiechu nie było wesołości, ale była ulga.

- Dla wielu ludzi uważanych za społecznie nie przystosowanych może to być

podstawą problemu - ciągnąłem. - Rozmawiałem z kolegami Adama z pracy i

powiedziałem im, że są okrutnymi małymi draniami, skoro podpuszczają go w

ten sposób. Potem usiadłem z Adamem i powiedziałem mu, żeby nie pozwalał

się wykorzystywać innym. Potrafi uznać, że mam rację. Ale jednym z powodów,

dla których zawsze mieszkaliśmy w kontrolowanym otoczeniu - na wsi, a teraz

w małym miasteczku jest to, że byłby skończony w szkole, w której byłyby

narkotyki albo alkohol. Nie przetrwałby jednego dnia.

- A to by załatwiło wszystkie inne jego problemy. Ludzie uznaliby, że jest taki jaki jest z powodu picia. Objawy wyglądają tak samo. Oto chłopiec, nad którym medytuję przez większą część mego życia. Jak uda mu

się przeżyć i funkcjonować bez nadzoru mojego i Louise? Co można począć z

ogółem ludności podobnej do Adama, w społeczeństwie, które nie ma już wystarczających środków do życia? Nikt nie znalazł skutecznej metody nauczania. Nie znamy jej.

Jeaneen i Charlotte słuchały ze zrozumieniem, więc nie przerywałem, niczego nie ukrywałem, nie wypierałem się. Sytuacja naszej rodziny była maleńką kroplą w ogromnym wiadrze, nic nie znaczącą dla statystyk, ale dotyczącą ludzkiego życia. Gdyby indywidualny przypadek kiedyś przestał się

liczyć, przestał być źródłem wszystkich innych zmartwień, bitwa byłaby przegrana. W nadchodzących miesiącach miałem usłyszeć alarmujące liczby -

około 70 000 dzieci chorych na zespół poalkoholowego uszkodzenia płodu rodziło się co roku w Stanach Zjednoczonych, nieodgadnione legiony na całym

świecie. Nie były to kamienie bez twarzy, ale kolekcja ludzkich tragedii, długich i smutnych osobistych historii.

Jeaneen i Charlotte wiedziały, jak sobie radzić w takich przypadkach.

Pozwoliły mi się wygadać, kiwając zachęcająco głowami, kiedy przerywałem.

Siedziały nieruchomo w ciemniejącym pokoju, a kiedy dzwonił telefon, nie odbierały go. Słuchały sercem, którego nie zdołały zamknąć lata walki, mniejszych i większych porażek. Za moimi słowami słyszały głosy, płacz wszystkich ojców, wszystkich matek: nie moje dziecko, nie moje dziecko.

Rozdział trzynasty

Był taki hollywoodzki film z 1971 roku, "Ucieczka z Planety Małp". Doktor Zira i jej dwóch towarzyszy, wysoko rozwinięte małpy ze stopniami naukowymi, przeniosły się do naszych czasów z przyszłości, w której szympanse, goryle i orangutany rządziły zezwierzęconymi istotami ludzkimi. Ale w dwudziestym wieku przyjęto je mniej niż serdecznie. Miłujący pokój małponauci zostają zaszczuci i zamordowani. Jedyłą ocalałą istotą, ostatnią nadzieją na rozwój umysłu w świecie, jest nowo narodzone dziecko Ziry ukryte w wędrownej budzie jarmarcznej. Ostatni kadr filmu ukazuje jego twarz, roziskrzone oczy, kiedy sam próbuje nauczyć się mówić. Mając w pamięci zdolność do współczucia, rozsądek i mądrość jego rodziców,

życzymy
mu sukcesu.

A przynajmniej ja mu życzyłem, oglądając ten film w roku, kiedy został nakręcony. Dopiero kiedy oglądałem go ponownie w telewizji kablowej, zauważyłem jeden szczegół, który poprzednio mi umknął. Mniej więcej w połowie filmu, doktor Hassline, prezydencki doradca naukowy, oferuje Zirze

będącej w zaawansowanej ciąży drinka, a ona natychmiast go wypija.

Mamy

przez to uwierzyć, że nałogowo pija ona napój starego świata, a jej upodobanie i brak ograniczeń są źródłem uciechy dla wszystkich.

Doktor Zira była starszą matką, zestresowaną i pozbawioną właściwej diety. Kiedy zaczęła pić, musiała być w trzecim trymestrze ciąży. Dziecko nie mogło jej poprosić, żeby tego nie robiła.

W roku 1989 rolę doradcy prezydenckiego w kwestii alkoholu pełni naczelnny

lekarz. Rada pana Koopa jest prosta i jasna: całkowita abstynencja w momencie poczęcia, w czasie ciąży i karmienia jest jedyną gwarancją bezpieczeństwa. Kongres, naśladując prawa niektórych oświeconych stanów,

wydał w końcu nakaz, by na wszystkich etykietkach alkoholowych znalazły się ostrzeżenia, także przed piciem w czasie ciąży.

Barry Epstein, adwokat z New Jersey reprezentujący grupę ofiar PZA, wniósł sprawę do sądu w Seattle przeciw kilku producentom alkoholu.

Utrzymuje on, że zarząd tych przedsiębiorstw wiedział lub miał obowiązek wiedzieć, że spożywanie ich wyrobów przez kobiety w ciąży może spowodować upośledzenie ich dzieci. Pomimo to nie poczyniono poważnych wysiłków, by ostrzec ludność. Epstein twierdzi, że matki jego klientów nie były świadome ryzyka. Pijąc pewne gatunki piwa, whisky i wina wyrządziły nieodwracalne szkody swoim dzieciom, które przez całe życie będą zmagać się z zespołem poalkoholowego uszkodzenia płodu. Dlatego też przedsiębiorstwa produkujące alkohol powinny choć w części pokryć olbrzymie koszty ich leczenia.

Kto powinien wiedzieć, gdzie są granice bezpieczeństwa? Z pewnością każda kobieta i mężczyzna, którzy decydują się sprowadzić dziecko na ten świat, mają obowiązek wobec życia, w którego kreacji uczestniczyli. Czy ten obowiązek powinien być wymuszony prawem cywilnym - pozostaje kwestią dyskusyjną, ale nie ma wątpliwości, że zdrowie dziecka w łonie matki zależy od rozumnego zachowania jego rodziców. Matka jest najbardziej związana z dzieckiem pod względem fizycznym, choć nie zwalnia to ojca z odpowiedzialności wobec syna czy córki.

Ale nawet rodzice o najlepszych intencjach mogą być wyprowadzeni na manowce, jeśli medycyna nie dostarczy im wiarygodnych informacji. Za miesiąc od tej chwili Louise i ja będziemy mieli dziecko, więc żeby przypomnieć sobie zasady oddychania podczas porodu, pojechaliśmy do Centrum

Wspierania Ciąży w szpitalu w Dartmouth, by przejrzeć kilka książek.

Louise

zajęła się ich wertowaniem, a ja wyciągnąłem najgrubszy i najbardziej oficjalnie wyglądający tom. Było to jedno z wielu wydań "Ciąży, porodu i noworodka". Opublikowała go Delacourt Press, a wśród autorów znalazły się

takie autorytety, jak naukowcy z bostońskiego Dziecięcego Centrum Medycznego. Wiedziony odruchem, który wypracowała u mnie praca nad tą

książką i całe nasze życie, zajrzałem do indeksu pod hasło "alkohol" i otworzyłem książkę na stronie osiemdziesiątej siódmej.

"Nie ma powodu zakazywać umiarkowanego picia alkoholu w czasie ciąży" -

przeczytałem. - "Dla wielu kobiet okazjonalny drink jest chwilą odprężenia.

Niemniej koktajl przed obiadem, zwłaszcza jeśli towarzyszy mu przekąska,

może być katastrofą dla tych pań, które dbają o linie."

Z niedowierzaniem sprawdziłem rok wydania - 1972. Książka była nieaktualna, ale który z ufnych pacjentów mógłby to podejrzewać?

Matka będzie z siebie dumna, pijąc swój koktajl przed obiadem.

Otrzymała
przecież zachętę z wielkiej zielonej księgi Dziecięcego Centrum
Medycznego
w Bostonie, którą można było wypożyczyć za darmo we wszystkich
większych
ośrodkach zdrowia. W ten sposób może nieświadomie zatruwać własne
dziecko.

Wszyscy wiemy, że pijany kierowca w sąsiedztwie może stanowić
zagrożenie
dla dzieci, ale co z lekarzem, który podaje mylne informacje o praktykach
równie niebezpiecznych jak picie matek? Co z bibliotekarzem, który
pozwala
na propagowanie wysoce szkodliwych informacji? Czy niczego nie
nauczyliśmy
się z lekcji talidomydu? Wady pojazdów i narzędzi kuchennych są
ogłaszane
przez producentów, kiedy okazuje się, że stanowią one zagrożenie.
Dlaczego
więc nie robi się tego z książkami, które zawierają śmiertelne porady?
Każdy poinformowany sprzedawca, barman czy kelner, który podaje
alkohol
kobiecie w ciąży, nie ostrzegając jej przed możliwymi efektami
ubocznymi,
jest w pewnym sensie dostawcą śmiertelnej bomby. Czy warto
ryzykować, że
ktoś się na nas obrazi, zareaguje wrogo na nasze ostrzeżenia?

Tak, warto.

Latem 1986 roku, zanim nasza rodzina wróciła z Minnesoty do New Hampshire, zapisałem Adama na czterotygodniowy obóz wędrowny wzdłuż wodnej granicy Stanów Zjednoczonych z Kanadą. Ann Streissguth opowiadała mi, że niektórzy jej pacjenci z EPUP wiele zyskali na takiej wyprawie. Zaczęli bardziej polegać na sobie, nagięli się do rygorystycznych praw życia na łonie natury. Pomyślałem, że może zdołałoby to zatrzeć doświadczenia Adam w Northfield. Napisałem długie i szczegółowe listy do kadry obozu, wysłałem im zapasy leków przeciwkonwulsyjnych i zanudzałem Adama gorliwymi uwagami o zachowaniu bezpieczeństwa. Za jego oszczędności z pracy w Pizza Hut kupiliśmy mu najmodniejszy sprzęt turystyczny w jaskrawych kolorach. Na początku czerwca wszystko było przygotowane do wyjazdu. Z wyjątkiem kilku tygodni na obozie YMCA w New Hampshire, Adam nigdy nie wyjeżdżał z dala od rodziny, ale teraz wydawało mu się to obojętne.

Z kolei Louise i ja byliśmy pełni obaw. Czy postępowaliśmy właściwie? Czy

Adam nie będzie się błąkał samotnie w lesie? Czy nie dostanie ataku w trakcie ćwiczeń na zaufanie i zamiast złapać partnera, pozwoli niczego nie

podejrzewającemu chłopcu spaść ze wzgórza? Nasze największe obawy wzbudzała

sławna obozowa samotna wyprawa, będąca ukoronowaniem całego przedsięwzięcia. Każdy z uczestników po kolei spędzał samotną noc w lesie,

wyposażony w minimum środków, jedząc tylko to, co udało mu się znaleźć. Czy

Adam nie będzie tym przerażony? A może pożre go niedźwiedź i nigdy już o

nim nie usłyszymy?

Z pewnością są to niepokoje wszystkich rodziców, ale w wypadku Adama

miały one dodatkowy wymiar. Był to w końcu nasz pomysł, a nie jego, więc w

razie jakiegoś niepowodzenia ponosiliśmy całkowitą odpowiedzialność.

Poza

tym niezależnie od ilości wysłanych listów, kadra obozu nigdy nie będzie dostatecznie przygotowana na wszelkie ewentualności. Z pewnością będą oczekiwać zbyt wiele - dużo czasu mija zanim ktoś uświadomi sobie na czym

polega niezdolność do abstrakcyjnego myślenia. Kiedy jednak nadszedł dzień

wyjazdu, odprowadziłem Adama na drogę, uściskałem go i pozwoliłem mu

odjechać. Mówi się o rzucaniu kogoś na głęboką wodę, ale słowa te wypowiada

się lekko tylko wtedy, kiedy możliwość utonięcia wydaje się bardzo odległa.

W ciągu następnych dwudziestu ośmiu dni wielokrotnie dzwoniliśmy do sztabu obozu w północnej Minnesocie. Nie - odpowiadali niezmiennie - nie mieli raportów z wyprawy Adama, co według nich znaczyło, że wszystko jest w porządku. Tak, przesłali mu nasze listy i oczywiście zadzwonią, gdyby coś było nie tak. Rozmowy te uspokajały mnie, a jednak w każdej godzinie na jawie wyobrażałem sobie katastrofę, na każdy dźwięk telefonu sztywniał mi kręgosłup. Kupiliśmy automatyczną sekretarkę, by rejestrować wszystkie telefony podczas naszej nieobecności, a kiedy wracaliśmy do migającego czerwonego światła, nie uspokoiłem się, zanim nie przesłuchałem całej taśmy.

W drodze powrotnej do New Hampshire Louise prowadziła jeden samochód załadowany do granic możliwości, a wraz z nią jechali Sava, Madeline, Persia, Pallas i nasz kot Angel. Na dachu przyczepy starego dodge'a umocowaliśmy ogromną pluszową papugę, którą Sava wygrał na jarmarku z okazji Dni Jessie Jamesa w Northfield. Patrzyłem, jak moja rodzina skręca za rogiem Drugiej Ulicy i kieruje się na wschód, a ten krzykliwy ptak kłania mi się nisko w uroczystym pożegnaniu.

Następnego popołudnia miałem się spotkać z Adamem w Duluth. Kiedy wyruszyłem międzystanową północną, miałem pusto w głowie. Nie

mogłem sobie
wyobrazić doświadczeń Adama. Z jednej strony miałem nadzieję, że
przeszedł
cudowną przemianę, stał się północnym człowiekiem lasu, w kraciastej
koszuli, krzepkim, małomównym, z drugiej zaś strony drżałem na myśl o
powitaniu mnie przez przerażonego komendanta obozu, który powie, że
Adam
przepadł bez śladu w lesie.

Zaparkowałem na lotnisku, przy wyznaczonym miejscu spotkania i
wszedłem
do środka przez rozsuwane drzwi. Hol był pełen roześmianych,
ożywionych
nastolatków, którzy wymieniali adresy, wspominali przygody, a kilkoro
dziewcząt i chłopców całowało się namiętnie. Rozglądałem się wokół i
wreszcie go zobaczyłem. Siedział samotnie, ubrany tak samo jak w dniu,
w
którym go wyprawilem. Obserwowałem go przez chwilę, zanim mnie
zobaczył.

Wyrósł, był bardziej zarośnięty, i wyglądał na zdrowego. Miał obojętną
mine, maskę niezaangażowania, ale żył. Podniósł wzrok, oczy zabłyśły mu
na
mój widok. Podbiegliśmy do siebie z otwartymi ramionami i trzymaliśmy
się w
objęciach przez długi, długi czas, jakbyśmy chcieli się upewnić, że to
dzieje się naprawdę. Adam był prawie mojego wzrostu. Czułem, jaki jest
silny. Była to chwila połączenia, zatoczyliśmy koło po piętnastu latach od

naszego pierwszego spotkania w świetlicy oddziału Opieki Społecznej w Pierre. Chwila bez myślenia o czymkolwiek, bez pytań, bez słów, z wyjątkiem

imion, którymi się obdarzaliśmy. W końcu rozłączyliśmy się, kiwając głowami

z uśmiechem. Nie wiem, który z nas czuł większą ulgę. Adam podniósł swój

plecak i ruszył za mną do samochodu. Nie było nikogo, z kim chciałby się pożegnać.

- Podobało ci się? - pytałem. - Było wspaniale?

- Nie - odparł.

Czekałem, aż powie coś więcej, opowie jak było, zaspokoi moją ciekawość,

ale najwyraźniej nie miał nic do dodania.

- Dlaczego nie? Nie wydarzyło się nic fajnego?

Otworzyłem bagażnik, wrzuciłem jego rzeczy i otworzyłem drzwi od strony

pasażera. Adam wzruszył ramionami i zamyślił się, sadowiąc się na miejscu.

- Spadłem z występu skalnego - rzucił, jakby to była najlepsza rzecz, jaka się wydarzyła i jakby nie wymagało to już żadnych wyjaśnień.

Przeszedłem do sedna moich obaw.

- A samotna wyprawa? Opowiedz mi o niej.

Zapięliśmy pasy i wyjechałem z parkingu w dół długiego zbocza prowadzącego z lotniska do Duluth i dalej drogą wzdłuż jeziora do Wisconsin.

- Wyprawa? - przypomniał sobie. - Ach, to. Tak.

- Spędziłeś noc całkiem sam? Jak było? - W broszurce reklamującej obóz ta

próba opisywana była szczegółowo przez wielu uczestników. Dla niektórych z

nich był to czas refleksji nad sensem życia, inni doświadczyli objawienia.

W trzasku gałązek i chrzäkaniu niewidocznych zwierząt słyszeli zapowiedź

swego przyszłego życia. Jeszcze inni zbudowali wymyślne szałas, wynaleźli

pożywne posiłki z jagód i korzonków, odkryli na nowo umiejętność rozpalania

ogniska.

- Och. Wyszadziłem na małej wyspie - wspominał Adam. - W porze kolacji.

- I co potem? - Dopytywałem się. Jakie myśli towarzyszyły mu podczas samotnej nocy?

- Nie wiem. Poszedłem spać. Musieli mną potrząsać, żeby mnie dobudzić następnego dnia.

Nigdy nie dowiedziałem się, czy obóz miał duży wpływ na Adama. Z jednej

strony, jak mogło być inaczej? Dwadzieścia osiem dni to kupa czasu i

przynajmniej musiał uświadomić sobie, że potrafi sobie poradzić bez stałej obecności rodziców. Z kolei po spotkaniu ze mną Adam rzadko wspominał swoją

przygodę, a kiedy pierwszej nocy zatrzymaliśmy się w motelu Sault Ste.

Marie, nie pamiętał już większości szczegółów. Podniecenie nowym smakiem

niezależności spłynęło po nim bez śladu, 1,5 stopnia w skali Richtera mierzącej stan jego równowagi.

Spodziewałem się, że jako były Podróżnik wód granicznych, Adam odrzuci

chęć zechce zmodyfikować uwarunkowania swego dotychczasowego trybu życia,

ale bez protestu wpasował się w stare wzorce. Nareszcie przyszedł list od młodego człowieka, który prowadził grupę Adama. Szukaliśmy w nim wskazówek,

które mogliśmy wcześniej przeoczyć. Ale niczego takiego nie znaleźliśmy.

Adam nie oczarował swoich kolegów, opóźniał ich, wymagał zbyt wiele uwagi,

nie popychany do działania zostawał w tyle. Chłopak nie wiedział, podobnie

jak ja, czy Adam stał się bardziej świadomy siebie. Napisał z pewną przykrością, że Adam był trudnym wyzwaniem, ale nie złym dzieckiem.

Nie mógłbym tego lepiej wyrazić.

Mijając Ontario i Quebec, a potem przecinając Vermont, słuchaliśmy kaset

Bruce'a Springsteena, witaliśmy okrzykami tory kolejowe i jedliśmy hamburgery. Kiedy zatrzymaliśmy się na noc, obciąłem mu paznokcie u rąk i

nóg, pokazałem, jak ma się golić, i włączyłem telewizor, bo nadawali właśnie "Hollywood Squares". Mieliśmy dobry czas, bo przyjechaliśmy na

naszą farmę tylko pół dnia po Louise, dzieciach i kocie. Podróż minęła im spokojnie, z jednym wyjątkiem. Kiedy przejeżdżali przez długi most

Tappen

Zee na rzece Hudson, w samochód uderzył silny podmuch wiatru. Louise poczuła mocne szarpnięcie, a potem usłyszała dźwięk przeciągania czegoś po

dachu. Okazało się, że był to sznur, który uwolniony uderzył o boczną szybę. Zupełnie bezradna i zafascynowana patrzyła, jak olbrzymia papuga zsuwa się po balustradzie, zawisa przez czerwonopurpurową chwilę w powietrzu i z żółtym dziobem wycelowanym jak u drapieżnika na łowach szybuje wprost do rzeki w dół.

Po powrocie do domu powróciliśmy do utartych wzorców naszego życia.

Adam,

który skończył już osiemnaście lat, zapisał się ponownie do szkoły zawodowej w Hartford, podejmując naukę w miejscu, w którym ją przerwał.

Dostał tymczasową pracę na pół etatu w lokalnym szpitalu weteranów i w browarze. Jednocześnie na lekcjach opanowywał "umiejętności życiowe".

Sava

i Madeline również wrócili do dawnych szkół. Ostatnio oboje nie radzili sobie z nauką i potrzebowali specjalnej pomocy. Persia i Pallas rozpoczęły nowy program dziennej opieki pod okiem cudownie pracowitej i

sumiennej

kobiety, mieszkającej po drugiej stronie ulicy. Louise zakończyła pracę

nad

swoją nową powieścią.

"Tracks", a ja wykładałem na wielu kursach w college'u. Często też musiałem wstawać o piątej rano, żeby mieć chwilę spokoju na przeczytanie najnowszych publikacji naukowych i pisanie tej książki.

"The Beet Queen" i "A Yellow Raft in Blue Water" spotkały się z przychylnymi recenzjami.

Otrzymywałem mnóstwo informacji na temat zespołu poalkoholowego uszkodzenia płodu. Zebrałem oszałamiającą liczbę artykułów, monografii, profesjonalnych opracowań i nie publikowanych też na tematy powiązane z tym

schorzeniem: wzorce picia Indian, uzależnienia, ciąża, zdrowie społeczne, nauczanie specjalne. Poza tym zapisałem setki stron uwag i wskazówek, nagrałem mnóstwo wywiadów i spisałem bibliografię książek do przeczytania.

Rok na środkowym Zachodzie dostarczył mi więcej danych niż mogłem wykorzystać. Wkrótce też zrozumiałem, że skierował mnie na udokumentowaną

ścieżkę. Ponieważ Adam był Indianinem, ponieważ obaj byliśmy Indianami,

ponieważ rezerwy były głównym przedmiotem moich badań, zacząłem nieświadomie traktować ZPUP i EPUP jako problem Rdzennych Amerykanów.

Oczywiście nie podlegało dyskusji, że alkohol w każdej postaci był historycznie i współcześnie większym problemem dla amerykańskich Indian.

Ale po tym, jak uczestniczyłem w trzech zjazdach Towarzystwa Badań

Alkoholizmu (TBA) i złożyłem uszanowanie Grupie Badań Zespołu Poalkoholowego Uszkodzenia Płodu, zrozumiałem, że ZPUP i EPUP nie znają barier etnicznych.

Problemy analogiczne do tych, które widziałem i o których słyszałem w Sosnowej Grani i Różycze, narastały w całym kraju. Odnotowywano je we wszystkich grupach ekonomicznych i społecznych; stanowiły poważną kwestię w Europie. Azji i Ameryce Łacińskiej. Wydawało się również, że kultury, które przymykały dotąd oczy na picie mężczyzn, były szczególnie bezradne w przypadku zmian w zachowaniu dorosłych kobiet. Zjawisko to miało ogromny zasięg w latach osiemdziesiątych. Od dłuższego czasu prowadzono laboratoryjne badania nad ZPUP w Skandynawii, Francji i Niemczech Zachodnich. Szkodliwe picie alkoholu przez matki przybrało rozmiary epidemii w Związku Radzieckim, Polsce i na Węgrzech.

Mój kolega z Wydziału Antropologii, doktor Kirk Endicott, przywiózł mi raporty o tym problemie w Malezji, a maoryscy przyjaciele pisali, że była to jedna z głównych przyczyn wad wrodzonych u ich krewnych, podobnie jak i u Aborygenów w Australii. W wielu częściach świata picie alkoholu było uznawaną częścią kultury społecznej - zarezerwowaną dla mężczyzn. Kobiety, szczególnie młode kobiety, bywały odstręczane od picia licznymi tabu

albo

stałą presją otoczenia. Niemniej jednak obydwie bariery zdawały się ostatnio zanikać. Statystyki w wielu społeczeństwach wskazywały, że współczesne kobiety, niezależnie od klasy społecznej czy etnicznego pochodzenia, popadają w nałóg picia czy palenia częściej niż mężczyźni w tym samym wieku.

Towarzystwo Badań Alkoholizmu (TBA), miejsce częstych zebrań - w ciągu

czterech lat odbyły się tu dwa narodowe zjazdy - nazywane jest Dzikimi Wydmami. Leży ono na północy wzdłuż wybrzeża atlantyckiego, od Charleston w

Południowej Karolinie, usadowione pośród alejek kondominiów, kortów tenisowych i porośniętych palmami szlaków. Jest to centrum konferencyjne

oferujące wszelkie wygody. W południe działa tu klimatyzacja, rankiem zajęcia odbywają się na świeżym powietrzu, gdzie dobiega szum fal obmywających brzeg ledwie sto metrów stąd. Dzikie Wydmy stanowią czterogwiazdkowy kontrast dla zrujnowanego budynku Projektu Odnowy, w

którym Jeaneen doradzała kobietom Lakota w ciąży. Dzieli je przepaść od szeregowych, zniszczonych przez pogodę ruchomych baraków Projektu Phoenix,

od szpitala Brendy Demery w Różyczce, od zniszczonych klas szkoły w Little Wound.

W Dzikich Wydmach nikt nie głodował. Na każdy lunch serwowano

kraby i

krewetki w bufecie pod gołym niebem, a czarterowe autobusy zwoziły tu biochemików, położników, psychologów i administratorów szpitali na coroczny

Festiwal Spoleto, którzy umawiali się na to spotkanie.

Jedynie ofiary ZPUP czy EPUP w Dzikich Wydmach były tylko na fotografiach,

jako przykłady ilustrujące wnioski prac badawczych. Często dyskutowano tu o

nich w nonszalanckim stylu. Takie autorytety mogły sobie pozwolić na lekkie

traktowanie klasycznych wyznaczników zespołu, ponieważ miały z nimi do

czynienia na co dzień, przy okazji prowadzonych badań. Podczas dyskusji o

ofiarach ZPUP padały określenia w stylu "śmieszny wygląd" albo "Muminki",

pewnie dlatego, że nie brzmiały one tak oficjalnie, a bardziej realistycznie i bezpretensjonalnie.

- Wszystko byłoby dobrze, gdyby alkohol powodował tylko brzydotę - żartował pewien sławny w całym kraju pracownik Grupy Badawczej. - Ale oni

są również głupi. - Wywołał tym gromki śmiech, tak jak i swoim następnym

dowcipem - Gdyby moja mama nie piła w czasie ciąży... - tu urwał dla uzyskania lepszego efektu - mógłbym zostać internistą, a nie

ginekologiem-położnikiem.

Siedziałem w końcu sali robiąc notatki, miałem jak zwykle włączony magnetofon i przyglądałem się uśmiechniętym twarzom zebranych.

Czułem się

niepewnie jako jedyny rodzic dziecka z zespołem poalkoholowego uszkodzenia

płodu, niczym szpieg wśród ekspertów. Na każdej sesji starałem się przedstawić prelegentom, jak również uczonym, których monografie i studia

czytałem. Miałem dużą przewagę jako członek akademickiej społeczności

-

Dartmouth było szanowaną instytucją. Ale kiedy wyłuszczałem powody mego

zainteresowania - antropologia, Indianie, książka, syn - miałem nieodparte wrażenie, że z każdą podawaną informacją coraz bardziej tracę wiarygodność.

Grupa Badawcza d-8|s ZPUP była od początku hermetycznym kręgiem, towarzystwem będącym jednocześnie swoją najlepszą, jak i najbardziej zaufaną publicznością. Jej członkowie założyciele połączyli się na całe lata, reagowali drukiem na najdrobniejsze osiągnięcia swoich kolegów i polerowali najlepsze swoje uwagi. W nieustającej grze o wyciągnięcie federalnych dotacji, członkowie Grupy na zmianę przedstawiali i oceniali wzajemnie swoje kandydatury. Aby zaakcentować i zachować swoją wyjątkowość,

dawni i obecni przedstawiciele elity porozumiewali się ze sobą w specjalnym

języku, tak nasyconym hermetycznymi zwrotami, jak język Biura do Spraw

Indian. Jak niewielkie lenno, które celebrowało swoje istnienie poprzez wydawanie udziwnionych znaczków pocztowych albo przekazywanie idiotycznych

pozdrowień, Grupa Badawcza d-8|s ZPUP wydawała się zarówno zazdrosna jak i

pogardliwie nastawiona do mniej uprzywilejowanych jednostek. Ich środowisko

było maleńkim stawem, którego mieszkańcy uważali się za wielkie żaby.

Poza znakomitym wyjątkiem Ann Streissguth, która była dostępna, chętnie

poświęcała swój czas, interesowała się sytuacją amerykańskich Indian i miała otwarty umysł, zbyt często stwierdzałem, że badacze ZPUP są arogancy, odgrodzeni od reszty świata, krótkowzroczni i megalomańscy.

Przebieg dyskusji był dokładnie zaplanowany na zasadzie doboru tematów

uznanych za wartościowe. Ludzie z zewnątrz nie posiadający wystarczających

kwalifikacji nie byli zapraszani do debaty. Kiedy Eva Smith, jedyna na sali lekarka spośród amerykańskich Indian przedstawiła dane ze swojej praktyki

jako szefa programu ZPUP w swoim rezerwacie, nikt nie zareagował, nie poprosił o bardziej szczegółowe wyjaśnienia.

Sam miałem czelność zadać pytanie w kwestii wynikłej z rozmów w obu Dakotach. Pytałem o uwięzienie pijących kobiet w ciąży i o diagnozę

"błędnej oceny sytuacji" u ofiar ich picia, ale w odpowiedzi dostałem jedynie złośliwe wykręty albo protekcyjne banały. Pewien "prenatalny Republikanin", jak sam siebie określił, pouczył mnie, że niewłaściwie ująłem to zagadnienie. Nadużycia wobec nie narodzonego dziecka nazywano tu

"nieszczęściem". Prawa matek zawsze były ważniejsze od praw płodu.

Większość członków Grupy Badawczej - poza przypadkiem z Uniwersytetu w

Waszyngtonie - niechętnie podchodziła do badania dorosłych ofiar ZPUP-8|EPUP, ponieważ były one "dysmorfologicznie" trudniejsze do zaszufładowania niż niemowlęta czy małe dzieci.

W końcu, jak ujął to pewien czcigodny mędrzec, "to, że rozpozna się kogoś z ZPUP, nie znaczy, że można z nim wszystko zrobić". A co do Indian, to byli po prostu zbyt skomplikowani, trudni do określenia, nie mieli żadnych pewników ani grup kontroli! Dużo prościej jest zebrać dane w miejskich szpitalach akademickich, gdzie można było właściwie obserwować pacjentów i prowadzić ich.

Wiele zaprezentowanych materiałów cechowała wysoka technika i specjalizacja. Zapisałem mnóstwo informacji o takiej ezoteryce szczurów laboratoryjnych, jak "wskazywanie nosem z dwoma wytkniętymi dziurami" albo

"test trzaskania ogonem" doktora Schlumpfa z Zurychu. Inny germański naukowiec, przedstawiony jako "najczęściej cytowany człowiek w literaturze

dotyczącej alkoholizmu", szczegółowo objaśniał jak uniknąć pierwszego szoku

doświadczenia. Na początek należało więc "włożyć zwierzęta do pudełka i zapomnieć o nich na kilka dni".

Co roku, na każdym kolejnym spotkaniu próbowałem przedstawić się w jakimś

przyjemniejszym świetle. Wszyscy, którzy mieli wykształcenie, szczególnie

na poziomie uniwersyteckim, odznaczali się pewnym intelektualnym snobizmem.

Największą świętością dla wybranych, czy byli to antropolodzy, profesorowie

języka angielskiego, czy literaci, był ekskluzywny klub łatwych szyderstw i

gotowych etykietek dla dyletantów. Ale dlaczego mnie odbierano w taki sposób? Co pozbawiało mnie prawa do życzliwego wysłuchania?

Przyjechałem tu

wyposażony w nagrania źródłowe i kontrakt na książkę, dzięki której mogłem

przekazać informacje wielu ludziom. Istniało zapewne wiele powodów, dla których mnie odrzucano, za niektóre z nich sam byłem odpowiedzialny.

Podejrzewam jednak, że najbardziej zawiniłem, nie ukrywając swego zaangażowania. Pozbawiony poczucia humoru i nastawiony na jedno, byłem

przeciwieństwem dystansu. Nie dowcipkowałem ani nie reagowałem na dowcipy.

Nie zostałem wtajemniczony w pozę profesjonalnej wyższości. Nie traktowałem ZPUP jako pracy, przedsięwzięcia, źródła funduszy ani kroku naprzód w karierze. Był definicją życia mego syna. Ogarnięty obsesją, zbyt

gorliwie szukałem w gronie naukowców tego samego przenikania się pytań i

odpowiedzi, które tak ożywiały i uwznioślały moje dyskusje z ludźmi pracującymi z ZPUP na Zachodzie. Być może to oczekiwanie najbardziej oddzielało mnie od nich, nie pozwalało mi być równym partnerem w dyskusji.

Naznaczało mnie tak wyraźnie, jakbym zawiesił sobie na szyi tabliczkę z napisem: ZPUP został przywieziony przez kosmitów.

Robiłem, co mogłem. Staralem się siadać przy lunchu obok autorów, których

prace wydały mi się cenne bądź kontrowersyjne. Przyszpilałem na chwilę programowych uczestników przy pomocy paru pytań, zanim zdążyli uciec w

kregi swoich pełnych podziwu kolegów, którzy potwierdzali ich wnioski. Podnosiłem rękę na sesjach Pytań i Odpowiedzi pod koniec dnia.

Głównie jednak trzymałem buzię na kłódkę, świeże baterie w magnetofonie i

zapasowy długopis w kieszeni. Nie zrezygnowałem ze swoich pytań, ale porządek ich zadawania pozostawał poza moją kontrolą. I oczywiście wiele

musiałem się nauczyć. Choć niektórzy prelegenci prezentowali wyjątkową arogancję, generalnie byli to ludzie, którzy mieli największą możliwą

wiedzę w najistotniejszej kwestii, jaką zdarzyło mi się zajmować. To oni, a nie ja, odkryli i nazwali ZPUP, to oni byli prawdziwą nadzieją na zrozumienie i wykorzenie tego problemu.

Fakty i liczby rzucane z podium były dla mnie szokujące z dwóch powodów:

po pierwsze, w przeciwieństwie do moich danych te statystyki nie dotyczyły

Indian. Pochodziły z całego kraju i rysowały obraz równie przerażający jak

ten, który zobaczyłem w Różyczce czy Sosnowej Grani. Choć odsetek danych

społeczności jest mniejszy, to liczba dzieci z wadami spowodowanymi przez

alkohol znacznie większa. Szanse na to, że kobieta, która urodziła już dziecko z ZPUP, urodzi następne, były 771 na 1000. Około 7,542 dzieci z ZPUP rodziło się każdego roku w Stanach Zjednoczonych, z pominięciem przypadków granicznych czy EPUP. Po urodzeniu ważyły zaledwie 2,5 kilograma, a tylko 66 procent rodziło się w wyznaczonym terminie. Mózg, jak

zauważył jeden z mówców, był organem, który najwcześniej zaczynał się rozwijać i najpóźniej kończył rozwój. Był również stale wystawiony na zagrożenie w czasie całej ciąży.

Próbne wyniki niektórych badań uderzyły mnie z powalającą siłą.

Wszyscy

synowie biologicznych ojców alkoholików, nieważne, czy wychowywani przez

rodziców naturalnych, czy adopcyjnych, mieli trzykrotnie większe szanse na to, by zostać nałogowymi alkoholikami, niż ich koledzy, których ojcowie zachowywali trzeźwość. Co to oznaczało dla Adama? A dla mego drugiego syna?

Kolejne badania naukowe przedkładały "naturę" nad "wychowanie" w określeniu

nie tylko wyglądu danej osoby, lecz i jej zachowań - wniosek, na który często się natykałem na szpaltach codziennych gazet u Ann Landers czy Abigail Van Buren. Niektóre wczesne badania sugerowały straszne przypuszczenie, że zarówno kobiety, jak i mężczyźni pijani w chwili poczęcia mogli mieć negatywny wpływ na płód. Kobiety, które piły przez dłuższy czas, nawet jeśli zachowywały abstynencję w czasie ciąży, mogły urodzić dzieci z wadami spowodowanymi przez etanol.

Te smutne informacje zaprzeczające moim dawnym idealistycznym przekonaniom o tym, że rodzimy się z czystym kontem, przypominały mi o pojedynczych przypadkach, na które natrafiąłem podczas swoich poszukiwań.

Narodowa organizacja samotnych rodziców adopcyjnych, do której zarządu

kiedyś należałem, dowodziła podobieństwa problemów, z jakimi borykali się

adopcyjni rodzice dzieci o trudnej przeszłości, w której występował alkohol

bądź narkotyki.

Działo się tak niezależnie od środowiska, w którym dzieci były wychowywane - religijnego, agnostycznego, miejskiego, wiejskiego, jako jedyne dziecko, w dużych rodzinach, bogatych, czy klasy średniej. Owi rodzice często w rozpaczy zgłaszali się do tych samych szkół z internatem, szukali tych samych poradników z odpowiedziami. W Los Angeles działała

"gorąca linia", udzielająca wsparcia rodzicom nie radzącym sobie z dziećmi.

Oferowała porady co do programów i psychologów, którzy okazali się pomocni

w takich przypadkach. Parę razy zdarzyło się, że adopcyjni rodzice stwierdzali u swego dziecka ZPUP bądź EPUP dużo później i zaskarżali agencje adopcyjne o to, że ich przed tym nie ostrzegły. Niewielu z nich, jeśli w ogóle, rezygnowało z rodzicielstwa, ale wszyscy mieli dość lat obwiniania siebie, pomieszania i źle ukierunkowanych starań wpływających z niewiedzy i bezsilności.

W przynajmniej jednym przypadku z południowej Kaliforni, o którym szeroko pisano, cała rodzina, głęboko religijna, ukrywała się przed nastolatkiem z ZPUP, który stał się wobec nich wrogi, agresywny i brutalny.

Jeaneen wspomniała, że kiedy Lakota dowiedzieli się więcej o ciągłym napływie ofiar z ZPUP i EPUP, coraz trudniej było znaleźć adopcyjne domy dla porzuconych dzieci, nawet u członków plemienia i wielodzietnych rodzin.

A jednak w swojej prezydenckiej kampanii George Bush przeciwstawiał się zalegalizowanej aborcji i wzywał do adoptowania wszystkich niechcianych dzieci. Czy nie zdawał sobie sprawy, że wiele z nich, upośledzonych przed narodzeniem z powodu picia, zażywania kokainy czy prochów przez matki, mogło być trudno umieścić gdziekolwiek?

Moją uwagę przyciągnął kolejny mówca z Grupy Badawczej. Zastanawiał się on nad trudnością stwierdzenia, które kobiety urodzą dzieci z pełnym ZPUP czy EPUP, niezależnie od tego, ile piły. Mimo że alkohol docierał do płodu wszystkich pijących kobiet w ciąży w ciągu paru minut, istniało wiele różnic; wielkość dawki, etap ciąży, szczególna podatność genetyczna płodu, metabolizm matki, jej odżywianie się i równorzędność (dzieci, które kobieta rodziła w późniejszym wieku, były bardziej zagrożone, poza tym nie było żadnych różnic).

Trudno było również wskazać przyczyny i skutki społeczne. W Szwecji na przykład oceniano, że ryzykownie pije podczas ciąży 11 procent kobiet, ale niewiarygodna ilość decydowała się na aborcję. A przecież we wszystkich krajach, w każdym studium wysyłano do kobiet te same niedwuznaczne

ostrzeżenia:

Jeśli myślisz, że możesz zajść w ciążę, nie pij piwa, wina, napojów chłodzących na winie ani likieru. Jeśli jesteś w ciąży albo jesteś karmiącą matką, nie pij niczego, co zawiera alkohol. Jeśli dotąd piłaś, to przestań - niezależnie od etapu ciąży - A Jeśli nie możesz przestać, to zacznij się ograniczać. Każda ilość alkoholu, której nie spożyjesz, zwiększa twoje szanse na zdrowe dziecko. Nawet poród jest bezpieczniejszy, kiedy pozostajesz trzeźwa. Z terapeutycznego punktu widzenia nigdy nie jest za późno, aby przestać pić w czasie ciąży.

Pod względem czysto praktycznym, ekonomiczne koszty problemu były oszałamiające; same tylko przypadki niskiej wagi dzieci dawały roczny koszt

82 milionów dolarów na szpitale i pensje lekarskie. Pewien profesor anatomii na Uniwersytecie Iowa opracował skomplikowaną, ale przekonującą

formułę, dzięki której można było obliczyć koszty picia w ciąży. Brał pod uwagę najskromniejsze oceny - jedna lub dwie ofiary ZPUP na tysiąc porodów

- potem policzył całość z raportów spisu ludności i otrzymał przynajmniej tysiące chorych dzieci w ciągu roku.

Następnie wyświetlił na ekranie listę najbardziej powszechnych fizycznych

schorzeń związanych z ZPUP - wady serca, kręgosłupa, wzroku i słuchu, struktury kostnej i wewnętrznej struktury organów - i obliczył koszty ich leczenia, mnożąc zaledwie część tej sumy przez całkowitą liczbę dotkniętego

społeczeństwa, która otrzymał wcześniej. Oczywiście był to dopiero początek. Potem przeznaczył 113 milionów dolarów rocznie na takie związane z niskim ilorazem inteligencji środki, jak poradnictwo psychologiczne, edukacja specjalna, domy wychowawcze, opieka społeczna. Nie sposób było choćby zgadnąć kosztów najbardziej oczywistego i najpoważniejszego ubytku: zbiorowych dochodów tych osób, bo ofiary ZPUP nie mogły normalnie pracować.

Nawet przy zaniżonych ocenach, najniższych liczbach, minimum procent, cenach hurtowych, zespół poalkoholowego uszkodzenia płodu kosztował rząd Stanów Zjednoczonych setki milionów rocznie. Przy włączeniu wszystkich grup wiekowych, nie tylko noworodków, może to zagrozić deficytowi budżetowemu, rywalizując z rocznymi wydatkami na obronę.

Ta prezentacja przypomniała mi o artykule z 1987 roku, autorstwa Ernesta L. Abła i Roberta J. Sokola, na temat ekonomicznych skutków ZPUP. Czytałem go właśnie tego ranka i wetknąłem do notesu ze względu na podobieństwo tematu. Wyjąłem go teraz i otworzyłem na ostatniej stronie. Przeczytałem tam, że "na poziomie federalnym Krajowy Instytut Badań Nadużyć

Alkoholowych

i Alkoholizmu wydał 2,9 miliona dolarów na badania ZPUP w 1985 roku.

(B.

Turner, pers.commun). Jest to mniej niż jedna setna obliczonego przez nas kosztu łatwych do określenia rezultatów ZPUP. Przy takich funduszach badania zespołu poalkoholowego uszkodzenia płodu mogłyby ciągnąć się przez

cały wiek w cenie rocznej kuracji, a... nasze obliczenia są bardzo ostrożne. Nie włączyliśmy w to nawet zaburzeń związanych z niepełnym ZPUP,

które wykazuje trzykrotnie lub pięciokrotnie większa liczba ludzi w stosunku do pełnego zespołu." (1Ď)

Jeśli program edukacyjny ukierunkowany na zapobieganie zakłada tysiące

dolarów wydanych na jedno dziecko, wciąż byłby to rozsądny wydatek. ZPUP

nie jest tylko osobistą tragedią czy problemem społecznym, jest także klęską finansową. Zapobieganie mu ratuje więc nie tylko życie, ale i budżet.

Spółeczny plan prac Grupy Badawczej na następną dekadę zakładał więcej

badań, więcej pracy laboratoryjnej, ale na poziomie pragmatycznym wołał o

zmianę w nastawieniu praktykujących lekarzy - specjalistów, którzy najczęściej mieli styczność z kobietami w ciąży. Na początek trzeba było wyeliminować "brak wiarygodności" tej grupy. Kilku mówców

stwierdziło, że

wielu lekarzy nie wierzy w raport naczelnego chirurga o tym, że nawet mała

dawka alkoholu może być groźna dla płodu. Trzeba było ich o tym przekonać.

Po drugie, należało ich przeszkolić w udzielaniu porad kobietom w ciąży bez

gróźb i wydawania ocen. Powinni zachowywać spokój, stanowczość, podawać

jasne i dokładne informacje.

Po ostatniej sesji poszedłem na długi spacer po plaży. Zbierałem muszle, które chciałem zawieźć dzieciom. Mój umysł nie mógł sobie poradzić z wielokrotnym mnożeniem, którego wymagała formuła profesora anatomii, gdyby

do jego obliczeń dołączyć płodowe efekty alkoholowe (wszystkie te amorficzne, trudne do zdiagnozowania symptomy, o których istnieniu wszyscy

wiedzieli, ale nie brali ich pod uwagę, jeśli nie były "pełne \rightarrow)!). Jak pojedynczy czynnik wpływał na całościowy koszt funkcjonowania więzienia,

ogół towarów skradzionych przez złodziei, wielu godzin spędzonych przez naturalnych bądź adopcyjnych rodziców na mozoleniu się przy sznurowadłach,

higienie czy pracy domowej, której wykonanie na zawsze przekraczało możliwości ich dzieci? Wierzmy głęboko, że każde ludzkie życie jest cenne,

ale nie uświadamiamy sobie, jak jest kosztowne, dopóki nie obliczymy ceny zależności.

Był upalny, mglisty dzień. Poza zadbanym kawałkiem plaży w Dzikich Wydmach leżały pozostawione przez przypyływ odpadki, wodorosty, kawałki drewna, zardzewiałe puszki i cały asortyment niezniszczalnego plastiku.

Tu

i ówdzie pobłyskiwało słońce w małych okrągłych szkiełkach wygładzanych

przez morze tak długo, aż zacierały się ich ostre brzegi. Błyszczące okruchy brązu i zieleni tkwiły w mokrym piasku niczym klejnoty w średniowiecznej koronie. W wyobraźni skojarzyłem je z potłuczonymi dwulitrowymi butelkami muszkatelu, które zaśmiecały drogi Sosnowej Grani,

wyrzucone z pędzących samochodów w upojeniu bądź obrzydzeniu tym, że są puste.

Jesienią 1988 roku odbyło się jeszcze jedno spotkanie dotyczące zespołu poalkoholowego uszkodzenia płodu. Tym razem zjazd miał miejsce w Tucson, a sponsorowała go Indiańska Służba Zdrowia. Sesja trwała przez cały dzień, w zajeździe lotniczym zaprojektowanym w stylu neo-hacjendy. Wokół prostokątnego basenu zasadzono kaktusy i drzewa palmowe i poustawiano potrójne wersje grilla. Każda sala posiedzeń miała zasłonięty widok.

Pogoda

była łagodna jak na Tucson, nie więcej niż 32 stopnie o dziewiątej rano, kiedy zaproszeni uczestnicy zebrali się wokół dzbanka z kawą. Nasza grupa

została wybrana przez Evę Smith, koordynatorkę programów alkoholowych ISZ -

choć ona sama została w Los Angeles oczekując narodzin córeczki.

Uczestnicy, którzy zjechali tu z całego kraju, mieli taki czy inny kontakt z ZPUP.

Wnętrze klimatyzowanej sali Rancho ukazywało hotelowy wzór ustawienia

stołów, ale zamiast chlorowanej wody na środku tkwił projektor ze złowieszcą ilością pudełek ze slajdami. Założenie było proste - w ciągu następnych ośmiu godzin każdy z nas miał krótko przedstawić swoje

widzenie i perspektywy tematu. Zerknąłem na listę i sprawdziłem osoby, po których wystąpieniach wiele sobie obiecywałem. Byłem pewien, że Theda New Breast

opowie z entuzjazmem o programach ZPUP, które wprowadziła w rezerwacie

Czarnych Stóp i w San Francisco. W swoich pracach atakowała problem jako

feministka inspirowana filozofią samopomocy i postrzegała picie matek jako

część dziedzictwa seksizmu i wykorzystywania kobiet. Kathy Masis, energiczna młoda lekarka pracująca w rezerwacie Nawaho, opíše

skuteczność

programu edukacyjnego ZPUP, w którym brała udział, zanim wyczerpał się

fundusz. Ann Garneaux, młoda kobieta z warkoczami, obiecała przedstawić

książkę do kolorowania o ZPUP, pomyślaną jako materiał edukacyjny i opowiedzieć o "Marszu Tatusiów Przeciw Alkoholizmowi", który niedawno

zorganizowała w Południowej Dakocie. Wiele dobrego o jej pracy słyszałem od

Jeaneen.

Pierwszych trzech prelegentów miało za zadanie zapoznać nas z aktualną sytuacją w kraju, co wymagało więcej czasu. Phil May, taki jakiego zapamiętałem sprzed dwóch lat podczas swojej wizyty w Albuquerque, przypomniał swoje wyniki badań prewencyjnych. Doktor J.M. Aase, często

publikowany dysmorfolog, z którym Phil blisko współpracował, omówił subtelne oznaki pozwalające rozpoznać starsze ofiary ZPUP i EPUP: wysunięta

szczęka, okresowe problemy w zachowaniu ("o specyficznym profilu") i pewne szczególne wady fizyczne, takie jak zniekształcenie stopy i rozszczepienie podniebienia, które powtarzały się bardzo często.

Doktor Aase podkreślił, że wiele dzieci matek pijących w czasie ciąży wygląda na normalne, ale zaraz potem zadał retoryczne pytanie: "Czy są tak

normalne, jak mogłyby być?" Wskazał, że najnowsze analizy mózgu ofiar

ZPUP

ujawniły aberracje w migracji i podziale komórek, nie tylko w deficycie wzrostu. Powiedział również, że hypothalamus - część mózgu odpowiedzialna za zdolność do nauki, intelekt, i osiągnięcia - była prawie zawsze dotknięta. Ze swoim wieloletnim doświadczeniem nie łudził się, że to, co nazywał "biernym wysiłkiem edukacyjnym", wystarczająco wpłynie na ograniczenie picia w czasie ciąży.

- Działanie o wysokim ryzyku - konkludował - nie wynika tylko z braku wiedzy.

Do mikrofonu podeszła Ann Streissguth, która ostatnio przez rok prowadziła badania porównawcze we Francji. Była drobną kobietą z twarzą otoczoną koroną przedwcześnie posiwiałych loków. Ubrana była w stylowy kostium, nosiła równie stylowe okulary i buty na niskich obcasach. Na pierwszy rzut oka nie wyglądała na najslawniejszego teoretyka i psychologa w badaniach nad ZPUP, a przecież nikt bardziej nie zasługiwał na ten tytuł. Podobnie jak cała reszta, od dwudziestu lat drażyła ten temat, kierowała się intuicją, badała setki pacjentów. Kiedy wzięła oddech przygotowując się, by do nas przemówić, rozejrzała się po sali, rozpoznając wszystkie twarze.

Spotykałem Ann wiele razy na zjazdach RSA i często rozmawiałem z nią przez telefon. Od początku zachęcała mnie do prowadzenia badań w

Dakocie i

przez lata dowiadywała się o ich postępy. Kilka razy, naprawdę rzadko, kontaktowałem się z nią w sprawie Adama i zawsze służyła mi dobrą radą.

Przeczytałem każde jej słowo o zespole poalkoholowego uszkodzenia płodu z

wyjątkiem ostatniego studium, które napisała z dwoma kolegami z

Uniwersytetu w Waszyngtonie, na zamówienie Indiańskiej Służby

Zdrowia.

Otworzyłem błękitną okładkę "Podręcznika o młodzieży i dorosłych z zespołem

poalkoholowego uszkodzenia płodu ze szczególnym uwzględnieniem

amerykańskich Indian" (1988) (A.P. Streissguth, Robin A. LaDue i

Sandra

P. Randals, "A Manual of Adolescents and Adults with Fetal Alcohol

Syndrome

with Special Reference to American Indians" (Washington, DC: Indian

Health

Service, 1986, 1988). Wszystkie cytaty na następnych stronach pochodzą

z

tego źródła), gotów do porównania z krótkim streszczeniem, które Ann

miała

przedstawić.

Zacząła od ocen pierwszych 11 ofiar ZPUP, które diagnozowała wraz z kolegami w 1972 roku. Na badaniach tej grupy opierał się artykuł, w który

po raz pierwszy sformułowano nazwę zespołu. Potem zaprezentowała

wyniki

obszerniejszego, pełniejszego studium 61 młodych ludzi i dorosłych, którzy zostali wcześniej zdiagnozowani jako przypadki ZPUP (70 procent) lub EPUP (30 procent). Ta ostatnia grupa obejmowała przedział wiekowy od 12 do 40 lat, w większości poniżej 18.

Ann wydawała się tu bardziej pewna w wydawaniu opinii niż na spotkaniach RSA, przekazała wiele trafnych obserwacji. Przeciętny iloraz inteligencji pięćdziesięciu dwóch pacjentów, o których miała dane, wynosił 68 punktów, od 20 (znacznie opóźnionych) do 105 (normalnych). Pacjenci z ZPUP mieli przeciętną średnią inteligencji 66, podczas gdy ci z EPUP 73. Jako całość grupa funkcjonowała na poziomie czwartej klasy szkoły podstawowej w czytaniu, trzeciej klasy w wymowie i drugiej w matematyce, co nie było dobrym znakiem.

Zdolności matematyczne najlepiej pozwalały określić potencjalny stopień niezależności danej jednostki w społeczeństwie - w wyniku niewielkich zdolności "wielu pacjentów ma kłopoty z rozmięnianiem pieniędzy w sklepie i samodzielnym gospodarowaniem finansami. Niskie oceny z arytmetyki wskazują na słabą pamięć, kłopoty z abstrakcyjnym myśleniem i rozwiązywaniem podstawowych problemów". (2Ď)

Co więcej, nawet te znikome osiągnięcia mogły być zbyt pozytywnie zinterpretowane - właściwe zrozumienie czytanego tekstu było mniejsze niż

rozpoznawanie prostych słów i różnica ta pogłębiała się z wiekiem. Jak pisała Streissguth, alfabet był niemalże "przeuczony" w dzieciństwie, a "zdolność do zdobywania wiedzy zarówno językowej, jak i matematycznej wymaga wysokiego poziomu abstrakcji", który wykraczał poza ich możliwości.

"Uważny charakter pisma i stosunkowo dobra ortografia sprawiają wrażenie,

że (pacjenci) będą sobie lepiej radzić niż w rzeczywistości". Ludzie z jej studium radzili sobie w świecie na poziomie siedmioipółlatków, podczas gdy

średnia ich wieku wynosiła lat szesnaście. Iloraz ich inteligencji nie poprawiał się z wiekiem.

Wszyscy obecni robili notatki. Siedzieli z pochylonymi głowami, a ich długopisy pracowicie zapisywały wszystko, by uchwycić te najrzadsze dary od

socjologa - stwierdzenia formułowane wprost, fakty nie poprzedzane wszystkimi "być może" czy "zazwyczaj". Ann Streissguth występowała jako

autorytet, a jej szczerze słowa miały rangę objawienia. Była syntezatorem różnych informacji, szlachetnym szkłem, które wystarczająco oczyści narosłe pomieszczenie.

Usługi państwowe, wskazywała Ann, są dostępne jedynie dla ludzi o

inteligencji poniżej 70 punktów. Oznaczało to, że około 42 procent zdiagnozowanych pacjentów z jej grupy, nie mieściło się w tej kategorii. Prawie nikt z nich nie mieszkał z biologicznymi matkami od trzeciego roku

życia, a czasem dłużej, przy czym 69 procent tych kobiet już nie żyło.

Większość członków badanej grupy odznaczała się pewnymi stałymi upośledzeniami, zarówno fizycznymi, jak i pod względem zachowania. 85 procent miało zniekształcenia philtrum, 80 procent kłopoty z zębami, a większość wykazywała zaburzenia w zakresie kształtu głowy, owłosienia, zniekształcenia palców, nosa, uszu, dłoni, pleców, karku, kręgosłupa i środka twarzy. 86 procent było ofiarami zaniedbania, 52 procent - nadużyć,

80 procent miało "deficyty uwagi", to znaczy, że nie mogli się skoncentrować na poszczególnych zadaniach przez dłuższy czas; 73 procent

miało problemy z pamięcią, a 72 procent zostało uznanych za nadmiernie aktywnych w którymś momencie rozwoju. Większość charakteryzowało świadome i

trwałe nieposłuszeństwo oraz skłonności do wagarowania. 95 procent nie mogła mieć własnych pieniędzy, niezależnie od płci, wieku, poziomu wykształcenia czy pochodzenia. Żadne z nich nie miało własnego konta.

Żadne

nie było samodzielne pod względem finansowym. Tylko jedna osoba miała pracę

na pełnym etacie. Zwykle obowiązki, jak dbanie o własne zdrowie, o ubranie,

oszczędzanie pieniędzy i samodzielne zakupy, udawały się tylko czwórce z 61

pacjentów, i to tych zdiagnozowanych jako EPUP, z inteligencją 75 punktów i

powyżej. Tylko połowa wszystkich badanych była w stanie zadbać o własną higienę.

Tak jak Adam, ci pacjenci potrafili się ubrać, nawet jeśli robili to powoli i po długich podpowiedziach. Umieli zamiatać, zmywać i wykonywać

inne obowiązki domowe, jeśli dostali takie polecenie. Potrafili używać prostych narzędzi i pomagać w przygotowaniu posiłków. Ale żaden z pacjentów

powyżej 18 roku życia nie był niezależny, choć dziesięcioro z nich miało iloraz inteligencji wyższy niż 85 punktów. (3D)

Kiedy Ann opisywała typową ofiarę ZPUP albo EPUP, słuchałem jej jak klient u jasnowidza, u wróżącej z tarota, jak osoba, która przyszła na seans nastawiona sceptycznie, ale jej wątpliwości zaczynały się rozplýwać pod wpływem precyzyjnych informacji. Gdyby Ann znała Adama przez całe życie

i zmieniła tylko jego imię przy opisie wszystkich jego cech, nie mogłaby mówić bardziej trafnie.

Obok mnie spała starsza pracownica socjalna z południowo-zachodniego rezerwatu. Głowa przechyliła się jej na bok i pochrapywała, jak podejrzewam, bezgłównie dla wszystkich z wyjątkiem mnie. Musiałem zdusić w

sobie chęć potrząśnięcia nią. Jak mogła tego nie słuchać? Nieważne, jak głęboko szumiał wentylator, jak kołysał cichy głos Ann - pokój wypełniały błyskawice. Słowa, które padały, nie były dramatyczne, jak kamienie dokładnie układane jeden po drugim, a jednak były destylacją zrujnowanych

istnień, ostrzegawczymi syrenami przyszłych katastrof. Nigdy przedtem statystyki nie wydawały mi się tak żywe, a jednak, kiedy rozejrzałem się po sali, zobaczyłem, że nie są równie czytelne dla wszystkich. Dla niektórych, tak jak dla mnie, zawierały w sobie przeżyta wiedzę, ale dla innych były tylko interesujące, poruszające na tyle, by dorysować linię na żółtej kartce, obok kwiatka czy wzoru paciorków.

Z jedenastu pacjentów opisywanych w studium z 1973 roku, ciągnęła Ann,

dwoje już nie żyło -jeden utopił się w wannie. Nagle przypomniałem sobie koszmarne przeżycie, kiedy głowa Adama zanurzyła się w wodzie.

Usłyszałem

przełknięte wołanie Savy, proszącego go, by wstał. Czworo pacjentów było

opóźnionych umysłowo - i oni, powiedziała Ann, mieli szczęście, ponieważ

wyglądali na swój stan - a czworo stanowiło przypadki graniczne, "na tyle rozumne, by spowodować kłopoty".

Podręcznik Ann zawierał omówienie wszystkich zagadnień ze wstępu.

Okres

niemowlęctwa typowy dla ZPUP-8|EPUP charakteryzowały nadużycia, zaniedbania

i porzucenia. Ofiary były powolne w pokonywaniu motorycznych kamieni milowych, w wypowiedaniu i łączeniu słów. Miały słaby apetyt i trzeba je było zmuszać do regularnego odżywiania się. Zazwyczaj uważano ich za "bardzo dobrych", zwracających się do ludzi i nie lękających się obcych. Spojrzałem na Phila Maya. Czy pamiętał historię, którą mi opowiadał, o małych chłopcach, którzy podbiegli do niego bez lęku w rezerwacie Nawaho?

Widziałem, że patrzy na Ann i kiwa głową.

We wczesnych latach szkolnych, mówiła dalej Ann, mają przemożną potrzebę kontaktu fizycznego. Mogą dużo mówić i zadawać wiele pytań, ale często brakuje im słów, myśli i form gramatycznych. Nie mogą usiedzieć spokojnie przez minutę.

Przypomniałem sobie, jak Jeaneen opisywała dzieci objadające się o ściany jej biura w Sosnowej Grani.

- Mają tendencje do włóczęgostwa. Wymagają większego nadzoru. Wielu opiekunów odkrywa, że dzieci te są w tym okresie przymilne, a ich powolny rozwój i słabe osiągnięcia często usprawiedliwiane są lękiem. "Wyrośnie z tego" - mówi się najczęściej z nadzieją na tym etapie, a opóźnienia w rozwoju nie są traktowane poważnie przez rodziny.

Niesamowite było to, że jej obserwacje potwierdzały moje doświadczenia.

Miałem pełne teczki zachęcających listów nauczycieli Adama z początkowych

klas. Wszyscy zgodnie utrzymywali, że jest po prostu za młody jak na swój wiek. "Czasem można przełożyć pójście do szkoły o rok, z przekonaniem, że nadrobą" - pisała Ann w swojej książce, jakby zaglądała do papierów Adama.

- "Mniej upośledzone dzieci z ZPUP często uczą się w normalnych szkołach w pierwszych latach. Opanowanie czytania i pisania podczas pierwszych dwóch lat może nie być widocznie opóźnione, szczególnie u dzieci, które powtarzały przedszkole. Arytmetyka stanowi zazwyczaj większy problem.(4Ď)... Pacjenci z ZPUP-8|EPUP są z reguły uważani za bardziej bystrych i ożywionych, niż wskazują wyniki testów. Wskutek tego opiekunowie i nauczyciele odbierają ich jako leniwych, upartych i niechętnych do nauki.

Są to błędne przekonania, które wywołują często frustrację po obu stronach.

To było umniejszenie, które przypomniało mi weekend z Komitetem Zasad Kongresu!

- Pacjenci z ZPUP-8|EPUP zdają się osiągać maksimum możliwości w szkole w wieku 12-15 lat, w klasach od szóstej do ósmej. Większość tych ludzi odebrała wiele lat edukacji specjalnej, które nie zlikwidowały

podstawowych

braków. Z naszych klinicznych doświadczeń wynika, że rodzice i nauczyciele

często koncentrują się na szkolnym rozwoju dziecka, podczas gdy należałoby

raczej zwrócić uwagę na naukę zawodu, przetrwania i codziennych umiejętności.

Program Liceum Hartford szedł właściwą drogą. Pracownica socjalna siedząca obok mnie przechyliła się za bardzo i to ją obudziło. Zamrugła i ujęła długopis, jakby chciała coś zapisać, a zaraz potem znów zamknęła oczy. Kiedy zasypiała, jej palce pozostały mocno zaciśnięte na długopisie, jakby ich postawa miała wyrażać jej gotowość. Było to światło zapalone w ciemnym domu, żeby odstraszyć rabusiów, ale wkrótce, kiedy jej oddech wyrównał się, długopis zaczął niczym metronom przechylać się na prawo i lewo z każdym wdechem i wydechem.

- Poprosiliśmy nauczycieli, by opowiedzieli nam o problemach w pracy z tymi pacjentami - ciągnęła Ann. - Głównie ubolewali nad trudnościami z wytrwałością, przeszkadzaniu innym dzieciom, niewielkim zasobie słów, niezdolnością do zorganizowania czasu pracy i stałą potrzebą prowadzenia i

uwagi. Upór, niedojrzałość, niejasny obraz siebie, niezaangażowanie społeczne i trudności z przystosowaniem się do zmian - to najczęściej wymieniane problemy. Co ciekawe, dosłownie te same uwagi wygłaszali rodzice

i opiekunowie, opisując zachowanie pacjentów w domach i innych sytuacjach

społecznych.

Ann wymieniała szczegóły, o których już pisałem w tej książce, poruszyło

to we mnie wiele wspomnień.

- Niektórzy pacjenci bezustannie zadawali to samo pytanie: Kochasz mnie?

Zupełnie tak jak Adam, zanim skończył osiem lat.

Pewien chłopiec zachował się niewłaściwie będąc w towarzystwie.

- Powiedział, że zrobił tak, bo inne dzieci mu kazały - powiedziała Ann.

- Podobna impulsywność, brak zahamowań i naiwność były charakterystyczne

dla pacjentów niezależnie od wieku i płci. Takiego zachowania można by się

spodziewać po znacznie młodszych dzieciach. W tej sytuacji

komplikowała je

dojrzałość młodzieńca lub dorosłego. Od młodszego dziecka nie wymagano

oceny sytuacji ani wiedzy o bardziej abstrakcyjnych regułach społecznych, tak jak w wypadku nastolatka czy dorosłego. (5D)

Wydawało się, że wszystkie obserwacje Ann pasowały do moich osobistych

doświadczeń. Dzięki swoim badaniom mogła nie widząc Adama, opisać go, jego

słabe i mocne strony równie dobrze jak ja. Lepiej. "Intelektualnie upośledzony" - napisała - "ma więcej trudności z tworzeniem koncepcji i werbalizacją własnych doświadczeń i generalnie więcej trudności z

uczeniem

się z doświadczenia." (6D)

Wymieniłem w myślach spojrzenia z Moną, Elaine, Sharon i Brenda Demery.

Zrozumiałyby to. Mogły dostarczyć milion przykładów.

"Ci pacjenci byli powszechnie postrzegani jako lgnący do ludzi i towarzyscy - napisała Ann. - "Otwarte, przesadnie przyjacielskie zachowanie, oceniane tak pozytywnie u dzieci z ZPUP, stawało się coraz większym problemem w miarę ich dorastania. Często łączy się je z nadmierną potrzebą dotyku, znów typową dla małych dzieci...

Ale młodzież i dorośli mający niewielką świadomość kręgu własnej prywatności często dotykają innych i wykazują niewłaściwą i nadmierną ciekawość. Przez to są często nie lubiani i unikani przez rówieśników." Co gorsza, ofiary ZPUP-EPUP "łatwo ulegają wpływom i zdają się mieć kłopoty z rozeznaniem w sytuacji, właściwym zachowaniem, i umiejętnością powiedzenia Nie." (7D)

Ann przedstawiła przykład ilustrujący ten punkt: Jeden z naszych dorosłych pacjentów spotkał obcego na przystanku autobusowym i zaprosił go do domu. Człowiek ten poszedł za nim, ukradł wszystkie pieniądze i wyszedł.

Zapytany, dlaczego przyprowadził do domu obcego, pacjent odparł: "On nie był obcy". Poznałem go na przystanku autobusowym.

Słyszałem, jak Adam mówi te słowa.

Pod względem inteligencji, mój syn był prawie doskonałym kandydatem do

grupy przeciętnych w teście Wechslera z Uniwersytetu w Waszyngtonie: część

ustna 65 punktów, zadania 78. Im bardziej konkretne polecenie, tym lepiej sobie radził, tak jak i ci z grupy eksperymentalnej. Tak samo nie radzili sobie w dziedzinach wymagających myślenia abstrakcyjnego. Według Skali

Socjalizacji testu Vinelanda pacjenci mieli przeciętną inteligencję sześciopółlatków, choć ich średnia wieku wynosiła siedemnaście lat.

Wzorzec się powtarzał. O średnich latach szkolnych powiedziała: "W tym

okresie ich zdolność do sukcesów w nauce osiąga górną granicę, umiejętność

czytania i pisania wyprzedza arytmetykę... Łatwość wymowy, powierzchowne

przyjazne zachowanie i dobre intencje często maskują powagę sytuacji." (8D)

A potem Ann użyła tych samych słów, które Louise i ja oraz ci, którzy znali

i kochali Adama.

- Pomimo problemów z zachowaniem - powiedziała - w miarę dorastania większość nastolatków i dorosłych z ZPUP→8|EPUP wykazuje "słodkie" usposobienie, delikatność i chęć pomocy. Dlatego wiele cech odnotowanych u

dzieci, odnosi się również do dorosłych". (9D)

Ale dorośli nie byli dziećmi, nie w tym świecie. "Główne zmiany obserwowane w okresie przed dojrzewaniem, dojrzewania i dorosłości to natężenie niewłaściwego zachowania seksualnego, izolacja, samotność, depresja i złudne oczekiwania wobec przyszłej pracy, nauki, niezależności"

(10D) - zakończyła Ann. Przewidywana przez nią przyszłość była ponura, pozbawiona cudownej deus ex machina, którą my, ludzie, lubimy wkładać między bajki, które o sobie wymyślamy. W bajce Adama, nigdy nie budzi się on szczęśliwie, by żyć długo i szczęśliwie.

Moja kolej na wygłoszenie mowy nadeszła tak późno tego dnia i w towarzystwie tak wielu ekspertyz, tylu lat ciężkiej pracy pełnej oddania, tak wielu zwycięstw nad rozpaczą i zniechęceniem, tysiące godzin spędzonych cierpliwie z pijącymi matkami i ich upośledzonymi dziećmi, że poczułem się niezwykle zarozumiały. Z całą moją przeczytaną literaturą, wywiadami i podróżowaniem byłem tylko i wyłącznie gniewnym rodzicem szukającym odpowiedzi. Adam był moim nierozważnym powodem, źródłem wszystkich faktów, które poznałem, podstawą mojej intuicji, sprawcą moich pytań. Nie byłem lekarzem, pracownikiem socjalnym ani psychologiem klinicznym. Moje motywy były egoistyczne i wąskie. Przejmowałem się ZPUP nie z pobudek altruistycznych, lecz dlatego, że moje dziecko było na to chore.

Wyznanie miłości pozostawia nas bezbronnych. Pozwala dojść do głosu uprzedzeniom, stawia nas nagich przed groźbą odrzucenia. Wzięłem głęboki oddech i opowiedziałem tym mądrym, doświadczonym specjalistom o tym, jak Adam zamknął drzwi łazienki, a woda leciała z pękniętej rury, jak kupił paczkę za dziesięć dolarów, jak nie myślał o tym, by włożyć płaszcz, kiedy było zimno, i jak w wieku dwudziestu lat nie potrafił dokładnie i ze zrozumieniem określić czasu. Mówiłem, jak dzień po dniu wybierał niewłaściwe schody w Liceum Stevensa i jak zasnął podczas samotnej nocy na obozie wędrownym. Przytoczyłem litanię anegdot, niektórych tak śmiesznych, że wywoływały rozbawienie, a wtedy dodawałem, że mówiły o czymś bardzo smutnym i nie w porządku, co nie powinno przydarzyć się nikomu, kto nie wciągnął jeszcze pierwszego łyku ziemskiego powietrza. Tak, jak zrobiłem to w tej książce, przedstawiłem im lekcję jednego chłopca. Ofiarowałem im twarz, którą mogli powklejać do statystyk. Wyjawiałem im imię Adama.

Rozdział czternasty

Pokazałem te strony Louise, a ona przypomniała mi: Adam ma dar

miłości, a

to ważniejsze niż arytmetyka. Jego zrujnowane, odarte człowieczeństwo zostało jakoś sprowadzone do niewypowiedzianej łączności z rodziną, która

stanowi niepodzielną jedność z jego istotą. Nie istnieje dla niego możliwość końca tej miłości. Ufa swemu sercu równie impulsywnie jak podchodzi do wszystkiego wokół.

Jak więc odnosimy się do decyzji, którą radzili nam podjąć lekarze, doradcy i nauczyciele. Jak mamy świadomie namawiać Adama do operacji, która

uczyni go sterylnym? Jak mamy tego nie zrobić? Mimo że jest w pełni zdolny

do spłodzenia dziecka, czy mógłby je wychować i wspierać. Oczywiście, że

nie. Czy można go wyszkolić w zapobieganiu ciąży? Nie założyłbym się o następnych dwadzieścia lat mego życia. Z drugiej strony jednak, czy musi zachowywać celibat przez całe życie?

Efekt uboczny życia z Adamem, bycia za niego odpowiedzialnym, prób uchwycenia świata z jego perspektywy, był z mojej strony rozszerzeniem się

konceptji "inteligencji". Przez cały czas spierałem się - i wciąż wierzyłem - że to tylko standardowe testy nie są wymierne. Miałem wszelkie

oczywiste

argumenty: były to narzędzia zawierające w sobie uprzedzenia kulturowe; ich

wyniki różniły się znacznie u tych samych osób innego dnia. Oznaczało to,

że wpływają na nie metaboliczne czy emocjonalne czynniki. Poza tym większość z nich zakładała istnienie standardowego pułapu umiejętności dla

wszystkich. Testy na inteligencję mogły łatwo pomylić albo nie rozpoznać tak nieokreślonych talentów jak zdolności artystyczne, inwencje czy zdolności manualne.

Fakt, że Adam miał niezmiennie niską punktację, w żaden sposób nie dopomógł w rozrysowaniu mapy możliwości jego umysłu, ale trzeba przyznać,

że żaden doradca, psycholog ani nauczyciel nigdy nie twierdził, że tak będzie. Uważali testy za rodzaj wskaźnika, światła na drodze, oświetlające szczyty i doliny jego zdolności, które wymagały bliższej analizy. Po latach obserwacji zachowań Adama, praktycznego funkcjonowania jego mózgu, wyodrębniłem pewne kategorie jako podstawowe dla mojej definicji inteligencji.

Pierwszą z nich była wyobraźnia - nie tyle zdolność do wymyślenia fikcyjnej historii, co podstawowa możliwość przewidywania konsekwencji własnych działań. Większość z nas robi to przez cały czas: jeśli zrobię dziś x, to jutro wydarzy się y. Jeśli będę pracować, to zarobię pieniądze. Jeśli zarobię pieniądze, będę mógł kupić sobie więcej rzeczy. Jeśli położę się wcześniej, będę wypoczęty, kiedy wstanę. Jeśli zjem posiłek o dziewiątej rano, będę głodny o drugiej. I tak dalej. A jak te skojarzenia działają? Poprzez uczenie się, jak sądzę, na własnych doświadczeniach, przez wnioskowanie na podstawie dowodów empirycznych, dedukcję z przeczytanych przykładów albo zasłyszanych fragmentów historii ogólnej czy

bliskiej obserwacji innych ludzi. Wyobrażanie sobie czegoś oznacza w pewnym sensie wiarę we własną moc przewidywania, a przez to wpływania na przyszłość. Wyobraźnia wprowadza nas do nieznanego scenariusza uzbrojonych w talizman wiedzy. Jest, w najogólniejszym znaczeniu, sposobem kultury na uwiecznienie siebie. Wbrew bowiem powszechnemu mniemaniu, że osoba obdarzona dużą wyobraźnią jest obrazoburcą, jednostką nieprzystosowaną, przewidywanie jest zwykłym kanałem, przez który elementy wczorajsze są przedstawiane mechanizmom jutra.

Po wyczerpującym szkoleniu Adam nabył rutyny, ale nie wyobraźni. Kiedy był w dobrej formie, powtarzał działania dokładnie jedno po drugim, w sekwencjach, bez zmian czy przystosowań. Pozostawiony własnej inwencji, powtarzałby je dzień po dniu, a gdyby ta rutynowa procedura zawierała subtelny błąd - nałożenie butów, zasznurowanie ich, ale od tyłu - nie zostałby on poprawiony bez interwencji z zewnątrz.

Louise i ja zawsze przypominaliśmy sobie o tym w zimowe wieczory podczas burz lodowych, kiedy w domu wysiadała elektryczność. Kiedy włączano ją z powrotem, musieliśmy nastawiać od nowa wszystkie zegary, a szczególnie zegar Adama. Gdybyśmy zapomnieli o przestawieniu jego budzika, zaczęłby

dzwonić przed świtem. Wtedy o drugiej albo trzeciej nad ranem wyrywałby nas ze snu Adam robiący kanapki, zjadający owsiankę i przygotowujący się do wyjścia na wzgórze, gdzie czekałby na szkolny autobus. Panująca ciemność nie miałaby znaczenia, tak jak nie zrobiłoby mu różnicy, gdyby budzik zadzwonił w południe. Adam wiedział, że trzeba wstać, ubrać się i wyjść z domu. Zrobiłby to, gdybyśmy nie zeszli i nie nakłonili go do pozostania.

Wiedza dla niego była zestawem wypróbowanych i prawdziwych programów, analogicznie do chińskiego pisma, w którym każde słowo ma swoją niepowtarzalną postać. Proces jego myślenia często zdawał się być pozbawiony części ruchomych, bloków, którymi można by manipulować do woli, formując nowe konstrukcje. Każde bezprecedensowe wydarzenie było dla niego całkowicie nową sytuacją, a nie po prostu jedną z wielu konfiguracji zestawu.

A wyobraźnia, jak zrozumiałem, była kluczem do motywacji. Bez pewnej wiedzy o tym, co będzie, nie było po co się wysilać. Wiewiórka, która na jakimś instynktownym, abstrakcyjnym poziomie nie spodziewa się zimy, nie będzie zbierać zapasu orzechów. Pracownik, który nie rozumie koncepcji upływających lat i starzenia się, nie zadba o swoją emeryturę. I odwrotnie: złodzieje sklepowi, którzy pragną ukraść gumę do żucia, nie zastanawiają się nad nieproporcjonalnymi konsekwencjami tej drobnej przyjemności,

gdyby

zostali złapani. Decyzja o tym, czy na coś się decydujemy, czy nie, zależy od naszej wewnętrznej kryształowej kuli, do której bezustannie wszyscy zaglądamy, chcąc przewidzieć przyszłość. W teorii antropologii istnieje koncepcja "superusystematyzowania". Opiera się ona na przesłance, że wszyscy członkowie danej kultury czerpią swoje widzenie świata z tego samego źródła historycznie zebranych założeń. Aby żyć harmonijnie ze społeczeństwem, musimy podobnie tłumaczyć sobie przyszłość.

Motywacja jest motorem samodoskonalenia, zakończenia przykrych zadań,

pragnienia wywołania dobrego wrażenia, uniknięcia przestępstw, za które można zostać złapanym. Wyobraźnia informuje nas o tym, czego nie możemy

zobaczyć, o czym możemy tylko wnioskować - na przykład, że jesteśmy widoczni dla innych i że to, jakimi nas widzą, implikuje ich zachowanie.

Ta

świadomość, o ile się jej nie przeciwstawimy, może z kolei spowodować, że

będziemy chcieli wydać się mili, a przynajmniej niegroźni, zadbamy o higienę osobistą i w najlepszym wypadku będziemy traktować innych tak, jak

sami chcemy być traktowani.

Oboje z Louise musieliśmy powtarzać naszemu synowi setki, tysiące razy:

"Adam, ludzie cię widza, spójrz w lustro i zobacz, jak wyglądasz", "Adam, nie patrz spode łba", "Adam, masz krzywo zapiętą koszulę (albo założyłeś

odwrotnie buty czy spodnie, masz rozpięty rozporek, brudne okulary)", "Adam, odpowiadaj, kiedy ktoś mówi ci dzień dobry", "Adam, nie spychaj z drogi kogoś, kto idzie przed tobą".

Najlepsza i czasem najtrudniejsza rada Ann Streissguth pochodzi z zakończenia jej "Poradnika": "Chyba najważniejszą zaletą w pracy z pacjentami ZPUP-8|EPUP jest poczucie humoru". Próbowaliśmy stosować się do

tej wskazówki. Jednocześnie doceniliśmy fakt, że dołączyła fragment o tym,

jak radzić sobie z młodzieżą czy dorosłymi z ZPUP-8|EPUP. Jej wnioski umocniły naszą niechęć do ingerencji w życie Adama.

"Struktura! struktura! struktura!" - napisała. - "Ci opiekunowie, którzy ustanowili jasne, konsekwentne oczekiwania i konsekwencje pewnych działań,

mają najmniej problemów, a ich dzieci najlepiej radzą sobie w społeczeństwie... Natychmiastowe egzekwowanie konsekwencji, zarówno pozytywnych, jak i negatywnych, jest niezwykle ważne. Wielu pacjentów z

ZPUP-8|EPUP funkcjonuje na poziomie intelektualnym i społecznym siedmio- i

dziewięciolatków. Tak jak małe dzieci potrzebują stałego kierowania i pilnowania, czy dokończyły zadanie, i-8|albo przypominania, by trzymały się

z dala od kłopotów, podobnie czyni wielu tych pacjentów (...)

Wyznaczenie

jasnych, konkretnych granic jest kluczowe, ponieważ większość wykazuje skłonności do rozkojarzenia i błędnego osądu." (1Ď)

Historia, którą opowiedziałem w Tucson, chyba bardziej niż inne nieświadomie ilustrowała ten punkt. W ciepły letni wieczór 1986 roku oboje

z Louise byliśmy zaproszeni na kolację z przyjaciółmi do lokalnej restauracji. Sava był dojrzałym czternastolatkiem, Madeline miała jedenaście, a Adam osiemnaście lat. Nasza farma jest spokojnym miejscem,

położonym z dala od autostrady; nasi sąsiedzi przez polną drogę byli w domu, na odległość krzyku w razie, gdyby coś się stało. Tak więc po udzieleniu instrukcji i wypisaniu numerów telefonów, po raz pierwszy zabraliśmy śpiące Pallas i Persię w wieku jednego i dwóch lat do opiekunki.

Starsze dzieci zostały same w domu przez trzy godziny, od siódmej do dziesiątej. Mogły oglądać telewizję, grać w karty i położyć się spać, kiedy będą zmęczone.

Bawiliśmy się świetnie. Nasi przyjaciele wrócili właśnie z Azji, pełni egzotycznych opowieści. Jedzenie było przepyszne. Mieliśmy rzadkie i romantyczne uczucie, że jesteśmy na randce.

Kiedy wróciliśmy do domu, większość świateł była zgaszona.

Pozostaliśmy

przez chwilę przed tylnymi drzwiami, żeby podziwiać rozrzucone gwiazdy na

głębokiej czerni nieba. Nastrój prysnął jednak z wejściem do domu.

Podłogę

kuchenną pokryło kilka centymetrów wody, która, jak się wydawało, kapiała z sufitu. Popędziliśmy na górę i znaleźliśmy wszystkie dzieci śpiące spokojnie w łóżkach. Otworzyliśmy szczelnie zamknięte drzwi łazienki nad kuchnią, włączyliśmy światło i patrzyliśmy. Rura łącząca umywalkę z instalacją w ścianie była wyrwana. Tryskała z niej woda, która zbierała się na drewnianej podłodze i przesiąkała. Popatrzyliśmy na siebie, nic nie rozumiejąc, szukaliśmy jakiegoś logicznego wytłumaczenia. Czy to mogło stać się samo? Była to nasza łazienka, pełna środków higienicznych dla niemowlaków. Starsze dzieci oficjalnie nigdy jej nie używały, miały drugą na dole.

Sava i Madeline usłyszeli, że przyjechaliśmy i jeszcze nie do końca obudzeni przyszli na zwiady. Wydawali się równie zadziwieni tą sytuacją jak i my. Zdjąłem buty i brodząc w wodzie, bez trudu podłączyłem rurę do instalacji. Woda przestała tryskać. Nie było problemu. Każdy mógł to naprawić.

Poszedłem do pokoju Adama w drugim końcu domu. Leżał na łóżku na prześcieradłach, częściowo przykryty rozpiętym śpiworem. Nie włożył piżamy i zostawił włączone radio. Dotknąłem jego ramienia i wołałem po imieniu, dopóki się nie obudził.

- Adam, byłeś w naszej łazience?

- Nie - wymamrotał.

- Daj spokój, Adam, bawiłeś się w naszej łazience.

- No - zaczął niechętnie - patrzyłem tylko w lustro.

- I co jeszcze robiłeś?

- Nic.

- A co z wodą, Adam?

- To nie moja wina.

- Jak to się stało?

- No, odpadła. - Był zły, że obwiniano go o coś, co najwyraźniej było winą rury.

- Stałeś na niej.

- Nie - wyraz jego twarzy mówił, że tak.

- To co zrobiłeś?

Adam wiedział, co odpowiedzieć i był pewien, że wybrał właściwie - przeciwczyliśmy z nim zachowanie w łazience. - Zgasilem światło i zamknąłem drzwi.

A potem poszedł do łóżka i zasnął. Niedobra rura sama powinna rozwiązać swoje problemy.

Staralem się zachować spokój. Nic by nie dało, gdybym zaczął krzyczeć o niebezpieczeństwach zwracia elektrycznego, o kosztach remontu po zalaniu mieszkania. Zrozumienie tych rzeczy wymagało zdolności przewidywania, której Adam nie miał. Pozostałem przy ustalonej regule: Adam nie powinien

był wchodzić do łazienki. Popełnił błąd. Na tym oparłem wieczorną przemowę.

Louise i ja niewiele mówiliśmy podczas wycierania kuchni. Książki i papiery pozostawione na stole przemokły i były do wyrzucenia. Przez otwarte okna docierały do nas krzyki żab i "podglądaczy", warkot przejeżdżających samochodów o kilometr stąd, mieszając się z tarciem gąbek i szmat po podłodze. Naprawiliśmy, co się dało, pogasiliśmy światła i przysiedliśmy przygnębieni na granitowym tarasie. Znowu utraciliśmy jakieś przekonanie, które braliśmy za pewnik. Nagle wyłoniły się niezliczone lęki i pułapki, których istnienia nie dało się przewidzieć. Zdaje się, że właśnie wtedy całkowicie i ostatecznie zaakceptowaliśmy fakt, że Adam nigdy nie będzie w stanie przetrwać sam. Istniało zbyt wiele nieprzewidzianych okoliczności, na które nie będziemy mogli go przygotować.

Pewnego zimowego ranka 1987 roku przeczytałem szczególne ogłoszenie w The Daily Dartmouth, gazecie uczelnianej. Zainteresowani byli proszeni o kontakt ze Służbą Parku Narodowego w sprawie sezonowej pracy w Narodowym Zabytku Historycznym St. Gaudensa, w Cornish, dziesięć minut od naszego domu. Zadzwoiłem tam natychmiast i poprosiłem o pracę związaną z utrzymywaniem porządku na zewnątrz. Pod odpowiednim nadzorem, Adam z

pewnością mógłby ścinać trawę, pielic chwasty w ogrodzie i zbierać jeżyny.

A ponieważ była to posada państwowa, wydawało się, że nie zaniżą mu pensji z powodu upośledzenia umysłowego.

Pięć miesięcy i wiele wypełnionych formularzy później Adam i ja jechaliśmy majowym popołudniem do posiadłości, w której Augustus St. Gaudens stworzył wiele poruszających rzeźb. Na początku dwudziestego wieku

przyciągnął on tutaj kolonię artystów, którzy osiedlili się nad brzegami rzeki Connecticut. Powstał ezoteryczny wiejski salon malarzy, poetów i amatorów, którzy szokowali lokalną społeczność swymi występami, co dla ludzi odmiennych od nich wydawało się dziwaczne. Zachowały się sepiowane

fotografie kolonistów odzianych w fałdowane tuniki greckie, stojących w bezruchu na długich trawnikach, w pozach naśladowujących starożytne posągi.

Zapewne te żywe rzeźby trwały tak całymi godzinami w hołdzie klasyce, którą przedstawiały.

Uczestnicy tych zabaw dawno odeszli, ale dzięki Służbie Parku Narodowego posiadłość pozostała niezmieniona. W głównym budynku, pod welwetowymi pokrowcami stały oryginalne meble wiktoriańskie.

W każdą letnią niedzielę przybywali tu goście na piknik na werandzie,

aby

wysłuchać darmowego koncertu i podziwiać szeroki widok na odległe

Zielone

Góry Vermontu. Było to więc przepiękne miejsce, idealne do pracy na

powietrzu, a kierownik natychmiast zatrudnił Adama na korzystnych,

podanych

w ogłoszeniu warunkach.

Miał pracować w dni powszednie od siódmej do szesnastej, z

półgodziną

przerwą na lunch.

Oboje z Louise byliśmy zachwyceni, pomimo że odtąd musieliśmy

odwozić

Adama każdego ranka i odbierać go popołudniu. Okazja ta była tak

nieoczekiwana, tak doskonale przykrojona do zasięgu geograficznego

naszego

syna, tak dopasowana do górnych, choć osiągalnych granic jego

możliwości,

że pozwoliliśmy sobie marzyć o tym, że będzie trwało to wiecznie. W

naszych

fantazjach Adam lubiłby tę pracę, zrobiłby dobre wrażenie, nawiązał

znaczące przyjaźnie z pracownikami i poznał satysfakcję z dobrze

wykonanego

zadania. Z końcem lata nie chciałby odchodzić, a jego szef zwalniałby go z

prawdziwym żalem. Po zakończeniu kolejnego roku szkolnego, który miał

być

ostatni, nakłonilibyśmy Służbę Parku do zmiany charakteru posady na

stały

etat. I tak, następnego maja, rozpocząłby się nowy etap w życiu Adama - z prawem do opieki medycznej, usług socjalnych i ubezpieczeniem.

W oczekiwaniu na tę usłaną różami przyszłość, zamówiliśmy pełen zestaw

mundurów, na chłodną i ciepłą pogodę. Adam miał szare i zielone stroje, na

porę deszczową i suchą. Nasz entuzjizm udzielił się całej rodzinie. Tego pierwszego ranka wysadziłem Adama przed bramą, uścisnąłem mu dłoń po męsku

i pocałowałem w policzek. Gdybym miał przy sobie działo, wystrzeliłbym w

powietrze.

Nie udało się. Personel St.Gaudens był wyrozumiały i pomocny. Ken Kramberg, nauczyciel zawodu w Hartford, przeprowadził z Adamem trening

równy tygodniowej pracy. Babcia, dziadek, ciocia i nasi przyjaciele, przysłali pełne zachęty kartki z życzeniami i dzwonili pod koniec tygodnia,

by usłyszeć sprawozdanie. Ale powtarzała się ta sama historia. Podobnie jak

w szkole, kiedy skończył dwanaście lat i w swojej pierwszej pracy w Pizza Hut w Northfield, Adam mógł wykonywać wyłącznie bezpośrednie polecenia

kogoś, kto stałby przy nim przez cały czas. Gdyby tylko ta osoba odeszła i zostałby bez nadzoru, natychmiast oderwałby się od pracy i stracił

jakiegokolwiek nią zainteresowanie. Jeśli nikt tego nie widział, zdejmował okulary, a wtedy nie mógł równo przystrzyc trawnika ręczną kosiarką.

Jego

szeff starał się pomóc i każdego ranka malował wapnem długie proste linie, wzdłuż których łatwo mógł się poruszać nawet taki krótkowidz jak Adam, ale

nie wzrok był tu największą przeszkodą.

Wiele razy usiłował wymigać się od pracy, chowając się za drzewem.

Odmawiał noszenia kapelusza, pomimo że było to wymagane przez regulamin i

że długie przebywanie na słońcu mogło powodować - i powodowało - mniejsze

ataki. Również dwutygodniowe wypłaty nie stanowiły zachęty. Nie kupował nic

poza słodyczami i napojami. A jednak pod koniec lata, mając kilkaset dolarów - które mógł bez problemu podjąć - Adam znów zaczął podbierać nam

pieniądze.

Walczyliśmy z tym przez kilka lat. Jeśli Louise albo ja zostawiliśmy gdzieś portfel, znikwały nam różne sumy. Odnajdywałem je później w kieszeniach spodni lub koszul Adama przy okazji prania. Pytany, dlaczego je

ukradł, odpowiadał z miejsca: "Nie ukradłem". Kiedy przedstawiałem mu dowody, mówił: "Bo tak mi się podobało".

- Chcesz coś sobie kupić? - pytaliśmy za każdym razem. - Potrzeba ci na coś pieniędzy?

Nigdy nie było czegoś takiego. Nareszcie, czy to dlatego, że zaczęliśmy chować pieniądze, czy Adam po prostu o nich zapomniał, problem zniknął.

Ale

we wrześnie, pod koniec pracy, zadzwonił do mnie szef St. Gaudens.

- Nie chciałbym się wtrącać - powiedział. - Ale nie wiem, czy Adam powinien mieć tyle pieniędzy przy sobie.

- Jak to? - Nie zrozumiałem. - Ma tylko trzy dolary.

- Niezupełnie. Ma dwie dwudziestodolarówki i jednego piątaka. Wiem, ponieważ codziennie przypina banknoty na tablicy pod listą swoich obowiązków. Boję się, że ktoś mu je zabierze.

Kiedy Louise przywiozła Adama do domu, postanowiłem zachować spokój.

Nauczyłem się już, że najlepiej było przeprowadzać konfrontację w sposób najmniej przykry dla nas.

- Adam - zacząłem. - Nie może tak dłużej być. Masz dużo pieniędzy.

Musisz

tylko o nie poprosić. Nie możesz nas okradać, to przestępstwo. Jeśli będziesz okradał innych ludzi, zostaniesz złapany i pójdziesz do więzienia.

Musisz to zrozumieć. Dlaczego wzięłeś pieniądze z mego portfela?

- Nie wzięłem.

- Wzięłeś, Adam. Przed czterema dniami zrealizowałem w banku czek.

Miałem

dwie dwudziestodolarówki i piątkę. Włożyłem pieniądze do portfela i poszedłem prosto do domu, a od tego czasu nigdzie nie wychodziłem. Te banknoty zginęły. Ty je wzięłeś.

- Tylko im się przyglądałem - powiedział.

Powtórzyliśmy to parę razy, w tę i z powrotem. Ja bezcelowo pytałem dlaczego, a Adam nie umiał mi odpowiedzieć. W końcu wstałem i podniesionym głosem powiedziałem wprost:

- Adam, ty nie możesz, nie możesz kraść. Nie możesz tu mieszkać i dalej tak postępować. Zastanów się nad tym. - Pobiegłem do kuchni i zacząłem trzaskać garnkami przygotowując obiad.

Był chłodny wieczór, temperatura spadła do jakichś czterech stopni. Louise, która tego popołudnia zasadziła kilka krzewów, pojechała teraz do sklepu spożywczego. Po naszej rozmowie Adam wyszedł i poszedł w stronę miejsca, w którym pracowała. Czasem pomagał przy kopaniu, sądziłem więc, że właśnie to zamierzał zrobić.

Okolo szóstej trzydzieści Louise wróciła do domu z bagażnikiem pełnym zakupów, a kiedy Sava i Madeline zajęli się wypakowywaniem, opowiedziałem jej o mojej rozmowie z Adamem.

- Gdzie on teraz jest? - spytała.

- Nie wiem. Na górze? Wychodził przedtem. - Wołaliśmy go, sprawdzaliśmy w jego pokoju, w łazience, pod łózkami, w piwnicy, w stodole, we wszystkich miejscach, do których chodził się obrażać. Bez skutku. Zrobiło się ciemno i przypomniałem sobie, że Adam nie wziął ze sobą płaszcza.

Zadzwoniliśmy do

sąsiadów, ale nikt go nie widział. Louise wzięła latarkę i obeszła całą posiadłość. Wsiadłem do samochodu i przeszukałem drogę na długości siedmiu

kilometrów w obu kierunkach. Często zatrzymywałem się i wołałem go po imieniu. Wróciliśmy z Louise do domu w tym samym czasie. Nie było po nim

śladu. Ogarnęło mnie poczucie winy, czułem, że wypchnąłem go w noc swoim

oskarżeniem. Wyobrażałem go sobie zagubionego, drżącego, bezbronnego, bez

lekarstw i jedzenia. W naszym lesie mieszka niedźwiedź - w panice żadna myśl nie wydaje się zbyt melodramatyczna.

- Dzwonię na policję - oświadczyłem.

Oficer był u nas po dziesięciu minutach. Wyjaśniliśmy mu całą sytuację.

- Kłóciliście się o coś? - pytał. - Coś, co spowodowałoby jego ucieczkę.

- Tak - przyznałem. - Było coś takiego. - Czułem się jak najgorszy ojciec na świecie, ale policjant powstrzymał się od komentarzy.

- Zarządę poszukiwania - powiedział. - Mógł złapać okazję. Pójdę się trochę rozejrzeć. Proszę zostać przy telefonie.

Louise usiadła przy kuchennym stole, a ja chodziłem. Nakarmiliśmy maluchy, a potem Savę i Madeline.

- Czterdzieści pięć dolarów - zachnąłem się. - Kogo obchodzi czterdzieści

pięć dolarów, jeśli uszczęśliwia go przypinanie ich do tablicy

informacyjnej. - Chciałem tylko, by Adamowi nic się nie stało, by był

przytomny, żeby nie zabrał go z drogi jakiś szaleniec.

Otworzyły się tylne drzwi.

- Oto nasz wędrowiec - powiedział policjant, a za nim pojawił się Adam z nisko opuszczoną głową, posiniały z zimna. - Stał sobie za stodołą - wyjaśnił oficer. - Był tam przez cały czas.

Wstałem i popatrzyłem na Adama.

- Nie słyszałeś, jak cię wołaliśmy?

- Słyszałem.

- Dlaczego nie odpowiadałeś? Dlaczego nas tak przestraszyłeś?

- Kazałeś mi się zastanowić - odparł - Zastanawiałem się.

Pomimo wielu problemów, współpracownicy Adama byli dla niego bardzo mili.

Wszyscy zgadzali się, że "wydoroślał w pracy".

Został zaproszony na przyjęcie z okazji końca sezonu, a jego szef zapewnił, że może liczyć na tę samą posadę w przyszłym roku. Tak więc w styczniu ponownie skontaktowałem się z St. Gaudens i poprosiłem o przyjęcie

Adama na następne lato. Przesłano nam dwa formularze. Jeden dotyczył zatrudnienia na tych samych warunkach co w zeszłym roku, drugi oferował

posadę "pomocnika", poniżej wszelkiego poziomu. Wypełniłem obydwa i odesłałem je razem z listem. Adam miał doświadczenie, prosiłem w nim. Przyzwyczał się do tej pracy. Należał do mniejszości i był upośledzony, co

stanowiło dodatkowy plus dla pracodawcy. W połowie zeszłego lata nadinspektor St. Gaudens otrzymał list pochwalny z zarządu Narodowej

Służby

Parku za zatrudnienie, ale przede wszystkim znalezienie pracownika spośród amerykańskich Indian.

Jeśli Adam miał kiedykolwiek stać się samowystarczalny, pisałem, musi zarabiać niezbędne minimum. Oszczędzałby większość zarobionych pieniędzy.

Miał już dwadzieścia lat, był dorosły. Ale jeśli mógł zostać zatrudniony tylko przy ograniczonym zakresie odpowiedzialności, nie miał wyboru, musiał na to przystać.

Mijały całe miesiące bez odpowiedzi. Ponieważ zapewniano mnie o tym wcześniej, uznałem, że wszystko jest w porządku, że pozostawała jedynie kwestia tego, którą pracę dostanie. Kiedy pod koniec kwietnia zadzwoniłem

tam w końcu, powiedziano mi, że wszystkie miejsca są już zajęte. Było im przykro.

Wydało mi się to cholernie nie w porządku. Wściekałem się i wygłaszałem

przemowy przed Louise. Groziłem, że podam ich do sądu, wydobędę na światło

dzienne to, co wydawało mi się krzyczącą niesprawiedliwością. Byłem wściekły i oburzony i wołałem obwiniać zły los niż uznać rzeczywistość.

Pomimo dobrej woli pracowników St. Gaudens, Adam po prostu nie był im

potrzebny. Zrozumieli pewnie, jakim był ciężarem, kiedy odszedł. Nie byli

to źli ludzie, po prostu ludzie. Nie byli odpowiedzialni za los Adama. Dali mu więcej szans niż ktokolwiek inny. Powinni byli zadzwonić i powiedzieć mi to wszystko - jestem pewien, że z prawnego punktu widzenia mieli obowiązek odpowiedzieć choć na formularze. Nie podobało mi się to, co zrobili, ani jak to zrobili, ale nie mogłem udawać, że ich nie rozumiałem. Jeszcze dziesięć lat temu, nawet pięć, oskarżyłbym ich. Wydzwaniałbym do Waszyngtonu, do stanowego biura równych szans, organizacji broniących Indian i ludzi upośledzonych. Żądałbym sprawiedliwości. Ale to się stało teraz. Żaden sąd nie sprawi, że Adam zacznie nosić okulary i działać samodzielnie, bez stałego nadzoru i zachęty ani że odnajdzie nagle motywację do osiągnięć. Nawet jeśli zdołałem sprawić, że zatrudniono go na jeden sezon w St. Gaudens, nie oznaczało to, że dalej będą go zatrudniać.

Adam wyprowadził się od nas późną wiosną 1988 roku. Był już najwyższy czas, ale decyzja ta nie przyszła mu łatwo. Był to wybór dokonany przez niestawienie się, posunięcie, które racjonalnie uznaliśmy za najlepsze, choć wciąż byliśmy pełni niepokoju. Nasza farma była zbyt odległa od miasta, a Adam nie mógłby pracować po godzinie odjazdu autobusu szkolnego. Poza tym kończył w tym roku szkołę Hartforda, była to więc ostatnia szansa na pracę pod okiem doskonałej kadry. Adam zakwalifikował się do

lokalnej

opieki społecznej, której pracownik, Tony Gahn, zapewnił mu opiekę w domu w

Hanoverze. Było stamtąd blisko do komunikacji miejskiej, tak że bez problemu mógł dojeżdżać do pracy przy zmywaniu naczyń w kęgielni.

Kierownik polubił Adama i gotów był łagodnie traktować go podczas okresu

próbego.

W błotnistą niedzielę marca spakowaliśmy rzeczy, które Adam chciał zabrać

do swego nowego lokum. Była to dziwaczna kolekcja pluszowych zwierząt i

papierowych lalek, które pieczołowicie wycinał w tajemnicy z katalogów z damską bielizną i przyklejał na kartonie. Poza tym plik niedzielnych komiksów z Minneapolis Star Tribune, walizka ubrań, czarno-biały telewizor

i kolekcja zdjęć rodzinnych i starych kartek urodzinowych. Zabrał też swoją

maszynę do pisania i nie dokończoną "Historię Adama Dorrisa spisaną przez

Adama i Dorrisa". Przygotowałem dla niego obszerną listę z porami i ilością

zażywanych leków, sekwencjami porannych czynności, numerami telefonów w

nagłych wypadkach i instrukcją obsługi automatów telefonicznych.

Został jednym z kilku lokatorów w domu pary hodującej bezwłose koty i

nie

zauważył osobliwego zapachu, którym przesiąknięta była ta rezydencja. W niewielkiej odległości miał sklep spożywczy, aptekę i kino i tylko 37 kilometrów do naszej farmy. Naprawdę mieliśmy szczęście, a jednak kiedy Adam wyszedł, nie rzucając nawet pożegnalnego spojrzenia na dom, w którym spędził szesnaście lat swego życia, poczułem cichy ciężar smutku.

Kiedy wszystko idzie jak najlepiej, nie ma usprawiedliwienia dla narzekań, ale nie znaczy to, że nie odczuwamy żalu. Nie miałem prawa chcieć

dla Adama więcej, niż mógł mieć. Nie wolno mi było narzucać mu swoich aspiracji. Gdybym był lepszy, mądrzejszy i bardziej skory do akceptacji, cieszyłbym się po prostu, że zdecydował się i był w stanie uczynić ten krok. Oczywiście w tym duchu przemawiałem do niego w drodze do miasta,

kiedy wypakowywałem jego rzeczy i kiedy się z nim żegnałem.

Serdecznie

gratulowałem mu i dodawałem otuchy, nie szczędziłem pochwał i zapewnień, że

jest to pierwszy szczebel na jego drabinie sukcesu.

Ale kiedy odjeżdżałem, wyzwoliła się ze mnie inna reakcja: miała ściśnięte ramiona, usta tworzyły wąską linię, a barki przygarbiła w bezsilnym gniewie. Żądała czegoś lepszego dla Adama, żądała, by nie był karany za grzech pierworodny kogoś innego, za przestępstwo wypływające z ignorancji lub kapryśnej niefrasobliwości przed jego urodzeniem.

Pod wieloma względami wyjazd Adama stanowił znaczną ulgę dla Louise i dla mnie. Nie musieliśmy planować jego dnia, odwozić go na czas i odbierać, kiedy kończył zajęcia. Nie należało już do naszych obowiązków upewnianie się, czy wziął lekarstwo, włożył czyste ubranie, pościelił łóżko i wypełnił codzienne obowiązki. Wkrótce przekonaliśmy się, ile czasu pochłaniały nam wieczne uwagi "Adam, usiądź prosto", "Adam, podziękuj, jeśli ktoś wyświadczy ci przysługę", "Adam, masz za dużo ziemniaków na widelcu", "Adam, zamykaj drzwi, kiedy wychodzisz", "Adam, nie wycieraj zasmarkanego nosa o ścianę", "Adam, spuszczaaj wodę, kiedy korzystasz z toalety", "Adam, założyłeś koszulę przodem do tyłu", "Adam, wyłączaj światło i radio, kiedy kładziesz się spać".

Po latach ciągłego powtarzania, wypowiedaliśmy te zdania bez dodatkowych wyjaśnień. Proste polecenia były pod każdym względem łatwiejsze niż długie, nudne i koniec końców bezcelowe tłumaczenia. Odwoływanie się do logiki nigdy nie robiło wrażenia na Adamie. Pytanie "dlaczego?" od wczesnego dzieciństwa wprawiało go w zakłopotanie. Odpowiadał wtedy to, co według

niego chcieliśmy usłyszeć. W połowie przypadków zgadywał błędnie, co pogłębiało tylko naszą frustrację. Tak bardzo przyzwyczailiśmy się myśleć za Adama, że po jego odejściu w domu zapanowała luksusowa cisza, cisza obrazu albo książki.

Minęło sporo czasu, zanim odwiedziłem Adama w pracy, a kiedy go zobaczyłem, wiedziałem dlaczego. Wszedłem do prawie pustej restauracji Czerwony Kogut i natrafiłem na wzrok mego syna stojącego w otwartych drzwiach prowadzących do kuchni. Było to tylko przelotne spojrzenie, za chwilę zniknął mi z oczu, ale wystarczyło. Wszystkie nasze ostrzeżenia okazały się bezużyteczne, wrażenie to pogłębiło się, kiedy parę minut później siedział naprzeciw mnie przy stoliku. Założyłem sobie z góry, że pod żadnym pozorem nie będę go krytykował, więc powiedziałem tylko w myślach: "Gdzie twoje okulary, Adamie? Nie widzisz bez nich". Nie wspomniałem już o tym, że od jakiegoś czasu nie ogolił się ani nie mył twarzy. Nie zgańnięm jego stroju: podartej podkoszulki w przejmującym chłodzie listopada, pary wyświechtanych, przepoconych spodni i wyraźnego braku majtek, zniszczonych tramppek, które na moją prośbę miał wyrzucić przed wieloma tygodniami. Miał długie i krzywe paznokcie, brudne zęby i potargane włosy, a na dolnej wardze ślad świeżej krwi, skóra pękała mu podczas zimowej suszy. Przez całą szkołę podstawową, od października do marca, smarowałem mu usta balsamem tuż przed wyjściem z domu. Dziś powstrzymałem się od przypominania mu o tym.

Zapytałem za to o jego ostatnią ranę, oparzenie na przedramieniu, kiedy dotknął gorącego piecyka. Nikt, a szczególnie Adam, nie wiedział, jak to się stało. Najprawdopodobniej stało się to jednego z wielu dni, kiedy nie

wziął lekarstwa, albo nie zjadł lunchu i miał mały atak. Nie był to atak poważny, choć i te się zdarzały. Zaledwie w ciągu paru miesięcy pracy,

Adam

był trzykrotnie wysyłany karetką na pogotowie w szpitalu Mary

Hitchcock,

bez przytomności. Uderzył głową o podłogę, skaleczył się w nogę,

rozwaliał

nos i za każdym razem okazywało się, że konwulsje występowały na

skutek

obniżonego poziomu leku we krwi.

Odkąd odpowiadał sam za siebie, Adam mylił czasem dawki leku.

"Pamiętał",

że bierze Dilantynę albo Tegretol, ale zapominał kiedy. Po siedemnastu

latach pouczeń wciąż mylił śniadanie z lunchem, a lunch z obiadem.

Godziny

między jednym posiłkiem a drugim wylatywały mu z pamięci. Albo

odwrotnie,

minuty zdawały się mnożyć pomiędzy momentem połykania tabletki a

wydarzeniem siedzenia przy stole; w takich razach przedawkowywał i

stawał

się senny i apatyczny. Byłem przekonany, że nie przyjmował leków

umyślnie,

w stopniu, do którego zdolny był to robić. Wynikało to z gniewu na własne

potrzeby, rutynę, ułomność. Wściekał się na tabletki i odtrącał je tylko po

to, by później drogo zapłacić za własną przekorę.

Teraz pokazał mi ramię. Od nadgarstka po łokieć biegła długa czerwona

blizna w kształcie ostrza miecza. Lekarz narzekał, że Adam nie utrzymywał bandaży w czystości, często je zdejmował, żeby obejrzyć ranę, i w konsekwencji proces zablizniania się trwał o wiele dłużej i pozostawił większe oszpecenie, niż było to konieczne.

Ale nie powiedziałem tego głośno.

- Wygląda znacznie lepiej - stwierdziłem.

Adam jest astygmatykiem, podobnie jak ja. Znaczy to, że bez okularów ma leniwe oko. Podczas gdy jedno oko koncentruje się na czymś, drugie ucieka.

Wydawało się, że spogląda mi przez ramię, nawet kiedy otworzył plastikowy woreczek, w którym miał drugie śniadanie.

- Co się stało z twoim pudełkiem na lunch? - spytałem o drogi przybornik, który Louise kupiła mu z okazji rozpoczęcia pracy.

- Rączka się oblużowała - wyjaśnił - więc na wszelki wypadek nie używam go.

Wyjął trzy kanapki, trzy jajka na twardo i banana, i metodycznie zaczął jeść. Każdy kęs ścierał krew z jego wargi, która pojawiała się ponownie, kiedy żuł. Chciałem sięgnąć przez stół i obetrzeć ją moją serwetką. Chciałem pobiec do apteki obok i kupić wazelinę. Chciałem zrobić wiele rzeczy, ale Adam natychmiast by o nich zapomniał po moim wyjeździe.

Zamiast tego myślałem o lunchach, które przygotowywałem mu do

szkoły

wczesnym rankiem. Był taki rok, w którym Adam zjadał wszystko w autobusie

szkolnym, parę minut po śniadaniu. W porze lunchu nie miał już nic do jedzenia. Potem nastąpiła kolejna faza, kiedy w ogóle nic nie jadł.

Pewnego

dnia szukałem czegoś w jego szafie i natrafiłem tam na zapasy zepsutych, zapleśniałych kanapek, ciastek i owoców.

Dzisiejszy posiłek Adama składał się z suchego białego chleba i chudych plasterków wędliny. Żadnego majonezu czy musztardy.

- Myślę, że smakowałyby lepiej, gdybyś to trochę poprawił - zaproponowałem. Był zajęty obieraniem jajka. Pochylał się nisko nad stołem

w swojej krótkowzroczności i obstukiwał skorupkę, aż pojawiły się pęknięcia. Kawałki skorupki wrzucał do plastikowego woreczka. Miał już w

ręku obrane jajko i zatopił w nim zęby, a ja nie wytrzymałem.

- Spróbuj je lekko posolić - zasugerowałem. - Będzie smaczniejsze. - Zrobił mi tę grzeczność. Przyciskał solniczkę do jajka, a w mojej głowie zadźwięczało powtarzane latami polecenie: "Trzymaj ketchup z dala od hot-doga, Adamie. Nie dotykaj ziemniaków pieprzniczką. Trzymaj karton mleka nad szklanką."

Spróbował posolonego jajka i powiedział, że jest lepsze, ale zapomniał o tym, kiedy zjadał dwa pozostałe. Wyraźnie nie zwracał uwagi na to, co je. Nie miał ulubionych potraw, jedzenie nie budziło jego podniecenia czy

radości. Wkładał do ust to, co miał przed sobą, przeżuwał i połykał.

Kontynuował tę czynność, aż nic nie zostawało na talerzu. Nieważne, co podano, potrawy niewiele różniły się między sobą. Na przemian denerwowało

mnie to i przygnębiało. Dobrze przygotowany posiłek był jedną z tych drobnych przyjemności życia, na które Adam pozostawał obojętny. A przecież

był to dar, który troskliwy gospodarz mógł zaoferować swemu gościowi.

Niezależnie jednak od tego, co oferowano Adamowi, reagował zawsze tak samo

obojętnie, chyba że szturchano go przy każdej okazji.

Rozmowa między moim prawie dwudziestoletnim synem a mną polegała jak

zwykle na tym, że ja zadawałem pytania, a on na nie odpowiadał.

- Jak tam praca?

- Dobrze.

- Widziałeś jakieś filmy?

- Jeszcze nie byłem w kinie.

Wskazałem na drewniane tory widoczne przez wewnętrzne okna.

- Grałeś już w kręgle?

- Jeszcze nie.

- Jaki jest teraz twój ulubiony program telewizyjny?

- Chyba "Rodzina Mamusi".

- Co jadłeś wczoraj na obiad?

- To co proponowali w telewizji.

- To znaczy?

Zamyślił się, próbując sobie przypomnieć.

- Nie wiem. Chyba makaron albo indyka.

Przez cały czas rozprawiał się z jedzeniem, które sobie przyniósł, niczym bóbr z pniem drzewa.

- Nie chcesz nic do picia? - spytałem. - Mleka albo Coli?

- Nie - odparł. - Zazwyczaj nic nie piję.

- Masz rozwaloną wargę. Krwawi. Skończyły ci się zapasy, których potrzebujesz o tej porze roku?

Adam dotknął palcem ranki, a potem uniósł go i obejrzał. - Nie - powiedział i skierował uwagę na jajko.

- Jak ci dzisiaj idzie?

Było to pytanie, na które potrafił odpowiedzieć, więc zaczął od rana, kiedy wsiadł do autobusu. Wsiadł z autobusu na przystanku. Wszedł do Czerwonego koguta frontowymi drzwiami. Powiesił kurtkę na haku.

Zamiótł

podłogę miotłą. Wyjął naczynia ze zmywarki. Włożył kurtkę i zapiął ją. Wszedł. Pozbierał śmieci z parkingu. Karton po mleku. Strzępek gazety. Dwie puszki. Coś jeszcze, czego nie pamiętał. Wrócił do środka. Zdjął kurtkę i powiesił na haku. Słuchałem, jak Adam odtwarza fragment po fragmencie, jak kasetę video. Godziny istniały dla niego jako niezależne akty, nie połączone ze sobą ani analizą, ani krytyczną perspektywą, nie ubarwione upodobaniem czy też niechęcią, bez żadnych wyróżników.

Kiwałem

głową i zachęcałem, by mówił dalej, pragnąc włożyć słowa w jego usta, przerwać barierę powolności, znaleźć w nim iskrę sarkazmu czy humoru.

- No więc, Adamie - chciałem go zapytać - na kogo będziesz głosował w

wyborach prezydenckich? Co myślisz o nowej polityce zagranicznej Związku

Radzieckiego? Właśnie przeczytałem wspaniałą powieść - musisz się skusić.

To był mój problem, nie jego. Gdzie przebiegała granica pomiędzy akceptacją stanu, którego nie mogłem zmienić, a rozpaczą albo - co gorsza -

obojętnością? Kiedy przestałem chcieć, żądać, wyczuwać, że Adam oszukuje?

Kiedy odpuściłem, zrezygnowałem ze swego pragnienia do sterowania jego

życiem, zainteresowaniami, z myślenia jego myśli? Nie byłem dumny z faktu,

że narzekam. Dawno przestało to mieć jakikolwiek wpływ na Adama, a zakłócało tylko relację ojciec-syn, która byłaby mu miłsza. Próbowałem spojrzeć na ten lunch z jego perspektywy. Wszystko było całkowicie satysfakcjonujące, nawet więcej. Tata powiedział, że przyjedzie, i przyjechał. Nie ma problemu. Nie ma obaw, że coś źle zapamiętał. Nie zapomniał zabrać lunchu. Przyniósł też tabletki i połknął je. Nie został zganiony. Poruszał się w znajomej przestrzeni, był spokojny. Nie popełnił błędu. Nie było pytań, na które musiałby szukać odpowiedzi. Nic nie zakłócało rodzinnego wzorca, reszta dnia upłynęła według schematu bez niespodzianek.

Nie miałem wątpliwości, że Adam ucieszył się na mój widok, że sama moja

obecność była dla niego czymś dobrym. Na poziomie emocjonalnym nie

potrzebował ode mnie nic poza milczącą aprobatą. Lubił mieć w życiu kategorię "tato". Postaci z telewizji miały tatę i on też. Lubił mieć osobę, z którą łączyło go na tyle dużo, by można było pogawędzić. Byłem potwierdzeniem jego świata, a tylko tego oczekiwał. Czegoś więcej pragnąłem tylko ja.

Urodziny Adama są chyba najtrudniejszą rocznicą. Mimo że jako ojciec adopcyjny nie słyszałem jego pierwszego krzyku, nie czułem ciepłego oddechu jego ciała, po raz pierwszy stykającego się z powietrzem. Nie liczyłem jego paluszków, nie krzychałem ze zdziwienia nad jego płcią, nie ukoila mnie nadzieja jego nowego życia.

Z ogółu doświadczeń podzielonych na poszczególne tragedie podobnych przypadków dowiedziałem się, że poród mojego syna wcześniaka nie mógł być radosnym wydarzeniem. Większość dzieci z zespołem poalkoholowego uszkodzenia płodu wypływa na ten świat nie na fali słonego, pierwotnego, życiodajnego morza, lecz skażona stęchłym winem. Wody płodowe cuchną Złotą Renetą czy Maximem, a na sali operacyjnej śmierdzi jak w lokalu po trzydniowej imprezie. Personel położniczy wielokrotnie oglądał niedożywione dzieci popadające w delirium tremens, kiedy odcinano pępowinę dostarczającą pokarm i truciznę. Pielęgniarki przymykają oczy na to wspomnienie.

Trudno

jest zapomnieć dziecko trzęsące się jak pijak, wrak ludzki pozbawiony następnej kolejki.

Adamowi daleko było do ideału. Miał dużo mniejsze szanse niż dziecko rozpoczynające życie bez blizn od więzów na kostkach, ze sprawnym wzrokiem

i słuchem, bez żadnych obciążeń z wyjątkiem własnych doświadczeń.

Urodziny Adama są dla mnie przypomnieniem. Świętując dzień jego narodzin,

czuję ból i gniew, że nie urodził się zdrowy. Smutno mi na myśl o tym, co mógłby mieć, kim powinien być. Wyolbrzymiam i podtrzymuję te błyski zrozumienia, współczucia czy zaciekawienia, które przemykają po jego twarzy

ulotne jak podmuch wiatru, nieoczekiwane jak głos Boga. Kiedyś powiedział

do mnie w samochodzie słowa wyrwane z kontekstu, którego nie znałem.

- Kansas leży pomiędzy Oklahoma a Teksasem.

Ale kiedy odwróciłem się w zadziwieniu, przyświadczając głośno, wciąż gotów po tylu latach odkryć jego talent albo pasję geograficzną, jakkolwiek zresztą, ta możliwość zniknęła.

- Dlaczego to powiedziałeś? - spytałem.

- Co takiego? - odpowiedział pytaniem. - Nic nie mówiłem.

Szesnaste urodziny, osiemnaste. Kamienie milowe. Prawo jazdy, prawo do

głosowania, urodziny wyznaczające granicę dorosłości. Wyobrażałem to sobie,

czekając na odpowiedź na moją pierwszą prośbę o adopcję, dni, które wtedy sięgały daleko niczym drapacze chmur, kiedy projektowałem w przyszłość lata mego ojcostwa. Nie zastanawiałem się nad tym, co będzie pomiędzy, ale tych niezwykłych dni byłem pewien. Były to filary, na których się wspierałem, oazy pewności. W samotnym domku na Alasce albo w suterenie w pobliżu Franconii czekałem na zatwierdzenie reszty mojego życia. Projektowałem wyrafinowane dekoracje na wspaniałych tortach urodzinowych, znaczące prezenty, na które będę oszczędzał. Może się to wydać dziwne, ale zamierzałem pozwolić Adamowi odejść, zanim jeszcze poznałem jego imię.

Czekałem na ten dumny czas, kiedy świat ujrzy Adama jako niezależnego człowieka. Były to najmocniejsze punkty, które widziałem w wyobraźni.

Ale z nadejściem i przemijaniem kolejnych rocznic, które w niczym nie przypominały moich fantazji, rozpacziałem podwójnie. Po pierwsze, egoistycznie, za siebie, a po drugie za Adama, ponieważ nie wiedział co traci, co już stracił i co utracić musi. Chciałem przemknąć przez te urodziny jak rozpędzony pociąg przez bramę, minąć je i powrócić jak najszybciej do anonimowych lat, na które nie miałem projektu, oczywistej miary, tortów ze świeczkami, które nigdy nie będą zapalone.

Przypadek sprawił, że Adam skończył właśnie dwadzieścia jeden lat, kiedy

ta książka była na ukończeniu, wydawało się to jednak odpowiednie.

Rankiem

w dniu jego urodzin wstałem wcześniej i upiekłem jego ulubione ciasto cytrynowe. Zostawiłem je, by ostygło i pojechałem po niego do Hanoveru. Prezenty leżały zapakowane na kuchennym stole - elektryczna maszynka do

golenia, ubrania, kalendarz z Garfieldem. Na świąteczny obiad zażyczył sobie taco, a ja jak zwykle ustawiłem na środku tortu magiczną świecę, tę, która zawsze się zapala, niezależnie od tego, jak często się ją zdmuchuje.

W domu Adama czekała na mnie wiadomość, że właśnie miał atak, tym razem

mały, ale jeszcze nie doszedł w pełni do siebie. Pomogłem mu włożyć płaszcz

i schyliłem się, by zawiązać buty, przez cały czas opowiadając o tym, jak świetnie będziemy się bawić. Wyjrzał przez okno. Tydzień temu został zwolniony z pracy przy zmywaniu naczyń. Grudzień był złym miesiącem częstych ataków. Spowodowane one były głównie zmianą w dawkowaniu leków i

tym, że Adam często zapominał o ich zażywaniu. Agent ubezpieczeniowy kręgielni był tym zaniepokojony. To i świąteczny zastój w interesie zdecydowało o zwolnieniu. Adam wrócił na parę tygodni do Hartford, podczas

gdy Ken Kramberg i jego współpracownicy szukali dla niego nowej posady.

Sądziłem, że może być przygnębiony takim obrotem zdarzeń, próbowałem więc

rozweselić go, kiedy jechaliśmy na południe, znajomą drogą do Cornish.

- No i jak, Adam - rozpocząłem konwencjonalnym zwrotem - czujesz się

trochę starszy? Co dobrego w tym, że ma się dwadzieścia jeden lat?

Odwrócił się do mnie z uśmiechem. Było coś dobrego.

- No - odparł - teraz koledzy w pracy mówią, że jestem już dość duży, żeby pić.

Jego nieoczekiwane słowa kopnęły mnie w żołądek, kompletnie pomieszały moje myśli.

- Adam, nie możesz - zaprotestowałem. - Mówiłem ci o twojej rodzonej matce, o twoim drugim ojcu. Pamiętasz, co się z nimi stało?

- Wiedziałem, że pamięta. Opowiadałem mu tę historię wielokrotnie, przerabialiśmy ją razem, kiedy czytał albo słuchał fragmentów tej książki.

Adam zastanowił się przez chwilę.

- Byli chorzy? - rzucił w końcu. - Dlatego mam ataki?

- Nie byli chorzy. Umarli, Adamie. Umarli z powodu picia. Gdybyś pił, mogłoby ci się przydarzyć to samo. - Pamięć podsuwała mi wszystkie statystyki dotyczące synów alkoholików i ich szczególnej podatności na uzależnienie. - Klóciłoby się to z twoimi lekami.

Adam kichnął i odwrócił się, ale zdążyłem uchwycić wyraz rozbawionego

niedowierzania na jego twarzy. Nigdy nie traktował śmierci poważnie.

Była

to abstrakcyjna koncepcja, poza jego rozumieniem i dlatego nie interesowała

go. Śmierć była mniej rzeczywista niż Święty Mikołaj - w końcu miał w albumie swoje zdjęcie na kolanach u Świętego Mikołaja. Śmierć nie stanowiła

żadnego zagrożenia, nie trzeba było z jej powodu odmawiać pierwszego drinka.

Mój syn będzie wiecznie podróżował bezksiężycową nocą, mając za jedyne

towarzystwo wycie wiatru. Nie mówcie mu o górach, o tropikalnych plażach.

Nie każcie mu zachwycać się wschodem słońca albo przebłyskami światła pośród liści. Nigdy nie miał czasu na takie rzeczy i nie wierzy w nie. Może przejść koło nich na wyciągnięcie ręki, ale ręce ma wysunięte naprzód w poszukiwaniu równowagi, a nie przyjemności. Nie zastanawia się nad tym, skąd pochodzi ani dokąd zmierza. Nie pyta, kim jest ani dlaczego. Pytania są luksusem, dziedziną tych, co pozostają z daleka od szoku nagłej ulewy. Grawitacja tak mocno wciska Adama w rzeczywistość, że nie czuje już z nią

punktów stykowych. Tonący nie jest oddzielony od pragnienia powietrza pomostem myśli - stanowi z nim jedność. A mój syn, poczęty i wyrosły w kąpielu z etanolu, każdego dnia tonie na nowo. Nie ma dla niego brzegu.

Rozdział piętnasty

Historia Adama Dorrisa

spisana przez Adama Dorrisa

(wersja oryginalna!)

Pamiętam że byłem w domu zastępczym i bawiłem się na podłodze ciężarówkami a kiedy się bawiłem wszedł jakiś mężczyzna i stanął przede mną

spojrzałem na niego i oczywiście był to mój ojciec. Wstałem i poszedłem prosto do niego. Potem zabrał mnie ze sobą do domu. Zabrał mnie do domu i

mieszkaliśmy w białym domu z człowiekiem który mieszkał tuż nad nami i

wcale nie był miły. Mieszkaliśmy wtedy w sugar hill A kiedy mój tata musiał

pracować ja chodziłem do centrum dziennej opieki i uczyłem się jak robić różne rzeczy jak na przykład malować i śpiewać też. i jak budować z klocków. Potem mój ojciec przyjeżdżał i zabierał mnie i jechaliśmy do domu.

Potem mieszkaliśmy tam przez jakiś czas. Potem postanowiliśmy się przeprowadzić do innego domu. Wtedy przenieśliśmy się na farmę new hampshire. Było tam duże jezioro, nazywało się jezioro mascoma.

Mieszkaliśmy w małym żółtym domku mieliśmy innych sąsiadów i byli o wiele

milsi niż ludzie z którymi mieszkaliśmy. Czasami ojciec przekomarzał się ze

mną i mówił chcesz iść do jeziora, Adamie, chcesz iść do jeziora kiedy bawiłem się albo czytałem. A kiedy tak do mnie mówił tylko płakałem bo nie

wiedziałem że to żarty. Miałem mały pomarańczowy rower który miał opony

których nie trzeba było pompować bo były twarde. Siodełko też było twarde.

Czasami chodziłem do sąsiadów i rozmawiałem z nimi albo poprostu się z nimi

bawiłem. A w nocy kiedy szedłem do łóżka mój ojciec zamykał drzwi.

Rano

zanim wstałem moje łóżko było całe mokre kiedy na niego czekałem ponieważ

nie wiedziałem z początku jak zwrucić jego uwagę. Potem pokazał mi jak mam

zwracać jego uwagę. Miałem zwrucić jego uwagę waląc w ścianę mojego pokoju

i dać mu znać że muszę iść do łazienki. Ale nigdy mu nie muwiłem.

Moczyłem

tylko łóżko i leżałem w cuchnącym moczu. Leżałem tam i czekałem aż przyjdzie do pokoju. Kiedy wchodził do pokoju cały śmierdział moczem.

Wtedy kąpał mnie w mojej małej blaszanej wannie. Miałem małą zabawkę do

zabawy w wannie. A był to rzeźnik piekarz i człowiek co robi świece z rymowanki posmaruj i nadziej. Nie mieliśmy wtedy wanny w naszym domu.

Mieliśmy tylko prysznic. Kąpałem się z bąbelkami. Kupował to czasami w sklepie. Kiedy mieszkaliśmy na farmie w new hampshire ojciec zabierał mnie

do centrum dziennej opieki w Norwich położonej w norwich w Vermoncie.

Wysadzał mnie tam i jechał potem prosto do pracy a ja spendzałem czas w centrum opieki w Norwich robiąc różne gry i takie tam. I też tam spałem. I jadłem tam lunch. Potem kiedy mój dzień się kończył ojciec przyjeżdżał i zabierał mnie z centrum dziennej opieki pod koniec dnia i jechaliśmy do domu. Potem było tak jak codzień. Przychodziliśmy i wychodziliśmy kiedy

trochę podrosłem spendziłem pierwsze swienta z dziadkami w Louisville w

kentucky. Poleciałem do Louisville z moim ojcem wielkim samo lotem.

Podobało mi sie w samo locie kiedy przygotowywaliśmy się żeby polecieć do

nieba. Podobało mi się też kiedy przyspieszył i miał wystartować zlotniska A kiedy samo lot podnosił się z ziemi widziałem koła wchodzące do skszydeł

samo lotu. Potem byliśmy wysoko nad chmurami. To był mój pierwszy raz w

samolocie. Byliśmy wniebie przez jakiś czas. Jedliśmy w samolocie lecąc do

Louisville. Potem samolot przygotował sie do lądowania. Patrzyłem uważnie

jak wyszły koła. Najpierw tylne koła zjechały a potem koła sprzodu. Kiedy byliśmy w samolocie widziałem domy i samochody ktore wyglądały jak miniaturowe zabawki samochodziki i ciężarówki. To było fasanujące.

Potem na

koniec nasz samolot był gotowy do lądowania na lot nisku w Louisville.

Kiedy wysiadłem z samo lotu razem z ojcem zacząłem biegać z jednego

końca

lot niska w drugi. Aż zabrakło mi oddechu. Potem wsiedliśmy do samochodu

babci i pojechaliśmy do niej do domu.

Od chwili przyjazdu miałem nawyk wchodzenia do kuchni babci i otwierania

jej kosza na śmieci nogą. Robiłem to od czasu kiedy byłem mały. Nigdy nie

pomiąłem tego od czasu kiedy byłem mały. A kiedy tam byłem poszedłem

poraz pierwszy do zoo z babcią i ciocią marion. A kiedy byłem z nimi

jeździłem z nimi kolejką po całym zoo. A kiedy jeździliśmy kolejką

widzieliśmy wszystkie zwierzęta z zoo Louisville. Potem wyszliśmy z zoo i

ruszyliśmy w stronę domu babci. Potem dojechaliśmy do domu babci,

wysiedliśmy z samochodu i weszliśmy do środka. Oglądałem telewizję a babcia

gotowała obiad jak zjedliśmy obiad jedliśmy deser. A potem oglądaliśmy

przez jakiś czas telewizję i wszyscy kładliśmy się spać. miałem małe

łóżeczko przy łóżku babci. A jeśli nie mogłem spać mówiłem babci że nie

mogę spać w nocy. Czasem przytulałem się do babci w łóżku przez chfile.

A

potem wstawaliśmy i jedliśmy śniadanie. A kiedy sprzątała po śniadaniu

siedziałem w salonie i bawiłem się moimi świątecznymi zabawkami które

dostałem od wszystkich. Miałem małą kolejkę elektryczną która jeździła w

koło i w koło. A ja siedziałem pośrodku i pozwalałem kolejce jeździć

wokół

mnie. A jeśli wychodziłem z pokoju pozwalałem pociągowi zjechać z torów. i

wyczerpywały się baterie. I kolejka nie była już dobra. Zabrano mnie pierwszy raz na lunch do Burger Kinga kiedy byłem mały. Potem kiedy już odwiedziliśmy babcię i ciocię marion przez jakiś czas byliśmy gotowi do spakowania się i wyjazdu do domu. Potem kiedy byłem większy zabrano mnie do

szkoły Cornish po raz pierwszy żebym poznał nowych nauczycieli. Byłem dość

nieśmiały za pierwszym razem poznawałem nauczycieli trochę lepiej.

Poznałem

też inne dzieci w szkole Cornish. Potem kiedy byłem w piątej klasie miałem

nauczycielkę która była ostra w pewnych sprawach. Zrobiłem w szkole coś

czego nie powinienem to znaczy wziąłem dwadzieścia pięć centów z jej biurka

nie pytając o pozwolenie. Wtedy miałem kłopoty z inną nauczycielką czyli z

panią Alexion. Tutaj zaczyna się prawdziwy kłopot. Zostałem zaprowadzony do

gabinetu pana Hutchinsa a pani Alexion zadzwoniła do pracy mego ojca i przekazała mu złe wiadomości. I kiedy panna Alexion rozmawiała z moim ojcem

przez telefon ja zanosłem się od płaczu bo zrobiłem coś czego nie

powiniennem był zrobić. Kiedy już porozmawiała z ojcem ja z nim rozmawiałem.

To nie było bardzo miłe dla żadnego z nas. Ponieważ znaczyło to, że przzerwano mu w środku lekcji i spotkań.

Jak już pomieszkaliśmy na farmie przez jakiś czas przenieśliśmy się do Cornish. I chodziłem do szkoły w Cornish kiedy się przeprowadziliśmy. To wtedy poznałem tam wszystkich moich nauczycieli i dyrektora też.

Poznałem

też nowych pszyjaciół pierwszego dnia w szkole. Potem w lecie pojechaliśmy

kawał drogi do Nowej Zelandii. Poszliśmy tam do szkoły musieliśmy chodzić

piechotą do szkoły z domu który wynajeliśmy. Pewnego dnia jednak zgubiłem

drogę do domu i sam zgubiłem się na dobre. w końcu znalazłem drogę do domu.

Miałem takie małe plastikowe pudełko na lunch na zewnątrz z moją klasą.

Ponieważ nie mieli stołówki w tej szkole. I także w tej szkole nie wolno było nosić długich spodni. wolno było chodzić tylko w szortach w tej szkole

do której chodziłem. No i nigdy nie byłem w szkole w której nosiło się szorty. W tej szkole była pani dyrektor zamiast pana. Bardzo lubiłem tę szkołę. Miałem nauczyciela kiedy chodziłem tam do szkoły. I mieli tam też szkolną pielęgniarkę nie wiedziałem że mieli szkolną pielęgniarkę która pracowała na zębach uczniów. Sądziłem że to była pielęgniarka która pomagała poczuć się lepiej uczniom którzy byli chorzy.

Potem odwiedziliśmy Auckland na jakiś czas i pojechaliśmy do Wellington.

Pływaliliśmy z ludźmi którzy mieli żaglówkę. Wypłynęliśmy z nimi na jezioro.

Wsiedliśmy do małej łódki, którą ciągnęli za żaglówką. Zaszliśmy się na

małym terenie jak plaża i wsiedliśmy do łódki i wiosłowaliśmy do małej plaży przez chfilę. Zjedliśmy trochę kiedy byliśmy na łodzi. Zostaliśmy tam

przez jakiś czas i wróciliśmy spowrotem do Auckland w Nowej Zelandii pociągiem. Spaliśmy całą drogę w pociągu z Wellington do Auckland w Nowej

Zelandii. Kiedy wracaliśmy do Auckland byliśmy w pociągu przez całą noc.

Była to długa jazda pociągiem.

Kiedy wróciliśmy z Wellington wróciliśmy do normalnego życia. Potem był

nasz ostatni dzień w Nowej Zelandii i w szkole też. Ostatniego dnia w szkole stanąłem przed moją klasą i powiedziałem im co myślałem o Auckland i

jak podobała mi się szkoła. I takie tam. A potem kiedy miałem wyjść ze szkoły w Auckland dano mi książkę o nowej zelandii o nazwie

ATOEAROA. A w

środku książki wszyscy podpisali się na kartce którą przykleili do

pierwszej strony książki którą mój nauczyciel mi kupił. Potem ostatniego dnia w Nowej Zelandii powiedziałem wszystkim w mojej klasie, że bardzo

dobrze się tu bawiłem. I że mam nadzieję że przyjadę tu jeszcze kiedyś. I zanim wyszedłem ze szkół wszyscy chcieli mój podpis żeby mnie zapamiętać.

Napisałem moje nazwisko na małych kartkach dla wszystkich w szkole.

Potem

kiedy porzekałem się ze wszystkimi w szkole poszedłem do domu i zgubiłem

się, nie mogłem znaleźć drogi. Potem w końcu znalazłem drogę do domu który

wynajmowaliśmy. Musiałem najpierw wejść na wzgórze a potem był podjazd

ogrodzony żelaznym płotem. I musiałem przejść przez ten podjazd i mieszkałem w domu z cegiel który miał duży salon i małą kuchnię i sypialnię

z dużym podwójnym łóżkiem. Spaliśmy w podwójnym łóżku. A na dole był

gabinet i wolny pokój z dużym fortepianem w tylnym rogu.

Musiałem zabierać plastikowe pudełko na lunch do szkoły każdego dnia.

I

musiałem jeść lunch na zewnątrz bo w szkole nie było stołówki. A inną rzeczą którą musiałem robić w szkole było noszenie szortów do szkoły bo w

szkole nie pozwalano nosić długich spodni. Pewnego dnia nie miałem żadnych

szortów żeby założyć do szkół więc zamiast włożyłem spodnie. Potem ostatniego dnia w szkole poproszono mnie żeby stanął przed klasą i

powiedział parę zdań. Powiedziałem, że bardzo lubiłem tę szkołę i lubiłem tu być. Potem zanim wyszedłem ze szkoły dano mi książkę o nazwie

AOTEAROA

Potem kiedy wróciłem do domu który wynajmowaliśmy zgubiłem się i nie mogłem

znaleźć drogi do domu który wynajmowaliśmy. Potem w końcu musiałem wejść na

drogę i różne drogi i potem w końcu znalazłem drogę do domu który wynajmowaliśmy będąc w Nowej Zelandii. Potem ostatniego dnia w Nowej

Zelandii spakowaliśmy nasze walizki i pojechaliśmy na lotnisko i wsiedliśmy

na Air New Zealand D.C. dziesięć i poleciliśmy spowrotem do Kalifornii.

I

stamtąd wsiadłem do Vermont Transit z powrotem do White River w Vermoncie.

A kiedy przyjechałem na węzeł White River pan i pani Green mnie przywitali.

Wyjąłem cały bagaż z autobusu i włożyłem go do samochodu pana i pani Green.

Potem jechałem w stronę domu kiedy wysiadłem z autobusu. Poszedłem prosto

do łóżka kiedy tylko wróciłem do domu z podróży.

Potem jednego dnia zjawił się jeffrey (pierwsze imię Savy to Jeffrey i Adam tak go nazywa w swojej historii). Był całkiem miłutki kiedy zjawił się

w New Hampshire. Miał taki zabawny mały uśmieszek który prezentował wszystkim. Mrużył oczy i uśmiechał się jednocześnie. Miał największy uśmiech ze wszystkich. I kiedy otwierał usta naprawdę szeroko. Wciąż to potrafi robić. Kiedy podrastał zaczął wyglądać bardziej jak on sam. Miło było go mieć jako własnego brata kiedy był mały. Ale teraz jest coraz większy i silniejszy. Pamiętam kiedy był mały miał napady złości kiedy miał kłopoty i nie przestawał płakać. A kiedy nie przestawał był wysyłany do swego pokoju. A kiedy już przestał mógł zejść spowrotem do rodziny. Ale nie częściej.

Kiedy nie chciał nic robić i ojciec kazał mu to ojciec gniewał się i krzyczał na niego aż to zrobił. Kiedy jeffrey miał kłopoty płakał całymi godzinami. A jeśli jeffrey nie przestawał płakać ojciec automatycznie sprawiał że przestawał. Jeffrey nie lubił kłaść się wieczorem do łóżka. Kiedy był mały. Nie lubił także się zdrzemnąć. Kiedy byliśmy w Louisville

jeffrey poszedł pierwszy raz do zoo. Wtedy byliśmy tylko ja jeffrey babcia i ciocia marion. Kiedy byliśmy jeździliśmy kolejką wokół zoo i ja i jeffrey jeździliśmy na kucykach. Była jedna rzecz której jeffrey nie chciał czyli ssiąć z kucyka i ja też nie. Także kiedy tam byliśmy jeździliśmy na słoniu. Jedno czego nie lubiłem u słonia to hałas jaki robił. Zasłaniałem sobie uszy kiedy słoń wydawał ten dźwięk. Ale poza tym podobała mi się reszta zoo. Jedynym zwierzakiem który spodobał nam się w zoo była żyrafa najbardziej. A kiedy byliśmy w zoo poszliśmy też do zoo dzieciennego.

Potem

kiedy byliśmy z nimi dłużej ruszyliśmy do domu. I wracaliśmy do domu zatrzymaliśmy się w nowym jorku żeby odwiedzić ciotkę Ginny.

W Święto Dziękczynienia jedziemy do nowego jorku zobaczyć paradę Święta

Dziękczynienia. Moja ciocia zostaje w domu i ogląda paradę i ja oglądam paradę która jest niedaleko od jej mieszkania. Oglądam wszystko po kolei od

floty po balony rozgrzane gorącym powietrzem Jest coś co lubię w paradzie

Święta Dziękczynienia a są to balony. Kiedy raz tam byłem jeden z balonów

przygotowywał się do zejścia był to snoopy który miał problemy z utrzymaniem się w górze. Wyśle, że nie miał w środku dość gorącego powietrza i zaczął mieć problemy z utrzymaniem się w górze podczas parady.

Zaczął się przechylać w stronę miejsca w którym stałem. Snoopy prawie dotknął ziemi. W dodatku prawie wylądował na mojej głowie. Ale w końcu go

odciągnęli i zaczął się przechylać we wszystkie strony. Potem kiedy go dobrze ustawili był w porządku. Snoopy pewnie nie miał w środku dość gorącego powietrza.

Potem w końcu madeline przyszła do naszej rodziny. Kiedy weszła do naszej

rodziny miała bardzo silną wysypkę od pieluch. Ojciec wynosił ją na dwór w

ładne słoneczne dni i pozwalał jej leżeć na golasa na słońcu. Miała wysypkę od pieluch i ojciec wynosił ją na dwór w ładne dni. Nie lubiła być na dworze. Miała taki mały uśmieszek który pokazywała wszystkim. Zawsze miała ten smutny uśmieszek. Kiedy madeline była trochę starsza miała zwyczaj wypychania policzków jedzeniem. Jeffrey miał ten sam zwyczaj. A kiedy wypychali sobie policzki ojciec podchodził od tyłu i ścisnął im policzki a jedzenie madeline wylatywało na stół. Ojciec tłumaczył madeline żeby nie wypychała policzków ale i tak to robiła. Potem pewnego dnia jedynym sposobem, żeby się nauczyła było gryzienie. kiedy jeff gryzł wtedy złapała.

Jeff również miał ten sam problem co madeline. On również lubił sobie wypychać policzki. Więc wszyscy musieli się nauczyć na własnych błędach.

Kiedy jeff poszedł do centrum dziennej opieki bawił się i biegał i wtedy jeff biegł i wpadł na inne dziecko i uderzył głową o krzesło i z krzesła wystawał gwóźdź i rościął sobie czoło. Wtedy krew tryskała bardzo szybko.

Jeden z nauczycieli centrum dziennej opieki zauważył że mojego brata coś boli. Wtedy jeff został zabrany do szpitala mary hitchcock w hanoverze.

Ojciec zawiózł go prosto do szpitala jak najszybciej. Kiedy tam przyjechali

jeff został natychmiast zabrany do gabinetu. Kiedy przyjechał do szpitala został natychmiast wysłany prosto na pogotowie. Kiedy tam był dostał siedem

szfóf na rozciętym czole. Od tamtej pory ma bliznę w miejscu gdzie było rościecie. Kiedy to się stało wpadł na dziecko o imieniu paul. Kiedy to się stało byłem w szkole w tym czasie.

Mój ojciec moja siostra i mój brat byli kiedyś w wypadku samochodowym.

Jeśli chodzi o ojca to uderzył zebrami o kierownicę. Ale jeśli chodzi o mego brata jeffa i moją siostrę madeline to na szczęście mieli zapięte pasy bezpieczeństwa. Mieli ten wypadek w oplu. Po oplu mieliśmy mazdę i 10 października wzięliśmy ślub na tyłach naszego domu. Po naszej ceremonii poszliśmy do miłej restauracji w Claremont na kolację. A kiedy jedliśmy kolację nasza mazda została wysmarowana kremem do golenia. Mieliśmy małe

foremki na paszteciki przywiązane do naszej mazdy. Na masce samochodu napisali dużymi literami "tuż po ślubie". Przywiązali te foremki na całym samochodzie. W chfili kiedy ścieraliśmy krem do golenia z mazdy ojciec zauważył że lakier z mazdy zszedł kiedy ścieraliśmy krem do golenia z samochodu. Krem do golenia był na całej maździe. I mieliśmy też foremki do

pasztecików. One również były na całej maździe. Były nas pszednich wycieraczkach i na bagażniku. Niektóre były też przywiązane do anteny mazdy. Pojechaliśmy do domu tego wieczoru z kremem do golenia na całym

samochodzie. Pojechaliśmy tego wieczoru do miłej restauracji. Ojciec włożył

małe foremki do pasztecików do bagażnika bo nie chciał ciągnąć za sobą foremek w drodze do domu. I też nie chciał się fstydzić po drodze do

domu.

Pamiętam kiedy pojechałem do północnej Dakoty z mamą po raz pierwszy.

Zapakowaliśmy żółty samochód wszystkimi naszymi rzeczami.

Jechaliśmy żółtym

samochodem dość długo i wtedy samochód nam zgasł. Ciągnęliśmy go więc na

bok międzystanowej. Mama próbowała zapalić samochód, ale za każdym razem

kiedy próbowała zapalić samochód zapalało się światelko hamulca za każdym

razem kiedy próbowała zapalić. Tak więc utknęliśmy na poboczu autostrady

przez długi czas jeśli nie mówię tak sam. Siedziałem na górze na jakichś skałach. czekaliśmy aż nadjedzie pomoc. Tak więc czekaliśmy i czekaliśmy na

pomoc i zrobiło się późno i wreszcie nadeszła pomoc. Podjechała ciężarówka

holownicza i zapytała moją mamę co się stało i ona jej powiedziała. I kiedy

mama opowiedziała jej o samochodzie zabrała samochód do garażu obok żeby go

naprawić. Kiedy naprawiliśmy samochód wróciliśmy na drogę i próbowaliśmy

znaleźć motel. Ale zamiast spaliśmy w przyczepie. Mama weszła do środka

żeby odzyskać pieniądze ale nie mogliśmy ich odzyskać. Więc ostatecznie spaliliśmy w tych dziwnych przyczepach.

Ale potem wróciliśmy na drogę do PÓŁNOCNEJ DAKOTY zobaczyć babcię i dziadka. I także małego pieska urwisa. Urwis bardzo bardzo lubi się bawić.

To taki pies co lubi gonić różne rzeczy na przykład kijek a może piłkę. Podoba mi się u urwisa jak wita ludzi którzy przychodzą do domu. a kiedy byłem tam w Północnej Dakocie ludzie obok mieli basen. I w bardzo gorące dni chodziłem tam z dziadkiem i on siadał na krześle przy basenie i czytał gazetę albo książkę. Podczas gdy ja pływałem w basenie. Miałem tylko koło godziny żeby pływać w basenie. Do tego czasu obiad był gotowy kiedy wracaliśmy do domu. Rano wstawaliśmy i biegaliśmy z dziadkiem. A potem wracaliśmy na śniadanie. Potem w ciągu dnia szedłem albo do spożywczego albo na przejażdżkę rowerem z dziadkiem. W niektóre dni dziadek i louise czasami szli grać w tenisa w ładne dni. A kiedy grali pomagałem babci jak tylko mogłem. Pomagałem dziadkowi jak tylko mogłem kiedy tam byłem. Cieszyłem się że mogłem trochę pomóc kiedy tam byłem. Podobało mi się też spotkanie z dziadkami louise.

Nie chciałem być takim świnia kiedy powiedziała że powinienem trochę

przytyć. I kiedy tam byłem powiedziała że powinienem jeść tyle ile chcę. I powiedziałem jej że nie chcę z siebie robić takiej świni kiedy jestem u niej z wizytą ale powiedziała że wcale jej to nie przeszkadza. Powiedziała że mogę się częstować ile tylko chcę i powiedziałem jej że w porządku.

Ale

kazała mi jeść więcej jedzenia. Wcale nie chciałem jej rozczarować. Kiedy już byliśmy u dziadków louise pojechaliśmy do PÓŁNOCNEJ DAKOTY.

A kiedy tam

byłem biegałem z dziadkiem po polu które miało małą trasę do biegania.

Biegałem z nim rano co było zabawne. Biegałem z nim wokół trasy na polu

która była tuż za szkołą. Więc biegałem w koło osiem razy a potem wracałem

do domu z dziadkiem. Raz poszedłem z nimi na spacer i przeszedłem przez

ulicę i wtedy babcia szukała mnie wszędzie. Wróciłem do domu przed nimi. W

końcu babcia weszła do domu w tej chwili i zobaczyła mnie w salonie jak oglądałem telewizję i myślała że się zgubiłem. Ale naprawdę to

przeszedłem

przez ulicę kiedy babcia i dziadek mnie nie widzieli. Babcia martwiła się przez jakiś czas kiedy ja byłem w domu przed nimi. Potem wyruszyliśmy

do

domu do cornish. Potem robiliśmy zwykłe rzeczy po powrocie do domu.

Jak na

przykład ja robiłem pranie naczyń śmieci i także odkładałem moje

pranie.

I w większości wykonywałem moje obowiązki wokół domu. Kiedy wróciłem do

domu dość się cieszyłem że jestem w domu następnego dnia. Zacząłem ropakowywać walizkę i wyjmować wszystkie rzeczy które zabrałem ze sobą do

PÓŁNOCNEJ DAKOTY. Potem pewnego dnia mama postanowiła że cała kuchnia

zostanie wymalowana na białe. Więc pojechała do miasta żeby kupić białą farbę. A potem pomalowała całą kuchnię na białe. Cała kuchnia wyglądała przez to zupełnie inaczej. Potem zacząłem wracać do moich regularnych zajęć

na przykład do mojej historii nad którą pracuję teraz. Więc jak dotąd zajęło mi to dość dużo czasu pracować nad nią. Ale jak dotąd dobrze sobie radziłem. Trudno jest przypomnieć sobie wszystko co robiłem kiedy byłem mały. Kiedy zacząłem, chwyciłem bardzo szybko. Pamiętam też kiedy byłem w

szkole kiedy raz kiedy mój brat jeff moja siostra madeline i mój ojciec mieli wypadek poważny wtedy stało się tak, że jechali do domu i wtedy mieli

bardzo poważny wypadek...

Pewnego razu mój ojciec musiał leżeć plackiem na podłodze w salonie bo

skręcił sobie plecy podczas zajęć aerobiku wtedy leżał na plecach przez pewien czas. Kiedy to się działo wszyscy troje próbowaliśmy być jak najmilsi dla ojca z powodu jego pleców i robiliśmy co w naszej mocy,

żeby

mu pomóc. Było nam naprawdę ciężko tylko we czwórkę. A jeśli chodzi o ojca

to potrzebował naszej pomocy. Rzeczą do której potrzebował pomocy było wstawanie z podłogi. Jeśli poruszył jednym mięśniem bardzo go bolało.

Nie

lubił leżeć na plecach było mu bardzo niewygodnie. Więc jeśli musiał iść do

łazienki Louise musiała mu pomagać wstać bardzo ostrożnie potem pomagała mu

wrócić do salonu. A potem pomagała mu położyć się na podłodze bardzo ostrożnie. Było to bardzo niewygodne dla ojca do leżenia. Potem za parę dni

jego plecy miały się coraz lepiej z każdym dniem. Potem kiedy jego plecy wróciły do normy mógł już robić więcej rzeczy. Potem zaczął wracać do normalnych zajęć. Potem dzień później miał uczyć aerobiku i kiedy szedł do

klasy udało mu się wejść na schody trochę za szybko i wtedy skręcił kostkę

była to lewa kostka którą skręcił. Tego wieczoru wrócił do domu kulejąc na

jedną nogę. Miał całą lewą nogę zabandażowaną. Tej nocy leżał na kanapie z

wykręconą kostką w powietrzu. Położył lewą nogę na poduszce i obłożył ją

lodem żeby minął obrzęk. Mógł się dobrze poruszać przeszkadzało mu to

za

każdym razem ale udało mu się poruszać po domu nie myśląc o tym.

Potem kiedy to się stało zrobiłem bardzo głupią rzecz kiedy ojciec i Louise wyszli na kolację tego wieczoru. Poszedłem do sypialni mojej siostry

i zasnąłem na jej łóżku aż mój ojciec i mama wrócili do domu tego samego wieczoru. Kiedy weszli na górę żeby położyć się spać oboje znaleźli mnie w

łóżku Madeline. Zostałem tam złapany. Mój ojciec pytał mnie ciągle i ciągle

co robiłem w pokoju Madeline a ja wymyślałem wiele kłamstw. Potem w końcu

ojciec musiał odpowiedzieć na pytanie za mnie co było dla mnie bardzo zafstydzające. Potem kiedy musiał odpowiedzieć na pytanie za mnie wypchnął

mnie z pokoju Madeline i uderzyłem twarzą o ścianę. I w tej chwili skończyłem z guzem na czole. Bardzo mi było wtedy wstyd. Od tego czasu nie

wolno było mi już wchodzić do pokoju mojej siostry. Ojciec był na mnie wściekły za to co zrobiłem. Nie był ze mnie zadowolony wcale. Po tym co się

stało kiedyś poprosił bym poszedł do jej pokoju kiedyś i wtedy powiedziałem

mu, że nie wolno mi już wchodzić do jej pokoju. Kiedy mu to powiedziałem

powiedział że mogę wejść do jej pokoju a ja powiedziałem że już nie

mogę

wchodzić do jej pokoju a wtedy zaczął tracić do mnie cierpliwość w tej chwili. Miałem wtedy poważny kłopot.

Potem kiedyś kiedy byłem w domu mojej babci w Louisville w Kentucky oglądałem wtedy telewizję a kiedy to robiłem błotna osa użądliła mnie mocno

w lewą nogę. Bardzo mnie wtedy bolało. Kiedy moja babcia zobaczyła że bardzo mnie boli przyłożyła trochę sody do pieczenia, żeby zmniejszyć obrzęk. Kiedy ją przyłożyła zabandażowała mi nogę, żeby zakryć sode.

Było

to kiedy mój ojciec i mama wyjechali na parę dni. Wzięli samochód cioci kiedy pojechali na tę wycieczkę A kiedy ich nie było przez jakiś czas robiliśmy razem interesujące rzeczy. Chodziliśmy sobie do zoo albo wychodziliśmy na lunch do restauracji.

Kiedy pojawiły się w new hampshire chodziliśmy do burger kinga w Claremont. Raz kiedy tam poszliśmy zepsuł się tam chyba ruszt i musieli

go wtedy naprawiać. Tak więc wszyscy wsiedliśmy do samochodu babci i pojechaliśmy aż do lebanon do KFC na lunch. To był pierwszy raz kiedy pojechaliśmy do kfc w lebanon. Jeździliśmy do burgera wiele razy kiedy już

tam był. Miałem jeszcze jeden nawyk a było to jedzenie lunchu w autobusie

szkolnym. A kiedy ojciec pytał mnie czy zjadłem lunch w autobusie zawsze w

końcu mówiłem tak memu ojcu. Potem pewnego dnia powiedział mi jeśli

zjadasz

lunch w autobusie przed przyjazdem do szkoły będę musiał spiąć twój

lunch

razem. Więc powiedziałem że w porządku tato jak chcesz i pojechałem do szkoły następnego dnia. Jak zwykle wsiadłem do autobusu z bratem i siostrą.

i wtedy tuż przed przyjazdem do szkoły zjadłem mój lunch w autobusie.

Potem

kiedy przyszła pora lunchu nie miałem już kanapek bo zjadłem wszystkie w

szkolnym autobusie. Potem kiedy mój ojciec powiedział, że jest zmęczony powtarzaniem mi tego samego bez końca zdecydował że zepnie moją torebkę z

lunchem tak, żebym nie mógł się do niej dostać przed porą lunchu.

Więc kiedy to już było skończone mój brat miał problem z dobrymi ocenami

na świadectwie. A kiedy ojciec zapytał go czy skończył test i zaliczył go on zawsze odpowiadał że tak i kłamał. Potem wzywali go jego nauczyciele. I

wtedy zaczął bardzo źle się uczyć. Ojciec powiedział mu że jeśli nie będzie

się lepiej uczył nie będzie mógł uprawiać żadnych sportów dopóki nie okaże

poprawy. I od tego czasu radził sobie bardzo źle w szkole i okłamywał naszego ojca I WPAKOWAŁ SIĘ w dużo kłopotów. Po tym jak to się stało zabrano mu walkmana na jakiś czas. Do czasu kiedy udowodni, że radzi

sobie

lepiej w szkole.

Kiedy to się skończyło jeff zaczął lekcje muzyki w szkole i co wieczór kiedy przychodził do domu ćwiczył na organach co wieczór. Ćwiczył na organach co wieczór przed pójściem do łóżka.

Potem po ćwiczeniach na organach pszez jakiś czas jeff postanowił rzucić to natychmiast. Ojciec nie był zadowolony z zachowania jeffa wtedy. Parę dni później jeff został podspodem przez żółtą kurtkę. Potem po jakimś czasie ojciec zamówił ciężarówkę drzewa które przyjechało do nas w kłodach.

Kiedy dostarczono nam kłody pan storss i pattersonowie w naszym domu ścinali nam drzewo i dzielili je dla nas na kawałki a po jakimś czasie przyjechali mężczyźni ciężarówką i zatrzymali się żeby pomóc przy drzewie.

A kiedy przyszedłem do domu ze szkoły układałem drzewo na tyłach garażu. A

dodatkowe drzewo układałem po prawej stronie garażu. Zajęło mi dużo czasu

ułożenie całego drzewa. Mogłem wam tego nie powiedzieć wcześniej ale układanie drzewa jest moim ulubionym zajęciem. Naprawdę nie mam nic przeciw

układaniu drzewa. A inne moje hobby to strzyżenie trawnika. Nie mam innych

hobby poza tymi dwoma. Pewnego razu kiedy układałem stos drzewa prawie

skończyłem układać ostatni rząd drzewa kiedy spadł z łoskotem na

mnie. Na

szczęście nie potłukłem sobie okularów. CIESZYŁEM się z tego. Kiedy wszystko spadło musiałem to spowrotem ułożyć. Tym razem ułożyłem bardziej

stabilny stos niż pszedtem. Pewnego razu dach garażu się zapadł i ojciec myślał, że samochody zostaną zniszczone w końcu wy samochody z garażu zanim

garaż się rozpadł na dachach wozów. Na szczęście udało nam się wyprowadzić

oba samochody na czas. Po tym ojciec wezwał firmę która naprawiała garaże.

Już następnego dnia przyjechali zobaczyć co się stało. Mieli specjalny dźwиг stosowany do stawiania garaży spowrotem w normalnej pozycji.

Kiedy

ustawili garaż tak jak chcieli wpuścili deski w dach garażu żeby go wzmocnić. Było to kiedy mieliśmy CHEVY MALIBUE i subaru. Była jedna rzecz

której mój ojciec nie lubił w tym samochodzie właściwie było więcej rzeczy

których nie lubił w samochodzie na pszykład kiedy wychodził na dwór żeby go

zapalić rano żeby pojechać do pracy. Miał problemy z żółtym malibue.

Więc

mój ojciec postanowił sprzedać samochód i kupić drugi. Potem

przehandlowaliśmy samochód za inny samochód kiedy

przehandlowaliśmy

malibue. Kupiliśmy siedmioosobowy mikrobus jak sprzedaliśmy Chevy Malibue.

Dostaliśmy mikrobus i mogliśmy jeździć częściej razem w różne miejsca.

W

ten sposób nie musieliśmy zabierać dwóch samochodów. Potem mój ojciec jeździł częściej do pracy mikrobusem niż subaru. Wydaje mi się że ojciec ma

więcej doświadczenia jeżdżąc mikrobusem niż mama i wydaje mi się że mama ma

więcej doświadczenia jeżdżąc subaru niż ojciec. Nie mówię tego by okazać

brak szacunku. Mówię tylko, że oboje są bardzo dobrymi kierowcami i oboje

mają różne techniki jazdy.

Inną rzeczą którą również pamiętam jest że kiedyś podczas lata kiedy mój

ojciec poprosił żebym wykopał wszystkie rośliny wokół domu zwane łubinami.

No więc tego samego dnia mój ojciec przyszedł do mnie i powiedział Adam od

tego weekendu chciałbym żebyś zaczął wykopywać wszystkie łubiny żeby ich

nie było więcej widać. No więc tego samego weekendu zacząłem wykopywać je

przy stodole. Ojejku, tego dnia było naprawdę gorąco. Pracowałem tak że sie

spocilem. Kiedy skończyłem kopać przy stodole zacząłem na tyłach domu. Było ich więcej na tyłach domu niż przy stodole. Potem kiedy było już po nich zacząłem pakować chwasty do worków na śmieci. Właściwie ułożyłem je wszystkie na wielkim stosie. A kiedy zebrałem wszystkie łubiny w jednym wielkim stosie pozwoliłem im wyschnąć przez noc i następnego ranka zabrałem wszystkie martwe rośliny i zapakowałem je do worków na śmieci. Kiedy już skończyłem kopałem więcej chwastów. Było to prawdziwe utrapienie z tymi łubinami ale to musiało być zrobione. Nie przeszkadzało mi to że pracuję dla mego ojca. Ale w naprawdę upalne dni nie miałem ochoty kopać chwastów ale i tak trzeba było je wykopać. Więc musiałem to zrobić zanim mogłem robić co innego. Gdybym nie zrobił tej pracy dla mojego ojca wokół naszego domu wszędzie rosłyby chwasty. A to byłaby katastrofa.

Epilog

Od czasu wydania tej książki w sierpniu 1989 roku dokonano wielu odkryć naukowych potwierdzających niebezpieczeństwa picia alkoholu w czasie

cięży.

New England Journal of Medicine (8-8|17-8|89Ď) donosił, że picie w trakcie

karmienia piersią może spowodować lekkie, ale znaczące uszkodzenia ruchowego rozwoju dzieci. Roczne dzieci kobiet pijących jeden lub więcej drinków dziennie miały mniej punktów w testach psychomotorycznych niż dzieci matek pijących mniej niż jednego drinka dziennie.

11 stycznia 1990 roku to samo czasopismo opublikowało jeszcze bardziej poruszające odkrycie - że organizm kobiety inaczej reaguje na alkohol niż organizm mężczyzny. Według sprawozdania Giny Koleta na pierwszej stronie

New York Timesa, doktor Charles S. Lieber i jego koledzy ze Stanów Zjednoczonych i Włoch ogłosili: "Kobiety upijają się szybciej niż mężczyźni, ponieważ ich żołądki mają mniejszą zdolność do neutralizacji alkoholu. (...) Stwierdzenie to bardziej odnosi się do kobiet alkoholiczek, których żołądki najwyraźniej w ogóle przestają trawić alkohol."

Wobec mniejszej ilości enzymu neutralizującego alkohol, proporcjonalnie większa ilość wypitego przez kobietę alkoholu przenika do jej krwi w postaci czystego etanolu - 30 procent więcej niż w wypadku mężczyzny o podobnej wadze ciała i tej samej ilości spożytego alkoholu. Ale kobiety i mężczyźni rzadko ważą tyle samo i dlatego jeden drink jest dla przeciętnej kobiety ekwiwalentem dwóch lub więcej drinków mężczyzny.

Naukowcy z Uniwersytetu Waszyngtona w St. Louis w Missouri mieli bardziej poruszające wieści dla ojców alkoholików. W styczniu 1990 roku doktor farmakologii Theodore J. Cicero opisał wyniki eksperymentu, w którym

samce

szczurów uzależnionych od alkoholu zostały sparowane ze zdrowymi samicami.

Pomimo że ich młode samce (pierwsze badanie, młode samice też zostaną poddane testom) miały normalny ciężar ciała w momencie narodzin, nie prezentowały się tak dobrze, jak ich rówieśnicy podczas testów pamięci. Studium sugeruje, że alkohol może wpływać ujemnie na spermę szczura i przekazywać genetyczne wady, tak samo jak inne substancje toksyczne.

W tym samym czasie wiele upośledzonych przez alkohol dzieci podrosło i

okazało się, że długoterminowe efekty zakazanych narkotyków, takich jak kokaina wpływają na zdolność tych dzieci do nauki, podobnie jak w wypadku

etanolu. Według najnowszych badań, ponad 11 procent wszystkich dzieci urodzonych w Stanach Zjednoczonych w 1988 roku miało pozytywne wyniki w

testach na zawartość kokainy albo alkoholu we krwi. Urzędnik Departamentu

Zdrowia w Nowym Jorku obliczył, że w ostatnich dziesięciu latach wzrosła

liczba urodzin dzieci, których matki nadużywały narkotyków. Wzrosła o 3 000

procent. Dlaczego? Niektóre przyczyny są oczywiste. W Nowym Jorku istnieje

tylko jeden program leczenia stacjonarnego (Dom Odyssei) dla kobiet w ciąży.

Zjednoczony Komitet Stanowy do Spraw Alkoholizmu i Narkomanii stwierdza, że w 1989 roku w Nowym Jorku urodziło się 12 000 niemowląt uzależnionych, a liczba dzieci w domach zastępczych podwoiła się w ciągu ostatnich dwóch lat od 27 000 w 1987 roku do ponad 50 000 obecnie. Główną przyczyną tego zjawiska jest nadużywanie narkotyków przez ich rodziców. "16 procent wszystkich amerykańskich matek miało niewystarczającą opiekę w czasie ciąży - 33 procent samotnych lub nastoletnich matek, 30 procent Latynosek i 27 procent czarnych kobiet".

Tego rodzaju zaniedbanie nie występuje jedynie na terenach miejskich. Cardoua Times (z Alaski) stwierdza 3 sierpnia 1989 roku, że "Alaska ma najwięcej zanotowanych przypadków ZPUP w całym kraju, a w pewnej części stanu stwierdzono najwyższą średnią występowania ZPUP na świecie".

Mimo że władze ustawodawcze Arizony, Illinois, Minnesoty, Oregono, Pensylwanii, New Hampshire i Florydy niedawno utworzyły komitety badawcze i wydały prawa dotyczące pijących, jak i zażywających narkotyki kobiet w ciąży i ich nie narodzonych dzieci, trzeba będzie dołożyć więcej starań i funduszy, jako że będziemy mieli do czynienia z bezprecedensowym kryzysem zdrowia narodowego. Upośledzone przez narkotyki dziecko jest w najlepszym

wypadku skazane na życie w smutku, pozbawione praw społecznych, a w najgorszym na bycie przestępcą, ofiarą i na przedwczesną śmierć. Ale zespołowi polkoholowego uszkodzenia płodu można zapobiec - ta sytuacja nie musi trwać. Przyszłość społeczeństwa, w tym wypadku bardziej niż kiedykolwiek, jest w naszych rękach. Nie możemy dłużej wykazywać ignorancji.

Michael Dorris

Marzec 1990

Przypisy

Rozdział 6

1. Lewis O. Saum, *The Fur Trade and the Indian* (Seattle: University of Washington Press, 1965), s. 50.
2. Beatrice Medicine, *An Ethnography of Drinking and Sobriety Among the Lakota Sioux*. Doctoral Dissertation, University of Wisconsin at Madison, 189.
3. Gerald Mohatt, "The Sacred Water: The Quest for Personal Power Through Drinking Among the Teton Sioux", (w:) David D. McClelland i in. (red.),

s.

261-275, *The Drinking Man* (New York: Free Press, 1972).

4. Wesley R. Hurt, "The Urbanization of the Yankton Sioux", *Human Organization* 20 (4): 226-231, 1961; Hurt i R. M. Brown, "Social Drinking

Patterns of the Yankton Sioux", *Human Organization* 24: 157-169, 1965;

Eileen Maynard, "Drinking As Part of an Adjustment Syndrome Among the

Oglala Sioux", *Pine Ridge Research Bulletin* 9: 35-51, 1969; Luis S.

Kemnitzer, "The Structure of Country Drinking Parties on the Pine Ridge Reservation, South Dakota", *Plains Anthropologist* 17: 134-142, 1972.

5. Washington, DC: GPO. 1977.

6. Omer C. Stewart, "Questions Regarding American Indian Criminality", *Human Organization* 23: 61-66, 1964.

7. J. O. Whittaker, "Alcohol and the Standing Rock Sioux Tribe: A Twenty-Year Follow-up Study" (nie publikowany rękopis, według cytatu *Medicine* 1983), Fort Yates, ND: Standing Rock Sioux Tribe, 1980

8. Murray Wax, *Indian Americans: Unity and Diversity* (Englewood Cliffs, NJ: Prentice Hall, 1971).

9. 1962, s. 472.

10. *Medicine*, s. 97.

11. J.O. Whittaker, *Alcohol and Standing Rock Sioux Tribe* (Fort Yates, ND: Commission on Alcohol, Standing Rock Sioux Tribe, 1961), s. 478.

12. *Ibidem*, s. 197

13. Ibidem, Maynard, 1969.
14. Whittaker, 1962; Medicine, s. 155.
15. Medicine, s. 103.
16. Kemnitzer, 1972, s. 139.
17. Maynard, s. 40.
18. Medicine, s. 162.
19. Whittaker, 1961, s. 477.
20. Medicine, s. 115.
21. Ibidem, s. 116
22. Ibidem, s. 117.
23. Ibidem, s. 153.
24. Ibidem, s. 118.
25. Whittaker, 1980.
26. Clement Blakeslee, "Some Observations on the Indians of Crow
Creek
Reservation, South Dakota", Plains Anthropologist 5: 1955, s. 32.
27. Niels Winther Braroe, Indian and White (Stanford: Stanford
University
Press, 1975).
28. Whittaker, 1962.
29. Medicine, s. 133.
30. Ibidem, s. 135.
31. Ibidem, s. 170.
32. Ibidem, s. 136.
33. Ibidem, s. 160.
34. Ibidem, s. 150.

35. Ibidem, s. 158.
36. Gretchen Chesley Lang, "Survival Strategies of Chippewa Drinkers in Minneapolis", *Central Issues in Anthropology* 1 (2): 1979, s.32.
37. *Medicine*, s. 226.
38. Ibidem, s. 232.
39. Ibidem, s. 148.
40. Ibidem, s. 167.
41. Richard Cooley, "Alcoholism Programs," (w:) Jack O. Waddell i Michael W. Everett, (red.), *Drinking Behavior Among Southwestern Indians* (Tucson: University of Arizona Press, 1980); D. B. Heath i A. M. Cooper, *Alcohol Use and World Cultures: A Comprehensive Bibliography of Anthropological Sources* (Toronto: Addiction Research Foundation, 1981); *Medicine*, s. 156.
42. *Medicine*, s. 153.
43. Ibidem, s. 160.
44. Ibidem.
45. Ibidem, s. 159.
46. Ibidem, s. 215.
47. J. O. Whittaker, "Alcohol and The Standing Rock Sioux Tribe, II: Psychodynamic and Cultural Factors in drinking", *Quarterly Journal of Studies on Alcohol* 24: 80-90, 1963.
48. *Medicine*, s. 164.
49. Ibidem, s. 168.

50. Medicine, s. 169-170.

51. Ibidem, s. 170.

52. Thomas E. Mails, Sundancing at Rosebud and Pine Ridge (Sioux Falls,

SD: Augustana College Press, 1978), s. 43, według Medicine, s. 183.

53. Joseph G. Jorgenson, The Sun Dance Religion: Power for the Powerless

(Chicago: University of Chicago Press, 1972), s. 7.

54. Medicine, s. 223.

Rozdział dziewiąty

1. W.C. Sullivan, "A Note on the Influence of Maternal Inebriety on Offspring", Journal of Mental Science, 45: 489-503, 1899. Te i poprzednie

historyczne odniesienia omawiane są szeroko na s. 1-28 Fetal Alcohol Syndrome and Fetal Alcohol Effects Abła (1984, 1987).

2. K. L. Jones i D.W. Smith, "Recognition of the Fetal Alcohol Syndrome in Early Infancy", Lancet 2:999-1001, 1973.

3. A.G. Gilman, Louis Goodman i in. The Pharmacological Basis of Therapeutics, wyd. V (New York: Macmillan, 1975).

4. Cortez F. Enloe, "How Alcohol Affects the Developing Fetus", Nutrition

Today 15 (5): 1980, s. 15.

5. Ibidem, s. 13.

6. Iain M. Murray-Lyon, "Alcohol and Foetal Damage", Alcohol and Alcoholism, 20 (2): 185-188, 1985.

7. Ronald Forbes, "Alcohol-related Birth Defects", Public Health, London

98Ď: 1984, s. 240.

8. Frank L. Iber, "Fetal Alcohol Syndrome", Nutrition Today 15 (5Ď): 1980, s. 7.

9. A. P. Streissguth i R. A. LaDue, "Psychological and Beahavioral Effects in Children Prenatally Exposed to Alcohol", Alcohol, Health, and Research World. Publikacja National Clearinghouse for Alcohol Information, Rockville, MD, 1985.

10. Forbes, s. 239.

Rozdział trzynasty

1. Ernest L. Abel i Robert J. Sokol, "Incidence of Fetal Alcohol Syndrome and Economic Impact of FAS-Related Anomalies", Drug and Alcohol Deperadence 19Ď:51-70, 1987.

2. Streissguth, LaDue i Randals, "A Manual on Adolescents", s. 28.

3. s. 32.

4. s. 10.

5. s. 30.

6. s. 36.

7. s. 31.

8. s. 11.

9. s. 23.

10. s. 34.

Rozdział czternasty

1. Streissguth, LaDue i Randals, "A Manual on Adolescents", s. 37-38.

Bibliografia

Spośród setek książek i artykułów, które przeczytałem, przygotowując się do pisania tej książki, cztery są najbardziej pomocne w zrozumieniu szczególnych aspektów tekstu:

Dr. Ernest L. Abel i jego wszechstronna i rzetelna książka *Fetal Alcohol Syndrome and Fetal Alcohol Effects* (Nowy Jork: Plenum Press, 1984, 1987).

Książka zapewnia najlepszy wgląd w naukowe wyjaśnienie zespołu poalkoholowego uszkodzenia płodu i jego przejawów. Jest dobrze napisana, świetnie udokumentowana i błyskotliwa.

Dr Ann Pytkowicz Streissguth, *A Manual on Adolescents and Adults with Fetal Alcohol Syndrome with Special Reference to American Indians* (Waszyngton DC: Indian Health Service, 1986, 1988). Prezentuje ona jasne i szczegółowe podsumowanie znanych efektów zachowań związanych z zespołem

poalkoholowego uszkodzenia płodu i najlepsze rady dla rodziców i nauczycieli mających do czynienia z tym problemem.

Anastasia M. Shkilnyk, *A Poison Stronger Than Love* (New Haven: Yale University Press, 1985). Jest to obrazowa, poruszająca etnograficzna opowieść o społeczności amerykańskich Indian z Ontario, borykającej się ze

spustoszeniem wywołanym uzależnieniem alkoholowym. Mimo że historia Grassy

Narrows, bo tak nazywa się wioska, jest szczególna i nietypowa, ilustruje ona prawdziwe i straszne warunki życia popadających w chemiczną zależność

mężczyzn i kobiet wielu grup etnicznych we wszystkich częściach świata.

Alcohol Health & World Research 10 (1) (Waszyngton DC: Amerykański

Departament Zdrowia i Służby dla Ludzkości), Fall 1985, specjalne wydanie

poświęcone wadom urodzeniowym spowodowanym alkoholem, zawiera czternaście

przekonywających i istotnych artykułów autorstwa wiodących badaczy.

Zapewniają oni doskonały wgląd w stan obecnych badań i myślenia na temat

zespołu poalkoholowego uszkodzenia płodu w połowie lat osiemdziesiątych.

Każdy artykuł jest zaopatrzony w pomocną bibliografię.